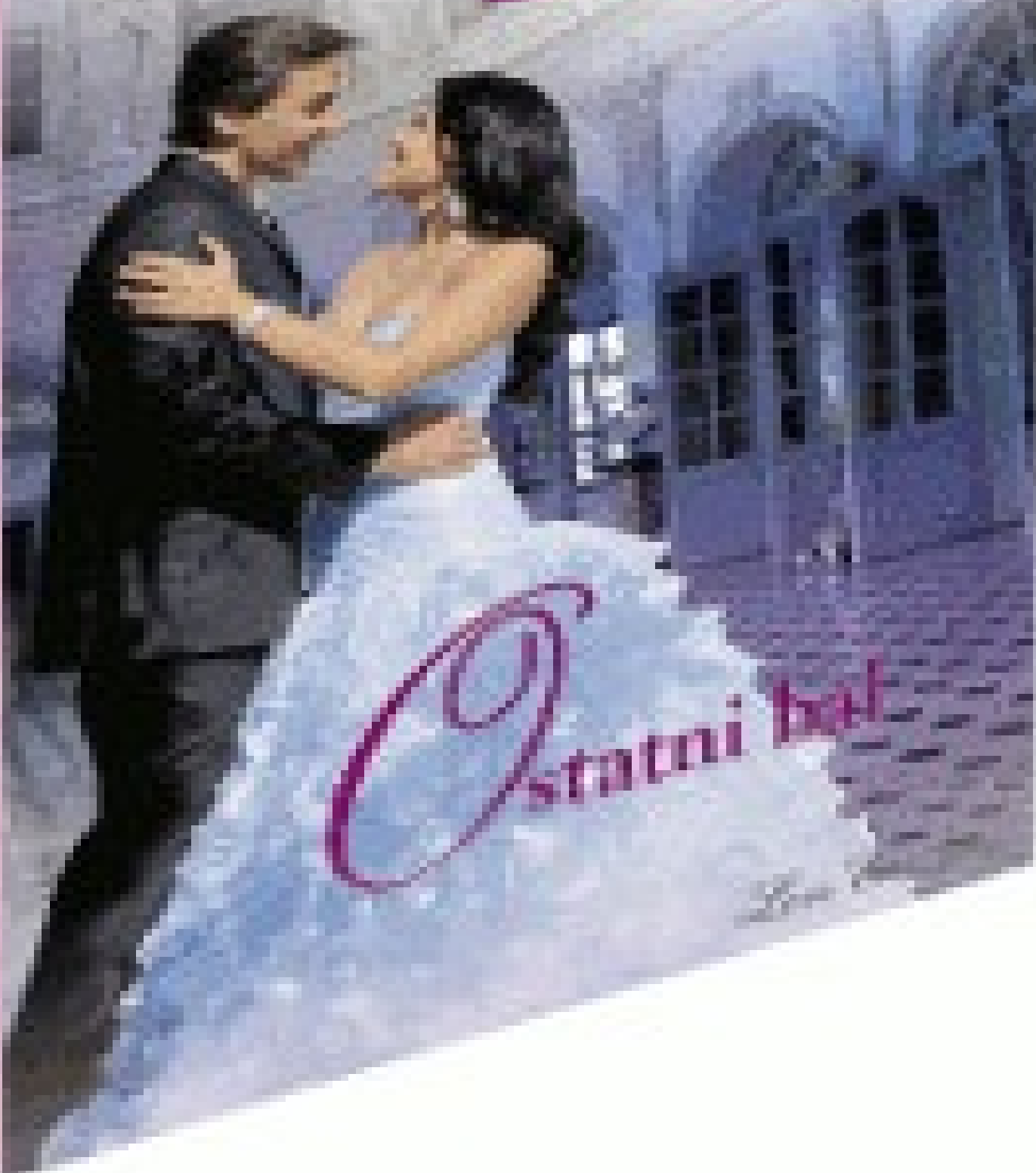


Grand Story

CONNIE BROCKWAY

CONNIE BROCKWAY



Opium Ball

Opium Ball

1995

CONNIE

BROCKWAY

AY

Ostatni bal

Przekład

Radosław Januszewski

&

Diejyte, Francja

Kwiecień 1760

/Li nisko zawieszanej nad więziennym dziedzińcem powały ołowianych chmur mżył deszcz. Armand, dowódca straży, podrzucał pałkę w dłoni; humor miał coraz gorszy. Nic dziwnego, w taką pogodę musiał stać na dworze. Przysiękł sobie, że nie będzie tu sterczał dłużej niż to konieczne.

- Trzymajcie mu ten głupi łeb w wodzie, aż zemdleje - instruował dwóch zwałistych strażników, usiłujących obezwładnić półnagiego mężczyznę przed korytem z wodą.

Nie szło im. Więzień miał w sobie siłę iście diabelską. Zawsze był niepokorny. Przysłano go tutaj po nieudanej ucieczce z aresztu w Hawrze.

Armand wyciągnął zegarek i odwrócił cyferblat do światła.

Piąta, ajuz ciemno. I zimno, pomyślał, patrząc, jak z nagiej skóry więźnia ulatuje para. Sakramenckie zimno.

- Przekłete łono, które was wydało. Szybciej! - krzyknął.

Madame miała się wkrótce zjawić; przed godziną przysłała bilecik z żądaniem, aby przygotował dla niej kilka „egzotycznych okazów”. Niespodziewane wizyty nie były w stylu madame Noir.

Zazwyczaj zawiadamiała Armanda dużo wcześniej o swoich

zamiarach - i potrzebach - by uniknąć przypadkowego spotkania z jego przełożonymi. Nie byłiby zadowoleni, dowiedziawszy się o interesach, które łączyły go z madame.

Jednakże perwersyjne swędzenie, jakie madame odczuwała dzisiaj, wymagało widocznie natychmiastowego podrapania. Bogacze, pomyślał Armand, spluwając na śliskie czarne kamienie dziedzińca. Kto zrozumie ich kaprysy? Gdyby nie płaciła tak dobrze za swoją rozrywkę, nie chciałby jej wcale widzieć. Ale płaciła.

Nagle poruszenie przy korycie zwróciło jego uwagę. Skazany wbił łokieć w brzuch starszego strażnika. Młodszy odpowiedział

ciosem w skroń więźnia. Z rany nad brwią pociekła krew i mężczyzna upadł na kolana.

- Non, Pierre, ty durniu! - Armand podbiegł do nich, wymachując pałką. - Żadnych śladów! Utop go, jeśli trzeba, ale nie zostawiaj śladów, słyszysz?

- Oui, żadnych śladów - burknął Pierre.

- A ty, angielski psie - powiedział Armand, chwytając więźnia za włosy - nie zapominaj, gdzie jesteś, lepiej się sprawuj.

Anglik odwrócił głowę. Długie ciemne włosy opadły mu na czoło; okalająca twarz broda ukrywała jego rysy. Tylko oczy błyszczały w mroku.

- A bo co? Zabijesz mnie? - parsknął pogardliwie. Na ziemistej twarzy pojawił się i zniknął zły uśmiezek. - Obawiam się, Armandzie, mój przyjacielu, że twoje groźby straciły moc.

Zaskoczony dowódca straży wyprężył się. Spojrzenie więźnia - wyzywające, choć naznaczone smutkiem - czuł cały czas na sobie.

- Niby dlaczego? - zapytał.

- Nie możesz grozić śmiercią nieboszczykowi. - Odpowiedź

została wzbogacona soczystą gwarą więzienną. - Widziałem czyste odzienie. Czy ojciec przysłał je na moją egzekucję? Doprawdy wzruszające! Mniejsza z tym. Nie będzie czyste, kiedyje ściągniecie z mojego trupa. Nie zarobicie na mnie ani grosza więcej...

8

Urwał, uderzony przez młodego strażnika pięścią w brzuch.

Armand się uśmiechnął. A więc dlatego Anglik tak się stawiał.

Sądził, że zaraz go powieszają. I stąd to mycie - żeby po egzekucji zdjąć z niego czyste, a nie śmierdzące więzieniem ubranie. Więcej by za nie dostali. Niezły pomysł.

To rozbawiło Armanda; rzadko miał okazję zachwiać pewnością siebie tego więźnia; teraz czuł satysfakcję. Gestem nakazał

Pierre'owi doprowadzenie Anglika do porządku.

Mamrocząc coś, strażnik przerzucił go przez krawędź koryta i zanurzył mu głowę w zimnej wodzie. Mężczyzna prychnął, ka-słał, ale się poderwał, gotowy do walki. Dyszał ciężko, woda spływała po nim, złościąc w brudzie błotniste ślady. Pod skórą drgały naprężone mięśnie i ścięgna. Mimo przejmującego chłodu na czołach strażników, usiłujących podporządkować sobie więźnia, wystąpił pot.

Armand patrzył z niechęcią na młodego, sprawnego człowieka. Kiedy Anglik przybył do nich, był żółtodziobem, ale z latami stał się mężczyzną i to mężczyzną, który w warunkach więziennego życia jakimś sposobem rozwinął silne, budzące respekt cia

ło.

Oto, do czego doprowadziło niańczenie więźniów politycznych, karmienie ich mięsem,

rozpieszczanie kocami i celą w górnej części aresztu, zamiast w zatęchłych, śmierdzących lochach, gdzie trzymano większość skazanych. Jednak przełożony nalegał, aby więźniów politycznych utrzymywać przy życiu ze względu na spodziewany okup.

Armand uważał to za marnotrawstwo - i to potencjalnie niebezpieczne. Gdyby Anglik nabrał jeszcze więcej krzepy... *Mon Dim*, nawet trzech strażników z trudem dałoby sobie z *nim radę*.

Tak jak teraz, wkrótce któryś z nich znów straci panowanie nad sobą i zacznie okładać pięściami twarz więźnia. Madame nie lubi

ła posiniaczonych twarzy. Musiał więc przerwać bijatykę.

- *Merdel* - wrzasnął. - Bronisz swojej cnoty jak zakonnica!

- Cnoty? - wysapał Anglik. Powoli dochodził do siebie.

9

- *Oui*. Ona pewnie teraz nawet na ciebie nie spojrzy - rzucił z pogardą Armand.

- Ona?

- Madame Noir.

Mężczyzna przestał walczyć, napięcie jednak go nie opuściło.

Spojrzał na Armanda przymrużonymi oczami.

- Wybrała mnie? Właśnie mnie?

- *Non*. Chciała cudzoziemców. A ty, *mon homme*, jesteś jednym z niewielu, jacy zostali. Nie staraj się tym razem, żeby cię pominęła. Jeśli teraz też na nią spluniesz, przysięgam, iż sprawię, że staniesz się dla kobiet bezużyteczny raz na zawsze.

- Teraz nie jest dla kobiet użyteczny - wtrącił Pierre. - Lepiej weź, co ci daje madame. To może być twoja jedyna szansa, żeby w ogóle mieć kobietę. Chociaż twierdzą, że to madame jest tą, która „bierze”. - Zaśmiał się rubasznie.

Anglik nie odpowiadał na prowokację. Armand przyglądał

mu się uważnie.

- Jeśli madame wybierze akurat ciebie, nie myśl o ucieczce - ostrzegł. - Nikt nigdy nie uciekł po nocy u niej.

Więzień błysnął zębami w szyderyczym uśmiechu.

- Ja? - Pokręcił głową. - *Non*. Po prostu powinienem chyba wykorzystać sytuację, jak sugeruje Pierre.

- Parę miesięcy temu, kiedy chciała cię zabrać, całkiem inaczej na to patrzyłeś - przypomniał Armand.

Więzień przestał się uśmiechać.

- Parę miesięcy temu wciąż miałem nadzieję, że ojciec mnie wykupi tak jak mojego brata. Ciągle wierzyłem...- Przerwał

nagle, wzruszywszy ramionami. - Ciągle w coś wierzyłem - dodał po chwili milczenia Raine Merrick i uśmiechnął się znowu.

- Ona jest kompletnie nienormalna! - szepnął młody Anglik do Raine'a. Obu przykuto do haków wbitych w szorstką, kamienną ścianę. - Słyszałem już o niej. Zdeprawowana! Mnie nie dostanie!

Chłopak szarpnął łańcuchami. Miał siedemnaście lat, tak w każdym razie powiedział. Raine był w tym wieku, kiedy go sprowadzono do Francji.

- Nie wykorzysta mnie w ten sposób! - Głos mu się załamał, dławiony szlochem.

Raine nie zwracał na niego uwagi. Wpatrywał się z chłodnym spokojem w drzwi celi, pocierając szczęką o ramię. Przyjemność posiadania gładko ogolonej twarzy podniecała go jak mało co.

Oczywiście sam nie mógł się ogolić. Nigdy nie dano by mu do ręki brzytwy. Zamiast *tego* zakuto w kajdany.

Pierre ze szczególnym upodobaniem wymachiwał tępawym ostrzem nad krocem Raine'a, ale ponieważ ten nie reagował, świniowaty strażnik znudził się zabawą i zaczął opowiadać z detalami o tym, co spotykało wybrańców, których wybrała zawoalowana dama.

Raine nie zawracał sobie głowy wyjaśnianiem Pierre'owi, że wie już wszystko na temat madame. Wśród więźniów była postacią owianą legendą. Dlatego parę miesięcy wcześniej splunął jej pod nogi, kiedy przyszła obejrzyć „kandydatów”. Wciąż miał na ciele blizny po biciu za ten odruch buntu.

Jednak w owym czasie nadal żywił przekonanie, że uwięzienie go jest pomyłką i że wolność, którą się cieszył przez krótkie dwa tygodnie po ucieczce, zostanie mu wkrótce przywrócona.

Minął prawie rok, zanim zdał sobie sprawę, że ojciec nie przyśle okupu, a ucieczka z tego więzienia będzie dużo trudniejsza niż z poprzedniego miejsca.

Opanowało go pragnienie zemsty. Przeżył w tym piekle dzięki przekonaniu, że kiedyś ojciec odpowie za wyrządzone mu krzywdy. Jednak więzienie łamie człowieka. W końcu jego duma zwiędła i umarła, a malejące siły skupił na coraz trudniejszym zadaniu utrzymania się przy życiu.

Nawet plotka, że ojciec wykupił Asha, nie sprawiła mu przykrości. Do tego czasu zdążył zetknąć się z dużo bardziej rażącą niesprawiedliwością. Nie, Raine nie chciał już zemsty; chciał po prostu przeżyć. A to oznaczało ucieczkę lub śmierć przy próbie ucieczki.

I tak miał wkrótce umrzeć. Niewielu przeżyło tak długo, jak on. Zabijały ich choroby, współwielonowice albo też zżerała organizm powolna wewnętrzna „korozja”.

Miał jedną szansę ucieczki, która zależała od tego, czy madame Noir wybierze go spośród innych kandydatów typowanych przez Armanda. Rozejrzał się, przyglądając pozostałym mężczyznom. Dwaj mieli długi staż w więzieniu: osadnik z Ameryki o końskiej szczęce oraz szczupły Prusak umierający na gruźlicę.

Angielski chłopak przykuty obok niego był nowy, delikatny, o na-dąsanej twarzy.

Nagle zazgrzytały drzwi celi. Raine wyteżył wzrok i dostrzegł ciemną postać na korytarzu. Zebrał siły.

Madame Noir.

adam

Madame Noir przybyła, żeby dokonać selekcji kandydatów przed wieczorną rozrywką.

Raine patrzył, jak postać w czerni przekracza próg celi. Gęsta czarna woalka i szal z ciemnego jedwabiu na głowie zasłaniały oblicze kobiety, która poruszała się z osobliwym wdziękiem, zdradzając jakby lekką niepewność. Na ramionach miała czarną aksamitną narzutkę, a długie czarne rękawiczki okrywały szczupłe ręce, podtrzymujące spódnice, gdy starała się ominąć kałuże na podłodze.

Armand szedł za nią; twarz miał zaczerwienioną, a wąskie brwi zmarszczone w wyrazie niezadowolenia. Obok niego człapał ogromny mężczyzna w grubej pelerynie na masywnych ramionach i wełnianym szalu owiniętym wokół szyi. Rzucił spod kapelusza ostre, przenikliwe spojrzenia.

12

Raine przeklął po cichu los. Dlaczego nie mógł towarzyszyć jej ktoś w rodzaju Pierre'a? Wielki, ale tępy i powolny.

Odwróciła się i powiedziała coś bardzo cicho do swojego człowieka, zatrzymując się przy pochodniach. Padające od tyłu światło ujawniło jej profil pod gęstym welonem; szczupłą szyję, kanciastą szczękę, patrycjuszowski nos. Mężczyźni, którzy wracali po nocy spędzonej pod jej „opieką”, przysięgali, że nigdy nie zdejmowała welonu. Nikt nigdy nie widział jej twarzy- nawet Armand - i nikt nie znał jej prawdziwego imienia. W hotelu, z którego zwykła korzystać, aby oddawać się potajemnie nocnym rozrywkom, występowała zawsze jako madame Noir.

Zamieniwszy kilka słów ze swoim towarzyszem, odwróci

ła się w stronę więźniów. Tak, jakby świadomie przywoływała się do porządku, przypominając sobie, po co przyszła, postąpiła w ich kierunku. Za nią szli Armand i potężny mężczyzna. Stała przed osadnikiem.

- Za stary - powiedziała pięknym, arystokratycznym francuskim. Przeszła dalej i zatrzymała się przed Prusakiem. Podniósł

mokrą głowę, patrząc na madame otępiłymi, pozbawionymi nadziei oczami. - Ten człowiek umrze, jeśli się nie ogrzeje - stwierdziła.

- Tak - przyznał obojętnie Armand. - Prusak.

Przyglądała się wstrząsanemu dreszczami mężczyźnie.

- Ale któregoś dnia mogę mieć ochotę na Prusaka - dodała spokojnym głosem i poszła dalej.

Armand natychmiast rzucił burkliwie rozkaz, żeby więźnia zabrać na dół, nakarmić i dać mu ciepłe odzienie. W innej sytuacji, pomyślał cynicznie Raine, można by uznać zachowanie madame za wyraz współczucia. Podeszła teraz do młodego Anglika.

Armand podbiegł do niej pośpiesznie.

- Jest nowy, madame. Anglik. Młody. Dotknij. - Zachwalał

jak na targowisku. - Nigdy nie widziałem, żebyś była nieśmiała.

Dotknęła palcem brody chłopca i uniosła mu głowę. Jego dolna warga zadrżała.

- Bardzo młody. - W jej głosie brzmiała niepewność. - Ale to Anglik, jak powiadasz...

- Proszę! Pochodzę z arystokratycznej rodziny. Nie można mnie w taki sposób traktować! - Chłopak się rozplakał. - Nie jestem tym, którego chcesz! Nie jestem tym...

- Ja jestem.

Madame odwróciła się gwałtownie na dźwięk spokojnego głosu Raine'a; welon zafalował na jej ramionach, opadając jak czarne skrzydła nocnego łowcy. Przechyliła głowę na bok, coraz bardziej upodabniając się do małego drapieżnego ptaszka o gładkich piórkach.

- Jest pan Anglikiem, monsieur? - zapytała z zainteresowaniem.

- Tak. - Patrzył na nią uważnie. - Masz ochotę na Anglików, madame?

Wydawało mu się, że dostrzega błysk w oczach za gęstym welonem. Zmusił się, żeby stać spokojnie i podniósł dłonie do góry, zachęcając ją do oględzin.

- Jestem kimś dla ciebie.

- Być może.

Armand wkroczył do akcji. Złapał Raine'a za włosy i odchylił mu głowę do tyłu.

- Proszę, madame. Podejdz. Przyjrzyj się. Popatrz. Wiem, że madame wybiera bardzo starannie.

Podeszła dość blisko. Zapach jej rozgrzanego ciała wypełnił mu nozdrza, pobudzając niespodziewanie zmysły. Zapach kobiety. Budzące tęsknotę obrazy z przeszłości osaczyły go znienacka, zawładnęły jego umysłem, wypierając wszelkie inne myśli.

Pizmo i kwiaty, czystość i zmysłowa obietnica. Kobieca i dziewicza jednocześnie. Prężące się ciała, słodki odpoczynek potem.

Zmysłowe wspomnienie zdumiało go swoją siłą.

Zamknął oczy, oddychał głęboko przez usta, smakując i wachając ją jednocześnie. Od pięciu lat nie był sam na sam z kobie-

14
tą; podczas krótkiego okresu wolności ukrywał się w stodołach i jaskini. Czy mogło to jednak

stanowiąc dostateczne wyjaśnienie obecnych doznań w jego lędźwiach?

Miał przed sobą rozpustnicę, rozwiązałe babsko, uosobienie zepsucia. On co prawda był kiedyś szalonym młodzieńcem gotowym spróbować wszystkiego, ale perwersji nie dałoby się dopisać do długiej listy popełnionych grzechów.

A jednak wystarczył zapach tej kobiety, żeby go podniecić.

- Dotknij go — nalegał Armand.

Czyżby się zawahała, zanim wyciągnęła rękę? Czy zauważyła mimowolne wygięcie jego bioder do przodu? Palce w rękawiczce musnęły nagą skórę. Zapomniał o wszystkim innym.

Wstrzymał oddech. Cofnął się. Nie dlatego, że ten dotyk był

mu niemiły. Wręcz przeciwnie. Ponieważ go pragnął. Czubkami palców przesunęła po jego piersi w stronę brzucha, tam, gdzie spodnie wisały nisko na biodrach. Zadrżał, pragnąc, by ręka zsunęła się jeszcze niżej, czekał na intymny dotyk, nie zważając na ludzi dokoła.

Jej spojrzenie powędrowało w dół, do wypukłości świadczącej o pobudzeniu. Cofnęła gwałtownie rękę, niczym cnotliwa panienka.

- Madame życzyła sobie wyzwania? - pytał Armand. - Ten jest jak znalazł. Arogancki. Młody. Zdrowy.

- Nie sądzę...

- Proszę wybaczyć, madame. - Służący zbliżył się do niej ciężkim krokiem.

- Tak, Jacques?

- Sądzę, że ten będzie jak najbardziej odpowiedni.

Raine przyjrzał się uważnie potężnemu Jacques'owi. Odkąd to służący doradza swojej pani w kwestiach jej miłosnych upodobań? Nie zbesztła go jednak, zawahała się tylko, wskazując ręką angielskiego chłopca.

- Może on - powiedziała, a w uszach Raine'a zabrzmiało to jak pytanie. - Jest...

15

- Bardzo młody- dokończył Jacques ostrzegawczym tonem.

Raine zgrzytnął zębami ze zdenerwowania. Musi wybrać mnie. Musi.

- Będę kimkolwiek madame sobie życzy, żebym był. - Wyrzucił z siebie te słowa jednym tchem, zdumiony, jak łatwo mu poszło, jak łatwo pozbył się resztek dumy. - Zrobię wszystko, czego madame

będzie sobie życzyć.

Wstrzymał oddech.

- W porządku - odezwała się w końcu. - Wezmę tego.

Jacques pokiwał aprobująco głową.

- Bardzo dobrze - rzekł Armand. - Przydzielę wam dwóch strażników.

- Nie potrzeba - stwierdził Jacques, wręczając Armandowi pękata, aksamitną sakiewkę. Raine błogosławił jego pewność siebie.

- Wybacz pan, monsieur - sprzeciwił się Armand. - Ale znam tego człowieka nazbyt dobrze.

Madame machnęła ręką lekceważąco.

- Czy były z nim jakieś kłopoty? - zapytała, nie kryjąc irytacji. - Nie życzę sobie widzów, kiedy się bawię po swojemu. Pragnę... znaleźć się z nim na osobności.

- Rozumiem, lecz madame musi wziąć pod uwagę, że jeśli ten człowiek ucieknie...

- Śmiesz mnie pouczać?

- *Non*, madame! - zapewnił Armand. Odpiął od pasa ciężki pęk kluczy, zdejmując łańcuchy, którym przykuty był Raine. -

Obawiam się go jednak. - Umocował kawał łańcucha pomiędzy kajdanami Raine'a. - Jest wyjście z tej sytuacji: strażnicy będą na zewnątrz, z tyłu powozu. Zostaniesz, pani, z nim sam na sam. A ja będę miał czyste sumienie. To rozsądne, nieprawdaż?

Armand szarpnął Raine'a w przód i podał koniec łańcucha Jacques'owi.

- Skoro nalegasz - odparła chłodno madame, niezadowolona z takiego obrotu sprawy.

Wyszła z celi, szeleszcząc spódnicami. Dowódca straży pobiegł za nią. Raine, który dotąd stał z opuszczoną głową, podniósł

wzrok, napotykając uważne spojrzenie Jacques'a.

Olbrzym zrzucił z ramion pelerynę i okrył nią nagie ramiona Raine'a, lecz wrażenie wielkoduszności zepsuł słowami:

- Przykuję cię w powozie na siedzeniu naprzeciwko niej. Jeśli ją zranisz.. Jeśli choćby dmuchniesz jej swoim smrodliwym oddechem w twarz, urwę ci łeb i naszczam w szyję. *Comprends?* Rozumiesz?

Raine wykrzywił usta w pogardliwym grymasie.

- Zapewniam cię, że twoja pani będzie ze mną bezpieczna.

- Dobrze. Bądź grzeczny. Bądź rozsądny, a wszystko potoczy się pomyślnie dla ciebie. Lepiej niż sobie wyobrażasz.

Raine nie mógł się powstrzymać od szyderczego uśmiešku.

- Twoja wielkoduszność jest dla mnie niczym balsam. Ciekaw jestem, czy z panią będzie tak samo.

Jacques w odpowiedzi pchnął go między łopatki. Szturchaniem ponaglił go do przejścia niskim korytarzem w stronę schodów prowadzących na więzienny dziedziniec. Tuż za bramą czekał na nich zakryty powóz. Strażnicy usadowili się z tyłu, na stopniach dla lokajów. Armand stanął przy otwartych drzwiach.

Żadna próba ucieczki nie mogłaby się teraz powieść. Dusząc w sobie złość i rozzalenie, Raine powlókł się przez podwórze. Za bramą przystanął i podniósł twarz ku zapłakanemu niebu. Wciągnął powietrze za więziennymi murami i zamknął oczy.

- Dalej, synu. - Głos Jacques'a brzmiał zaskakująco łagodnie. -Wsiadaj.

Raine podniósł łańcuch i cisnął na podłogę powozu. Służący założył kłódkę na ogniwo łańcucha i przyczepił go do bolca w podłodze. Więzień przeklinał w duchu jego ostrożność.

W końcu znalazł się w powozie. Po drugiej stronie stuknęły obcasy o deski podłogi. Pani była już na miejscu. Wyteżył wzrok w mrocznym wnętrzu.

2-Ostatni bal 17

Ledwie było ją widać. Siedziała wciśnięta w kąt najdalej, jak się dało.

Tak jakby, pomyślał nagle, śmiertelnie się go bała.

I rJLożliwe, że madame Noir żałowała swojego wyboru; że podniecenie ustąpiło strachowi.

Jednak ta kobieta słynęła ze swoich *outré*, nadmiernych apetytów. Rzekomy strach stanowił zapewne część perwersyjnej zabawy. Zabawy, którą mógłby wykorzystać do własnych celów, gdyby umiał właściwie zagrać.

Jeśli zdołałby ją przekonać, żeby uwolniła go z łańcuchów, w parę chwil znalazłby się na zewnątrz pojazdu, umykając pogoni w krętych uliczkach Dieppe. Z takimi myślami wsiadał do powozu, świadomy swojej roli.

Zdając sobie sprawę, że ramionami wypełnia otwór drzwiowy, zasłaniając światło, Raine zgarbił się, siadając naprzeciwległej ławce. Bał się, żeby nie wywołać w damie poczucia zagrożenia.

Słyszał jej krótki, nerwowy oddech, czuł jej napięcie.

Jacques krzyknął gdzieś na górze i konie ruszyły z kopyta, powodując, że madame przesunęła się niespodziewanie po śliskim skórzanym siedzeniu. Raine wyciągnął rękę, żeby uchronić ją od upadku.

- Zabierz ode mnie ręce - szepnęła.

Nie rozkazywała. Prosiła. Chociaż podejrzewał, że udaje, ten fałszywy strach podziałał na niego podstępnie. Uległość w głosie kobiety wywołała instynktowną reakcję jego ciała. Czyżby udawała, że jest zalęknioną dziewczicą, zamkniętą z dziką bestią? Jeśli tak, to jej fantazja była bliższa rzeczywistości, niż myślała.

Od lat nie czuł takiego pożądania.

18

- Zabierz rękę - odezwała się drżącym głosem. Posłuchał.

Cofając dłoń powoli, przesuwał nią wzdłuż rękawa. Nie starał się ukryć kierunku swojego spojrzenia, zatrzymując wzrok na wznoszących się i opadających niespokojnie piersiach.

Przeklęte gierki. Chciał jej.

- Madame — powiedział cicho, podnosząc ramiona i rozsuwając pelerynę Jacques'a; obnażył w ten sposób nadgarstki spięte kajdanami i nagą pierś, której więziennie bladą skórę przecina

ły liczne blizny, ślady „działań dyscyplinarnych” Pierre'a. - Jak widzisz, jestem do twojej dyspozycji, możesz zrobić ze mną, co chcesz.

Odsunęła się dalej na ławie obitej pikowaną skórą.

- Nie rozumiesz — szepnęła.

- Nie rozumiem - przyznał. - Ty mnie jednak nauczysz. Na czym polega twoja przyjemność, *petite madame*? Ty dotykasz, mnie nie wolno? Pobudzasz, ale nie dopuszczasz do kulminacji?

Czy w ten sposób osiągasz satysfakcję? Proszę, zrób, co chcesz.

Pragnę z całej duszy, żebyś mnie tak użyła.

- Milcz!

- Powiedz mi po prostu, madame, jakie są reguły gry - rzekł

szorstko. Był gotów zapłacić za wolność każdą cenę. Zsunął się nieco z ławy, pozwalając, żeby na własne oczy zobaczyła, jak pobudzone jest jego ciało. - Wystarczy, żebyś raz spojrzała, aby się przekonać, że jestem gotów na każdą zabawę, jaką zechcesz podjąć - oświadczył.

- Boże. - Jej szept wyrażał dziewiczą zgrozę wobec lubieżnej propozycji. Do diabła, dobra z niej aktorka.

- Jestem twój. - Pochylił się, ujmując ją delikatnie za nadgarstek i pociągnął, aż dłoń w rękawiczce spoczęła nisko na jego brzuchu. Wciągnął powietrze z niekłamaną przyjemnością. - Czy czujesz, jak moje mięśnie napinają się pod wpływem obietnicy, której spełnienie odsuwasz?

Próbowała wyszarpnąć rękę, ale trzymał ją mocno, usiłując rozpaczliwie odgadnąć charakter swojej roli. Postawić na 19

brutalność czy raczej na uwodzenie? Jego los zależał od trafnej oceny reakcji kobiety. Kiedyś, życie temu, był już na dobrej drodze, żeby osiągnąć mistrzostwo w tego rodzaju zmysłowej analizie.

- Poddałem się celibatowi, madame - powiedział ponuro -

jako że już dawno oczyściłem się z udręki wspomnień miękkiego kobiecego ciała, słodkich kobiecych ust, namiętnych objęć kobiety. Przywołałaś je na powrót, nadałaś im materialność, drażniłaś pozorem prawdy. - Mówił niskim, namiętym głosem. Próbowała się wyswobodzić, ale bez przekonania. Chciała wysłuchać jego wyznań. Pławić się w nich. Niech będzie przeklęta.

Chwycił kobietę za drugi nadgarstek i, nie zważając na niespodziewany opór, szarpnął, pociągając w objęcia. Znalazła się między jego szeroko rozstawionymi nogami. Opasał ramionami jej kibić; łańcuchy, które przytwierdzały go do podłogi, zabrzęczały głośno.

Sapnęła, rękami, których nie mogła wyswobodzić, odpychała się od zimnej piersi Raine'a. Palce w rękawiczkach drażniły jego nerwy pod skórą. Serce łomotało mu w piersi ze strachu i z podniecenia.

- Krzykniesz, a zginę, zanim zdążysz mieć ze mnie jakikolwiek pożytek - wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

Była szczupła, wąska w biodrach i gibka, niczym młoda kotka.

Nawet przez grube warstwy sukni czuł, jak delikatną ma miednicę, gdy otarła się o wnętrze jego ud. Welon spłynął mu na kolana falą czarnego jedwabiu.

- Pozwól, żebym ci usłużył - szepnął. Granica między grą a zabawą zacierała się pod wpływem odczuć, które wzbudzała jej bliskość. Tracił cierpliwość. Dopuści się na niej gwałtu, jeśli zabawa zacznie się przeciągać. - Pozwól się dotknąć. Pieścić. Rozpalić w tobie ogień, jaki płonie we mnie - mruczał zmysłowo. - Ciesz się mną.

Zakołysał się lekko, usiłując stłumić gniew. Gniew na siebie i na nią, wobec ciała, które zdradzało jego umysł i ducha.

- Tak. Teraz - powiedział. - Pozwól się wziąć. Nie mogę czekać. Tylko uwolnij mnie z łańcuchów - jęknął ponaglająco -

a dogodzę ci jak ogier na wiosnę swojej pierwszej klaczy.

- Puść mnie! - Zasłonięta welonem twarz odchyliła się gwałtownie do tyłu. Raine przeklął swoją zapalczywość.

Natychmiast uwolnił jej ręce. Źle odczytał pragnienia madame, uznając, że brutalność przypadnie jej do gustu. Przeraziła się tylko. Na pewno się nie mylił; nikt nie potrafiłby tak świetnie tego zagrać.

Zmusił się do przybrania uległego wyrazu twarzy, spuszczając wzrok, żeby nie zobaczyła, jak płoną mu oczy. Drżąc na całym ciele, usiadła na naprzeciwległej ławce.

- Wybacz mi - zaczął twardym, wcale nieuniżonym tonem.

Czuł się wyczerpany, zmęczony sytuacją dla niego nie do zniesienia. Tą całą grą. Na jej życzenie. - Nie powinienem był pozwolić, żeby żądze uczyniły mnie tak śmiałym. - Patrzył wyzywająco w jej zasłoniętą welonem twarz. - Myślałem jednak, że lubisz, kiedy twoi kochankowie zachowują się ordynarnie.

Przynajmniej tak się uważa w więzieniu, gdzie kupujesz swoje zabawki.

Kiedy padły te słowa, znowu się przeklął. Nie zamierzał ich wypowiadać. Same wyszły mu z ust. Uśmiechnął się krzywo, spojrzawszy na skute kajdanami ręce. A wydawało mu się, że przeszło cztery lata spędzone w więzieniu przegnały zapalczywość z jego duszy.

Czekał na to, co wydawało mu się nieuchronne: uderzenie w twarz, rozkaz, żeby zawrócić powóz.

Zdumiewające, ale nic takiego nie nastąpiło. Kobieta wcisnęła się tylko jeszcze bardziej w głąb powozu.

- Panie. Proszę. Nie ruszaj się. Bądź cicho. Strażnicy mogą cię usłyszeć. Poczekaj tylko, zaklinam cię - mówiła łamiącym się ze zdenerwowania głosem. - Poczekaj!

- Należę do ciebie, madame. Musisz tylko wydawać rozkazy - rzekł beznamiętnie. - Przecież sama dobrze wiesz.

Jechali w milczeniu, aż pojazd wreszcie stanął. Raine wyjrzał

na zewnątrz. Byli na dziedzińcu przed jakimś hotelem. Za trzypiętrowym budynkiem widać było jedynie pojedyncze światelka w oddali. Znajdowali się na obrzeżach miasta. Dobrze.

Drzwi powozu się otworzyły. Jacques wsadził do środka swoją wielką głowę i włożył klucz w kłódkę zabezpieczającą łańcuchy Raine'a. Otworzył ją, owinał sobie łańcuch wokół dłoni i szarpnął.

Raine odpowiedział wściekłym warknięciem, gramoląc się na zewnątrz. Czekał na niego Pierre. Z hotelu wyłonił się wyraźnie zaniepokojony mężczyzna w średnim wieku i pomógł wysiąść madame Noir. Razem pośpieszyli do hotelu.

- Wezmę go na górę do pokoju - powiedział Pierre, zwracając się do Jacques'a. - Kiedy tam się znajdzie, ty przejmujesz odpowiedzialność. Lepiej dopilnuj, żeby wrócił jutro o brzasku.

Jacques zmierzył opasłego Francuza pogardliwym spojrzeniem.

- Czy madame kiedyś nie dotrzymała swojej części umowy?

- Nie - odparł Pierre. - Dopilnuj, żeby madame nie ustała w... zaspokajaniu swoich apetytów. Ten akurat to chytra sztuka.

Bezczelny. - Pociągnął Raine'a za sobą.

Skierowali się do wejścia dla służby na tyłach hotelu. Następnie weszli po schodach na górę, zatrzymując się przed obitymi płótnem drzwiami. Otworzył je właściciel hotelu. Wśród ukłonów i uśmiechów, wycofał się z pokoju.

Jacques złapał więźnia za ramię i wciągnął do obskurnego, tandetnie urządzonego wnętrza, nakazując Pierre'owi, żeby został na zewnątrz. Raine osunął się na kolana obok łoża z baldachimem, które przysłaniały bladoniebieskie satynowe zasłony. Madame Noir krążyła z drugiej strony.

- Madame, zapłacę strażnikowi oraz temu drugiemu i wrócę - powiedział Jacques. Zmierzył Raine'a groźnym spojrzeniem, wręczając kobiecie pistolet.

- Czy musisz wyjść? - zapytała, obchodząc łóżko.

- Nie ufam strażnikowi, że da swojemu partnerowi należną część, a nie chcę, by szakał nachodził cię tutaj, domagając się pieniędzy. Pistolet trzymaj cały czas wycelowany w niego.

-Jacques wskazał ruchem głowy Raine'a. -Jeśli się ruszy, zastrzel go.

Wzięła broń, mierząc w Raine'a. On już podniósł się z klęczek.

- Zabiję go, jeśli będzie czegoś próbował. Obiecuję. - Spojrzawszy gniewnie na więźnia, Jacques wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Raine wpatrywał się w lufę. Jej otwór wydawał się równie przepastny, jak wejście do piekieł, czym, jak przemknęło mu przez myśl, mógł być w istocie.

Bez namysłu przystąpił do działania.

Złapał za lufę i skręcił ją w bok. Madame krzyknęła i wypuściła pistolet. Chwycił kobietę za nadgarstek, odwrócił plecami do swojej piersi i trzymał mocno, jednocześnie przyciskając jej drugą rękę do boku.

Przedramieniem odchylił głowę madame do tyłu, naciskając na krtań. Łatwo będzie złamać tę szczupłą szyję. Jedną ręką unieruchomił jej nadgarstek, w drugiej trzymał broń. Ostrożnie zwolnił iglicę, wsuwając pistolet za pas z tyłu spodni.

- Krzyknij, madame, a umrzesz w tej samej chwili - szepnął

w zakryte welonem ucho.

Próbowała się wyzwolić, wolną ręką drapała dłoń mężczyzny, kopała, ale warstwy sukni utrudniały ruchy. Jednak trafiła obcasem na stopę Raine'a, który aż syknął z bólu.

Schylił się, przyciągając zakrytą welonem twarz blisko swoich ust.

- Przestań!

Mimo że krzyknęła, wydawała się trochę spokojniejsza. Poczul nagle jej pośladki przyciśnięte do swoich lędźwi.

Uśmiechnął się smętnie. Z chwilą, kiedy wkroczyła do celi, zaczarowała go. Może lata więzienia skrzywiły jego zmysłową naturę, ponieważ, taka była prawda, podniecała go bardziej niż wyobrażenie tysiąca innych, które podsuwała mu wyrafinowana fantazja.

- Proszę - powiedziała chrapliwie. - Proszę. Posłuchaj!

- Nie, madame - szepnął. - Ty słuchaj. Uważnie. Nigdy tam nie wrócę. Nigdy jako żywy, przysięgam. A ty jesteś środkiem, żebym mógł spełnić ten ślub. Teraz ty jesteś moim więźniem.

Jęknęła, odsuwając twarz dalej od niego; poczul muśnięcie jedwabnego welonu na ustach.

- Proszę...

- Milcz - warknął, zdając sobie sprawę z tego, co go czeka.

Musiał ją zabić.

Jeżeli tego nie zrobi, zaprzepaści wielką życiową szansę. Gdyby wyszedł z hotelu żywy, nie przetrwa godziny, jeśli będzie musiał ciągnąć kobietę ze sobą. Nie miał czasu, żeby ją kneblować i wiązać, Jacques mógł bowiem wrócić w każdej chwili. A zostawiona tutaj, natychmiast wszczęłaby raban. Musi zabić madame: szybko, po cichu, teraz.

Ale nie potrafił. Mimo że domagał się tego instynkt samozachowawczy. Bardziej sfrustrowany niż gniewny ścisnął ją mocniej za szyję. Zaczęła znowu kopać, uniósł ją nieco, przyciskając do biodra; czuł, że ogarnia ramionami mocną, gibką kobietę.

Dawna skłonność do ryzykanctwa, kiedyś typowa cecha jego charakteru, znowu nim owładnęła. Zapalczywy, nierozważny chłopiec, który już umarł - niezbawiony i niewykupiony - we francuskim więzieniu, teraz ożył.

Nie, nie mógł jej zabić, ale coś przynajmniej powinien mieć z tej nocy. Do diabła, nie daruje sobie, jeśli nie ujrzy twarzy tajemniczej madame Noir.

Za chwilę trzymał w dłoni zwój miękkiej czarnej materii.

- Madame, oto zostajesz odkryta - powiedział.

Zerwał welon z jej głowy. Posypały się szpilki do włosów; ich ciche, ostre staccato było preludium do delikatnego szelestu **24**

welonu spływającego na podłogę. Uwolnione włosy, miękkie i ciężkie jak damasceński jedwab, opadły lśniąca kaskadą na nagie przedramię mężczyzny. Miały przepiękną barwę starego złota, były zdrowe, wspaniałe.

Raine, zmieszany, zanurzył w nie dłoń i odchylił głowę kobiety.

Piękna cera. Kremowa i niewiarygodnie gładka. Niebieskie oczy, ciemnoniebieskie. Prawie indygo. Przerażona. Młoda. Bardzo młoda.

Za młoda.

- Madame. - Uwolnił jej szyję z uścisku. - Kim ty, do diabła, jesteś?

JL/ ziewczyna - bo z pewnością nie była to kobieta dojrzała - odsunęła się, wykorzystując zaskoczenie Raine'a i stanęła twarzą do niego. Rozpuszczone włosy przykrywały jej ramiona, wplątując się między koraliki zdobiące gorset; złote pasma mieniły się czerwienią na tle czarnego jedwabiu.

Również czarne były jej brwi. Albo bardzo ciemne, tak że trudno byłoby się dopatrzeć różnicy. Osobliwie kontrastowały z rudozłotymi włosami. Proste, wąskie, stykały się u nasady nosa.

Pełne, zmysłowe wargi, gdy je rozchylała, odsłaniały perłowe zęby; dwa na przedzie nieznacznie różniły się wielkością.

- Kim jesteś? - powtórzył pytanie Raine.

- Usiłowałam ci powiedzieć! - odparła. - Ale ty... Ty po-strzeleńcu! Ośle dardanelski! Nie chciałeś słuchać. Musisz łapać i ranić, i walczyć, zanim nawet zaczniesz rozumieć, co robisz. Trzy razy prosiłam cię o cierpliwość! - Wycelowała w niego oskarżycielsko palec w rękawiczce. - Trzy razy! Nie mogłeś poczekać? Musiałeś próbować mnie zabić?

- Mademoiselle- rzekł, cedząc słowa. Zamiast zdumienia czuł teraz gniew, że mała, wściekła kocica prawi mu kazanie. -

Gdybym chciał widzieć cię martwą, byłabyś martwa.

W odpowiedzi na to parsknęła wzgardliwie.

- Wy, Anglicy, wszyscy jesteście tacy. Zniszczyć! Zastraszyć!

Zapalczywi, w gorącej wodzie kąpani. Świetnie, monsieur. Jeśli chcesz być takim narwańcem, twoja wola. Miarkuj jednak swoje zapędy przy mnie i przy Jacques'u.

Raine był więcej niż zdumiony. Dziewczyna zaś trzęsła się z oburzenia. Albo ze strachu. Spojrzał na nią uważniej. Zbladła, ale teraz kolor powoli wracał na jej policzki. Oddech, od którego drżało kilka złotych pasm, był krótki i niespokojny.

Przeraził ją. Przerazał od pierwszej chwili. To, co brał za perwersyjną zabawę zdeprawowanej kobiety, zabawą wcale nie było.

Zapewne nawet nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia gotów był się zniżyć, byleby uciec. Do diabła, pomyślał, wydaje się, że nie rozumiała połowy z tego, co się działo podczas przejażdżki.

- Mów, proszę, mademoiselle. Jestem więźniem twojego daru wymowy - powiedział, czując cały czas dotyk pistoletu z ty

łu za pasem.

Skrzyżował ramiona na piersi, obserwując, jak dziewczyna błądzi spojrzeniem po jego nagiej skórze, a potem ucieka wzrokiem. Zaczerwieniła się. Dobry Boże, wygląda jak nowicjuszka, pomyślał Raine, przypominając sobie inną nowicjuskę, dziewczynę, w której oczach płonął bardziej ziemski ogień niż w spojrzeniu tej właśnie. Merry była jednak ziemską pięknoscią, podczas gdy ta dziewczyna - cóż, nie zaliczyłby jej do najpiękniejszych.

Chociażby te brwi, zbyt mocno zarysowane. Kwadratowa szczęka, za duży nos. Ma przepiękne włosy. A dolną wargę chętnie posmakowałby zębami, wydaje się taka soczysta i pełna. Jej oczy - nikt nie dopatrzyłby się w nich skazy, gdyby nie te nieszczęsne ciemne krechy brwi.

- Przestań się na mnie gapić! - krzyknęła, jeszcze bardziej rozzłoszczona.

- Nie wolno mi mówić, łapać, zastraszać ani nawet patrzeć?

Cóż, skoro już masz dość gapienia się - zauważył z satysfakcją, że jej policzki się zaróżowiły - może

zechciałabyś mnie oświecić.

Co się tutaj, na Boga żywego, dzieje?

Podeszła bliżej i uniosła rękę, przyciskając czubki palców do jego ust, aby go uciszyć.

- Cicho bądź, ty... Ty świętokradco! - syknęła.

Dobry Boże, ona nawet mówi jak zakon...

Drzwi otwarły się z takim impetem, że odskoczyły od ściany, zamykając się ponownie; Raine widział przez chwilę czerwoną jak burak twarz Jacques'a. Chwycił dziewczynę i wyciągnął pistolet zza pasa, kierując go w jej stronę, akurat wtedy, gdy drzwi znowu się otworzyły i wszedł Jacques.

- Ostrożnie, *mon ami* - poradził mu Raine. Jacques skamieniał.

Widok lufy pistoletu w odległości kilku centymetrów od skroni dziewczyny zatrzymał go równie skutecznie, jak ceglany mur.

- Powinniśmy wybrać tego młodszego - stwierdziła dziewczyna.

- Co? - Jacques wzruszył ramionami, nie spuszczając wzroku z pistoletu. - Ten drżący osikowy listek? Nikt nie mógłby go wziąć za Lambetta.

- La Bete? - powtórzył Raine. - Kto to jest Bestia?

Dziewczyna natychmiast przeniosła na niego całą uwagę.

- Źle usłyszałeś - wyjaśniła pośpiesznie. - Nie La Bete, monsieur. Lambett. Mój mąż.

Nie zaskoczyłaby go bardziej, oświadczając, że ma ogon. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Po prostu nie wyglądała na czyjąś żonę.

- Monsieur. Opuść pistolet - odezwał się Jacques, czyniąc uspokajający gest dłonią. Prośba w jego głosie w najmniejszym stopniu nie odbiła się w jego oczach. - Zamknę drzwi. Opuścisz pistolet. My ci wyjaśnimy. Wszystko.

- A jeśli odmówię?

Twarz służącego pociemniała.

- Zatem będziemy tu siedzieć, dopóki pistolet nie wypadnie z twoich zdrętwiałych palców. Ponieważ jeśli spróbujesz uciec, zaalarmujemy strażników. - Pojednawczy ton Jacques'a już się ulotnił.

- Mógłbym cię zabić - stwierdził Raine.

- Jeśli strzelisz, zaalarmujesz ich i tak - zauważył Jacques z niemałą satysfakcją. - Więc chyba lepiej, jeśli opuścisz broń, co?

Jacques nie lubił gróźb kierowanych pod jego adresem. Raine też kiedyś był taki. Zdumiewające, do czego człowiek może się przyzwyczaić, kiedy zachodzi potrzeba.

- Mam lepszy pomysł - oznajmił Raine. - Będę trzymać pistolet tam, gdzie jest, a wy mi wszystko opowiecie.

- *Merdel* - wybuchł Jacques. - Ty szubieniczne ścierwo! Jak śmiesz...

- Jacques! - przerwała mu dziewczyna. - Proszę! To nas prowadzi donikąd. Wyjaśnij mu albo ja to zrobię.

Raine przyjrzał się jej. Zauważył pot na twarzy, lśniąca warstewkę nad zmysłowymi wargami. Łatwo byłoby się zorientować, czy kłamie.

- Mam nawet jeszcze lepszy pomysł - odezwał się. - Ty mi to wyjaśnisz, mademoi... Madame Lambett. A ty, Jacques, będziesz zachowywał się bardzo, bardzo spokojnie. Albo cię zastrzele, a potem... - Uśmiechnął się znacząco do dziewczyny. - Cóż, tego się już nie dowiesz, prawda?

- Miałaś rację - zwrócił się Jacques do dziewczyny, nie spuszczając wzroku z Raine'a. - Trzeba było wziąć osikowy listek.

- Proszę po raz ostatni, powiedzcie mi, o co chodzi.

Dziewczyna skinęła powoli głową.

- Według życzenia, monsieur. Mój mąż, Richard Lambett, zmarł miesiąc temu na febrę. Był Anglikiem.

Ciekawość Raine'a wzmogła się, ale milczał.

- Mam wrażenie, że to małżeństwo w jakiś sposób wydaje ci się niezwykle... Serce jednak nie zawsze jest najmądrzejszym doradcą, prawda?

- Skąd mam wiedzieć? Siedziałem w więzieniu, kiedy inni mężczyźni sypiali z kobietami. — Zaśmiała się szyderczo z jej sentymentalizmu, ona zaś spuściła oczy koloru indygo.

- Och! Pardon, monsieur. Byłam nietaktowna.

Wielki Boże, przeproszała go za uchybienie etykiety. Nie mógł powstrzymać chichotu; zauważył, jak rzuciła Jacques'owi szybkie spojrzenie wyrażające satysfakcję. Do diabła, wymyśliła pewnie to niewinne zdanie, żeby go rozbroić. Była sprytniejsza, niż się spodziewał - godna przeciwniczka.

- Wiem już, że posiadasz niemądre serce - rzekł. - Niezbyt szczęśliwie dla ciebie, lecz ze mną nie ma to nic wspólnego. A teraz proszę, madame, zechciej mi wybaczyć moją niedelikatność.

Posłała mu pełne uznania spojrzenie. Dobrze.

- Mów dalej - poprosił.

- Mój mąż był dyplomatą - oświadczyła.

- Jak się wydaje, niezbyt dobrym - zauważył Raine. Tym razem spojrzeniu towarzyszył gniewny grymas. - Popraw mnie, proszę, jeśli błędzę, ale Anglia i Francja nadal są wrogami, czyż nie?

Za jej plecami Jacques przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

- *Oui*, monsieur. - Głos kobiety drżał z napięcia, a oczy lśni

ły. Gniew czy ból? Nie potrafił stwierdzić. - A jednak nie chcia

łabym, abyś źle o nim mówił. Może gdybyśmy się w sobie nie zakochali, może gdyby całą uwagę poświęcał sprawom politycznym...

- Droga pani, taka katolicka gotowość przyjmowania winy na siebie mówi wiele o siostrzyczkach, które miały cię w swojej pieczy. - Tym zyskał zaskoczone spojrzenie dziewczyny. Nie mylił się, rzeczywiście wychowała się w klasztorze — ale nawet zakonnice zawahałyby się przed zrzucaniem winy za wojnę na miłosne perypetie dyplomaty nieudacznika.

29

Grymas złości jeszcze się pogłębił i Raine stłumił niestosowny odruch śmiechu. Niezależnie od rozrywki, jaką dawała ta zabawa w słowa, jego życie wciąż wisiało na włosku. I o ile wzrok Raine'a nie ucierpiał w więzieniu, wielki milczący Jacques podszedł bliżej, podczas gdy ona odwracała jego uwagę. Raine wycelował broń w olbrzyma.

- Spokojnie, *mon homme*. Ćwicz cierpliwość, człowieku, za której brak gani mnie twoja dama. Nie ruszaj się, Jacques, bo znieruchomiejesz na zawsze.

Odeła wargi. Tak, zdecydowanie budził jej irytację.

- Wystarczy wprowadzenia. Czego chcecie ode mnie?

Jacques pokiwał głową, wyraźnie osowiały. Dziewczyna wciągnęła głęboko powietrze.

- Pół roku temu mój mąż otrzymał wiadomość, że jego wuj w Szkocji zmarł, zostawiając mu w spadku ogromną posiadłość.

Podjął wtedy pewne kroki, żebyśmy mogli z małym Angusem udać się w podróż do Szkocji.

- Z małym Angusem?

Spuściła skromnie wzrok.

- Naszym synem.

Synem. Wzrok Raine'a przesunął się w dół jej szczupłej postaci aż do kibici. Mógłby ją objąć naszyjnik, który nosiła. Zapewne to gorset sprawiał, że wydawała się tak wąska.

- Możesz sobie wyobrazić, że zapewnienie przejazdu do Szkocji francuskiej damie i jej synowi to trudna sprawa. Zwłaszcza damie o pewnym, choć nie tak wielkim, znaczeniu. Jestem sierotą, monsieur, wychowaną w domu ciotki, tym samym domu, w którym mieszkałam od czasu śmierci męża. Na szczęście, po długich poszukiwaniach mój mąż zdołał wejść w kontakt z pewnym kaprem i zorganizować nasz przejazd. Mamy wypłynąć na morze jeszcze dziś wieczorem.

- Dlaczego zatem - zapytał Raine - jesteś tutaj ze mną, przebrana za dziwkę, zamiast prowadzić małego Angusa przez stocznię Dieppe? Ani słowa, Jacques - ostrzegł mężczyznę.

- Ponieważ - odparła z nagłym gniewem - mój mąż umarł parę miesięcy temu, a człowiek, którego mamy spotkać w stoczni, oczekuje mężczyzny, Anglika. Wczoraj dostałam list od niego. Narzekał, że zgodził się zabrać kobietę na pokład. Ze jego ludzie się zbuntują. Posunął się nawet do tego, żeby zaproponować, abyśmy poszukali sobie czegoś innego, skończył

jednak zapewnieniem, że bardzo niechętnie, ale jednak dotrzyma słowa.

Raine czekał. Machnęła ręką w geście zniecierpliwienia.

- Nie rozumiesz? Jestem sama. Podróż już opłacono i skończyły się pieniądze. Trzeba dopilnować, żeby ten przemytnik, ten... pirat dotrzymał zobowiązania. Potrzebowałam Anglika, a Jacques wiedział, gdzie go znaleźć.

- A skąd to Jacques ma taką wiedzę?

- Moja ciotka... to ona jest madame Noir. Jacques jest jej lokajem. Zawsze darzył mnie afektem, jeszcze w dzieciństwie, i kiedy odkrył, że mam problemy... zaproponował rozwiązanie. - Po raz pierwszy, odkąd ściągnął jej welon, wydawała się spłoszona i onieśmielona.

Raine przeniósł wzrok na Jacques'a. Nie wyglądał na lokaja arystokratki, ale on miał mało do czynienia z tego pokroju ludźmi, więc wstrzymał się od osądu.

- A więc to był twój pomysł. Wyciągnąć Anglika z więzienia, żeby udawał monsieur Lambetta.

- *Oui*. - Jacques pokiwał głową. - Znałem powiązania madame Noir, nazwiska ludzi, z którymi załatwiała interesy. Wiedziałem, że w tak krótkim czasie więzienie stanowi jedyną nadzieję mademoiselle na znalezienie Anglika chętnego do tej roli.

Instynkt samozachowawczy Raine'a nakazywał mu ostrożność. Nie podobała mu się ta historia. Nie budziła zaufania.

- A więc - Raine cofnął się parę kroków w stronę drzwi, z pistoletem nadal wycelowanym w Jacques'a - powodzenie waszego planu zależy od znalezienia chętnego Anglika.

- Monsieur - powiedziała dziewczyna, ściągając brwi w wyrażające zakłopotanie V- dlaczego miałbyś odmówić mi pomocy, skoro moja oferta może ci jedynie wyjść na dobre?

- Jaka dokładnie jest twoja oferta?

- Udasz się do stoczni jako mój mąż. Spotkasz się z kapitanem przemytnikiem, potem...

- Potem?

- Przybędę, wejdziemy na pokład i odpłyniemy do Szkocji.

Kiedy się znajdziemy na łodzi, pójdziemy swoimi drogami.

- A co z małym Angusem?

- Angus? Będzie ze mną, oczywiście.

- Kiedy już znajdziesz się w Szkocji, czy pojedziesz prosto do posiadłości swojego męża?

- *Non!* - wykrzyknęła niecierpliwie. - Nie bądź głupi. Ludzie mojego męża będą na mnie... na nas czekać. - Chmura przysłoniła jasne niebo w jej oczach. Westchnęła ledwo słyszalnie i, napotykając wzrok mężczyzny, uśmiechnęła się słabo. - Mały Angus będzie nowym dziedzicem, czyż nie? Na tym zasadzają się wszystkie ich plany i strategie.

Ujęła to w dziwny sposób, jednak Raine przypuszczał, że w pewnych rodzinach z synem wiązano największe nadzieje.

Tylko dlatego, że w jego rodzinie było inaczej, nie mógł w to wątpić.

Po raz pierwszy stwierdził, że jej wierzy. Z pewnością nie we wszystko, ale w to, co powiedziała teraz. Dostrzegł smutek w jej oczach. Wyglądała tak, jak wyobrażał sobie, że mogłaby wyglądać kochająca matka, uświadomiwszy sobie ciężar oczekiwań w stosunku do jej dziecka: zrezygnowana, zaniepokojona, trochę niechętna.

- Monsieur, nie pomoże mi pan? Co złego ci zrobiliśmy?

Spędziłeś już kilka godzin na wolności, dostałeś czyste ubranie, a zaraz spożyjesz ciepły, obfity posiłek. - Głos miała smutny, była zmęczona; napięcie i strach zrobiły swoje.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zapewne dostarczono jedzenie. Raine odwrócił głowę, szukając jakiejś drogi ucieczki. Wystarczy, że krzykną, a zginie.

- Monsieur! - prosiła dziewczyna cichym, nerwowym szeptem.

- Spokojnie, synu - przekonywał Jacques. - Co masz do stracenia, a ile możesz zyskać?

Mógł wrócić do Szkocji. Przez wiele nocy, leżąc na zapleśnia-

łej słomie, obmyślał strategię swoich działań po ucieczce. Teraz miał szansę na wprowadzenie owych planów w życie.

Najpierw uda się do Szkocji i Rumieńca Ladacznicy, zamku na Wyspie McClairenów, gdzie mieszkał po trzykroć przeklęty jego ojciec - ale nie po to, żeby zobaczyć perwersyjnego rodzica.

Nie, przybędzie tam w tajemnicy, żeby odzyskać klejnoty, które matka ukryła na krótko przed śmiercią. Klejnoty, które na jego oczach schowała w podwójnym dnie orientalnej skrzyneczki na herbatę. Klejnoty, o których nigdy nikomu nie wspomniał. Nawet Ashowi.

A potem, z odzyskanym, przynależnym mu z racji urodzenia skarbem w kieszeni, pożegluje do Nowego Świata - ku wolności.

Prawdziwej wolności. Wolności od Szkocji, Wyspy McClairenów i Carra, a przede wszystkim - od swojej przeszłości.

Służący za drzwiami zastukał ponownie. Dziewczyna patrzy

ła na Raine'a niespokojnie, zwilżając językiem dolną wargę.

Również w perspektywie spędzenia kilkunastu nocy na statku, w towarzystwie tej czarnobrewej, atrakcyjnej dziewczyny, było coś pociągającego -jako pan i pani Lambett mogliby nawet dzielić kajutę.

Uśmiechnął się, zabezpieczył pistolet i zatknął go za pas.

- Otwórz drzwi, Jacques - powiedział całkiem spokojnie. -

Chętnie zjem coś, zanim ruszymy do portu.

3 - Ostatni bal 33

z g o d n i e z zapewnieniem dziewczyny służący przyniósł tacę pełną jedzenia: chrupiące bochenki świeżo upieczonego chleba; mięso zapiekane w cieście ze smugami aromatycznej, pachnącej ziołami pary, unoszącej się ze szczelin w ociekającej tłuszczem pokrywie; udziec barani oraz stos gorących,

oblanych syropem krążkówjabłka.

Jakiegokolwiek byłyby wątpliwości Raine'a co do intencji dzia

łań tej pary, wiedział jedno: robili, co mogli, żeby pozyskać go do współpracy. Po raz pierwszy od lat najadł się do syta, część uwagi poświęcając dziewczynie, która przedstawiła swój plan. Powiedziała mu, co ma mówić, jak traktować „kapitana szmuglem”, gdzie i kiedy mają się spotkać. Rozważał dokładnie wszystkie za i przeciw.

Jednak w żaden sposób nie mógł wymyślić planu równie obiecującego, jak plan dziewczyny - jeśli był prawdziwy. Miał

świadomość, że gdyby uciekł teraz, nie nacieszyłby się długo wolnością. Poprzednia przygoda przekonała go o potrzebie planów i sprzymierzeńców.

Nie miał sprzymierzeńców; nie wiedział nawet, co się kryje za następnym wzgórzem. A gdyby nawet uciekł, to dokąd?

Bez dokumentów i pieniędzy musiałby się włóczyć, aż zostałby ponownie schwytyany albo zdobyłby jakiś majątek - o ile najpierw nie padłby ofiarą w jakiejś knajpianej bójce. Lata spędzone w więzieniu skłoniły go do przemyśleń nad wartością życia.

Chciał zeń korzystać, ale teraz oznaczało *to coś* zupełnie innego niż kiedyś.

Zerknął na dziewczynę po drugiej stronie stołu. Zwinęła miedzianozłote włosy w węzeł na karku - szkoda, luźne sploty opadające na ramiona były rzadkiej piękności. Mimika twarzy zdradzała pewne napięcie.

Raine podejrzewał, że prośby nie przechodzą jej łatwo przez usta. Bóg mógł naznaczyć kobietę tak niezwykle brwiami tylko po to, by ostrzec pleć przeciwną. Pomyślał przez chwilę o jej zmarłym mężu. Ta dziewczyna każdego męża rzuciłaby na kolana, to pewne.

Jacques w milczeniu żuł kawałek mięsa. Mądrze robił, pozwalając dziewczynie gadać. Płomień łojowej świeczki rzucał

ciepły blask na jej policzek. Kiedy to ostatnim razem Raine dotykał czegoś tak miękkiego jak dziewczęcy policzek?

Napełnił ponownie swój kubek. Pragnął się wyzwolić z czaru, który na niego rzuciła i dociec, ile było prawdy w tym, co mu powiedziała. Nie, żeby to miało znaczenie. Jeśli wszystko, co musi zrobić, to pojawienie się w porcie i przemówienie językiem arystokraty do jakiegoś angielskiego pirata, żeby zapewnić sobie przejazd do Szkocji... Cóż, czyż w takiej sytuacji nie było warto zaufać tej parze?

Chociaż na nabrzeżu panował tłok, gospoda Le Rex Rouge wydawała się opuszczona. Jednakże, myślał Raine, wyglądając przez okno powozu, niewiele wiem o życiu w portowym mie

ście. Dieppe było takie dopiero od niedawna.

Podmuch wiatru wdarł się do powozu. Raine, bardziej z dawnego nawyku niż z potrzeby, ściągnął fałdy nowego, wełnianego płaszcza. Dziewczyna obok niego, wbijając kobaltowe oczy w jakiś jeden punkt, zadrzała. Odkąd zgodził się na jej plan, była cicha i spokojna.

Jadący na koźle Jacques czekał, aż otrzyma znak od szmuglera, wówczas zawiadomi Raine'a, który się uda do tawerny, żeby dokończyć negocjacji w sprawie przejazdu. Zabrzęczał trzema złotymi luidorami w kieszeni - pieniędzmi, które wy dobył od Jacques'a, utrzymując - nie bez racji - że posłużą jako dodatkowy argument, jeśli pirat znowu zacznie się wykręcać.

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, madame Lambett poczeka w powozie, dopóki umowa nie zostanie zawarta; potem **35**

razem z Jakiem pojedą po małego Angusa. Kochająca matka, a taką była, nie chciała sprowadzić syna do portu wcześniej niż to absolutnie konieczne. Wspomniawszy o dziecku, obudziła ciekawość Raine'a, który zapytał:

- Jak umarł jego ojciec?

Odwróciła głowę. W przyćmionym świetle wewnątrz powozu oczy kobiety wydawały się niemal czarne.

- Monsieur?

- Twój mąż, jak umarł?

- Och. Zapalenie płuc. - Odwróciła twarz.

- Byłaś do niego bardzo przywiązana?

Milczała.

Nie chciała z nim rozmawiać. Nie mógł mieć jej tego za złe.

Nie wiedziała o nim nic, tylko tyle, że był Anglikiem i znalazła go w więzieniu. Nawet nie zapytała, jak się nazywa. Oczywiście, nie musiała się obawiać o swoje bezpieczeństwo, nie przy Jacques'u.

Myśl o olbrzymim służącym otrzeźwiła trochę Raine'a, stłumiła nieco pożądanie, które go dręczyło, ale zaraz pojawiła się inna, folgująca żądzom. Nie mógł zapomnieć dotyku ciała kobiety, które trzymał uwięzione pomiędzy udami, jej rąk na swojej nagiej skórze. Nawet teraz, gdy przez jego umysł przewijały się rozmaite możliwe zakończenia tego, co stałoby się niechybnie w ciągu następnych paru minut, reagował silnym pobudzeniem.

Mijały minuty, w powozie zrobiło się ciepło od ich rozgrzanych ciał. Z zewnątrz dochodził od czasu do czasu hałas przejeżdżającego powozu, stukot podkutych kopyt na bruku, odległe, przytłumione męskie głosy.

- Dlaczego byłeś wobec mnie taki gruboskórny, taki brutalny? - Sztywne skórzane siedzenie zaskrzypiało, kiedy dziewczyna się poruszyła.

To nagłe pytanie wprawiło go w zdumienie. Czuł się odprę

żony, po prostu cieszył się jej zapachem, ciepłem, widokiem. Powtórzyła pytanie tym samym nadąsanym tonem, nie patrząc na Raine'a.

36

- Dlaczego byłeś taki brutalny?

- Kobieta, w którą się wcieliłaś, jest brutalna - powiedział zakłopotany. Musiała wiedzieć, jakiego rodzaju kobietą jest jej ciotka, zwłaszcza że tak skutecznie wykorzystwała skłonności tamtej, by uzyskać jego zwolnienie.

- Ale ty dotykałeś mnie nawet wtedy, kiedy dałam ci jasno do zrozumienia, że tego nie chcę.

Nie był pewien, czego chciała, więc zachował milczenie.

- Aj ednak mówisz ładnym językiem jak arystokrata. Czy jesteś dobrze urodzony? Czy popełniłeś zbrodnię przeciwko dobrze urodzonym?

- Madame, czy nie jest odrobinę za późno na prośbę o listy uwierzytelniające? - odparł Raine, rozbawiony oskarżycielskim tonem w jej głosie.

- Dlaczego byłeś w więzieniu? - wyrzuciła z siebie, tym razem posyłając mu również oskarżycielskie spojrzenie.— Czy...

czy napadłeś na jakąś kobietę? Jakąś arystokratkę?

Brała go za gwałciciela? Już raz popełniono w stosunku do niego taką pomyłkę. A jednak kiedyś poczułby się urażony. Posłałby ją uprzejmie do wszystkich diabłów i resztę nocy spędził, udowadniając, jak skutecznie działa jego czar na płęć piękną.

Ale cóż, miała prawo tak myśleć, wzięwszy pod uwagę, iż niewiele brakowało, żeby ją zgwałcił. Potarł policzek w zamyśleniu i po raz pierwszy *od* lat zastanowił się, jaki obraz ukazałoby lustro. Uśmiechnął się. Źle zrozumiała jego reakcję i wtuliła się głębiej w poduszki.

- Nie - powiedział, żeby ją uspokoić. - Nigdy nie wzięłem kobiety wbrew jej woli.

- Zatem - zawahała się - zatem dlaczego trafiłeś do więzienia?

- Z przyczyn politycznych. To znaczy, ktoś spodziewał się osiągnąć korzyści z mojego uwięzienia.

- Nie rozumiem.

- I ty jesteś żoną ambasadora? - zakpił. Westchnął, zdumiony jej, jak się wydawało, młodym wiekiem i zmieszany z tego powodu.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Co zrobiłeś?

- Czego nie zrobiłem? - mruknął, a potem dodał: - Wtrącono mnie do więzienia, ponieważ dało się to zrobić i trzymano mnie tam, ponieważ jakiś francuski biurokrata fantazjował, że otrzyma kiedyś za mnie okup. - Pochylił się, wdychając jej ulotny, słodki zapach. - Zapewniam cię jednak, że nikt poza tobą nie znalazłby powodu, żeby mnie uwolnić. Wielkie dzięki.

Uśmiechnął się znowu, tym razem bez goryczy, zdając sobie nagle sprawę, że gdyby nie ta kobieta, nie siedziałby w ciepłym powozie, czysty, ubrany, zaskoczony niespodziewaną wolnością i pełen obawy, że może ją jeszcze stracić.

Jednak ten pogodny uśmiech, zamiast poprawić jej nastrój, raczej wzmógł niepokój. Twarz nabrała posępnego wyrazu, a zło

żone na podolku dłonie splotły się nerwowo.

- Nienawidziłeś więzienia.

Roześmiał się wbrew sobie i usłyszał, jak Jacques porusza się niespokojnie na koźle.

- Spokojnie, przyjacielu! - zawołał Raine cichym głosem. -

Twoja pani bawi mnie dowcipem, po prostu doceniam jej humor.

Przyglądał się dziewczynie. Wydawała się świeża i delikatna, a także nadąsana, że się z niej śmieje. Jacques nie bez racji się o nią martwił. Raine dobrze znał ten typ mężczyzn, którzy wykorzystaliby jej niewinność z przyjemnością. Należeli kiedyś do jego najlepszych kompanów.

- Tak, madame. Nienawidziłem. Ale nigdy tak bardzo, jak teraz.

- A to dlaczego? - Przysunęła się bliżej, ciekawość przewyciężyła lęk. Światło z zewnątrz nadawało blasku jej włosom i tworzyło wokół sylwetki świetlistą aureolę. Nie byłaby, doprawdy, bezpieczna, podróżując bez eskorty. Nie była, przemknęło mu przez głowę, bezpieczna w jego towarzystwie.

- Ponieważ zapomniałem, czym jest wolność - mówił - a teraz przypomniałem sobie i to porównanie jest... bolesne.

Światło padało na nią z tyłu, trudno więc było odczytać wyraz jej twarzy.

- Dlaczego twoja rodzina nie...

- Moja kolej - przerwał jej. Ash wyjechał, Fię pewnie dawno już oddano w ręce najbogatszego z konkurentów. O Carze nie miał ochoty myśleć. Ojciec go nie interesował, nie chciał go wcale widzieć. Chociaż przypuszczał, że nie da się tego uniknąć, kiedy dotrze do Rumieńca Ladacznicy.

Rumieniec Ladacznicy.

Nie po raz pierwszy przyszłość oznaczała wybory, możliwe

ści i perspektywy przekraczające zwykłą ambicję, żeby nie dać się zabić w więziennej bójce. Ta myśl go oszołomiła.

- Monsieur?

Zamrugnął oczami, *niczym* człowiek, który wyszedł na słońce z ciemności. Zdał sobie nagle sprawę z ogromnego długu, jaki zaciągnął wobec tej młodej kobiety. Nawet jeśli - to też brał pod uwagę - w jej planie kryło się coś, czego nie ujawniła, to przynajmniej dzisiaj otwierały się przed nim możliwości, o jakich wczoraj nie mógł marzyć.

- Jestem twoim dłużnikiem - oświadczył.

- Proszę, monsieur. Nie jesteś mi nic winien. Pomagasz mi. - Opuściła głowę, przyglądając się swoim dłoniom w rękawiczkach. Długie pasmo włosów ześlizgnęło się z jej ramienia.

Swoją młodością i świeżością urzekała jak wiosna. —Ja mam dług wobec ciebie - szepnęła.

Cóż, prosić niebiosą o podobną łaskę wymagałoby odwagi większej niż ta, na którą byłby w stanie się zdobyć. Ale ona to powiedziała, a on przecież nigdy nie przeczył, że jest oportuni-stą.

- Wydaje się, że nawzajem jesteśmy swoimi dłużnikami, *ma petite* madame... - Przerwał. - Czy mogę... Czy mógłbym dotknąć twoich włosów?

39

To nie było to, co zamierzał powiedzieć; w swoim głosie usłyszał błaganie złagodzone tylko resztkami dumy. Przeklęty głupcze, wyrzucał sobie, bezrozumny raptusie. Jak grzecznie, jak uprzejmie zabrzmiało: czy mogę dotknąć twoich włosów...

Czekał na odpowiedź.

Dostrzegł leciutkie skinienie głowy, dyskretnie wyrażoną zgodę. Powoli wyciągnął rękę, bojąc się, że spłoszy dziewczynę, jakby była górskim żrebakiem, który widzi człowieka po raz pierwszy.

Pozostała, jak zwierzak, nieruchoma i czujna. Jego palce zawisły nad lśniącymi splotami, poruszyły

się. Dotknęły.

Jedwab. Zimny jedwab. Tak gładki, że wydawał się kruchy, *do tego* śliski i chłodny. Potarł kosmyk włosów między kciukiem a palcem wskazującym, zamknąwszy oczy, zapamiętując ich fakturę i grubość. Przesunął palce wyżej, aż do punktu, gdzie włosy traciły swój metaliczny chłód, ogrzewając się w bliskości skóry. Otworzył dłoń, pozwalając złocistym pasmom przepływać między palcami. Zgniatą i uwalniał jedwabiste fale, zaciskając i rozwierając pięść. Wdychał delikatny zapach mydła.

Westchnął.

- Ile masz lat? - zapytała z ciekawością. Otworzył oczy.

- Wszedłem parę lat temu w trzecią dekadę, madame.

- Taki młody? *Mon Dieu* - szepnęła. - A ile spędziłeś w więzieniu?

- Co to ma za...

- Ile? - nalegała.

- Cztery.

- Byłeś zaledwie podrostkiem...

Ledwie ją słyszał, mówiła tak cichutko, najwyraźniej zdjeta przerażeniem, co sprawiło, że poczuł się niepewnie. Zmieszany odwrócił wzrok, ale po chwili spojrzął na nią znowu, jego oczy bowiem od lat nie cieszyły się widokiem takiej kobiety.

- To niesprawiedliwe - dodała łamiącym się, wciąż ściszone do szeptu, głosem. - To nie w porządku.

Raz jeszcze jej naiwność zbudziła w nim uspiętego demona, jakąś chorą część osobowości, którą wciąż bawiły takie rzeczy, jak dziewczęca niewinność.

- „W porządku”, *ma petite*? Co ma porządek wspólnego z moim losem... albo twoim?

Nadal bawił się jej włosami, nie przestając patrzeć w oczy.

Powoli, delikatnie nawinał pasmo na dłoń. Opierała się, ale raczej dla przyzwoitości. Z każdym lekkim pociągnięciem jej ciało traciło sztywność, niczym rozgrzany wosk przy piecyku. Wargi kobiety- tak zmysłowo obiecujące, jak jej brwi były groźne i dez-aprobujące - rozchyliły się ze zdumienia. Ujrzał błysk białych zębów i zaskoczenie w jej oczach. Słodki, wionący goździkami oddech pobudził jego zmysły...

- Jest! - Mała kłapka w dachu podniosła się i Jacques spojrzął

na nich z góry.

Dziewczyna szarpnęła się do tyłu; krzywiła się, upinając włosy. Raine ją uwolnił. Przeklęty Jacques.

- Pamiętaj, mów tylko po angielsku - syknął lokaj. - Poczekaj, aż będzie bardzo blisko. Woli nie sciążać na siebie uwagi, a powiadam ci, jego francuski jest okropny.

Zamknął klapę. Raine spojrzał na dziewczynę. Dziwne świat

ło jakby pozbawiło skórę młodej damy koloru.

- Całus na szczęście, *ma petite*?

Jej oczy się zaokrągliły.

- *Non*, monsieur! Od niedawna jestem...

- A ja od niedawna jestem wolny. - Ujął w dłonie głowę dziewczyny i przyciągnął do siebie, miażdżąc pocałunkiem miękkie jak płatki kwiatów usta. Przez jedną, odurzającą chwilę poddały mu się; potem go odepchnęła.

- Wychodź już! -zawołał Jacques.

Raine schylił głowę w kurtuazyjnym ukłonie, sięgnął ręką obok niej i otworzył drzwi.

- Madame, twój dług został spłacony. - Zeskoczył na ulicę i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę Le Rex Rouge.

41

Pod latarnią wiszącą obok drzwi stał wysoki mężczyzna. Owinął się ciasno błyszczącą peleryną, chroniąc przed zimnym wiatrem. Wyraz twarzy oraz sylwetka świadczyły o jego czujności i napięciu.

Raine zwolnił kroku, rozglądając się. Trzej mężczyźni zbili się w gromadkę przy rogu budynku, pocierając ręce nad kapryśnym płomieniem małego piecyka. Na końcu ulicy woźnica odpoczywał skulony na koźle zamkniętego powozu; źle dobrane konie miały się w zaprzęgu. Było zbyt spokojnie.

Wysoki mężczyzna poruszył się pod latarnią. Miał bladą, okrutną twarz.

- Lambett?!-zawołał.

- Tak - odparł Raine. Zatrzymał się. Jacques przestrzegł go, żeby zachowywał się dyskretnie, a jednak przemytnik wykrzyknął głośno jego nazwisko w niemal opustoszałym zaułku.

Jeden z mężczyzn stojących przy piecyku się odwrócił. Drzwi powozu zostały otwarte. Wysoki mężczyzna skinął głową najwyraźniej zadowolony z siebie i unosząc rękę w zwycięskim geście, ruszył szybko naprzód. Jego blada twarz...

Błada.

Żaden żeglarz nie miał tak bladej twarzy.

Wciągnięto go w zasadzkę. Za plecami usłyszał kobiecy głos:

- To pułapka! Uciekaj!

Rada była zbędna. Już biegł.

Dziewczyna patrzyła, jak bezimienny młodzieniec biegnie, mijając żołnierzy wysypujących się z powozu i jak pochłania go noc. Na siedzeniu na górze Jacques, zwany również Jamie Craigg, a ostatnio również La Betę, klął szpetnie, zacinając konie w drodze do doków.

Kiedy gniew minie, Jacques zrozumie, że nie tylko postąpi

ła właściwie, ale najlepiej, jak można było. Wkrótce żołnierze z doków dołączą do swoich kolegów polujących na człowieka, uważanego za La Betę, najsłynniejszego przemytnika, który jak żaden inny wodził za nos władze francuskie. Po raz pierwszy od dwóch tygodni w dokach zmniejszy się liczba żołnierzy. Dzięki temu prawdziwy La Betę będzie mógł, względnie bezpiecznie, załadować cenny ładunek na statek, po czym wyruszyć do rodzinnej Szkocji.

„Ładunek” dotknął czubkami palców obolałych ust. Nigdy dotąd nikt jej nie pocałował. Nigdy nie dotknął mężczyzna spoza rodziny. Ten był pierwszy. Wysoki, silny Anglik o oczach koloru sherry, który wyskoczył z cuchnącego więzienia. Nie cieszyłby się ze swojego losu, gdyby naprawdę była madame Noir, co do tego miała pewność. Skąd więc takie poczucie winy?

Uczciwość, którą wpoili jej siostry w Sacre Coeur, podsunęła szybką odpowiedź. Nie była lepsza od madame Noir. Po prostu wykorzystwała młodego człowieka w inny sposób.

Schyliła głowę, prosząc Boga, by wskazał mu drogę ku wolności. Jednak, kiedy skończyła się modlić i przeżegnała się, mając wciąż poczucie winy, że tak podle wykorzystwała inną istotę ludzką, rozumiała, że nie zmieniłaby nic w swoim postępowaniu.

Nie działała teraz we własnym interesie.

Odsunęła się od okna, zasuwając firankę, tak jakby w ten sposób mogła się pozbyć wspomnienia o Angliku. To, co zrobiła, zrobiła dla swojego klanu, żeby naprawić zło, które wyrządziła mu przed dziesięcioma laty.

Tylko ona mogła je naprawić.

Wychowano ją w tym przekonaniu, urobiono i ukształtowano. Nawet we francuskim klasztorze, dokąd została wysłana, listy od Muiry Dougal nie pozwalały zapomnieć o obowiązku. Teraz wreszcie nadszedł czas działania.

Favor McClairen wracała do domu.

JL/opłynięcie do statku zajęło godzinę. Pół tuzina mężczyzn w długiej łodzi poruszało w milczeniu wiosłami. Jamie przy sterze kierował nimi, prowadząc ciężko wyładowaną łódź przez czarne wody niczym Charon, który zabiera dusze zmarłych na drugi brzeg Styksu.

Tyle że ja nie umieram, powiedziała sobie Favor. Wracała do domu. Powinna odczuwać radosne podniecenie. Udało im się tego dokonać wbrew wszelkim przeciwnościom.

Od wielu dni na północnym wybrzeżu roiło się nie tylko od żołnierzy, ale i strażników, robotników, kupców oraz żeglarzy, uganiających się za sławetnym przemytnikiem, La Betę- albo raczej uganiających się za niesłychanie wysoką nagrodą, którą ofiarowano za jego schwytanie. Jamie widocznie wystrychnął na dudka francuskie władze o jeden raz za dużo.

Po paru dniach w jego towarzystwie zrozumiała, jak zdołał

dokonać tego, wcale nie mało znaczącego czynu. To Jamie uznał, że największe szanse na uniknięcie aresztowania mają, pozostając na widoku. Zakotwiczył statek w porcie, a nie w jednej z małych zatoczek, które zwykle wybierali przemytnicy.

Jednak władze, mimo że w swych działaniach skupiły się na rejonie wybrzeża, nie zaniedbały całkiem miast portowych. Trzeba było zorganizować coś dla odwrócenia uwagi, tak żeby zdą

żyć załadować kontrabandę - jak również Favor. I znowu Jamie obmyślił plan. Żeby go zrealizować, potrzebowali Anglika - Anglika, którego zostawiliby potem samemu sobie. Gdzie znaleźć chętną do współpracy ofiarę?

Zdumiewające, ale rozwiązanie dostarczyła czcigodna matka przełożona Sacre Coeur.

Ksieni, być może, miała informacje także z innych źródeł, ale jej brat, ojciec Dominik, jak się okazało, był spowiednikiem ma-44

dame Noir. Z jakiegoś powodu ksieni znała doskonale obyczaje owej sławnej damy i za to Favor była jej wdzięczna.

Plan był prosty. Jedna z klasztornych dojarek szepnęła francuskiemu porucznikowi na ucho, że ksieni spodziewa się w pewną noc, w pewnym miejscu, dostawy wełnianych szkockich koców znakomitej jakości. W tym czasie Favor udała się do miejscowego więzienia przebrana za madame Noir, żeby wybrać Anglika, którego można by wziąć za osławionego przemytnika.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

Nie mogła jednak zapomnieć oczu Anglika. I jego przysięgi, że nigdy więcej nie wróci do więzienia. I tego, że prosząc o pozwolenie dotknięcia jej włosów, wydawał się zupełnie nagi.

Łódź uderzyła lekko w oblepiony skorupiakami bok statku.

Favor zmarszczyła brwi. Nie miała powodu, żeby czuć się winna. Kiedy tylko strażnicy się zorientują, że nie schwytali La Betę, Anglik po prostu wróci do więzienia, gdzie i tak by wylądował, gdyby była madame Noir.

Z góry odezwały się ciche głosy; Jamie odpowiedział również szeptem. W chwilę później spuszczone sznurową drabinę i dwóch mężczyzn przechyliło się przez burtę statku. Złapała ich za ręce, a oni wciągnęli ją na pokład. Za nią wgramolili się, sapiąc i klnąc, Jamie i jego ludzie.

- Zaprowadź ją do kajuty - rozkazał z ciężkim szkockim akcentem, kiwnąwszy głową w stronę Favor.
-Wciągnijcie kotwicę i postawcie żagiel. Ruszamy do domu, chłopcy.

Temu oświadczeniu towarzyszył pomruk aprobaty. Ciekawe spojrzenia śledziły dziewczynę, kiedy łysiejący mężczyzna ujął ją za łokieć, kierując do małej kajuty. Drzwi zamknęły się za nią, zanim zdążyła się odwrócić.

Rozejrzała się. Do jednej ściany przymocowano wąską prycę, do ściany po przeciwnej stronie - stół. Stała na nim wyszczerbiona miska. Zachwycona zanurzyła koniuszek chusty w lodowatej wodzie i otarła twarz.

Za drzwiami usłyszała głos kobiety. Zaskoczenie ustąpiło miejsca obawie. To mogła być tylko Muira Dougal, kobieta, której żelazna wola i niezachwiana determinacja kierowały losem Favor przez ostatnich dziewięć lat. Nikt jej nie uprzedził, że zobaczy Muirę na pokładzie. Nie była przygotowana na spotkanie z kobietą, która... Favor szukała słowa najodpowiedniejszych do opisanego sposobu, w jaki osoba ta wpłynęła na jej życie. A wszystko z odległości setek kilometrów, głównie listownie.

W pewnym, bardzo prawdziwym, sensie Muira Dougal stworzyła Favor McClairn. Z pewnością dziecko, które kiedyś przybyło na tę obcą ziemię, już nie istniało. Teraz, stojąc za drzwiami, usłyszała Muirę, która zwracała się do Jamiego:

- Jak poszło?

- Dostyc dobrze, pani - odparł Jamie Craigg unizonym tonem. - Strażnik w więzieniu nawet nie mrugnął, kiedy dziewczyna oznajmiła, że jest madame Noir.

- A zatem jest dobra? Uda jej się zrobić to, co musi?

Jamie zastanawiał się chwilę.

- Na pewno. Chociaż powiem tak - zaśmiał się tubalnie -

gdyby to było dla żartu, że się tak wyrażę, człowiek od razu by zobaczył, że dziewczyna nie rozumie kobiety, którą grała.

- No cóż. - Muira mówiła teraz niższym głosem, zjadliwym i twardym. - Cieszę się, że tak cię to rozbawiło. Ale ja nie widzę w tym nic zabawnego. Mamy ostatnią szansę, żeby odzyskać wszystko, co nam ukradziono. Jeśli dla ciebie to już nie jest święta sprawa, są wśród nas tacy, którzy nadal tak uważają.

- Wybacz, pani - mruknął Jamie. - Stwierdziłem tylko, że dziewczyna jest czarująca, i to wszystko.

- Czarująca? - powtórzyła kobieta z namysłem. — Dobrze.

Będzie potrzebować czaru i czegoś więcej, żeby osiągnąć cel. Co się zdarzyło potem?

Favor przycisnęła ucho do drzwi, by usłyszeć odpowiedź.

- ...nieufny i twardy, tak twardy, że nie chciałbym nigdy wchodzić takiemu w drogę. Ale ona zaraz sprawiła, że jadł jej 46

z ręki, a potem pchnęła go w ramiona Francuzów potulnego jak owieczkę.

Serce Favor ścisnęło poczucie winy.

- Jednak wtedy, kiedy już prawie doszedł do porucznika, ona go ostrzegła. Anglik pobiegł w jedną stronę, my w drugą.

Drzwi kajuty otworzyły się nagle i dziewczyna odskoczyła do tyłu. Stała przed nią starsza kobieta trzymająca lampę w uniesionej dłoni. Favor zamrugła oczami w jasnym świetle, usiłując dojrzeć coś poza jego blaskiem.

- Podśluchujemy pod drzwiami, panienko? - zagadnęła kobieta.

- Jeśli to służy mojej sprawie - odparła spokojnie Favor.

- Ach! - Szeroki uśmiech przeciął twarz chudej kobiety. Odwróciła głowę do Jamiego, który wypełniał sobą framugę drzwi. -

Śmiała!

Jasne światło chwiała się przed twarzą Favor. Zirytowana, w końcu zmusiła się, żeby spojrzeć prosto w płomień.

- Czy zechciałabyś zabrać to sprzed mojej twarzy, madame?

Gardłowy chichot odpowiedział na jej rozkazujący ton. Stara kobieta opuściła lampę.

- Mówi jak dziewczyna McClairenów. Niekoronowani królowie, oto za kogo McClairenowie zawsze się uważali.

Uśmiech znikł z twarzy Muiry.

- Dobrze, dziewczyno. Przydadzą ci się te królewskie maniery.

Ale powiedz mi, czy z nadejściem nocy taka wyniosłość pozwala ci nie myśleć o mordercy twoich bliskich? Nie - odparła z gniewem na własne pytanie. - Tylko zadośćuczynienie może to sprawić.

Dziewczyna cofnęła się, zaskoczona tak obcesowym nawiązaniem do nocy, kiedy Favor niemal unicestwiła własny klan.

Zbeształa się za naiwność. Myślała, że Muira znajdzie dla niej ciepłe słowa na powitanie. Nie powinna się tego spodziewać. Od lat dostawała listy, które mogły ją na to przygotować.

Stara kobieta przyglądała jej się spokojnie i Favor odwzajemniła się tym samym. Muira Dougal, z domu McClairen, miała 47

twarz, choć zmiętą i pomarszczoną, podobną do tej, jaką czasem się widuje na starożytnych greckich monetach - pozbawioną płci i nobliwą, arogancką i nawiedzoną. Wąskie usta zdradzały nieustępliwość. Tylko żywe, niebieskie oczy lśniły, jakby rozpałał je wewnętrzny płomień.

Przez pełne pięć minut kobiety stały twarzą w twarz, żadna nie chciała przerwać milczenia. Nawet

Jamie nie miał ochoty mieszać się do ich milczącego pojedynku. Przystępował niezgrabnie z nogi na nogę, zerkając niespokojnie to na tę, to na tamtą.

Z jednej strony stała kobieta, która w ciągu ostatniego dziesięciolecia własnymi siłami przywróciła jedność rozrzuconemu po świecie klanowi McClairenów. Z drugiej dziewczyna, której brat był tego samego klanu od dawna zaginionym wodzem, w gruncie rzeczy niekoronowanym królem, dziewczyna, którą Muira Dougal zamierzała poświęcić, żeby przywrócić McClairenom pełnię chwały.

- Masz dziewiętnaście *ht* - odezwała się w końcu Muira tonem niezdradzającym żadnych uczuć.

- *Oui*, madame - odparła Favor.

- Jamie mówi, że improwizowałaś podczas ucieczki. Ostrzeg

łaś angielskiego bękarta, którego najpierw zwiodłaś. Tak było?

- *Oui*.

- Od tej chwili nie będzie żadnego więcej improwizowania.

Żadnego w ogóle. Zrozumiałaś? - Ręka kobieta wysunęła się jak atakujący wąż, chwytając Favor za brodę.

- *Oui*, madame. *D'accord*.

- Zgadzasz się? Nie pytam cię o zgodę. Pytałam, czy rozumiałaś.

Favor poczuła gorąco na twarzy.

- *Oui*.

- I nie będzie więcej francuskiego - mruknęła Muira, jakby od niechcienia. Ona знаła zaledwie parę słów po francusku.

- Pamiętaj o tym. - Spojrzała na Jamiego. - Znałeś ją. Co my

ślisz?

48

Olbrzym przekrzywił głowę.

- Nie widzę w niej za wiele z McClairenów, to fakt. To ciemnowłosa rasa, jak ty sama. Wszyscy są trochę od niej wyżsi. Dystygowani w zachowaniu, tak, ale weseli. Ta jest dostatecznie ładna, ale wygląda poważnie.

- Włosy można ufarbować, brwi da się wyskubać - skwitowała stara kobieta. - Podobieństwo można

stworzyć dzięki gestom i przyzwyczajeniom, postawie, sposobowi mówienia.

Wykręciła głowę Favor do światła, przyglądając jej się badawczo.

- Nie ma się tu za bardzo na czym oprzeć, to prawda, ale jest coś w zarysie jej szczęki i rodzaju skóry. Nos ma McClairenów.

A kiedy dodam resztę...

Dziewczyna, urażona, wyrwała się z zimnych, suchych palców. Nie podobało jej się, że mówią o niej, jakby była kawałkiem bezkształtnej gliny, czekającej na rękę garncarza. Miała już indywidualne rysy, swoje własne. To niewiele, prawda, ale kiedy nie można było decydować nawet o własnej przyszłości, i taki fakt nabierał wartości. Przypomniała sobie Thomasa. Myśl o dawno niewidzianym bracie wywołała w niej niepokój.

- Thomas wyjechał? - zapytała.

- Tak, dziewczyno-odparł Jamie.

- Dobrze - powiedziała, usiłując zapanować nad smutkiem w głosie. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że brat żyje, aż do momentu, kiedy jego listy zaczęły przychodzić do klasztoru parę lat wcześniej. Thomas McClairen, niewolnik, kapitan morskiego statku, markiz Donne i wódz McClairenów.

Nie widziała go, odkąd ze starszym bratem, Johnem, został zabrany do Londynu, aby odpowiadać przed sądem za zdradę.

Skazano go za udział w powstaniu czterdziestego piątego roku, deportowano i sprzedano do niewolniczej służby. Starszy, a więc bardziej „niebezpieczny” brat, John, został powieszony, utopiony i poćwiartowany. Miał szesnaście lat.

- Pojechał daleko? - dociekała.

4 - Ostatni bal

49

- Na tyle daleko, żebyśmy dokonali tego, co zrobić musimy - stwierdziła Muira.

Favor skinęła głową. Niebezpieczne byłoby przeciwstawienie się Thomasowi, a oszukanie go nie wchodziło w grę. Lata niewolniczej służby spędził na pokładzie statku, gdyż jego pan był

kapitanem i właścicielem niewielkiego przedsiębiorstwa morskiego. Zyskał jego szacunek, a potem zaufanie. Po odbyciu wyroku wykupił udział w przedsiębiorstwie swojego dawnego pana i został kapitanem własnego statku.

Wiodło mu się znakomicie i mogło wieść jeszcze lepiej, ale coś innego zaprzętało jego myśli. Wrócił do Szkocji, aby doprowadzić do upadku człowieka, który zdradził McClairenów i ukradł ich dziedzictwo: lorda Carra.

W tym celu przybrał nazwisko Donnę, jedno z dawno zapomnianych, francuskich tytułów wodzów klanu McClairenów.

W Londynie dał się poznać jako nicpoń i hulaka, przyłączył do grupy młodych obiboków, którzy mieli zwyczaj pielgrzymowania do Rumieńca Ladacznicy, niegdyś zamku McClairenów, a teraz jaskini hazardu i rozpusty. Tamże zaprzyjaźnił się - do takiego stopnia, do jakiego ktoś taki jak Carr był w stanie się przyjaźnić - z samym Carrem, czekając tylko na sposobność, aby jednym ciosem go zniszczyć, pozbawiając tego, co posiadał i co było mu drogie.

To wszystko Thomas opisał w listach do Favor, ujawniając parę szczegółów. Ona wytworzyła sobie obraz całości z napomknień, domyślając się celów Thomasa na podstawie tego, co powiedział

i co pominął. Coś jednak zawiodło w planie brata. W ostatnim li

ście do niej oznajmił tylko, że jego postanowienie zostało zachwiane i że musi wrócić do równowagi gdzieś z daleka od Szkocji. Co odpowiadało Favor ze względu na jej własne cele.

Thomas nie miał pojęcia o planie Muiry. Gdyby zaczął się czegoś domyślać, nie dopuściłby za żadną cenę, żeby Favor bra

ła w tym udział. Ale stało się inaczej. Muira napisała setki stron, uświadamiając jej, jak bardzo była w to wszystko wmieszana.

Ponieważ na Favor ciążyła odpowiedzialność za niemal całkowitą eksterminację klanu.

A jeśli dobra ksieni w Sacre Coeur zdołała ją w końcu przekonać, że Bóg jej wybaczył, to -jak Favor doskonale zdawała sobie sprawę - tego samego nie można było powiedzieć o jej klanie.

Favor zmusiła się, żeby nie myśleć o tych przykrych sprawach. Podniosła wzrok, napotykała chłodne, szacujące spojrzenie Muiry. Jak mogła sądzić, że ta kobieta będzie miała dla niej życzliwe słowo? Muira uważała ją za winną śmierci wszystkich osób, które kochała oraz, co gorsza, utraty dziedzictwa.

Powrót Favor do Szkocji nie był powrotem do domu córki marnotrawnej, nie był szczęśliwym zakończeniem dziesięcioletniego wygnania.

Był pokutą.

Północno-wschodnie wybrzeże Szkocji

Wyspa McCfairenów

Sześć miesięcyjżóźniej

J-/ord Carr patrzył z okna wieży na ponury dziedziniec Rumieńca Ladacznicy. Nadciągała burza. Silny wiatr chłostał kamienistą wyspę z niepowstrzymaną furją, zrywał resztki liści z dębów i jarzębin, miotając nimi na wszystkie strony. Ciemne chmury, z fioletowymi żyłkami, parły złowieszczo na zachód. Gdyby się odwrócił i spojrział przez okna wychodzące na wschód, zobaczyłby potężne fale rozbijające się o poszczerbione skały otaczające wyspę.

Gdyby wyjrzał na wschodnią stronę... Ale nie zamierzał.

W gruncie rzeczy nie robił tego od lat, jeśli nie musiał. Nie 51

dlatego, żeby widok, który teraz rozciągał się przed jego oczami, szczególnie go zachwycił.

Jak tania, wysłużona nierządnicą, Rumieniec Ladacznicy zaczął odsłaniać swoje chamskie korzenie. Wszelkie ozdoby, którymi Carr z takim wysiłkiem upiększał jego zewnętrzne oblicze, nie zdołały dłużej ukrywać tego, czym był w istocie: szkocką dziwką.

Czerwona cegła, którą kazał pokryć fasadę, wykruszyła się miejscami, z dziur jak dzioby po ospie przezierał szary, ręcznie obrobiony kamień. Dziedziniec, ongiś wyłożony lśniącymi ró

żowymi płytkami z granitu, był w opłakanym stanie, płytki wy-puczyły się, wypychane od dołu przez twardą szkocką murawę, która przebijała się na powierzchnię jak włosy na brodzie starej wiedźmy.

Korozja wdarła się również do środka. Och, nie w drastyczny sposób - na razie dość dyskretnie - ale

oznaki dawały się zauwa

żyć. Drogie gipsowe gzymsy popękały w wielu pokojach. Wyszczerbione marmurowe kominki na próżno czekały na naprawę.

Plamy wilgoci szpeciły ściany w południowym skrzydle. Zmiany prawie niewidoczne, ale wiele mówiące.

Carr wszedł w posiadanie Rumieńca Ladacznicy za cenę pewnych informacji. W młodości przybył do Szkocji na przedłużone wakacje; zamierzał zostać tak długo, aż wierzyciele w Londynie zapomną o jego ogromnych długach. Pogodził się z tym, że wizyta się przeciągnie. Tam też spotkał Janet McClairen, rozpieszczaną kuzynkę byłego właściciela tegoż zamku, lana.

Ona, bogata i zadurzona w nim po uszy i on, niemający nic lepszego do roboty - pobrali się. Mieszkali, korzystając z przyjaznej gościny lana, dopóki Carr nie uznał, że *decor* już mu nie odpowiada. Tak więc, kiedy nadarzyła się okazja wraz ze skazaną na klęskę rebelią jakobitów w czterdziestym piątym roku, zaczął

przekazywać lordowi Cumberlandowi cenne informacje o jej przywódcach. Po stłumieniu powstania, kiedy Ian i jego krewniacy zostali straceni albo deportowani, wdzięczny Cumberland **52**

dopilnował, żeby Rumieniec Ladacznicy wraz z ziemią przeszedł

w ręce Carra. Wtedy Carr zmienił *decor*.

Gruntownie odnowił zamek, nie oszczędzając wydatków, żeby przekształcić go w obiekt powszechnego podziwu. Forteca w kształcie litery U została zbudowana na najwyższym zewnętrznym łuku wyspy, a jej główną część ustawiono prostopadłe do morza. Dwa skrzydła rozchodziły się od wież w północnym i południowym rogu, chroniąc rozległe wnętrza przed nieustającym wiatrem. Włoskie ogrody były niegdyś ozdobą tarasów, które Carr kazał wykuć poniżej dziedzińca, jednak z czasem miejscowa roślinność wzięła górę. A ponieważ żaden z gości Carra nie był

chętny, żeby spędzać tam swój czas po wstaniu z łóżka - wstawali z łóżka głównie w nocy - nie walczył zbyt usilnie o zachowanie włoskiego charakteru ogrodów.

Problem polegał na tym, jak bez żalu przyznawał Carr, że Rumieniec Ladacznicy już go nie interesował. Spełnił swoją funkcję, prawdę mówiąc, nadal ją pełnił: przyciągał najbogatszych i najśłynniejszych hazardzistów z najlepszych angielskich rodzin.

Carr nie był głupcem. Wciąż wkładał dość pieniędzy w przeklęte miejsce, żeby kusić wybredne podniebienia. Rumieniec Ladacznicy szczycił się najlepszą piwnicą win w Szkocji, najlepszym kucharzem w Anglii, jak również pierwszorzędną kolekcją dzieł

sztuki i zabytków, skarbami, które zamierzał zabrać, kiedy wyjedzie i pojawi się, jak triumfator, na scenie, na której doznał dawniej upokorzenia. Stara rana znowu zaczęła się jężyć.

Po śmierci Janet Carr zajął się gromadzeniem środków, żeby spłacić wierzycieli i zapewnić sobie

warunki życia godne jego stanu. Szło mu niesporo. Zbyt wolno. Poślubił zatem kolejną dziedziczkę, której majątek nawet w przybliżeniu nie dorównywał

apetytom, jakich mu ta suka narobiła. Zginęła w wypadku, podobnie jak jego trzecia żona.

W tym czasie posiadał już potrzebne bogactwo, ale król Jerzy, świętoszkowaty na skutek starczego dzieciństwa, powziął

do Carra urazę z powodu nieszczęsnego obyczaju szybkiego **53**

grzebania kolejnych żon. Nie tylko dał mu jasno do zrozumienia, że nie będzie mile widziany w Londynie ani w żadnej innej spo

łeczności, którą król - oby był przeklęty - kontrolował, ale jeszcze wydał edykt: jeśli jakaś kobieta miałaby w przyszłości umrzeć, będąc pod opieką Carra, Carr zapłaci za to własną głową.

Tak więc Carr zaszył się na tym północnym bezludziu na dwadzieścia pięć lat. Ćwierć wieku nieoficjalnego wygnania -

najpierw narzuconego samemu sobie, potem z woli króla.

To się jednak wkrótce skończy, pomyślał Carr, bębniąc palcami po stole. Tryby poszły w ruch. Umizgi, szantaż, pochlebstwa, przymilanie się, groźby... Wszystkie te zabiegi miały wkrótce wydać pożądane owoce. Wkrótce. Za parę miesięcy raz jeszcze będzie królować wśród tych, którzy stanowią śmietankę londyńskiego towarzystwa.

Najpierw jednak, pomyślał, odwracając się od okna, musi za

łatwić kilka pilnych spraw, zająć się domem, zanim opuści Rumieniec Ladacznicy raz na zawsze.

Przeszedł przez pokój, zbliżając się do drobnej, rozczochranej postaci pochylonej nad stołem, na którym rozłożone były jakieś przedmioty. Zastanawiał się, czy stara wiedźma zna powód, dla którego okna wychodzące na morze pozostawały zasłonięte.

Pewnie tak. Wydawała się wiedzieć wszystko. Nie, żeby go to niepokoiło. Co mogła mu zrobić jakaś tam stara Cyganka? Nic.

Ona mu służyła.

- I co widzisz, Palo? - zapytał Carr, oglądając z uwagą własne paznokcie.

Kobieta się poruszyła, warstwy wyblakłych chust oraz połatanych spódnic wzburzyły się i opadły ku jej stopom. Oczy w pomarszczonej, zniszczonej twarzy zerknęły na niego przez zasłonę cienkich, siwych włosów.

- No?-ponagliją.

Wycelowala brudnym palcem w stosik kostek ulozony na mahoniowym stole.

- Kochała cię. Żaden mężczyzna nie został obdarzony taką miłością, jaką ty dostałeś od niej.

Dreszcz podniecenia, tym przyjemniejszy, że tak niezmiernie rzadki, przebiegł Carrowi po plecach. Pała mówiła o Janet, jego pierwszej żonie, jedynej kobiecie, którą naprawdę kochał. Przez sekundę zamajaczyła przed nim twarz Janet: kaskada czarnych, jedwabistych włosów, blada cera, ciemne bursztynowe oczy.

Uśmiechnęła się; miała nieśmiały, niezwykle czarujący uśmiech.

Jej oczy lśniły nieszczęśliwą miłością, nieszczęśliwą, ponieważ uczucie do niego nigdy nie dało Janet rozkoszy.

- Tak - powiedział sam do siebie. - Tak było.

- Ona nadal cię kocha.

Głos Pali rozwiął jego sentymentalny nastrój.

- Kocha cię nawet zza grobu. - Cyganka chytrze mamiła go i badała.

Carr podszedł niespiesznie i spojrzał na stół, na którym Pała rozłożyła swoje wróżbiarskie rekwizyty.

- Och, tego jestem pewien. - Wykrzywił usta w *imitacji* uśmiechu. - Czy to dlatego mnie nawiedza? Ona i jej po trzykroć przeklęty klan? Ponieważ tak bardzo mnie kocha?

Rąbnął pięścią w stół, zawiała układanka się rozsypała. Kostki potoczyły się po stole i spadły na podłogę.

Pała przeszła go jadowitym spojrzeniem, klękając na pod

łodze. Zebrane kostki przyciskała do zapadłej piersi, mamrocząc coś pod nosem.

- Złamałeś jedną kostkę! - wypomniała oskarżycielsko.

- Tak? - Uniósł brwi, rozdrażniony. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą. - I co z tego? Możesz sobie kupić dłonie z dziesiątków kościotrupów za pieniądze, które ode *mnie* dostałaś.

- Pała nigdy nie prosi o pieniądze.

Carr się uśmiechnął. Stara Cyganka bywała czasami zabawna.

- Oczywiście, że nie. Nie pamiętam, jak to dokładnie powiedziałaś, ale sens był taki, że podobny czyn mógłby zakłócić **55**

czystość twojej komunikacji z duchami. Jednak nigdy nie odrzuciłaś moich darów. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Pala skurczyła się jeszcze bardziej. Skrzywiła się, nadąsana.

- Jaką wielkość twoim zdaniem osiągnęły te dary od momentu, kiedy przyłapałem cię dwa lata temu wężącą w moich stajniach?

- Ja nie wężę - zaprotestowała słabo. - Ja... ja podążam za duchami. Mówią mi, że jesteś w niebezpieczeństwie. Przychodzę, żeby cię ostrzec. Czy nie uchroniłam cię przed wściekłym psem?

Carr spoglądał na nią, przymrużywszy oczy.

- Wiesz, że to prawda! - upierała się Pala, kiwając energicznie głową. - Dla ciebie czytam znaki, słucham, co szepczą duchy.

Widzę to, *co* się już stało i to, co się stanie. Czy Pala nie oddała przysługi waszej łaskawości po wielekroć?

- Parę razy - przyznał Carr. Odsunął krzesło od stołu i rozsiadł się na nim. Pala rzeczywiście ostrzegła go przed chorym na wściekliznę psem. Tak samo, jak zobaczyła katastrofę statku przemysłowego i bogaty łup, który fala zmyła na brzeg. I z pewnością wiedziała o nim więcej, niż ktokolwiek z żyjących, dużo więcej niż można by się dowiedzieć bez pomocy sił nadprzyrodzonych.

Wyciągnął nogi swobodnie i splótł palce na płaskim brzuchu. Dotyk wyszywanej jedwabiem kamizelki podziałał na niego uspokajająco.

- Proszę, łaskawy panie. - Głos Pali przeszedł w obłudne kwilenie. - Czytam z kości dla ludzi w pałacu. Oni to lubią.

- Świetnie się nadajesz do drobnej rozrywki, tego ci nie odmawiam - mruknął Carr. - Ciężko jest wywabić lorda Sandwicha z tego Hellfire Clubu, a jeszcze trudniej utrzymać go tutaj z jego bogatymi i bezdusznymi kompanami. Czasami ci się to udaje, z tymi twoimi znakami i przepowiedniami. Ciekaw jestem, ile w tym prawdy? Ile oszustwa?

Pochylił się i wbił w nią wzrok.

- Nigdy nie bierz mnie za głupca, Palo. Nigdy nie bądź tak niemądra. Albo chytra.

Cyganka uciekła spojrzeniem w bok. Wrzuciła kości do skórzanego woreczka, uwieszonego na rzemyku na szyi i schowała pod gorsetem.

- Nie okłamuję cię. Przekazuję ci tylko to, *co* mówią duchy.

Co mówią kości. Jeśli one kłamią...

Wzruszyła ramionami, a Carr uśmiechnął się na tę sofistykę. Stara czarownica niewątpliwie należała

do typu kobiet, które lubił. Jeśli kości kłamią, jakże ona może być winna? Była tylko posłańcem.

- Wiesz, dlaczego ci wierzę, Pało? - zapytał. - Poza tym, że gdybyś kiedyś zawiodła moje zaufanie, zabiłbym cię?

Tanie koraliki na jej szyi zabrzęczały, kiedy potrząsnęła głową.

- Dokładnie dlatego, że twoje wieści od duchów pachną częściej dżinem niż siarką. Nieomylna wiedźma? Uczciwa? - Roze

śmiał się. - Te przymioty nie występują wśród szlachetnie urodzonych, dlaczegóż więc miałyby istnieć u takich, jak ty? Nie, Pało

- ciągnął - słucham cię właśnie dlatego, że się mylisz i oszukujesz, i jęczysz. Jesteś zdradziecka i tchórzliwa. Tylko nieboszczycy mogliby skłonić kogoś takiego, jak ty, żeby zaryzykował głową, twierdząc, że ich słyszy. - Oparł się wygodnie. - Jeszcze nie tak dawno wiedźmy palono. Ale ty wiesz o tym, nieprawdaż?

Pała skuliła się na środku pokoju jak królik uwiązany w charakterze przynęty dla lisa.

- Usłyszałaś coś, coś zobaczyłaś czy nawet wywąchałaś w tych swoich kościach. Coś, co ma związek z Janet. Co to było?

I dość już paplaniny na temat jej nieśmiertelnej miłości. — Poczul

jakieś ukłucie w sercu, coś jakby żal. Nie przejął się tym. Umarli wracają tylko z jednego powodu: żeby dokuczyć *żyjącym*. - Faktem jest, że umarła. Co... takiego... zobaczyłaś?

Nagły podmuch wiatru wprawił w drżenie szybę okienną, podczas gdy z kominka dobiegł cichy jęk.

- Nie moja wina, że to słyszę - szepnęła w końcu Pala. - Pytasz i pytasz, wiesz, kiedy kłamię. Ja nie kłamię. Ona cię kocha.

Nawet teraz, po tym, co zrobiłeś. Ona wybacza.

- Och. - Podniósł się i już miał wyjść, kiedy usłyszał, jak mówi jednostajnym i cichym głosem, takim, którym wypowiadała zwykle najtrafniejsze przepowiednie.

- Ona pragnie...

- Tak?

- Połączyć się znowu z tobą.

Carr parsknął, rozczarowany. Znowu te sentymentalne bzdury. W jego domu przebywało obecnie ponad siedemdziesięciu go

ści. Skoro Pala, jak się wydawało, nie potrafiła przegnać z zamku zjawy, lepiej niech się zajmie żywymi.

- Chce być z tobą.

- Cóż, obawiam się, że moja najdroższa będzie musiała trochę poczekać, czyż nie?

Uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy stwierdził, z jaką intensywnością Pala wpatruje się w niego. Nie mylił się. Wzbudził to uczucie w tyłu ludziach, że znał jego objawy w każdym szczególe. Cyganka się bała.

- Jest coś jeszcze - powiedział. - Co o tym wiesz?

- Ona nie będzie czekać. Wraca. Zęby wybaczyć. Zęby chronić przed nimi. Tak, jak zawsze to robiła.

Przed nimi. Przed klanem McClairenów. Za życia Janet zasłaniała go jak tarcza przed ich podejrzeniami, że dopuścił się zdrady. Nie mogła uwierzyć, że posunąłby się do czegoś takiego. Przynajmniej na początku. Do czasu, gdy umarła, odeszła również większość jej klanu. Później, łajdaczenie się syna, Raine'a, stanowiło pretekst, żeby wytepić resztki przeklętego rodu.

Tak po prawdzie nie zaskoczyło go to specjalnie, kiedy McClairenowie zaczęli wypęłzać ze swoich grobów, szukając po śmierci zadośćuczynienia, którego odmówiono im za życia-chociaż z pewnością zwlekali długo.

Janet... Cóż, Janet to zupełnie inna historia. A Pala twierdzi, że Janet wraca dopiero teraz. To nie miało sensu; Janet nawiedza

ła go od lat.

- W jakiej postaci mi się ukaże? Kiedy wróci?

- Teraz.

- Nie rozumiem.

- Ona już nie jest duchem. Znalazła naczynie. Tutaj. W Rumieńcu Ladacznicy.

- Co masz na myśli?

- Odrodziła się w kimś innym. Kimś, kto nie jest świadomy, że dzieli ciało z inną duszą. Ale ty się dowiesz. Rozpoznasz ją.

Serce biło mu boleśnie w piersi, kiedy złapał starą kobietę za ramiona, stawiając ją na nogi.

- Jeśli kłamiesz, osobiście wyrwę ci serce z piersi i wsadzę je do gardła.

- Ja nie kłamię! - krzyknęła Pala. - Ona cię kocha. Chce znowu być z tobą! - Carr odepchnął kobietę, przesuwał drżącą dłonią po peruce.

Janet wróciła, pomyślał zboląły.

Musi ją znaleźć.

Drzwi wieży otworzyły się gwałtownie. Pala, podniósłszy wysoko spódnicę, wymknęła się z pokoju, znikając w dole stromych schodów. Carr ruszył za nią chwilę później, nadal wzburzony.

Nie patrząc, zszedł kręconymi schodami do niskich, łukowatych drzwi. Na korytarzu skręcił raptownie i wpadł na pochyloną kobiecą postać.

Gęsta, czarna woalka skrywała lewą część jej twarzy, pozostawiając prawą odsłoniętą i ukazując krzywe usta, zniekształconą szczękę i jedno zapadłe oko z opadającą, pozbawioną czucia powieką. Carr się cofnął. To było odrażające.

Osobliwa istota przypadła do ściany, dygocąc ze strachu.

- Kim ty, na Boga, jesteś?! - wykrzyknął Carr.

- Gunna, wasza łaskawość- wymamrotała stara kobieta.

Mówiła z silnym szkockim akcentem, zasłaniając usta rogiem woalki.

- Do diabła, kolejna wiedźma! Co robisz w moim domu?

- Usługuję twojej córce, panie. Pannie Fii. Jestem u niej od lat. - Kobieta przesunęła się w bok jak krab. Ohyda.

Carr zaklął cicho, odwracając wzrok. Teraz sobie przypomniał. Fia miała dziwaczne, niewytłumaczalne upodobanie do tej istoty - Gunna, czy tak? - a ona, ze swojej strony, wydawała się jedyną osobą, która miała jakiś wpływ na jego coraz trudniejszą w kontaktach córkę.

- Co ty, u czorta, tutaj robisz, starucho?

- Spełniam twoje rozkazy, wasza łaskawość.

- W jaki sposób? Szpiegując mnie?

- Nie! Nie, wasza łaskawość! Powiedziałeś, że kiedy nie jestem potrzebna pannie Fii, mam się trzymać pomieszczeń na wschodzie i na górze, gdzie mój widok nie sprawi przykrości tobie ani twoim gościom. A więc jestem, wasza łaskawość.

Carr się rozejrzał i zbladł. Za oknem, przed którym sta

ła Gunna, rozciągał się widok na wzburzone Morze Północne.

Wjakiś sposób, zamyślony, skręcił w niewłaściwą stronę i wylądował tutaj, nad klifami, z których spadła Janet, trafiając w objęcia śmierci.

Pod wpływem strachu napięły mu się mięśnie grzbietu; poczuł mrowienie na skórze głowy. Miał wrażenie, jakby to sama Janet sprowadziła go tutaj.

- Wasza łaskawość? - To był głos Gunny.

Opanował drzenie, które ogarniało jego członki i skupił uwagę na skulonej postaci. Duma nie pozwoliłaby mu nigdy okazać czegoś nawet zbliżonego do strachu w obecności tak nędznej istoty.

Minął ją, burknawszy szyderczo na odchodnym:

- Dlaczego człowieka, który kocha piękno, otaczają nagle takie staruchy?

We frontowej części zamku, gdzie znajdował się salon, wrzało od gwaru głosów prawie setki gości bawiących się na przyjęciu.

Carr przywołał na twarz dobrze wyćwiczony uśmiech; obudził

się w nim ponownie zmysł praktyczny. Z duchami jest w stanie sobie poradzić. To tylko takie gadanie, że Janet mogłaby wrócić...

Bzdura! Majaczenia ciemnej baby.

Zanurzył się w tłum, pozdrawiając mijanych ludzi. Nieważne, że przeszło połowy nie znał ani z imienia, ani twarzy, nie miał

to też znaczenia, że pojawili się u jego drzwi, ciągnąc w ogonie za tymi, którzy mieli zaproszenia *bonafide*. Im więcej utracjuszy, tym lepiej.

Nalał sobie kieliszek porto, opróżnił jednym haustem i nalał jeszcze raz, rezygnując z cieniutkiej herbaty którą przeważnie pijał. Przyjrzał się tłumowi okiem konesera. Tego wieczoru nie było nikogo, kto by grał wysoko. Sami średniacy. Paru naiwniacz-ków, jeden czy dwóch oszustów.

- Wasza łaskawość!

Carr uniósł brew, rozpoznając wysokiego, niezwykle chudego mężczyznę, który torował sobie ku niemu drogę. Był to James Wells, lord Tunbridge, daleki kuzyn przyszłego króla, Jerzego III.

Mówiono o Tunbridge'u, że edukuje młodego następcę tronu w królewskich - i królewsko-cielesnych - sportach. Przyjemny układ, zważywszy, że Tunbridge był w jego mocy.

- Chciałbym z tobą, panie, zamienić słówko - wyrzucił z siebie Tunbridge jednym tchem. - Ja... To ważne. Bardzo ważne.

- Naprawdę? - rzucił niecierpliwie Carr. - Dla kogo?

- Cóż, dla mnie. - Wysokie czoło lorda pokryło się warstewką potu.

Do licha, ten człowiek czegoś chciał. Carr nie był w nastroju do pogawędek.

61

- Później, Tunbridge. Moi goście...

- Twoi goście czekają, lordzie Carr - powiedział Tunbridge ostrzejszym tonem. - Wysłuchaj mnie. Byłem ci ogromnie użyteczny przez ostatnich parę lat, jak dobrze wiesz, a teraz nie proszę o więcej niż parę minut twojego czasu.

- Stawiasz żądania, Tunbridge? - zaczął Carr słodziutko. -

Jakże to dla mnie denerwujące i jakże niebezpieczne dla ciebie.

Tunbridge się zaczerwienił, ale opanował zdenerwowanie. Wyraźnie miał zamiar mu się naprzykrzać

bez względu na wszystko.

- Świetnie. - Carr skapitulował. Ujął Tunbridge'a pod ramię i wyszli na dziedziniec.

Słońce opuściło już niebo, wiatr się uspokoił. Powoli unosiła się, rzednąc, zasłona mgły. Gwar przyjęcia dobiegający z zamku mieszał się z szumem morza.

- No, o co chodzi, Tunbridge? - odezwał się Carr.

- O twoją córkę, panie.

- Co z Fią? - zapytał Carr zaintrygowany. Ostatnio jego zachwycająca córka stała się nieprzewidywalna. Potrafiła się zachowywać jak wyuzdana, rozpustna dziewczka, a chwilę potem była zimna, nieprzystępna i tajemnicza niczym sfinks.

Jej stosunek do ojca zmienił się zdecydowanie w ostatnim roku. Kiedyś należała do jego otoczenia, potrzebowała kontaktu z nim i bawiła go swoim sardonicznym dowcipem. Teraz najwyraźniej się odwróciła i do tego jeszcze ostentacyjnie demonstrowała swoją niechęć.

Co takiego znowu zrobiła Fia? Publicznie wykpiła męskość tego głupca?

- Zanim udławisz się tym, cokolwiek masz do powiedzenia, Tunbridge, pragnę wyjaśnić ci, że nie zamierzam się pojedynkować z powodu tego, co Fia powiedziała czy zrobiła -

oznajmił Carr. Podniósł rękę, nie pozwalając sobie przerwać.

- Nie. Posłuchaj. Jeśli pokłóciłeś się z dziewczyną i tylko rozlew krwi cię usatysfakcjonuje, radzę, żebyś zrobił to za pośred-

nictwem jednego z jej przybocznych fireyków. Ja się w to nie mieszam.

- Nie! Oczywiście... dlaczego... to znaczy... nie! Nie! -

Twarz Tunbridge'a nabrała krwiście czerwonej barwy.

Jak na liczbę pojedynków, do których podobno stawał, Tunbridge wykazuje brak fantazji, pomyślał niecierpliwie Carr.

- Skończ z tym, człowieku! Co, do diabła, usiłujesz mi powiedzieć?

- Ja... Ja nie chcę zabić panny Fii. Pragnę się z nią ożenić.

Carr przyglądał mu się co najmniej minutę, zanim odrzucił

głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Śmiał się, aż zabolowało go w boku, a łzy pociekły z kącików oczu. Śmiał się tak długo, aż w końcu nie mógł się już śmiać, a wtedy pociągnął nosem i wyjął

z rękawa koronkową chusteczkę, wycierając nos i oczy; od czasu do czasu chichotał.

- Och, dziękuję! Potrzebowałam jakiejś rozrywki. Słowo daję, Tunbridge, nigdy bym cię nie posądziła o takie poczucie humoru.

Dopiero teraz zauważył, że Tunbridge się nie śmieje. Kolor odpłynął z jego twarzy, pozbawione krwi wargi tworzyły cienką linię. Tunbridge mówił poważnie.

Kiedy dotarło to do jego świadomości, przypomniał sobie również, że Tunbridge - którego pojedynkowa kariera doznała poważnego wstrząsu, gdy Ash, syn Carra, przebił mu dłoń sztyletem - nadal, zdaniem wielu, świetnie się posługiwał rapierem.

Jednakże Carr naprawdę nie był w nastroju.

- Rozstrzygnę wątpliwość na twoją korzyść, panie - oświadczył Tunbridge chłodno. - Przyjmę, że źle zrozumiałaś moje intencje, to jest mój zamiar poślubienia panny Fii.

- Nie. Nie zrozumiałem cię źle - powiedział Carr, wsuwając chusteczkę do rękawa. - Odpowiedź brzmi: nie.

- Dlaczego nie? — zapytał Tunbridge. - Mam nieskazitelne pochodzenie, jestem baronem, a co najważniejsze, cieszę się zaufaniem rodziny królewskiej. Ty, panie- ciągnął- powinieneś 63

docenić mój wpływ na Jego Wysokość, jako że używałem tego wpływu w zeszłym roku i wcześniej, żeby skłonić go do odwo

łania dekretu, którym skazał cię na wygnanie do Szkocji. Niemal przekonałem Jego Wysokość, że twój zwyczaj grzebania młodych, bogatych żon to, w rzeczy samej, straszliwa tragedia, a nie coś jeszcze bardziej ponurego. Z równą łatwością mógłbym przekonać go, że jest inaczej.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę, Carr znudzony i obojętny, Tunbridge roztrzęsiony. W końcu Carr, westchnąwszy, przemówił:

- Skończyłeś, Tunbridge? Doskonale. Udzielę ci nauki, zanim przejdziemy do twojej prośby.

Tunbridge, zaskoczony, zamrugał oczami.

- Problem z szantażem, Tunbridge - wyjaśniał spokojnie Carr - polega na tym, że szantażysta musi chcieć, i być w stanie, wcielić w życie groźby, które stosuje wobec ofiary, żeby ją przymusić do współdziałania. Weźmy, na przykład, ciebie. Wiem, że zrobisz w mojej sprawie wszystko, co zdołasz, gdyż jeśli nie wrócę do Londynu, i to bardzo, bardzo szybko, to rozumiesz zapewne, iż nie będę miał wyboru, jak tylko pocieszyć się ostatnim nabytkiem, a mianowicie zamkiem Campion. Od jak dawna należy do twojej rodziny, Tunbridge? Dwieście? Trzysta lat?

Tunbridge przestał drżeć. Zwiotczał, minę miał zbolałą. Carr rozpoznawał ten wyraz jego twarzy jako równie typowy dla niego, co nieciekawość.

- Nie tylko to - mówił Carr słodkim tonem. - Przyznaję ze wstydem, że później z przyjemnością wyobrażałbym sobie ciebie na statku, deportowanego za tę sprawę z dziwką z Cheapside przed wieloma laty.

- Aleja byłem pijany!

- Ach! - Carr pogroził mu żartobliwie palcem. -Aleja nie.

Tunbridge zbladł jeszcze bardziej.

- Mogłeś liczyć na wyrozumiałość z mojej strony, ponieważ na obecnym etapie znalezienie innej marionetki z twoimi powią-

zaniem stanowiłoby pewien kłopot. Jest to możliwe, oczywiście, i jeśli zajdzie potrzeba, wiem, co należy zrobić. Miej to na uwadze, Tunbridge, kiedy następnym razem najdzie cię ochota na szantażowanie. Rozumiemy się?

Tunbridge skinął głową w milczeniu.

- Dobrze. A teraz zechciej mi powiedzieć, o co chodzi z Fią?

Jak kukielka, której przecięto sznurki, Tunbridge opuścił ramiona. Twarz zdradzała głęboką rozpacz.

- To syrena! Przysięgam. Wodzi mnie na pokuszenie.

- Tak- zgodził się Carr. - Słyszałem, że jest w tym dobra.

- Zaczarowała mnie, powiadam ci. Kobieta demon! - wywodził Tunbridge żalonym tonem. - Tylko tak można wyjaśnić tę obsesję, która mną owładnęła.

- Cóż, czy to interesująca plotka, żeby ją zacząć rozpuszczać w przeddzień wprowadzenia jej w świat? - mruknął Carr z irytacją. Chyba będę musiał rozprawić się z nim, pomyślał, jeśli nie przestanie wygadywać podobnych głupstw. „Syrena” brzmiała fascynująco, „demon” niepokojąco.

Tunbridge podniósł błagalnie rękę.

- Muszę ją mieć. Muszę.

- Nie bądź śmieszny.

- Ale dlaczego nie?- Tunbridge rozpaczliwie domagał się odpowiedzi, zakłopotany wielce i zboląły. Carr odczuł podziw dla umiejętności Fii. -Jestem bogaty - mówił łamiącym się głosem. Jestem ustosunkowany. Dlaczego nie?

- Ponieważ już cię kontroluję - wyjaśnił Carr. - Wydawanie Fii za ciebie byłoby przesadą. Nie. Fia poślubi kogoś, kto nie ulega żadnym naciskom, których mogę użyć. - Jego uśmiech wyrażał pewną dumę. - Ponieważ Fia jest najlepszą przynętą.

- Ale... ale ja jej pragnę! -wykrzyknął desperacko Tunbridge, nie dbając nawet o pozory zachowania męskiej godności.

Carr poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

5 - Ostatni bal 65

- Daj spokój, człowieku. Nie trać twarzy. Poza tym Fia zu

żyłaby cię i wypluła w ciągu dwóch tygodni. Boże! Dziewka ma zaledwie szesnaście lat! Cóż, próbuje na tobie swoich mleczych zębów. Wyobraź sobie, jaka będzie w wieku lat dwudziestu.

Trzy...

Z mgły nadpłynął dźwięk szkockiej kobzy, zagłuszając słowa Carra.

- Słyszałeś to?

- Słyszałem co? - zapytał Tunbridge obojętnie. - Co byś rzekł, gdyby Fia oświadczyła, że pragnie wyjść za mnie?

- Nie pragnie. - Carr mrużył oczy, wpatrując się w gęstniejącą, drżącą mgłę. Poruszała się w niej jakaś ciemna postać. Był

tego pewien. To mężczyzna. Otulony szkockim pledem. - Widzisz tam coś?

- Dlaczego miałaby nie chcieć?

Carr poświęcił Tunbridge'owi jedno pogardliwe spojrzenie, zanim ponownie zaczął wpatrywać się w *mgłę*.

- Dlaczego miałaby chcieć?

Jak się wydaje, odpowiedź na to ostatnie pytanie przekonała w końcu Tunbridge'a o beznadziejności jego usiłowań. Oddalił

się, wzdychając głęboko. Carr ledwie to zauważył. Utkwił wzrok w kłębiącej się mgłę. Natężył słuch, żeby wyłowić pogrzebowe dźwięki kobzy McClairenów. Na próżno.

Przeklęte duchy. Czy umarli nie mają nic lepszego do roboty niż dziecinne zabawy w chowanego? Klnąc pod nosem, zszedł

z tarasu i ruszył po lśniących od rosy, granitowych schodach w dół, do ogrodu. Podążał dróżką pomiędzy przyciętymi w dziwaczne i fantazyjne kształty cisami i bukszpanami. Mgła wirowała mu wokół nóg; wilgoć przenikała przez białe jedwabne pończochy i plamiła bladoniebieską satynę pokrywającą tył pantofli.

Na końcu ogrodu, gdzie kolejne schody z różowego granitu prowadziły na jeszcze niżej położony taras, Carr się zatrzymał i rozejrzał dokoła. Paprocie i janowce wdarły się na niegdyś utrzymane w idealnym porządku klomby róż i rzadkich roślin.

Cienie w dole pochłonał mrok. Noc rozgościła się tam na dobre.

Dymiły opary mgły; powietrze było chłodniejsze.

- "wychodźcie, przeklęte duchy McClairenów! Jestem tutaj!

Nawiedzajcie mnie!

Wyzwanie nie doczekało się odpowiedzi. Żaden duch się nie zmaterializował. Kobza nie odezwała się z ciemności. Nic.

Za każdym razem, kiedy miał takie... doświadczenie, było tak samo; jakiś ruch dostrzeżony kątem oka; poryw zimnego wiatru tam, gdzie wiatru nie powinno być; uderzenie w bęben, które mogłoby być uderzeniem jego serca, tyle że nie było.

To go doprowadzało... Nie.' Nie doprowadzało go do niczego. Było niepokojące. Denerwujące. To wszystko.

- *Co to jest?!* - krzyknął w *ciemność* na dole. - Czy martwi ciągle boją się żyjących? Czy Szkoci uciekają przed Brytyjczykami nawet po śmierci? Tchórzliwe zjawy!

Nawet cisza wydawała się z niego kpić. Wściekły, odwrócił się na pięcie, wracając po własnych śladach, świadomy skierowanych na siebie spojrzeń, szyderczych spojrzeń duchów. Kiedy wchodził po schodach na taras, dostrzegł wyraźnie odcinającą się we mgle jasną plamę wśród róż. Szal? Dziwne, że nie zauważył tego wcześniej, wtedy jednak uwagę miał skupioną na czymś innym.

Któraś z goszczących u niego kobiet widocznie miała schadzkę w ogrodzie. Diabelnie zimno jak na schadzkę. Pochylił się, podniósł szal i szedł dalej. Bezwiednie spojrzął na kawałek materiału i stanął jak wryty.

Trzymał w dłoniach szal z ciężkiego jedwabiu, którego kolory wyblakły z upływem czasu albo pod wpływem długotrwałego działania wody. Z jednej strony szal był wystrzępiony, pozosta

łe brzegi jednak zachowały równe, nienaruszone ściegi. Ktoś go przedarł.

Zamknął oczy. Otworzył. Szal nie znikł. Ani się nie zamienił

w płachtę innego materiału. Zgniółł go w dłoni. I rozpoznał.

To był szal Janet, tak zwany arisaid. Nosiły go kobiety z rodu McClairenów. Nie mógł się mylić. Miała go ramionach w dniu, 67

w którym umarła. On przedarł go, rozwścieczony, że chciała wystąpić w nim na balu. Jedną częścią owinęła Fię. Teraz miał

w dłoni drugą część.

Ten szal unosił się na powierzchni wody obok ciała Janet, na brzegu Wyspy McClairenów.

Tam, gdzie Carr ją zepchnął.

Carr nawet się nie rozejrzył za Jamiem i jego kobzą. - Muira zachichotała. Siedziała przy toalecie w sypialni, którą Carr przeznaczył dla przyzwoitki Favor Donne. Zanurzyła wacik w słoiku z tłuszczem i ścierała z twarzy farbę koloru ochry.

- Nie to, żeby mógł go znaleźć - mówiła. - Może sobie mieszkać w zamku od ponad dwudziestu lat, ale nie zna połowy jego tajemnic, takiej na przykład, że jeśli ktoś mówi szeptem, stojąc na nasypie pod południową wieżą, to słyszać go tak, jakby się znajdował w ogrodach poniżej dziedzińca.

- Bardzo jesteś pewna tego, co Carr wie, a czego nie wie -

stwierdziła Favor.

- Trudno, żeby było inaczej. Słuchałam jego majaczeń i przekleństw przez dwa lata, a przedtem obserwowałam go przez jakieś dziesięć. Tak. Znam czarną duszę Carra tak samo, jak swoją własną. - Pokiwała głową. Cisnęła brudną watę do ognia i zaczęła zwijać zdjęte wcześniej ubranie w mały tłumoczek, który miała później schować w zamykanej na klucz ko-módce.

Favor rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, jakie krył sekrety. Na szczęście ten przeznaczony dla niej znajdował się gdzie indziej. Nie byłoby dobrze, jeśli Muira miałyby do niej nieograniczony dostęp.

68

- Gdybym tak mogła pamiętać jakieś szczegóły dotyczące Janet, na które tylko Carr mógłby zwrócić uwagę - mruknęła Muira, wpatrując się zmrużonymi oczami w swoje odbicie w lustrze.

- Cóż, lepiej, żebyś szybko coś wymyśliła -poradziła Favor. -

Jesteśmy w zamku od dwóch tygodni, a jak dotąd nie zwrócił na mnie większej uwagi niż na kuchennego kota. Poza tańcem nago przy ognisku nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym zrobić, żeby zwrócić jego uwagę.

Muira spojrzała gniewnie. Skończyła masować policzki i szybko oprószyła twarz białym pudrem, uważając na brwi i rzęsy.

Siwe włosy upięła w kok na czubku głowy.

Nikt, kto by ją teraz zobaczył, nie rozpoznałby w niej Pali, ciemnoskórej, zylastej Cyganki, którą Carr znalazł u siebie w stajni przed dwoma laty.

- Spędziłam dwa lata, napelniając głowę Carra aluzjami i znakami, mówiącymi o powrocie Janet -

odparła Muira. -Jeśli nie uda ci się wmówić mu, że ty nią jesteś, to dlatego, że chcesz, żeby się nie udało.

Popatrzyła na Favor w zamyśleniu, wypychając sobie jednocześnie gorset wełnianymi poduszczkami.

- Czy to o to chodzi? Zastanawiasz się, co by się z tobą stało, gdyby twoja przyszłość należała do ciebie? —Jej akcent nasilał się, im większe okazywała lekceważenie. - Ciągłe myślisz o tym angielskim więziennym strachu na wróble, co?

- Nie - odparła Favor twardo.

- Tak. - Muira pokiwała głową. -Jamie mówił, że gdy tylko wrócił z Francji, tuż przed tym, jak przyjechaliśmy tutaj, pytałaś go, czy nie słyszał, co się stało z tym człowiekiem.

- Wiem, że nie uwierzysz, ale zapytałam, ponieważ czuję się...

- Winna. - Muira parsknęła pogardliwie. - Tak powiadasz.

Mówiłaś tak przez ostatnie pół roku. Cóż, wydaje mi się, że twoje wrażliwe sumienie przejawia ogromny głód. Co do mnie, 69

mogłabym sądzić, że dziewczyna odpowiedzialna za śmierć większości członków swojego klanu nie zdoła w sobie pomieścić jeszcze większej winy.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, do czego jestem zdolna - odpowiedziała Favor niewzruszona. Metody perswazji, które stosowała stara kobieta, dalekie były od subtelności, ale odznaczały się skutecznością. Odkąd sprowadziła Favor z Francji, nie przepuściła żadnej okazji, żeby przypomnieć dziewczynie, co jest winna klanowi. Obie mnóstwo się dowiedziały o sobie nawzajem.

Favor nauczyła się ukrywać swoje wrażliwe punkty. Muira przekonała się, że kukiełka, jaką spodziewała się manipulować, to niezależna młoda kobieta, którą niełatwo kierować. To jej się wcale nie podobało, a także było często powodem ostrych spięć.

- Albo - odezwała się znowu Muira - może się zastanawiasz, czy rzeczywiście trzeba poświęcić twoją rozkwitającą młodość?

Dziewczyna patrzyła na nią w milczeniu.

- Cóż, droga panno, wszyscy ci mężczyźni, którzy umarli z twojego powodu, także byli w rozkwicie młodości. I wszyscy zasługiwali na ładne panny młode, pulchne dzieci i ciepłe kominki. Wśród nich mój mąż, mój brat i moi trzej synowie.

- Wiem. - Favor nie wątpiła w to wcale. W noc, kiedy przybyli do zamku, wymknęła się do stajni i znalazła Jamiego przebranego za woźnicę Thomasa Donne'a. Poprosiła, aby interweniował

w konflikcie między nią a Muirą. Zamiast tego Jamie opowiedział

jej, jak w noc masakry Muira straciła całą swoją rodzinę, a mimo to znalazła w sobie siłę, żeby ratować rannych i pielęgnować ich, aż wrócili do zdrowia.

Jednak Favor pod wpływem argumentów ksieni zrozumia

ła, że ponosi tylko częściową odpowiedzialność za wydarzenia tamtej nocy. Przekonanie jej o tym zabrało ksieni całe lata. Ale teraz z każdym dniem, dzięki staraniom Muiry, poczucie winy wracało.

- Nie ukrywaliśmy się tutaj, ryzykując życie naszych ostatnich ludzi, którzy przemycali francuską brandy, tylko po to, żebyś żyła sobie szczęśliwie w tym swoim francuskim klasztorze. Robiliśmy to, ponieważ mieliśmy plany wobec ciebie, plany, które każe ci wypełnić dług krwi.

- Nigdy się tego nie wypierałam. - Dobry Boże, nie. Nie ona. Ciężar oczekiwań ze strony McClairenów od czasu do czasu przygniatał ją, ale się *nie* załamała. Teraz też tego nie robi. Nikt nie pragnął bardziej spłacenia tego długu niż Favor.

- Nie pracowaliśmy, planując i ponosząc ofiary przez te wszystkie lata, żebyś ty teraz wszystko zrujnowała.

- Nic nie zrujnuję.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, a to jest w twoich rękach, wyspa i zamek wrócą w posiadanie McClairenów. Czy nie chcia

łabyś tego? - zapytała Muira.

- Tak.

- A zatem zrozum mnie dobrze, nie masz grać Janet McClairen, masz być Janet McClairen. Czy to jasne?

- Próbowałam. - Favor nie kryła zniechęcenia. - Twarz mnie boli od tych grymasów, ale Carr i tak nic nie zauważa.

- To próbuj usilniej! - burknęła ponuro stara kobieta.

Favor nie wymigiwała się od narzuconego jej zadania. Wchodziły w grę także powody bardzo osobiste. Pragnęła pozbyć się całkowicie poczucia winy.

- Czas płynie, a ty nie potrafisz dać mi klucza do postaci Janet McClairen. Chyba zawodzi cię pamięć, twoje wspomnienia nie są tak żywe, jak myślisz. Albo nie możesz przekazać tego, czego po prostu nie wiesz.

Muira zachichotała.

- Wątpisz w moje zdolności aktorskie? Niesłusznie. Czyż nie przekonałam Carra, że jestem niegroźną starszą panią?

Zamrugnęła jak osoba krótkowzroczna, układając usta w łagodnym uśmiechu. W jednej chwili przeobraziła się w łagodną, starszą krewną. Favor przyglądała jej się z niechętnym podziwem.

Przybyły przed sześcioma miesiącami i rozgościły się w pustej rezydencji Thomasa Donne'a. Wkrótce potem Muira wysłała lordowi Carrowi list napisany bez cienia wątpliwości przez Thomasa Donne'a, w którym tenże przedstawiał ją jako panią Douglas, swoją ciotkę i opiekunkę siostrzyczki, Favor.

Jak przewidywała Muira, Carr nie mógł się oprzeć dołączeniu do listy gości bogatej, marnie strzeżonej dziedziczki. Zaproszenie przyszło natychmiast i parę dni później Muira wspinała się z Favor po schodach Rumieńca Ladacznicy, gubiąc koronkowe chusteczki i szepcząc ochy i achy. Od tamtej pory często bywały w zamku.

Muira przestała się uśmiechać.

- Pod jednym względem masz rację. Czas upływa. Musisz być z Carrem sama dziś wieczorem. Ale do tego nigdy nie dojdzie, jeśli zobaczy mnie przy tobie. - Pomyślawszy chwilę, mówiła dalej: - Do diabła z nim, przypuszczam, że ma dość rozsądku, aby się bać twojego brata. Nie chce ryzykować, że przekaże mu, iż w jego zachowaniu wobec ciebie było coś nie tak. - Ta myśl ją rozbawiła. Stara kobieta z ożywieniem snuła swoją wizję:

- Wkrótce zejdziesz. Trochę wypiję i to tak, żeby wszyscy widzieli.

Ty zejdziesz za godzinę. Do tego czasu udam, że zasnąłam- Będziesz mogła złapać Carra na osobności, tak żeby nie musiał bać się konsekwencji.

Podniosła się, naciągnęła rękawiczki i wzięła wachlarz. Idąc w stronę drzwi, zatrzymała się jeszcze na chwilę.

- To musi być dzisiaj wieczorem - zdecydowała. - „Pala”

obiecała Carrowi, że zmarła żona wróci do niego. Widziałam jego minę. Nie może się doczekać, kiedy ją zobaczy. - Zafascynowana, pokręciła głową i kontynuowała: - Mimo że zrzucił ją z klifu, nadal tęskni za nią. Szczerze wierzy, że ją kocha. I że ona kocha jego. - Zaśmiała się krótko. - Nasz plan jest doskonały. Kiedy ją spotka ponownie, nie pozwoli jej odejść.

Jej twarz sposepniała.

- Dopiero wówczas twój dług zostanie spłacony. Po tym jak cię poślubi, a Wyspa McClairenów znowu stanie się własnością McClairenów.

W godzinę później Favor McClairen podniosła się z krzesła, na którym usiadła, gdy Muira odeszła. Starannie poprawiła *taftowe* spódnice koloru czerwonego wina, wygładziła potrójne czarne koronki spływające z rękawów, po czym wyszła z pokoju.

Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć - i rzeczywiście, nie było co zdradzać. Czuła się jak widz, który ogląda przedstawienie z teatralnego balkonu.

Przekona Carra, że jest jego zmarłą żoną, która wróciła do życia. Poślubi go. Potem zniknie, wróci do Francji, gdzie Carr nie ośmieli się jej szukać. A potem będzie czekać, bez względu na to, ile czasu to potrwa, żeby Carr umarł, a zamek wrócił w ręce Mc

Clairenów. Bo to była Szkocja, gdzie kobieta dziedziczy majątek zmarłego męża.

A jeśli między tym pierwszym a ostatnim coś (skonsumowanie małżeństwa) się stanie (albo zostanie wymuszone), co ona osobiście uważa za niesmaczne (obrzydliwe), to, tak czy inaczej, spłaci w końcu swój dług...

Kątem oka zauważyła czarnowłosego ducha, który się pojawił

i natychmiast znikł. Favor, przestraszona, odwróciła się i dopiero wtedy się zorientowała, że zobaczyła swoje odbicie w lustrze na ścianie.

Wpatrywała się, nie mrużąc oczu, w tę istotę - o bladej jak duch cerze, pustych czarnych oczach bez duszy.

Patrzyła w lustro, przyglądając się blademu ciału, wysokim kościom policzkowym, małym, lekko wywiniętym wargom, szczupłej szyi i cienkim łukowatym brwiom. Wszystko to stanowiło iluzję, skutek artystycznych zabiegów upiększających, które podkreślały jedno, tuszowały drugie. Puder zmieszany z drobno zmielonym, fosforyzującym ołowiem nadawał skórze biel. Starannie nałożony balsam sprawiał, że usta wydawały się węższe **73**

niż te, którymi obdarzyła ją natura, odrobina różu uwydatniała kości policzkowe.

Więcej różu pod szczęką dawało wrażenie długiej szyi, a szczy-czyki Muiry zmieniły całkiem linię brwi. Kropla belladony rozszerzyła źrenice do tego stopnia, że niebieskie tęczęwki stały się niemal niewidoczne.

Wreszcie, Muira trzy razy w tygodniu ucierała korzenie i jagody, farbując tą mieszanką włosy Favor na czarno. Zdaniem tej ostatniej był to martwy kolor, czarny jak heban, bez zdrowego połysku.

Dopóki dziewczyna się nie ruszała, na tyle przypominała Janet McClairen, na ile była w stanie to

sprawić Muira swoimi farbami i mieszankami. Co do reszty, musiała polegać na wspomnieniach ludzi, którzy znali dawno zmarłą panią, aby jeszcze zwiększyć podobieństwo. Na próbę otworzyła wachlarz. Szybkim ruchem - ponieważ Janet McClairen nie robiła niczego leniwie - zakryła usta, opuściła lekko powieki i zerknęła w bok. Zbyt nieśmiało. Spróbowała jeszcze raz...

- Tuszę, panno Donne, że nie będziesz tak okrutna, żeby zu

żyć wszystkie te oszałamiające, „chodź-do-mnie” spojrzenia na swoim własnym odbiciu, prawda? To znaczy, zachowasz chyba chociaż jedno dla mnie?

Favor odwróciła się gwałtownie. Lord Orville stał, opierając się ramieniem o ścianę. Mówił nieco bełkotliwie; usta wykrzywił

z dezaprobatą. Favor się cofnęła.

Podczas pierwszego wieczoru w Rumieńcu Ladacznicy lord Orville osaczył ją w pustym pokoju. Rzucił się na nią i rozgniół

usta pocałunkiem. Nawet teraz czuła mdłości na wspomnienie chłodnych, wilgotnych warg. Usiłowała się wyrwać, ale był za silny. Nie ośmieliła się krzyczeć. Carr mógłby ją odesłać jako zbyt pruderyjną albo, co gorsza, jej panińska wrażliwość mogłaby wywołać w nim niechęć.

Jedynie pojawienie się w porę chichoczącej żony Orville'a, którą ścigał rozczochrany lokaj, odciągnęło uwagę lorda na tyle, **74**

że Favor zdołała uciec. Od tamtego czasu szczęśliwie udawało jej się go omijać.

Szczęście najwyraźniej ją opuściło.

- Kot odgryzł ci język? - powiedział przeciągle Orville. - Pozazdrościć kotu.

Światowe obycie, powtarzała sobie w duchu. To mój atut i jedyna nadzieja. Przywołała się do porządku. Orville nie będzie wiedział, jak postępować z kobietą, której doświadczenie przewyższało jego własne. Zmusiła się do równego oddechu. Jednym ruchem dłoni zamknęła wachlarz z kości słoniowej.

- Lordzie Orville. - Podniosła się na palce, udając, że zobaczyła coś za jego plecami. - Czy to nie twoja żona właśnie znika w górze schodów z jednym z chłopców stojących?

Uśmiechnął się krzywo.

- Co z tego? Niech sobie użyje czy też - zaśmiał się nieweso

ło - niech chłopak sobie z nią użyje. Wszyscy to robią.

Odepchnął się od ściany.

- Ja chętnie użyłbym sobie z tobą, panno Donnę. Z największą przyjemnością.

Ruszył ku niej, klepiąc się po długiej, białej brodzie.

- Spróbuję czegoś rzadkiego, czego niewielu mężczyzn próbowało. Och, nie bądź taka zaskoczona, moja droga. Dopytywa

łem się o ciebie. Tak jak my wszyscy.

- Co za nuda - odparła Favor, zmuszając się, żeby stać nieruchomo. - Nie mogę sobie wyobrazić dlaczego, skoro ja nie wykazałam nawet cienia zainteresowania twoją osobą.

- Fe. Niegrzeczna mała Szkotka. Nie jesteś ciekawa, czego się dowiedziałem?

- Nie.

Uśmiechnął się szerzej.

- Wiem, że twój starszy brat jest wydziedziczonym szkockim czymś tam, wydziedziczonym, ponieważ wolał wyjechać do Ameryki, zamiast włóczyć się po górach z resztą swoich kochających jakobitów krewnych. Mnie się to wydaje niezwykle **75**

sensowne, ale twoi krewniacy dopatryli się w tym pewnego braku lojalności.

Patrzył na nią badawczo, sprawdzając, czy te słowa sprawiają ból. Przyszło jej do głowy, że być może Orville jest szpiegiem lorda Cumberlanda, wysłanym do Szkocji, żeby przeciwdziałać dalszym buntom.

Jeśli tak, nie będzie mu przy niej wesoło. Znała na pamięć historię o rzekomym tchórzostwie i wydziedziczeniu brata. Musiała. Thomas ją stworzył. Dzięki temu mógł poruszać się swobodnie wśród tych angielskich uzurpatorów - pogardzany przez nich jako zdrajca swojego ludu, a jednocześnie hołubiony jako *roue**, chętny do wydawania pieniędzy.

- Obawiam się, iż nie cieszy się zbytnim poważaniem wśród swoich ubranych w kilty współbraci. Ale proszę tak się nie smucić, panno Donnę. Słyszałem, że bogactwo go pociesza. I ciebie.

Favor nadal studiowała swoje odbicie. Próżna kobieta znudzona rozmową z natrętem.

- Czy jego dawni pobratymcy mu grożą? Czy dlatego tak nagle opuścił Szkocję?

Favor pochyliła się bliżej do lustra, poprawiając czarny lok na skroni, zanim odpowiedziała.

- Hm? Thomas? Ludzie, nie, nic z tych rzeczy. O ile wiem, mój drogi brat jest w Ameryce. - Rzuciła mu obojętny uśmiech. -

Teraz, jeśli pozwolisz...

Prawie go minęła, kiedy zastąpił jej drogę. Uśmiech znikł

z jej twarzy.

- Panie?

- Jak to możliwe, że zostawił w kraju małą siostrzyczkę?

- Być może dlatego, że odwiedza swoją plantację, zaś jego mała siostrzyczka czuje obrzydzenie do potu; a pot, o czym jestem przekonana, na plantacji płynie strumieniami. Chociaż

- powiedziała, omiatając spojrzeniem wilgotne czoło Orville'a *roue* (z franc.) - hulaka (przyp. red.).

76

i perlące się kropelki nad górną wargą - tutaj także nie wydaje się go brakować.

Orville się zaczerwienił.

- Pieprzna z ciebie panienska, panno Donnę.

- Ale nie dość pieprzna, jak na twoje wyrafinowane podniebienie. - Przekląła błagalny ton, który usłyszała we własnym głosie.

Orville też go wyłowił. Pewność siebie natychmiast mu wróciła.

- Ja sam o tym zdecyduję. - Pochylił się, jego kwaśny oddech owionął twai-z Favor.

Już nie miała w sobie tyle odwagi. Obróciła się w miejscu, chwyciła obręcze pod falującymi spódnicami i rzuciła się pędem przed siebie. Przez chwilę nie słyszała nic poza szelestem tafty, stukotem własnych obcasów i odległymi głosami, które cichły coraz bardziej, w miarę jak biegła.

Jednak po odgłosie kroków szybko się zorientowała, że Orville ścigają i jest coraz bliżej.

Przebiegła obok swoich komnat. Nie gwarantowały bezpieczeństwa. Nie zdołałyby w porę znaleźć klucza i zamknąć drzwi.

Jedyną szansą była ucieczka.

- Jak cudownie! - zawołał. - Uwielbiam zabawę!

Skierowała się do schodów dla służby i schyliła głowę w niskim przejściu; buciki stukały na zużytych kamiennych stopniach, ślizgając się, spódnice blokowały wąską, krętą klatkę schodową, "wypadła przez drzwi na dole i biegła dalej. Przez następne drzwi, kolejnymi schodami w dół, wciąż słysząc kroki za plecami.

Przez jeszcze inne drzwi, jeszcze jeden mroczny korytarz.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Była jak młoda sarenka wyrwana ze stada, zagnana w odległe zakamarki zamku, w jego źle oświetlone, niezamieszkałe części. Płuca ją paliły, spódnice ciążyły nieznośnie. Przystanęła, dysząc, i się rozejrzała. Nie mogła już biec. W desperacji rzuciła się ku najbliższym drzwiom, naciskając klamkę. Drzwi się otworzyły. Wsunęła się do pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Czekwała, z bijącym sercem, szukając jakiejś drogi wyjścia. Nie było żadnej.

Znalazła się w zaniedbanej, dawno nieużywanej sypialni.

Wszystkie meble były przykryte prześcieradłami z wyjątkiem wielkiego łóżka pośrodku. Półprzezroczyste zasłony zwisały z baldachimu podarte i wystrzępione, niczym welon zmaltretowanej panny młodej. Pod jedną ścianą ciągnął się rząd pudeł

i szafek. Pod drugą leżały jeden na drugim obrazy.

W pokoju panowała zjawiskowa cisza, jak gdyby przebywały tam jedynie nieśmiałe duchy, które właśnie wstrzymały oddech, czekając, aż człowiek odejdzie. Natężyła słuch, chcąc wyłowić kroki Orville'a. Żadnego dźwięku.

Policzyła do stu, zanim odważyła się ruszyć przez pokój, szerokimi spódnicami złobiąc dróżkę w warstwie kurzu na podłodze. Stała przy wysokich oknach po drugiej stronie i odsunęła delikatną zasłonkę. Zaparło jej dech w piersi.

Wieczorne niebo rozkwitało nad morzem barwy kobaltu.

Światło dnia lśniło krwawym blaskiem w sąsiedztwie ciemności nastającej nocy. Nigdy nie widziała podobnego zachodu słońca.

- Mój Boże - szepnęła.

- Milady.

Serce zabiło jej mocniej w panice. Zanim się odwróciła, już była w rękach Orville'a. Chwycił ją wpół, zbijając z nóg, i pchnął

mocno, twarzą ku oknu. Przywarł do niej, wpijając się ustami w kark. Ssał łapczywie.

Krzyknęła, kapiąc i łkając z przerażenia. Roześmiał się. Ten dźwięk ugasił jej strach, niczym woda ogień.

Była Favor McClairen. Nie jakąś zepsutą angielską lalką. Nie ofiarą żadnego Anglika. Niczyją ofiarą. Sięgnęła przez ramię i wbiła paznokcie w twarz prześladowcy, czując satysfakcję, że rozdziera mu ciało.

- Suka! - Złapał ją za nadgarstek i wykręcił paskudnie, uderzając nim z całej siły o framugę okna. Chwycił drugą rękę i powtórzył uderzenie. - Szkocka zdzira! - syknął jej do ucha. - Napiętnuję cię za to i niech będzie przeklęty twój braciszek bękart!

Dalsze słowa utonęły w zduszonym jęku. Favor poczuła nagle, że jest wolna. Opadła na podłogę jak szmaciana lalka, skręcając ciało, żeby zobaczyć, co się dzieje.

W pokoju było teraz jeszcze ciemniej, niemal czarno. Pośrodku zmagaly się ze sobą dwie postaci, tocząc nierówną walkę. Jeden z mężczyzn był wysoki i postawny, jego pięści młóciły powietrze z osłepiającą szybkością i morderczym skutkiem. W parę sekund wymierzył kilkanaście brutalnych ciosów. Przerwał raptownie i wyprostował się, kiedy jego drobniejszy przeciwnik się zachwiał i przewrócił jak tłumok na podłogę.

Obcy zwrócił twarz w stronę dziewczyny. Zawahał się, ale potem podszedł do niej, żeby, jak pomyślała, podać jej rękę.

Podniosła głowę, wstrząśnięta i pełna wdzięczności, posyłając mu nieśmiały uśmiech.

- Dziękuję, panie. Nie... nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności. Dziękuję... bardzo ci, panie, dziękuję.

Nie wyciągnął ręki. Zmarszczyła brwi, zaniepokojona jego brakiem manier, a przecież dopiero co tak bardzo ją oczarował.

Postąpił jeszcze krok naprzód, ostatnie promienie dziennego światła, wpadającego przez okno, oświetliły jego twarz. Nagle zrozumiała, dlaczego nie chciał jej dotknąć.

Ostatnio widziała go w gromadzie francuskich żołnierzy, których na niego nasłała.

Jej Anglik.

Wysoki mężczyzna przyglądał się Favor zmrużonymi oczami.

Uświadomiła sobie z ulgą, że nie będzie mógł prawdopodobnie jej rozpoznać, przebranej tak, jak...

79

- Dziękujesz za moje obecne usługi, czy też te, które z tak dobrym skutkiem wykorzystywałaś w Dieppe?
- zapytał.

Tyle, jeśli chodzi o anonimowość.

Mówił głosem szorstko-słodkim; w jego jasnych tęczęwkach koloru miodu załamywało się światło, czyniąc spojrzenie nieczytelnym. Tylko lekkie skrzywienie górnej wargi wskazywało, jaki ma nastrój. Nie był przyjemny.

— To ty - stwierdził. - Co paskudnego zaplanowałaś dla tego biednego głupca? - Kiwnął brodą w stronę nieruchomego Orville'a.

- Do diabła, jeśli nie powinienem podnieść go i otrzepać, a następnie przeprosić, bo każdy mężczyzna, który ma z tobą do czynienia, milady Zdrado, zasługuje co najmniej na współczucie innych mężczyzn i, co jeszcze bardziej prawdopodobne, ich pomoc.

Favor tylko częściowo skupiła uwagę na jego uszczypliwej przemowie, zbyt zajęta przyglądaniem się mężczyźnie. Boże, był

wielki. Dużo wyższy i bardziej rozrośnięty, niż jej się wydawało.

Miał na sobie ciasne czarne spodnie, które pamiętały lepsze czasy, a biała koszula, rozpięta, wisiała na nim luźno, odsłaniając muskularne, opalone ciało.

Miał również ciemniejszą skórę. Jego twarz o twardych rysach była teraz opalona, kwadratowa szczęka niebieskoczarna od wczesnego zarostu. Rozczochrane, ciemne włosy opadały luźnymi lokami na silną, szeroką szyję.

Ale dostrzegła jeszcze jakąś inną różnicę. Coś głębokiego.

Coś ważnego.

Przechyliła głowę, usiłując to coś odnaleźć. Po chwili już wiedziała: mężczyzna, którego przykuto do ściany w więzieniu, był w desperacji, na granicy wytrzymałości. Człowiek, który stał przed nią, był panem samego siebie.

To mu dawało zdecydowaną przewagę. Teraz ona stała się osobą, którą rządził przypadek i zmienne

koleje losu innych ludzi. Nie podobała jej się taka zamiana ról.

Podszedł bliżej, zwinnym, lekkim krokiem jak na mężczyznę takiej postury. Skuliła się przy ścianie, zdając sobie nagle sprawę, **80**

że jedno niebezpieczeństwo zastąpiło drugie. Zastukała obcasami, usiłując się podnieść. Schylił się, chwycił ją za ramię i postawił na nogi.

Próbowała przebiec obok niego, ale błyskawicznie wyciągnął

rękę, ona zaś poczuła na gardle ciepły, mocny uścisk, niepozwalający na jakikolwiek ruch. Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

Kciukiem odchylił jej brodę do tyłu. Pod dłonią czuł przyspieszony puls.

- A więc - mruknął, błędząc wzrokiem po jej policzkach, ustach i szyi, jakby je pieścił - co powiesz, madame Noir albo wdowo Lambett, albo kimkolwiek, do diabła, jesteś?

- Favor - powiedziała. - Favor Mc... Favor Donne.

Znieruchomiał, przesywając dziewczynę badawczym spojrzeniem.

- Co to za sztuczka, do diaska?! - Przesunął rękę na jej ramię, tym razem nie tylko zatrzymując ją, ale sprawiając ból. - Nie wiem, jaką grę teraz prowadzisz, ale dowiem się prawdy.

Skrzywiła się. Szczęknął zębami.

- Mów prawdę, zanim... Prawdę!

- To jest prawda, przysięgam! — krzyknęła. - Mój brat to lord Thomas Donne. Ma dwór trzydzieści kilometrów w głąb lądu, jadąc drogą na północ. Wystarczy zapytać kogokolwiek, a powiedzą ci to samo. Jestem Favor Donne.

Patrzył na nią kpiąco.

- A co robiła siostra owego szlachcica we Francji, przebrana za rozpustną zdzirę?

Zawahała się przez mgnienie oka, szukając prawdopodobnego wyjaśnienia. Potrząsnął nią.

- Mów!

- Mój brat... On jest również La Betę, przemysłowikiem -

szeptnęła. - To jego Francuzi szukali w Dieppe. Jego osłaniałam, wydając cię żołnierzom zamiast niego.

Zbliżył twarz do jej twarzy. Spojrzała mu w oczy. Nie były już zimne. Żarzyły się. Sprawiał wrażenie

starszego niż we Francji -

6 - Ostatni bal

również bardziej pewnego siebie i niebezpiecznego. Modliła się w duchu, żeby jej uwierzył.

- Przysięgam - wychrypiała.

Poczuła, że uścisk na ramieniu zelżał, stał się mniej przykry.

- Do diabła— powiedział w końcu. Zdawał się mówić do własnych myśli. - Jeszcze nie odpowiedziałaś na moje pytania.

Co robiłaś w Dieppe, mały sokole? I czemu mają służyć te nowe piórka?

- Co? - Była zmieszana.

- Twoje śmiałe brwi znikły i ufarbowałaś włosy. Zapewne kryją się za tym jakieś ważne powody?

- Ponieważ - szukała rozpaczliwie możliwego wytłumaczenia - angielscy dżentelmeni cenią sobie ciemne włosy.

- Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego.

- A gdzie miałbyś coś usłyszeć na temat obecnej mody? - odparła, modląc się, żeby tym razem nie obraził się za jej impertynencję. - Może dostarczano ci do celi „Kwartalnik Dżentelmena”?

Wjego spojrzeniu dostrzegła jakby uznanie.

- *Touche*.*

- A co ty tutaj robisz? - zapytała wyniośle, wykorzystując chwilową przewagę. Czy odkrył jej tożsamość i ścigał aż tutaj, żeby się zemścić? Na tę myśl zadrżała. Wyciągnie z tego naukę i nie będzie ulegać podszeptom sumienia obarczonego wyrzutami. Powinna była pozwolić francuskim żołnierzom go schwytać.

- O, nie, śliczny sokoliku. - Pokręcił głową. - Piękna próba odwrócenia uwagi, aleja nie jestem żółtodziobem, którego zwiodą rozkazy padające ze słodkich ust. Rozmawialiśmy o tobie. Co robiłaś w Dieppe? Pilnowałaś steru przemytniczego statku? - zagadnął ironicznie.

- Oczywiście, że nie! - Mówiła szybko, zastanawiając się i odrzucając różne koncepcje z prędkością światła. - Byłam u krewnych, którzy opiekowali się mną przez wiele lat. We Fran-

* *touche* (z franc.) - trafione (przyp. red.).

cji czułam się bezpieczniejsza niż tutaj. Z powodu Toma. - Zerknęła na niego, sprawdzając reakcję.

Nie do odczytania. - Wiesz, oczywiście, o Tomie.

- Tak? - Znienacka puścił ją, odsunął się i skrzyżował ręce na szerokiej piersi. Cofnęła się, masując ramię. Spojrzał obojętnie, czerwony ślad na skórze *nie* zrobił *na* nim wrażenia.

- Tom wyjechał z kraju zaraz po Cułloden. Reszta wodzów klanu wyznaczyła nagrodę za jego głowę.

- Dlaczego?

Spuściła powieki i zagryzła wargę, udając upokorzenie.

- Był pod Cułloden, ale jako chłopiec. Widział, jaką przewagę w ludziach i uzbrojeniu mają Anglicy. Tom - przerwała dla większego efektu - nigdy nie przepadał za walką. Widok krwi wprawia go w panikę. Opuścił wrzosowisko, kiedy zaczęła się bitwa.

Otworzyła gwałtownie oczy, kiedy parsknął śmiechem.

Skrzywiła się. Uśmiechał się szeroko, błyskając w mroku białymi zębami.

- Boże, racz otoczyć mnie swoją opieką, mogłabyś przekonać kota, żeby szczekał, mała kłamczucho.

- Czy brak ci wrażliwości? - Nie ustępowała. - Właśnie wyznałam hańbę brata.

- Taką mianowicie, że uciekł z pola bitwy, ponieważ czuje awersję do krwi? - Pokręcił głową. - Musisz wymyślić coś lepszego, kochanie, zwłaszcza jeśli zechcesz dołączyć do tego inną bajeczkę, o tym, jak to tchórzliwy brat został znanym przemytnikiem. Chyba że La Betę chowa się pod pokładem za każdym razem, kiedy gdzieś leje się krew.

- Nie bądź śmieszny - skwitowała. Zamiast strachu czuła teraz smutek.

- Nie ma potrzeby, jesteś wystarczająco śmieszna za nas oboje.

- Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz...

- Och, lepiej, żeby cię obchodziło - wtrącił spokojnie, ponownie budząc w niej strach.

Przełknęła ślinę.

- Thomas tak organizuje przemyt, żeby nie dochodziło do rozlewu krwi. W zeszłym roku Francuzi zaczęli go osaczać.

Obiecali nagrodę za każdą informację, która mogłaby doprowadzić do jego aresztowania. To była tylko kwestia czasu — ciągnę

ła - zanim ktoś doniósłby o mnie władzom. Nie chcieliśmy sprowadzać kłopotów na ludzi, którzy tak długo się mną zajmowali.

Tak więc, Tom wymyślił plan, który umożliwiłby mi ucieczkę.

Potrzebowaliśmy kogoś na wabia.

- Mnie. To temu zawdzięczałem wizytę nieocenionego Jacques'a. Gdzie jest twój olbrzymi przyjaciel?

- Tutaj. Nazywa się Jamie i jest... woźnicą mojego brata.

- Jak cudownie mieć woźnicę obdarzonego tyloma talentami.

- On nie miał nic wspólnego z twoją... sytuacją. Tylko wykonywał rozkazy - oznajmiła, wyobrażając sobie Jamiego i tego wielkiego, szczupłego mężczyznę splecionych w śmiertelnej walce.

- Nie martw się, moja słodka, nie skrzywdzę twojego tresowanego byka.

Odetchnęła z ulgą. Jej twarz się wypogodziła.

- Powiedz mi, gdzie jest twój sprytny braciszek? Aż się palę, żeby go poznać.

- Za granicą.

- Unikając innych nieprzyjemnych rzeczy? Więc co robisz tutaj, bez niego?

Jeśli zbliży się do prawdy, może przekona go, żeby zostawił ją w spokoju, odszedł i zajął się... Co on tutaj robił?

- Mój brat może się wydawać bogatym człowiekiem, ale to pozory. Nie jesteśmy bogaci. Nasz klan też nie. W gruncie rzeczy cała nasza rodzina jest bardzo, bardzo biedna.

- Tak? — Wydawał się zaciekawiony.

- Jestem tutaj... żeby przywrócić klanowi świetność. - Zdradziła więcej, niżby sobie życzyła.

- Świetność? Czy to ma oznaczać, że zarzucasz sieci w matrymonialnych wodach, panno Donnę? Tutaj? -Wjego głosie był

84

sceptycyzm. - W Rumieńcu Ladacznicy? Cóż, wysoko oceniam twoją oryginalność. Niewiele spłonionych debiutantek wpadłoby na to, żeby przybyć tutaj w poszukiwaniu męża.

- A dokąd ktoś taki jakja miałby się udać? Szkockie zero bez ziemi, rodziny, powiązań? - Mówiła z przejęciem, wyciągnął bowiem z niej więcej, niż sama miała ochotę wiedzieć. Nawet gdyby mogła decydować o swojej przyszłości, gdzie miałaby szukać

„szczęśliwego zakończenia”? - Tylko w Rumieńcu Ladacznicy taki ktoś jakja może znaleźć

konkurenta, który nie będzie się zbyt uważnie przyglądał moim powiązaniom rodzinnym, a gdyby nawet odkrył, kim byli moi przodkowie, nie przejąłby się tym wielce.

Dopóki jestem wystrojona i obwieszona biżuterią, przyjmują mnie tutaj jako dziedziczkę do wzięcia, bo tak mnie widzą.

- Chcesz powiedzieć, że interes przemysłowy nie przynosi takich zysków, jak się powszechnie uważa? A ja sądziłem, że to jedno z najbardziej intratnych zajęć, które są dostępne dla ambitnych młodych ludzi.

- Nie - odparła szorstko. - Nie jest. Nie dość intratne, żeby odbudować majątek skradziony przez angielskich bę...

- Ostrożnie, panno Donne ~ przerwał jej sucho.

- Twój przyszły mąż może być jednym z tych angielskich bę...

- Rozumiem to doskonale - stwierdziła chłodno. - Ale widzisz, nie mam wyboru. Twoi Anglicy nie zostawili żadnych Szkotów, spośród których mogłabym wybierać, bogatych, biednych czy tych pośrodku. Zabili wszystkich.

Odniosła wrażenie, że jej słowa potrafiły wrażliwą strunę, że budzi się w nim współczucie.

- Tak. To brzmi całkiem prawdziwie - powiedział w zamy

śleniu. - Mam jednak pewne doświadczenie z twoimi kłamstwami brzmiącymi jak szczerą prawdą.

Mylila się. Nie obchodziła go rzeź jej rodaków.

- Kpij sobie, ile chcesz - burknęła.

- Podnieś górną wargę, kochanie; taka odęta jest zbyt kusząca. Mniemam, iż dobrze o tym wiesz.

Tupnęła nogą ze złości, a potem, spojrzała na niespokojną kończynę wielce zdumiona. Nie tupiała nogą, odkąd wyrosła z dzieciństwa.

- Co za piękna historia i jaka wspaniała z ciebie bohaterka, moja kochana Favor - ciągnął kpiąco. - Taka dzielna i uczuciowa.

Godna pochwały szlachetność z twojej strony, że poświęcasz się dla klanu. - Spochmurniał. - Gdybym tylko mógł uwierzyć w tę szlachetność. Ale ty tak bardzo chciałaś mnie wykorzystać.

- Zrobiłabym to jeszcze raz. I tak byłeś skazany. Co miałeś do stracenia? Poza tym - spojrzała na niego wyzywająco - uciekłeś. Czyż nie? A zatem otrzymałeś więcej, niż przewidywała umowa.

- Och, nie - mruknął. - Nie dostałem nic z tego, co przewidywała umowa.

Postąpił naprzód, skupiony, drapieżny, z uwagą wyostrzoną jak rapier. Dała krok do tyłu i uderzyła ramionami w ścianę. Kiedy się uśmiechnął, unosząc kącik ust, powstała głęboka linia pod wysoką, szeroką kością policzkową. To był zły uśmiech. Diabelski.

Zbliżył rękę do jej twarzy. Drgnęła, ale on tylko sięgnął poza nią, położył dłoń płasko na ścianie i się pochylił. Jako że dużo wyższy, zasłaniał sobą Favor. Przesunął spojrzeniem leniwie w dół twarzy i szyi, by zatrzymać je tam, gdzie kwadratowy dekolt odsłaniał poruszające się w nerwowym rytmie piersi.

- Wyciągnięto mnie z więzienia, żebym ci dostarczył rozrywki.

- Nie mnie! - zaprzeczyła. - Madame Noir.

- Którą udawałaś- przypomniał. Mówił niskim, uwodzicielskim głosem. Przechylił głowę i wciągnął powietrze. Był tak blisko, że mógł dotknąć ustami jej skóry. Skuliła się; nie miała dokąd uciec. Ściana ziębiła nagie ramiona, ale Favor czuła w ciele ognisty żar.

- Nie powinnaś była farbować włosów - mruknął, zadumany. Podniósł lok, kostkami palców muskając jej obojczyk. Prze-86

biegł po niej dreszcz. Anglik, jak go w myślach nazywała, potarł

lekko pasmo włosów między kciukiem a palcem wskazującym, badając je. - Przedtem były ładniejsze. Zrabowane złoto. Teraz są żałobne jak oko martwego kruka.

- Pochlebca - szepnęła.

Podniósł wzrok. Patrzyła na niego. Gdy się uśmiechnął zaskoczony, dołeczek na jego policzku pogłębił się, a potem znikł.

Mężczyzna ściągnął brwi, jakby nie mógł czegoś zrozumieć.

- Kto by pomyślał, że ty... ze wszystkich kobiet na świecie...

ty - mówił tak *cicho*, że ledwie go słyszała.

Przyglądanie mu się, kiedy studiował jej ciało, sprawiło, że czuła się dojrzała i ponętna, omdlała i zmieszana. Nie mogłaby odwrócić wzroku, nawet gdyby próbowała.

- Proszę.

- Proszę, kogo? Mnie? Jakie bym musiał ponieść koszty, mo

żesz sobie wyobrazić? Pocałowałem cię kiedyś raz i ciągle pamiętam *ten* smak. Czy *to* nie dziwne? - Położył sztucznie barwiony kosmyk na jej ramieniu, cierpliwie układając lok. - Zdumiewające, nieprawdaż?

- Tak.

- Byłem w więzieniu cztery lata - powiedział. - To za długo, żeby pamiętać rozkosze ciała, które właśnie zaczynałem doceniać, gdy mnie zamknięto. Po tym, kiedy uciekłem, z twoją pomocą, parę dni mi zajęło, zanim uświadomiłem sobie, że jestem bezpieczny. Ale potem... Potem szukałem tych rozkoszy, kiedy nie ryzykowałem życia.

Jego twarz nabrała twardego wyrazu.

- I wiesz, co? Chcesz usłyszeć coś bardzo dziwnego? - Twarz mężczyzny była bardzo blisko, zmysłowe usta wydawały się jedynym miękkim rysem w surowej twarzy. - Chcesz?

Skinęła głową, oczarowana jego niskim, hipnotyzującym głosem, ciepłem dłoni tuż nad obojczykiem.

- Nawet w momencie największej rozkoszy ciągle czułem ciebie.

Starła się nie dać poznać po sobie, że jest zażenowana tym wyznaniem. Nadaremnie. Spojrzał na nią ironicznie, mówiąc:

- A to co? Rumieniec, mały sokoliku? To zbyt brutalne? Na Boga, speszyłem dziewczynę. -
Roześmiał się bez wesołości. -

I pomyśleć, że wziąłem cię za madame Noir. Naprawdę straci

łem zdolność rozumienia kobiet.

- Byłyśmy ze sobą spokrewnione.

- Okaż odrobinę szacunku mojej inteligencji. Wątpię, żebyś kiedykolwiek spotkała tę damę. Nie! -
Dotknął czubkiem palca jej dolnej wargi. - Zaczynasz mówić kłamstwa, zanim do końca je
wymyślisz. Oszczędź nam obojgu kolejnej bajeczki. - Z wahaniem, jakby zmuszony, przesunął palcem
po jej ustach.

- Nie mam wpływu na to, w co wierzysz, a w co nie - odpar

ła, wpadając w panikę, jakiej nigdy nie doświadczyła: narastającą wraz z elektryzującym odczuciem
napięcia obejmującego usta, policzki i szyję, piersi i uda.

- Niech skonam, lady sokoliku, czy jest w tobie w ogóle jakaś prawda?

Nie mogła wydobyć głosu. Patrzyła błagalnie w milczeniu.

- Na krew Chrystusa - mruknął kpiąco. - Nie wiem doprawdy, czy Bóg chce ukarać ciebie, czy mnie.
Sprawdźmy to, dobrze?

Dotknął wargami jej ust z celową delikatnością; przywarł do nich. Spuściła powieki.

Ciepły oddech. Aksamitne usta, jędrne, poszukujące. Tylko jeden pocałunek, a już kolana się pod nią
ugięły i świat zawirował. Zbliżył się jeszcze. Czowała to, czowała, jak ogarniają sobą, góruje nad nią...
Grożąc? Chroniąc ją? Nie mogła zebrać myśli.

Oparła głowę o ścianę. Opuszkami palców, dotykiem przypominającym muśnięcia puchu, pieścił jej
szyję, rozniecając płomień; przesunął wolno dłonią po wzniesieniach piersi, dotarł do krawędzi dekoltu
i prześlizgnął się wzdłuż niego, znajdując zręcznie drogę niżej...

Podniecenie i strach miały moc obezwładniająca. Favor otworzyła oczy i przerażona wpatrywała się
w mężczyznę, który delikatnie, ale coraz śmieiej brał we władanie jej ciało.

- Puść mnie - poprosiła. - Nie jestem bogata i nie mam nazwiska, które ktoś chciałby wprowadzić do swojego rodu. Wszystko, co mam, to cnota. Proszę, uszanuj mnie.

Czy miał urywany oddech? Nie wiedziała. W głowie miała taki zamęt, że nie zwracała uwagi na stan mężczyzny. Sama z trudem łapała powietrze.

- Puść mnie - powtórzyła. - Proszę! Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

- Ra... Rafę - powiedział. Cofnął się, opuszczając rękę wzdłuż boku. - Chociaż, muszę przyznać, miewałem bardziej intymne kontakty z kobietami, które wiedziały o mnie dużo mniej niż ty.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? - Te słowa wyrzuciła z siebie, starając się opanować zdenerwowanie. - Nie jestem jedną z twoich ulicznic, które biorą pieniądze, żeby zdrzeć spódnice.

- Och, bądź spokojna, nie wszystkie z owych kobiet spotkałem na ulicy - oznajmił. - I nie miałem pieniędzy do zaoferowania.

Piersi i szyję Favor ogarnął płomień, który przeniósł się również na policzki.

- A zatem wiadomo, o co chodzi.

Wiedziała, że ta gra, w którą się wdała z resztą McClairenów, będzie ją drogo kosztować. Tego jednak nie przewidziała.

- Co znowu? - zapytał z błyskiem rozbawienia w ciemnych oczach.

- Szukałeś mnie, żeby mnie ukarać za to, co się wydarzyło w Dieppe. Żeby się zemścić. .. Biorąc mnie wbrew mojej woli -

zakończyła łamiącym się głosem.

Kiedy umilkła, parsknął zde gustowany.

- Uspokój się. Twojej cnoty nic nie grozi. Choć może to ci się wydać dziwne, jednak żywię przekonanie, łudzając się zapewne, że mogę zaznać przyjemności z kobietą, nie uciekając się do gwałtu.

Kiedy wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, wybuchnął śmiechem, kręcąc głową.

- Przypuszczasz, że po czterech długich latach w piekle nie miałbym nic lepszego do roboty niż, odzyskawszy wolność, ścigać cię po świecie, żeby przewrócić na plecy... Na wszystkich świętych, madame, twoje zadufanie w sobie przewyższa nawet moje własne!

Teraz zrozumiała, że to nieprawdopodobne. Tylko ktoś wielce nieroztropny postąpiłby w taki sposób. Poczwała, że na policzki znowu wypływa rumieniec.

- A więc co tutaj robisz? - zapytała.

Zanim odpowiedział, przyjrzał się Favor uważnie.

- Słyszałaś kiedyś o skarbie McClairenów?

- Tak- odparła. Wszyscy McClairenowie znali legendę o zaginionych klejnotach. - To komplet biżuterii z rubinów i brylantów; naszyjnik, kolczyki, broszka i bransoleta. Powiadają, że królowa Maria ofiarowała kosztowności damie z rodu McClairenów z wdzięczności za pomoc w odkryciu zdrady Darnleya.

- Tak- powiedział. -Właśnie o ten skarb chodzi.

Zmarszczyła brwi.

- Zaginął. Pewnie go sprzedano, żeby opłacić kolejny triumfalny powrót.

- Ach! Cyniczka i Szkotka? - Roześmiał się. - Kto by pomy

ślał, że obie mogą współistnieć w jednym ciele. A jeśli chodzi o skarb, to niektórzy twierdzą, że ukryto go w Rumieńcu Ladacznicy i że tu pozostaje.

- I z tego powodu tutaj jesteś? Nie wierzę.

- Masz lepsze wyjaśnienie? Poza pokusą nie do odparcia, jaką stanowi, oczywiście, pozbawienie cię dziewictwa. Przyjmując, że nie kłamiesz i że jeszcze cnotę zachowałeś.

- Drań! - krzyknęła, bardziej oburzona tym, że przypomniał

jej własną głupotę niż brutalnymi słowami.

Patrzył na nią kpiąco.

- Jestem tutaj od tygodnia. Jak dotąd szło gładko. Większość pokoi od wschodu Carr przeznaczył na magazyny. Na razie są puste. Tutaj więc rozpocząłem poszukiwania. - Wskazał szerokim gestem na pokój.

- Skarb McClairenów to tylko bajka dla dzieci - burknęła. -

Jeśli były jakieś rubiny i brylanty, to już dawno znikły. Dziwię się tylko, że znasz tę bajkę. To miejscowa legenda. Skąd ją znasz?

- Siedziałem w celi z Ashtonem Merrickiem. On mi o tym opowiedział.

Otworzyła szeroko oczy. Oczywiście. Wszyscy wiedzieli, że synowie Carra zostali schwytani przez Szkotów, szukających zemsty na ich ojcu. Sprzedali ich Francuzom jako więźniów politycznych, a Francuzi trzymali ich dla okupu. Carr odmawiał

zapłaty, aż do zeszłego roku - tak jej powiedziano, w każdym razie - kiedy na krótko pojawił się Ash

Merrick.

Być może Rafę spotkał Raine'a Merricka, źródło jej nieszczęść. Być może ten człowiek wiedział nawet coś o losie tego po trzykroć przeklętego gwałciciela.

- Ashton Merrick miał brata - powiedziała.

- Tak.

- Czy on też dzielił z tobą celę?

- Nie. Raine'a Merricka trzymano w innym mieście. W innym więzieniu. Wątpię, żeby wiedział, czy Ashton żyje, czy umarł. Ja nie wiem.

Favor zamknęła oczy.

- Niech Bóg nie pozwoli, aby Raine Merrick posiadał tę wiedzę, jeśli to miałyby go choć trochę pocieszyć - mruknęła.

- Nienawidzisz Raine'a Merricka? - zapytał.

Nie chciała rozmawiać o tym diable. Nie teraz. Nigdy.

Z tyłu za nimi Orville poruszył się, jęknął i przewrócił na drugi bok. Musiała wyjść. Raz jeszcze sięgnęła do mądrości ksieni: zachowuj się jak królowa, a obejdiesz się bez korony. Wyprostowała się.

- Orville zaraz się ocknie. O ile nie zamierzasz go zamordować, co - dodała pośpiesznie, widząc, jak Rafę przygląda się lordowi - spowoduje, że przeszukają cały zamek. - Sugeruję zatem, żebyś stąd odszedł. Dzięki za pomoc. W zamian za to obiecuję, że nie powiadomię nikogo o twojej obecności tutaj. - Chciała go wyminąć, ale zastąpił jej drogę.

- Och, nie - mruknął. - Nie pozwoliłem ci jeszcze odejść.

Zastanawiam się.

Poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Rafę miał drapieżne spojrzenie wilka. Nie mogła okazać strachu. Uniosła jedną nienagannie łukowatą brew.

- Zastanawiasz się? Ach. Ufam, że to nie jest dla ciebie nowe doświadczenie?

Na jego ustach pojawił się uśmiezek uznania.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek o mnie wiedział. Niebezpiecznie jest podkradać w nocy jedzenie z kuchni. Jeśli nie znajdę klejnotów w tym skrzydle, przeszukam zamieszkałe części zamku.

Wtopię się w gości. Ale najpierw muszę mieć ubranie. Przyzwoite ubranie.

- Więc?

- "więc ty mi przyniesiesz ubranie i żywność. Chyba że chcesz, aby twój gospodarz, lord Carr, odkrył, iż dziedziczka, obiekt jego zainteresowania, i jej brat nie są tacy zasobni, jak sądził.

- Nie ośmielisz się powiedzieć mu o tym. Nie stać cię, żeby się z nim zmierzyć. Kazałby cię powiesić, uznając za złodzieja.

- Nie muszę z nim w ogóle rozmawiać. Wystarczy napisać list.

- To szantaż!

- Tak - odparł pogodnie. - Wiem. Ale chociaż taka zemsta nie jest nawet w przybliżeniu tak interesująca, jak ta, którą ty widziałaś oczyma duszy, będę musiał się nią zadowolić.

Ke oparł się o framugę drzwi i patrzył z przyjemnością na ładne plecy młodej kobiety, która dumnie wyprostowana, z kusząco rozkołysanymi biodrami, szła korytarzem. Aż zniknęła w mroku.

Widział, jak przed paroma dniami przechodziła przez dziedziniec. Zauważył coś znajomego w jej ruchach, w ułożeniu ramion, w sposobie trzymania głowy. Przez chwilę, z profilu, przypominała kogoś z jego przeszłości, ale potem skręciła i to wrażenie zastąpiło poczucie, że poznali się całkiem niedawno. Jednak kiedy zobaczył

ją z bliska, uświadomił sobie, że czarnowłosa dziewczyna, czmychająca przed roznamiętnionym prześladowcą, to nikt inny, tylko miedzianowłosa wdowa, której się udało zwieść go w Dieppe.

Ufarbowała włosy i wyskubała te przesadnie zarysowane brwi - których, co dziwne, raczej żałował. Ukryła też swoje pełne, zmysłowe usta, malując je tak, że wydawały się cienką linią. Zrobi

ła nawet coś z oczami - źrenice pochłonęły opałowy błękit tęczówek. Poważny błąd, jego zdaniem, jeśli w istocie szukała męża.

Czy posunęła się do tego, żeby, jak twierdziła, bardziej się podobać angielskim dżentelmenom? Być może. Nigdy nie będzie klasyczną pięknoscią; jej twarzy o ostrych rysach brakowało tak wysoko cenionej symetrii owalu. Było w niej jednak coś, co przyciągało uwagę i sprawiało, że miało się ochotę patrzeć na jej usta, kiedy mówiła, dotknąć policzka.

Raine wrócił do pokoju. Panna Favor powinna teraz dziękować Bogu na kolanach, że ubiegłe lata nauczyły go panowania nad sobą. Nie za wiele, *a/c* dość, żeby zapytać Merry o *imię*, zanim rzucił ją na to sfatygowane łóżko i przekonał się, na ile starannie świątobliwe siostrzyczki strzegły cnoty swojej wychowanki.

Tak, Favor McClairen miała szczęście. Powstrzymało go jej imię. Ale w czasach niespokojnej młodości... Albo gdyby odkrył, że znowu go okłamała...

Westchnął. Na nieszczęście nie było wątpliwości, że miał do czynienia z Favor McClairen - bez względu na to, czy razem z bratem woleli przybrać nazwisko Donnę, czy nie. Rozpoznał

dziewczynę. Nie była już dzieckiem, ale hardo uniesiona broda pozostała taka sama, podobnie jak zawziętość w oczach.

Przestał się uśmiechać. Zerknął na nieszczęsnego Orville'a, usiłującego właśnie podnieść się na kolana. Raine otrząsał ręce, zastanawiając się nad radą Favor. Zapewne miała rację. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, to depczący mu po piętach wielbiciel dziewczyny.

Lord podniósł głowę, tocząc nieprzytomnym wzrokiem.

Z grymasem niechęci - ten człowiek tak naprawdę krzywdy mu nie wyrządził - Raine trzasnął go mocno w szczękę. Oczy Orville'a zapadły się w głąb czaszki, a głowa uderzyła z łoskotem o podłogę.

Stękając, Raine zarzucił go sobie na ramię i się wyprostował.

Ruszył korytarzem w przeciwną stronę niż dziewczyna. Potrzebował czasu do namysłu.

Może Favor naprawdę pragnęła przywrócić świetność swojemu klanowi, znajdując jakąś świetną partię. On, lepiej niż większość innych ludzi, zdawał sobie sprawę z rozpaczliwego położenia, w jakim znaleźli się McClairenowie. Gdy jego ojciec zdradził

ich na rzecz korony, otrzymał w nagrodę wszystkie dobra, całe bogactwo, należące niegdyś do klanu. Ale Carr tym się nie zadowolił. Zadbał o to, żeby żaden McClairen nie zażądał nigdy zwrotu choćby pół pensa. Po prostu wymordował wszystkich po kolei.

Raine unikał rozpamiętywania roli, którą z woli ojca odegrał

w jego planach. Otworzył drzwi do zamieszkanym części zamku, wsunął przez nie głowę, rozejrzał się i, nie widząc nikogo, rzucił

Orville'a na podłogę. Lord jęknął, a Raine zamknął drzwi.

Wchodził teraz wąską, krętą klatką schodową na wieżę, piętro wyżej. Nie potrzebował latarni, żeby oświetlić sobie drogę. Znał

dobrze Rumieniec Ladacznicy, każde sekretne przejście, ukrytą wnękę, każdą tajemną komnatę, wszystkie możliwe zakamarki.

94

Częściej niż mógł sobie przypomnieć ukrywał się tam, dziękując zazwyczaj obojętnemu Stwórcy za przesąd, który nie pozwalał

Carrowi nawiedzać tej części zamku.

Na górze Raine skierował się do małej sypialni. Odkąd tu przybył, pełniła funkcję jego kwatery głównej. Zapalił lampkę na stole za drzwiami i sięgnął leniwie po butelkę najlepszego porto Carra, która stała obok niej. Kopnął zakurzony fotel w stronę jedyne okna, z widokiem na morze. Rozsiadł się wygodnie.

Odkorkował butelkę zębami, pociągnął solidny łyk i otarł

usta wierzchem dłoni. Zamarł, czując szorstkość zarostu. Powinien się ogolić. Zerknął na swoją białą koszulę. Była gdzieś tam poplamiona, mimo że prał ją trzy razy, odkąd przyjechał.

Rozbawiła go własną wrażliwość. Uwięzienie obudziło w nim głęboką, niezachwianą miłość do czystości.

Odchylił głowę do tyłu, wyciągając nogi przed siebie. Kiedy tylko znajdzie klejnoty matki, kupi sobie sto nowych koszul i tyle samo spodni. Nigdy więcej nie włoży nieświeżej bielizny czy przepoconej kamizelki. Może nawet pozwoli sobie na ekstrawagancję i będzie wciągać powietrze przez perfumowaną jedwabną chusteczkę.

Kiedy znajdzie klejnoty matki? Dzisiaj pytaniem bardziej na miejscu wydawało się, czyje znajdzie. Na ile się orientował, był

jednym z nielicznych, którzy je widzieli.

To było na krótko przed jej śmiercią. Miał dziewięć lat i chciał

zwędzić kostkę cukru. Przyszedł pod drzwi kuchni i zobaczył, że matka tam jest. Wiedząc, co myśli o małych chłopcach podkradających słodycze, zanurkował do spiżarni.

Wtedy do kuchni wkroczył rudowłosy mężczyzna o zagniewanej twarzy. Raine, bojąc się, że zostanie przyłapany na szpiegowaniu, skulił się na podłodze. Chociaż wiele nie usłyszał, było jasne, że obcy człowiek usiłuje namówić matkę do czegoś, czemu ona jest najwyraźniej przeciwna.

W końcu obcy wyszedł. Matka została jeszcze chwilę; jej śliczna twarz ściągnęła się z z troskania. Chcąc ją pocieszyć, Raine **95**

wymknął się z kuchni i poszedł za nią. Nie udała się do swoich komnat, lecz do małego gabinetu, w którym przyjmowała miejscowych kupców i wydawała polecenia służbie. Zanim zdążył ją dogonić, zamknęła za sobą drzwi.

Raine zajrzał przez dziurkę od klucza. Zobaczył, jak pochyla się nad zniszczoną orientálną skrzyneczką po herbacie i majstruje przy drewnianych płytkach wieka. Nagle ze środka wyskoczyła szufladka.

Matka wyjęła z niej ostrożnie ciężki przedmiot ze złota. Był

duży, przypominał lwa; ozdobiono go wielkimi, nieoszlifowanymi kamieniami. Trzymała go tylko przez chwilę, zanim schowała ponownie do skrytki.

Raine, nie wiedząc co to jest, zdawał sobie jednak sprawę, że ów przedmiot matka pragnie ukryć. Nigdy nikomu o tym nie powiedział. Nawet Ashowi. Ani, oczywiście, ojcu.

Dopiero później, kiedy poznał opowieści o skarbie McClairenów, uświadomił sobie, co widział. Wtedy jednak matka już nie żyła. Ponieważ nie przejawiał szczególnie ciepłych uczuć wobec jej rodziny, a jeszcze mniej miał ich dla ojca, zachował milczenie.

Podczas lat w więzieniu myślał często o skarbie, tej pięknej broszy. Stała się jego gwiazdą przewodnią. Spędził wiele godzin, rozmyślając, jaką wydobędzie, dokąd się z nią udają, jak ją sprzeda i komu, jakiej ceny zażąda. Całą swoją przyszłość zbudował na jej odzyskaniu, nie mając wcale pewności, czy tego dożyje.

Teraz miał okazję zrealizować marzenia.

Gdyby tylko mógł znaleźć sakramencką skrzynkę.

Dostanie się do Rumieńca Ladacznicy bez wiedzy ojca nie sprawiło mu żadnej trudności. Raine dołączył po prostu do gromady służących, którzy oczekiwali na pojazdy swoich panów.

Podniósł kufer z ziemi, położył sobie na ramieniu i poszedł za lokajem do zamku. Przy schodach dla służby zostawił bagaż i skręcił pośpiesznie do pokoju matki, sądząc, że opuści Rumieniec Ladacznicy za niecałą godzinę.

Niespodziewanie jego plan legł w gruzach. Wszystko było inaczej, niż pamiętał. Co gorsza, nie pozostał żaden przedmiot należący do matki.

Raine pociągnął kolejny łyk porto, zakorkował butelkę i odstawił na podłogę obok fotela. Od tamtej pory przeszukiwał pa

łac.

Komnaty na wyższym piętrze od strony wschodniej fasady, używane jeszcze cztery lata temu, obecnie były zupełnie opuszczone, zamienione na magazyny. I to jakie! Przez ostatni tydzień znów mógł przekonać się o tym, że jego ojciec ma naprawdę diabła za skórą. Nigdy się nie spotkał z takim dowodem skąpstwa i chciwości. Komnaty były zastawione skrzyniami, kuframi oraz meblami, wyładowane fantastyczną mieszanką cennych rzeczy i rupieci.

Nic nie wyrzucono. Można by spędzić pół życia, przedzierając się przez to składowisko skarbów i odpadków zgromadzonych przez pokolenia, szukając małej orientalnej skrzyneczki.

Musiał zaryzykować. Nie miał pieniędzy, umiejętności, przeszłości ani przyszłości. Nie mógł - czy też raczej nie chciał - zbli

żyć się do ojca. Carr sądził, że jego młodszy syn gnije we francuskim więzieniu, ale dla Raine'a nie miało to znaczenia, mógł

sobie nadal tak myśleć. Pozostałby tam, gdyby nie ona.

Splótł palce na brzuchu i oparł brodę na piersi, dumając.

Sprawy się skomplikowały.

Favor McClairen.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej Bóg nie pozostawał obojętny, ale po prostu siedział na swoim niebiańskim tronie, czekając na okazję, żeby wyciąć ludziom jakiś kawał. W żaden inny sposób nie dawało się wytłumaczyć, dlaczego właśnie ona, ze wszystkich kobiet na świecie, została jego mimowolną wyzwolicielką.

Ciekawe, że występowała pod prawdziwym imieniem. Rozumiał, dlaczego musiała ukryć nazwisko rodowe; Carr kazałby ją wychłostać i wygnać z pałacu, gdyby się dowiedział. Po prostu się nie spodziewała, żeby ktoś pamiętał imię „Favor”. I rzeczywiście, 7 - Ostatni bal

97

kto mógłby pamiętać, że chuda dziewczynka, która uratowała mu życie dziesięć lat wcześniej, miała na imię „Favor”? Z pewnością nikt z otoczenia Carra nie pytał o imię tego dziecka. Oprócz jego samego - a i to w parę miesięcy później, kiedy rany się wygoiły, a dziewczynka znikła.

Zamknął oczy; wyborne porto nie wystarczyło, żeby splukać z warg delikatny smak ust dziewczyny. Gdyby miała na imię Sal, Peg albo Annę, może zrobiliby dokładnie to, co zdaniem Favor planował, i rzuciłby ją na łóżko.

Myliła się jednak pod pewnym względem: nie zrobiliby tego z zemsty.

Został oszukany i wykorzystany tyle razy, że jej małej zdrady nie uwzględnił nawet na swojej liście priorytetowych spraw do załatwienia. Zabawne, doprawdy, iż w oczywisty sposób męczyło Favor poczucie winy. Gratulacje dla świątobliwych siostrzyczek.

Wziąłby ją, ponieważ pragnął tej kobiety.

Pożądanie i tęsknota, które trzymał na wodzy, odkąd go opuściła, raptownie odżyły, dając też fizyczne oznaki. Oddychał

głęboko, czuł napięcie w mięśniach. Nie zamierzał jej mówić, jak go urzekła, że jej obraz budził w nim pragnienie zbliżeń cielesnych. Nie zamierzał dawać dziewczynie do ręki podobnej broni.

Z drugiej strony, wciąż była na tyle dzieckiem, żeby nie zdawać sobie sprawy, co to za broń.

Zmarszczył brwi. Jak wytłumaczyć tę niesamowitą mieszaninę niewinności i wyrafinowania? Szczere, bezpośrednie spojrzenie i wypracowane kłamstwa? To było zagadkowe i do tego podniecające. Niemal tak bardzo, jak jej słodkie ciało.

Poczuł znowu dotyk aksamitnych piersi, sprężystość ciała, pocałunek.

Chciał więcej.

Ale, do diabła, nazywała się Favor McClairen i miała wszelkie powody, żeby go nienawidzić, nawet życzyć mu śmierci. Jedyna 98

dziewczyna na świecie, której powinien pomagać w każdy możliwy sposób.

Dziewczyna, której zrujnował życie.

naciągnąć go do bramy!

Sznury, którymi związane mu nadgarstki, napięły się, zwałając go z nóg. Upadł twarzą na oszronioną ziemię; kawałki lodu wbiły się w brodę i czoło. Nie miał nawet siły, żeby odwrócić głowę.

- Wstawaj, ty angielski bękarcie! Do góry, gnojku! - Kopnięto go w bok twardym obcasem, łamiąc to, co było tylko pęknięte.

Jęknął. Tylko tyle mógł zrobić. Czyjeś ręce chwyciły go za ramiona, stawiając na nogi. Zachwiał się. Złapało go jeszcze więcej rąk, wlokąc w stronę łukowatego wejścia do starej wieży. Tam go postawili, chwiejącego się i prawie nieprzytomnego, pod zębami uniesionej do góry metalowej kraty. Znowu poszły w ruch łokcie i pięści, nie żałując razów; w uszach brzmiały gniewne głosy; smród spoconych ciał i odór zielono-czerwonych pochodni wypełniały mu nozdrza. '

W ustach czuł słaby, metaliczny smak. Krew zakrzepła mu na wargach i ciekła z brody, krwawiło też oko. Koszulę upstrzyły czerwone plamy.

- McClairenowie! - Teraz krzyczeli; w ich głosach dzwięczał

tryumf. - McClairenowie! Wyjdźcie do nas!

Wysoko nad głową usłyszał cichy kobiecy głos:

- O co chodzi? Kogo szukacie?

Ktoś pchnął go silnie w plecy, upadł na kolana. Za nim odezwał się chrapliwy głos:

- Szukamy McClairenów!

Spojrzał z trudem w bok i zobaczył wychudłą postać w łachmanach; wściekłość na twarzy pozbawiała tę osobę nie tylko płci, ale także wszelkich cech ludzkich. To do niej należała laska, którą złamano pierwszą na jego ramionach.

- Nie ma klanu McClairenów- odparła kobieta, do której się zwracano, tym razem jeszcze słabszym głosem.

- Nie, pani, mylisz się! - odezwał się jakiś mężczyzna. - To my jesteśmy tym klanem. Anglicy mogą wyganiać nas z domów i palić wraz z naszymi gospodarstwami. Mogą nas grabić i dręczyć, ale my żyjemy. My jesteśmy McClairenowie i przyprowadziliśmy wodzowi angielskiego gwałciciela, żeby go nauczyć szkockiej sprawiedliwości.

- Co? Jak to? Kim jest ten chłopiec? - zapytała kobieta. Jej drżący głos wzniósł się, jakby odzwierciedlał strach Raine'a.

- Diabelski pomiot Carra, który zostawił własne nasienie pod habitem zakonnicy! - wrzasnęła kobieta w łachmanach. -

Dziewczyna jest z McClairenów!

- Dobry Boże, czy to syn Carra?

- Tak. Carra, który nas zdradził i oszukał, który odebrał nam kobzy i pledy, ukradł nasze ziemie i zabił niejedną, ale trzy żony!

Dość już! Tego nie ścierpimy! Chcemy sprawiedliwości!

Tłum zaryczał z aprobatą.

- Przyślij tu wodza, żebyśmy mogli znowu poczuć się dumni!

- Głupcy! - krzyknęła kobieta tak rozpaczliwie, że Raine'owi wróciła na chwilę przytomność. - Zamordowaliście... moich synów!

- McClairenowie! McClairenowie! - skandowali za nim, coraz głośniej i szybciej, zagłuszając nawet dzwonienie w jego uszach.

Usiłował podnieść głowę i powiedzieć im prawdę: nie zgwałcił Merry. Owszem, znaleźli ich razem, Merry naga, jego prawie rozebranego, ale to nie był gwałt. Oskarżyła go ze strachu, bojąc się tego, co by ją czekało, gdyby odkryli, że dobrowolnie oddała się synowi Carra.

Powie im. Również to, że nie był pierwszym, który uniósł habit nowicjuszki. Otworzył usta. Nie wydobył z siebie ani słowa.

Zdawał sobie sprawę aż za dobrze, co spotkałoby Merry z ich rąk, gdyby zaczął mówić. Wyznałaby prawdę. Zostałaby wtedy zgwałcona przez wszystkich mężczyzn. Gwałciłiby ją tak długo, aż w końcu pewnie by umarła.

Nie wiadomo skąd na jego obolały bok spadła pięść. Świat zawirował, złe twarze rozpląły się w wielką, naznaczoną płomieniami plamę światła i cienia.

Poza tym, pomyślał półprzytomnie, ja już jestem prawie martwy. Czy dużo bardziej to może boleć?

Zarzucono mu pętlę na szyję, szorstki sznur z konopi, który natychmiast przesiąkł jego krwią. Więcej rąk. Pchnięcie. Znowu się potknął; znowu postawiono go na nogi.

- Nie!

Nowy głos. Młody. Bardzo młody. Głos dziecka rozlegający się jasno i wyraźnie ponad gardłowym pomrukiwaniem tłumu.

- Nie, nie możecie tego zrobić!

W tłumie rozszedł się pomruk.

- To córka McClairenów.

- Mała córeczka wodza.

Czuł, że tłum zwrócił zainteresowanie na coś innego; zafalował, kiedy ktoś przez niego przechodził. Wysilił wzrok, usiłując coś dojrzeć. Nie rozumiał, co się dzieje, oczekiwał podświadomie, że lada chwila straci oparcie pod stopami i zawiśnie na bramie.

- Nie, mówię wam! Nie możecie go zabić. Moja matka, żona waszego wodza, błaga, żebyście go uwolnili.

- Dziecko oszalało. Nieszczęście odebrało jej rozum. Idź do jej matki, Colin, i dowiedz się prawdy. - Potężny młodzieniec przepchnął się obok Raine'a, kierując się do wieży.

- Nie oszalałam! Moja matka błaga, żebyście oszczędzili tego chłopca. *Zycie moich braci od tego zależy.*

W tłumie rozległy się niezadowolone głosy.

- Gdzie zatem jest twoja matka, dziecko? - zapytał ktoś.

- Nie żyje! - Głos dobiegł z okna wieży. - Pani wykrwawiła się na śmierć!

Dziewczynka wybuchła rozpaczliwym szlochem. A Raine'owi zrobiło się jej żal, ponieważ było jasne, że złożyła obietnicę przy łożu umierającej, której nie mogła dotrzymać. Dzieciom trudno się z czymś takim pogodzić.

Próbowała.

- To więcej, niż była w stanie wytrzymać. Urodziła mi martwego brata, a potem patrzyła, jak chcecie sprowadzić śmierć na jej pozostałych synów. Z ostatnim tchnieniem posłała mnie, żebym was powstrzymała. Czy nie możecie uszanować woli umarłej?

Tłum jednak usłyszał tylko, że pani z rodu McClairenów umarła w tej nędznej wieży, w której schronił się ich wódz, podczas gdy wróg żył sobie wygodnie tam, gdzie powinien znajdować się jej dom. A syn wroga był teraz w ich mocy.

- Umarła? Słyszeliście? Pani McClairen nie żyje! Ciągnijcie za sznur! Wciągnąć go wysoko! Niech kopie!

Raine nagle poczuł, że ktoś mały wpada na niego, obejmuje chudymi ramionami i wtula twarz w jego pokrwawioną koszulę.

Głosy wokół ucichły. Tłum się uspokoił, ludzie byli zaskoczeni takim obrotem sprawy.

- Nie pozwolę wam go zabić - oświadczyła porywcz. - Moi bracia siedzą w londyńskim więzieniu, a mój tata jedzie tam w tej chwili, prosić króla o łaskę. Jeśli zabijecie tego tutaj, zabijecie moich braci, takjakbyście sami użyli na nich topora!

Ledwie mógł ustać z dzieckiem, które do niego przywarło, i z rękoma mocno związanymi na plecach. Tłum poruszył się niepewnie; żądza krwi jakby przygasła na widok dziewczynki w białej nocnej koszuli, przytulającej się ze wszystkich sił do wysokiego, zmaltretowanego chłopca.

Próbował się uśmiechnąć, bezskutecznie, po czym szepnął

w mięką jak u kota główkę, którą miał pod brodą: 102

- Odejdź. Nie dadzą mi przeżyć tej nocy, a twoi bracia już są martwi. W Londynie nie ma litości dla szkockich górali.

- Drań mówi prawdę! - stwierdziła chuda Szkotka. - Odsuń się, dziewczyno. Nie wiesz, kim on jest, nie rozumiesz, co się dzieje. Odejdź!

Ramiona dziewczynki objęły go mocniej w pasie, przylgnęła całym ciałem jak skorupiak do kadłuba okrętu.

- Nie! Przysięgam matce!

- Zabrać ją.

Nikt jednak nie chciał położyć ręki na ostatnim żyjącym dziecku McClairenów. Stali tak, jak się wydawało Raine'owi, przez wieki, zastygli w miejscu niczym postaci żywego obrazu, oczekując śmierci.

Śmierć nie zawiodła.

Przybyła wraz ze stukotem końskich kopyt na zmarzniętym gruncie, w ponurym blasku pochodni zbliżającym się ku nim czarną drogą.

- Czerwone kurtki!

Tłum jakby w uniesieniu odwrócił się od Raine'a, chwytając piki i pałki, zakazane miecze i kije. Ludzie poruszyli się, spiesząc na spotkanie nadjeżdżającym oddziałom. Raine patrzy! na to, ledwie świadomy tego, że dziewczynka zdejmuje mu pętlę z szyi.

A potem żołnierze znaleźli się tuż przy nich. Konie młóciły ciemność śmiercionośnymi kopytami, miecze cięły ludzkie ciała, pałki łamały kości. Przeszywający krzyk, stękanie, spocone, brudne twarze, pełne napięcia i zaciekłości.

Zamrugnął oczami, usiłując pozbyć się zakrzepłej krwi i spojrzął na dziewczynkę. Drżała tak gwałtownie, że słyszał, jak szczęka zębami, patrząc z przerażeniem na masakrę.

Skończyło się szybko. Niewiarygodnie szybko. Przed chwilą noc rozbrzmiewała odgłosami zażartej walki, teraz zaległa złowroga cisza. Wokół leżeli martwi i dogorywający Szkoci. Paru żołnierzy chodziło między nimi, dobijając rannych.

- Czy on żyje?

103

Raine podniósł głowę, usiłując dojrzeć właściciela znajomego głosu, a mianowicie ojca, pytającego o jego stan z całkowitą obojętnością. Kto by jednak pomyślał, że ojciec w ogóle pośpieszy mu z pomocą?

- Tak. - Inny znajomy głos, nabrzmiały troską. Ashton, jego brat, zawsze usiłujący uchronić Raine'a przed jego własną porywczą naturą. - Jest tam.

Chwila milczenia.

- A kto to jest obok niego?

- Córka McClairena. - Raine usłyszał odpowiedź jednego z żołnierzy.

- Och - odezwał się Carr ożywionym tonem, zdradzającym zainteresowanie, którego w nim nie było, kiedy się dowiedział, że Raine żyje. - Skąd wiesz?

- Jest tutaj Szkotka, która przeklina tę dziewczynę. Mówi, że gdyby nie ona, powiesiliby Raine'a Merricka i odeszli, zanim przybyliśmy.

Dziewczynka uniosła gwałtownie głowę.

- Nie - szepnęła.

- Czy mam ją zabić?

- Dziewczynę czy szkocką wiedźmę? - spytał ojciec Raine'a.

- Nie. Nie zwracaj sobie głowy. Kobieta jest za stara, żeby płodzić więcej McClairenów. Daj jej odejść. A co do dziewczyny...

Przypuszczam, że należy ją uważać za poddaną korony? A teraz, w pewnym sensie, moją podopieczną?

- W rzeczy samej - odparł żołnierz niepewnym głosem.

- Tak jak myślałem. - Carr westchnął. Wyłonił się z ciemności, ostrożnie manewrując koniem między ciałami leżącymi na zmarzniętym gruncie. Zatrzymał się, wpatrując się w dziecko obok Raine'a, kompletnie ignorując syna.

- Nie ruszaj jej - wychrypiał Raine.

Carr spojrział na niego.

- Zapewniam cię, nie mam zamiaru brudzić się, dotykając jej, a co do twojego tonu, mój chłopcze...
Cóż, dostarczyłeś 104

mi pretekstu, żeby oczyścić moje ziemie z resztek McClairenów.

W istocie, dzięki tobie, Raine, nie ma już żadnych McClairenów. - Dziewczynka jęknęła przejmująco i Carr spojrział na małą figurkę skuloną u stóp Raine'a, - Dzięki tobie także, moja droga.

Podprowadził konia bliżej. Ściągnął brwi w zamyśleniu i zapytał:

- Dlaczego uratowałaś mojego nic niewartego syna?

Dziewczynka podniosła głowę, jej oczy lśniły od łez w świetle latarni.

- Nie z miłości do ciebie, panie, ale żeby uratować życie moich braci.

Ojciec Raine'a wpatrywał się w nią przez sekundę, a potem odrzucił *do* tyłu głowę i wybuchnął

śmiechem. Żołnierze doko

ła, którzy przeszukiwali ubrania martwych Szkotów jak szakale grzebiące w padlinie, skierowali na Carra zdumione spojrzenia.

Raine się zachwiał, ogarnęły go mdłości. Wiedział, dlaczego ojciec się śmieje. Mógł być tylko jeden powód. Zamknął oczy, ponieważ nie zniósłby wyrazu twarzy dziecka, kiedy to usłyszy.

- Ależ, moja droga, czy nikt ci nie powiedział? Nie wiedzia

łaś?

- Nie wiedziałam czego? - szepnęła.

- Cóż, że w tej właśnie chwili głowa Johna McClairena zdobi szpic nad Bramą Północną.

Raine miał oczy zamknięte, ale nie mógł zatkać uszu. Tylko dziecko może wyrazić taką rozpacz. Ta mała w jedną noc straciła matkę, brata i klan, który pomogła zniszczyć.

Z jego powodu.

Obudził się raptownie, cały spocony, jakby jego ciało nawet teraz, tyle lat później, odrzucało wydarzenia tamtej nocy. Usiadł

wygodnie, patrząc na morze.

Bez względu na to, czy Favor McClairen była tutaj, żeby polować na męża, jak twierdziła, czy z jakiegoś innego powodu, pomo

że dziewczynie i nigdy więcej nie będzie jej grozić ani straszyć.

105

L^arr siedział bez ruchu, podczas gdy nowy służący kończył

golić mu głowę pod nową perukę. Niski mężczyzna - Randall?

Rankle? - włożył Carrowi perukę i podał mu stożek srebrnej folii. Carr podsunął go do twarzy; puder opadał wokół niego pachnącą chmurą, pokrywając perukę cieniutką warstwą bieli. Rankle odczekał parę minut, aż pył opadł, a potem ostrożnie usunął

kapę osłaniającą ubranie Carra.

- Wasza lordowska mość wygląda wspaniale - oświadczył.

Car strzepnął maleńką grudkę pyłku z rękawa.

- Rankle - odezwał się zaintrygowany - czy ty właśnie pozwoliłeś sobie na ocenianie mojego

wyglądu? Nie myślę się, prawda? Mój Boże, do czego ten świat zmierza, jeśli służba nieproszona wygłasza opinie na temat wyglądu lepszych od siebie?

Powiniennem cię wychłostać za tę impertynencję, ale że to zniszczyłoby zapewne efekt twoich długotrwałych zabiegów, oprę się pokusie. Tym razem.

Doprawdy, najpierw ta wspaniałomyślność wobec Tunbridge'a, teraz wobec służącego. Staję się sentymentalny.

Wstał i wyciągnął ręce w bok, czekając cierpliwie, aż służący wsunie na nie rękawy nowego kubraka. Fiołkowy brokat; w tym kolorze było mu wyjątkowo do twarzy.

- A zatem - ciągnął Carr, podczas gdy Rankle poprawiał kołnierzyk - zapamiętaj to sobie, że jestem w pełni świadomy, iż wyglądam wspaniale. W istocie, zainteresują mnie twoje cenne uwagi dotyczące stroju tylko wtedy, gdybym przypadkiem nie wyglądał wspaniale.

- Przepraszam, panie, bardzo mi przykro!

Na tym polega kłopot z nowymi służącymi - tak niewiarygodnie dużo czasu potrzeba, żeby ich wytresować, pomyślał

Carr z westchnieniem. Sięgnął po rękawiczki i z całej siły ude-

rzył nimi Rankle'a w twarz. Kryształowe paciorki na mankiecie przecięły policzek człowieczka. Podniósł rękę do rany, patrząc na Carr'a ze zdumieniem. W jego oczach błysnęło coś, jakby -

na Boga! - gniew. Niemożliwe. Stworzenia takie jak Rankle nie odczuwają gniewu. Uciekają.

- Nie pytałem cię, czy ci przykro. Przekazałem ci swoją opinię. A ty mi przerwałeś. A więc, Rankle, jeśli kiedyś zdarzy mi się wyglądać mniej wspaniale, zostaniesz zwolniony. Wyobrażam sobie, że znalezienie zatrudnienia w tych okolicach, bez listu polecającego, byłoby odrobinę utrudnione.

Mały służący drgnął.

- A teraz odejdz - powiedział Carr. - Postanowiłem, że nie wezmę udziału w dzisiejszej kolacji. Zawiadom moją córkę. -

Służący się skłonił i oddalił pośpiesznie.

Carr podszedł do ściany zasłoniętej zielonym aksamitem i pociągnął ozdobny sznurek. Materiał, falując, rozsunał się na boki. Okalał teraz z dwóch stron portret, naturalnej wielkości, pięknej kobiety. Lord postąpił krok do tyłu, przyglądając mu się z czułością.

- Janet, kochanie, dlaczego teraz?

Nie potrzebował starej Cyganki, Pali, żeby mu mówiła o tym, co wiedział w głębi serca, co czuł każdej nocy od dziesięciu lat.

Janet była tutaj, przyglądała mu się. Przyzwyczył się do tego. To mu nie przeszkadzało ani specjalnie nie interesowało. Pożytki z ducha są, ostatecznie, ograniczone.

Ale to, co Pala ostatnio powiedziała, że duch może nawiedzić cudze ciało i w pewnym sensie ożyć i że Janet właśnie tak postąpiła, by raz jeszcze przyjść do niego w cielesnej postaci... Jeśli znalazła nowe schronienie dla swojej duszy, musiał je odkryć, zanim na dobre opuści ten przeklęty zamek.

Z pewnością zostawiła swój szal, żeby przekazać jakąś wiadomość. Ale jaką? Czy w tym geście krył się wyrzut?

Carr podniósł wieko skrzyni stojącej pod obrazem. Zawierała trochę złota, parę klejnotów oraz resztki szala, zwanego arisaid.

107

W noc śmierci Janet wydawał pierwsze po renowacji zamku przyjęcie. Najważniejsi przedstawiciele londyńskiej socjety odbyli żmudną podróż ze stolicy, żeby w nim uczestniczyć. Wśród nich był także osobisty sekretarz króla. Kłopoty, niestety, zaczęły się, kiedy poszedł szukać swojej pięknej żony na krótko przed tym, jak goście mieli zasiąść do obiadu.

Znalazł ją - wraz z dziećmi - na klifach. Zrozumiał w końcu, że miał swój udział w... trudnościach, których doświadczył jej klan. W przypiływie złości przysięgła, że wystąpi w barwach swojej rodziny na przyjęciu - na znak lojalności - wiedząc przy tym doskonale, że prawo zabraniało noszenia arisaidu. I to w obecno

ści królewskiego sekretarza!

Przypieczętowała swój los.

- Stawiając sprawę uczciwie, Janet - mówił do jej podobizny

- czy nie było dość niezwykle, że odkryłaś moją „dwulicowość”

w dniu, w którym wydawałem być może najważniejsze przyjęcie mojego życia? Tak. - Pokiwał głową. - Mogłaś równie dobrze sama skoczyć z tego głupiego klifu, nie czekając, aż cię zrzucę.

Zrobiłabyś to, żeby zepsuć przyjęcie, prawda? Aleja przekreśli

łem twój sprytny plan, czyż nie?

Dotknął niedbale jedwabnego szala palcami.

- Co miałaś na myśli, rzucając go tak, żebym go znalazł. Janet? Nigdy nie odznaczałaś się subtelnością. Byłaś męcząco prostolinijna, prawdę mówiąc. O co więc chodzi?

Zamyślony, pomachał przed portretem oddartą połową szala.

Być może, gdyby nie umarła tamtej nocy, nie poczułby się zmuszony do poślubienia kolejnych dziedziczek; może nie pomógłby im rozstać się z tym światem i nie zostałby w rezultacie wygnany z Londynu.

Naprawdę mógł mieć do niej pretensję.

Może Janet zrozumiała swoją winę.

- Czy zostawiłaś to w charakterze przeprosin? Coś w rodzaju:

„Proszę, weź to paskudztwo. Spowodowało dość zmartwień”.

Spodobało mu się to wyjaśnienie.

108

- To sensowne. To znaczy, szal nie jest konieczną rzeczą, którą się podkłada komuś, żeby go przerazić. To jest, na Boga, szal, a nie zakrwawiona gałka oczna, pulsujące serce czy coś podobnie obrzydliwego.

- Och, ojczu, proszę uprzedź mnie, kiedy będziesz próbował

kogoś przerazić. Natychmiast się oddałę - odezwał się za nim delikatny kobiecy głos. Carr odwrócił się gwałtownie.

Fia stała w drzwiach, z rękami założonymi na podołku. Mia

ła na sobie wyjątkowo *nieskromną* suknię. Inna młoda kobieta w takim stroju wyglądałaby jak kurtyzana. Na Fii ledwie zwraca

ła się uwagę na granatową satynę.

Ojciec i córka mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Pod cienką warstwą jaskrawego makijażu twarz Fii była doskonale opanowana. Widział kiedyś orientalną lalkę, porcelanowy odpowiednik postaci z teatru. Było to wspaniałe dzieło rzemiosła, najświetniejsze, jakie miał okazję oglądać. Jednak było coś niepokojącego w lalce, która wyobrażała, w gruncie rzeczy, żyjącą lalkę, coś jakby *odbicie w odbiciu*. Kiedy patrzył na córkę, miał dokładnie takie samo wrażenie.

- Jak długo tu jesteś, szpiegując mnie? - zapytał.

Uniosła brew w kształcie skrzydła.

- Nie szpiegowałabym cię, Carr. Nie znasz starego powiedzenia: Ten, kto słucha pod drzwiami, nie usłyszy nic dobrego o sobie?

Mówiła tonem obojętnym, jej świetliste niebieskie oczy nie wyrażały żadnych uczuć. Podczas gdy kiedyś dzieliła z nim każdą myśl, teraz zamknęła się za maską obojętności.

- Czego chcesz?

- Ten mały człowiek, Rankle. Powiedział, że nie przyjdiesz na kolację. Pomyślałam, że może zachorowałaś. Przyszłam sprawdzić. - W jej głosie nie było troski ani nawet szczególnego zainteresowania. - Wybacz moje wścibstwo, ale czy ona ci odpowiada? - Podniosła wzrok na podobiznę Janet.

Carr szarpnął zasłony, ukrywając obraz.

109

- Mówienie przed obrazem to nie to samo, co mówienie do obrazu, Fio.

- Nie? Dzięki za wyjaśnienie tej subtelności.

Gładka, zachwycająca twarz córki nie odzwierciedlała żadnych uczuć. Bardzo dobrze. Jego dwaj synowie mieli gorące głowy i rządziły nimi emocje; obaj okazali się w ostatecznym rozrachunku niewarci zachodu.

Fia była inna. Fia była, podobnie jak on, drapieżnikiem.

Nigdy nie dopuściłaby, żeby cukierkowy sentymentalizm za

ćmił jej osąd, czy też jakieś tam pryncypia odwiodły od celu -

tym celem było znalezienie najświetniejszej partii jakiego widziało angielskie społeczeństwo - co tam! - europejskie społeczeństwo!

On także zyska na tym, będzie miał władzę, prestiż i pieniądze.

Tak duże, że nigdy nie będzie musiał tracić ani chwili swojego życia na myślenie o nich.

- Co trzymasz w ręku? - zagadnęła Fia.

- Kawałek szala, który Janet miała na sobie w dniu, w którym umarła.

- Nie powiesz mi, że jej duch zostawił to dla ciebie? - Dziewczyna roześmiała się, a potem, odczytując wyraz twarzy ojca z przerażającą trafnością stwierdziła: - Na Boga, jestem pewna, że się nie pomyliłam. - Wyciągnęła rękę, opuszkami palców szybko przesuwając po jedwabiu i równie szybko cofając rękę. - Wiesz

- powiedziała chłodno. - Bardzo bym chciała zobaczyć ducha matki. Jeśli będziesz miał kiedyś okazję gawędzić z przezroczystą damą, powiedz jej, że czekam.

- Kpisz sobie ze mnie? - zapytał swoim najbardziej surowym tonem.

Przyglądała mu się spokojnie.

- Być może.

To było nie do zniesienia, a jednak nie odważył się jej spo-liczkować z powodu, który zdenerwował go dużo bardziej niż jakiegokolwiek słowa przez nią wypowiedziane. Nie uderzył jej, nie wiedział bowiem tak naprawdę, do czego jest zdolna. Z pewnością do zemsty. Może do czegoś więcej.

- Zejdź na d ó ł - polecił. Czekał, nienawidząc niepewno

ści, którą czuł. Nigdy przedtem *nie* okazała nieposłuszeństwa wprost. Wkrótce jednak to nastąpi. Przedtem powinien wydać ją za mąż. - Moi goście nie mogą się poczuć zaniedbani.

- O tak. Potrzebują wodzireja, żeby im przewodził w rozpuście.

- Niedługo zejdę.

- Mam nadzieję. - Fia zamierzała odejść, ale zatrzymała się jeszcze. - Jest tam dama, która dotkliwie odczuwa twoją nieobecność. Była w rozpacz, kiedy usłyszała, że zrezygnowałeś z kolacji.

Carr uznał to za interesujące. Czyżby ona? Janet?

- Dama? - zapytał. - Jak ta dama wygląda?

Fia spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Starsza. Jeszcze nie całkiem wiekowa, ale zdecydowanie czcigodna.

Ogarnęła go zgroza. Janet zmarła w pełnym rozkwicie kobiecości. Myśl, że mogłaby zechcieć zamieszkać w ciele choć trochę mniej pięknym niż jej własne, uznał za niedorzeczną. Nie mogła mu tego zrobić!

- Kim jest ta dama?

- Pani Diggle? Douglas? Ugrzecznona stara kocica o łagodnych manierach. Nie jak twoi zwykli goście.

- Douglas- powtórzył Carr, uspokojony. Znał tę damę.

Trudno byłoby sobie wyobrazić kogoś mniej odpowiedniego do porównania z Janet. - Nie, nie jest podobna do moich zwykłych *gości*, *jednak jej* bratanek z pewnością jest i *to* właśnie ze względu na niego ona i jej podopieczna znalazły się tutaj.

- Tak? - rzuciła Fia obojętnie.

- Tak. Spędził tutaj wiosnę. Pamiętasz go - powiedział chytrze Carr, dostrzegając okazję, żeby odpłacić córce za jej kpiny. -

Thomas Donnę.

Fia nigdy się nie zwierzała ze swojego zauroczenia wysokim Szkotem. Nie musiała. Każdy unik, każde spojrzenie, każda sztywna wymiana zdań, jaką Carr usłyszał między nimi, zdradza

ły historię pierwszej ogromnej namiętności młodej dziewczyny.

Tak jak nagłe i całkowite milczenie córki na tematy z nim związane zdradzały zupełnie inną historię.

Carr był usatysfakcjonowany. Źrenice Fii zwęziły się lekko, delikatne nozdrza nieznacznie zbladły. Niemal niedostrzegalna reakcja, jeśli ktoś nie szukał jej oznak.

- Oczywiście - odparła szybko. - Teraz ich pamiętam.

- Pani Douglas opiekuje się młodszą siostrą Donne'a, panną. .. panną Favor, jak mi się wydaje. - Wyteżył pamięć, żeby dopasować twarz do imienia i przypomniał sobie niejasno ładną, dobrze ubraną dziewczynę, zdumiony, że aż tyle pamięta. Nie zwracał większej uwagi na dziewice, nawet te bogate. W końcu, po co? Nie mógł się ponownie ożenić, a ponieważ Favor Donne nie uprawiała hazardu, a on nie mógł dostać się do jej pieniędzy w żaden inny sposób, nie zwracał sobie nią głowy. - Jaka ona jest? - zapytał Carr, leciutko przekręcając nóż w ranie. - Podobna do brata?

- Nie przypominam go sobie aż tak dobrze - odrzekła Fia gładko. - Panna Favor jest niewysoka. Ładna. Czarne włosy, agresywne spojrzenie, mały, ciemnowłosy wojownik. Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że ona również pytała jednego z gości o ciebie.

Ładna? Czarnowłosa? I do tego pytała o niego.

- Wiesz, Fia - powiedział. - Zmieniłem zdanie. Chyba jednak będę na kolacji.

Wysoko nad salą balową, ukryty na galerii pomiędzy łukowatymi przyporami, stał Raine, przyglądając się widowisku w dole. Tłum mieszał się jak odłamki wielobarwnego szkła w kalejdoskopie. Zapach ciał, wraz z wonią potu i perfum, unosił się w dusznym powietrzu. Szum był nieustający jak uderzenia fal o skały Wyspy McClairénów.

Mimo że ze swojego punktu obserwacyjnego tylko czasem dostrzegał uniesioną do góry twarz, w końcu udało mu się zauważyć dwie *postaci*, które go interesowały. Najpierw znalazł

Carra we wspaniałym, fioletowym stroju, trzymającego się tak prosto, jak zawsze, gestykulującego z umiarkowaną swobodą, eleganckiego w sposobie bycia i opanowanego.

Będąc dzieckiem, Raine marzył o tym, żeby umieć chociaż w małym stopniu zachować taką zimną krew jak ojciec. Carr ośmieszał jego wysiłki, radząc nie tracić czasu na tak beznadziejny cel. A kiedy stało się jasne, że nic, co by Raine zrobił, nie zyska uznania w oczach ojca, zaczął szukać innych sposobów, żeby zwrócić jego uwagę. Nie mógł sobie przypomnieć całego zła, którego się dopuścił w tym celu: dokuczanie miejscowym, bójki po pijanemu, zwariowane hulanki. Wszystko po to, żeby go urazić, rozzłościć, postawić w kłopotliwej sytuacji; żeby uzyskać jakąś reakcję - jakąkolwiek reakcję - z jego strony.

Raine uśmiechnął się ze smutkiem. Pięć lat wcześniej te wspomnienia wzbudziłyby w nim gorycz. Wtedy jeszcze Carr był dla niego kimś ważnym. Teraz już go nie obchodził, nawet na tyle, żeby budzić nienawiść.

Przyglądał się ojcu obojętnie. Nadal przystojny, o nienagannej postawie i pełen wdzięku. Gestykulował gładko jak zwykle, z twarzą uprzejmą i pozbawioną wyrazu. Mimo dzielącej ich odległości Raine dostrzegał jednak lekkie zwiótczenie niegdyś 8-Ostatni bal 1 1 3

napiętej skóry twarzy, zwisający fałd pod kwadratową szczęką i opuchliznę pod oczami. Nawet żelazna wola Carra nie powstrzyma skutków upływu czasu.

Wzrok Raine'a wędrował dalej, dopóki nie napotkał Favor. Metry jaskrawożółtej, w kolorze żonkili, materii spowijały kształtną sylwetkę dziewczyny; pozbawiona blasku czerń ufarbowanych włosów przywodziła na myśl węglowy pył. Przesuwała się w tłumie, nie ustępując na boki, jakby szła wąskim korytarzem bez drzwi i okien, z jednym tylko wyjściem gdzieś w oddali.

Trudno to nazwać prowokacyjnym zachowaniem, ale i tak zwracała uwagę. Wśród mężczyzn dał się zauważyć ruch o zdecydowanym kierunku. Za Favor już formowała się procesja. Ledwie zauważalna, rzecz jasna; głupcy nie dołączali do niej, jednak Favor niewątpliwie gromadziła świtę.

Rozumiał, na czym polegał jej urok. Coś w niej było. Nie chodziło o to, że miała zgrabną figurę, a także, przyznał, wcale niebrzydką twarz. Coś w niej wyzywało, prowokowało czy też inspirowało mężczyzn...

Inspirowało?

Za długo siedział w więzieniu. Tylko tak dało się wytłumaczyć jego zainteresowanie Favor McClairen. Ponieważ uratowała mu życie, obdarzył ją cechami, których najprawdopodobniej nie miała.

Jeśli Favor go inspirowała, to jedynie wzbudzając w nim żądzę. Było piekielnie denerwujące, że kobieta, której pragnął zdrzeć spódnicę, nazywała się McClairen. To wszystko komplikowało. Powodowało, iż poczucie obowiązku musiało walczyć ze zwierzęcym instynktem.

Obowiązek zwyciężył. Ostatecznie to, że miał dług wdzięczności wobec drugiej osoby, zwłaszcza takiej, której z jego strony należał się szacunek, było dla niego czymś wyjątkowym. Pożądanie nie było.

114

Ponownie skupił uwagę na Favor. Kobieta koczująca u boku dziewczyny musiała być jej opiekunką. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby sobie wyobrazić mniej efektywnego smoka do obrony tej damulki. Po krótkiej obserwacji zmienił zdanie. Niewielu mężczyzn, kroczących za Favor, zdołało do niej podejść.

Najwyraźniej starucha dopuszczała tylko tych, którzy odpowiadali jakimś wymogom ustanowionym przez nią albo samą Favor.

Bez względu na kryteria, pomyślał szyderczo Raine, moje imię z pewnością nigdy nie trafiłoby na listę możliwych kandydatów. Z drugiej strony, nie musiał się uganiać za Favor McClairen.

Miała do niego przyjść - wyciągnął zegarek - za jakieś dziesięć godzin.

- Oto twoje jedzenie - oznajmiła Favor nadąsana. Rzuciła węzełkiem w Raine'a, oczyma wyobraźni widząc piękną tłustą plamę na białej męskiej koszuli.

Nie wzięła pod uwagę jego szybkiego refleksu. Odwrócił się od okna, przez które wyglądał, i chwycił zawiniątko w powietrzu.

Przez rozchyloną koszulę widać było szczupłe ciało. Zauważyła pistolet za paskiem spodni. Podwinięte rękawy ukazywały mocne, opalone przedramiona. Natychmiast spuściła oczy, ogromnie zmieszana wspomnieniem dotyku tego ciepłego ciała. To nie było Dieppe. Nie był przykuty do ściany, a ona nie udawała już, że jest - kimkolwiek była - madame Noir.

Jaka szkoda, odezwał się kpiąco głos wewnętrzny.

- Oho, co za uprzejmość! - powiedział Raine. — Z takimi manierami, panno Donnę, jestem pewien, że drzwi domu twojego brata zaczną wkrótce pękać od natłoku kandydatów do twojej ręki.

Nie odpowiedziała, mruknęła coś, nie mogąc jednak stłumić uśmiechu. Jak dziwnie się zachowywał, jak... przyjaźnie. Natychmiast przywołała się do porządku.

Teatralnym gestem przycisnął dłoń do piersi.

- Przysięgam, kiedy twoje usta zaczynają drgać w ten sposób, moje serce bije jak oszalałe. Z pewnością ten, kto poinstruował

cię, żebyś szczydziła uśmiechów, znał ich moc. Bo gdybyś się kiedyś uśmiechnęła szeroko, niewątpliwie żaden mężczyzna nie byłby w stanie zapanować nad sobą. Ja sam nie odpowiadam za to, co mógłbym uczynić.

Parsknęła śmiechem, zaskoczona i zdumiona. Jeśli czegokolwiek się spodziewała po szantażyście, to z pewnością nie uroku czy zwariowanej wesołości. Sądziła, że położyjedzenie na środku pustego pokoju i wyjdzie. Nie przypuszczała, że będzie na nią czekał.

Odwzajemnił uśmiech, odsłaniając równe białe zęby. Znów ją zaskoczył, uśmiech napełnił bowiem jego oczy ciepłem i radością. Był to niezwykle pociągający uśmiech, rujnująco pociągający, szelmowski, któremu nie sposób się oprzeć. Człowiek o takim uśmiechu nie potrzebował ładnych rysów twarzy i świadomość tego otrzeźwiła Favor.

"Wyczuł, że się spieszyła i jego uśmiech stał się teraz powściągliwy.

- Wybacz mi te żarty. Na chwilę zapomniałem, jakie jest nasze wzajemne położenie i co nas tutaj sprowadziło.

- To, że ty jesteś szantażystą, a ja ofiarą?

Dołek w jego policzku pogłębił się jeszcze.

- Poczułem się urażony. Dziwnie brzmi słowo „ofiara”

w twoich ustach. Może to ma coś wspólnego z tym, że rzuciłaś mnie w Dieppe wilkom na pożarcie?

Zaczerwieniła się. Zadowolony z siebie, zajął się zawiniątkiem. Oparł wielki but o niski parapet i używając szerokiego uda jako stołu, rozsupłał węzełek. Kiedy pochylił głowę, koszula na piersi rozchyliła się jeszcze bardziej, ukazując zarysy twardych mięśni, które Favor tak dobrze pamiętała. Teraz były nawet wyraźniejsze. Prawdopodobnie jeszcze twardsze.

- Stek wołowy!

Podskoczyła. Spojrzał na nią ciepło.

- Niech będą błogosławieni Anglicy za ich zdrożną miłość do wołowiny. Nie przyniosłaś mi sztucców, kochana, co?

- Nie nazywaj mnie „kochana”. Nie, nie przyniosłam. Zastanawiałam się nad tym - odparła sucho - ale bałam się, iż komuś mogłoby się nie spodobać, że odchodzę od stołu ze srebrem.

Wierz mi, ściągnęłam dość zdziwionych spojrzeń, kiedy zsunęłam sobie kolację na kolana.

Wybuchł śmiechem.

- Naprawdę?

- Tak. Jak inaczej miałabym zdobyć dla ciebie jedzenie? Nie mogłam pojawić się w drzwiach kuchni z workiem i zażądać, żeby go napełniono resztkami. A już z pewnością nie mogłabym posłać służącej. Odkryto by twoją obecność w ciągu godziny.

Kiedy służąca wywacha jakiś sekret, nie spocznie, póki tego nie rozgada.

- Świetnie znamy obyczaje służby, nieprawdaż?

Oderwał kawałek mięsa i wpakował sobie do ust. Zmrużył oczy z przyjemności. Zuł wolno, smakując każdy kąsek. Zjadł i westchnął. Starannie zlizął z każdego palca sos przyprawiony burgundem.

Nigdy nie widziała, żeby ktoś czerpał taką radość zjedzenia.

To było fascynujące.

Miał długie palce, szczupłe i silne. Miękkie, ciemne włosy porastały je po wierzchu; gęściej rosły nad szerokimi, giętkimi nadgarstkami. Bardzo męskie były te ręce.

Zerknął w jej stronę i przyłapał na tym, że mu się przygląda.

Mrugnął okiem.

- *Cztery* lata spleśniałego sera i czerstwego chleba, maczanego w wodzie - wyjaśnił bez śladu goryczy. - Nigdy nie będę traktować lekceważąco przyjemności jedzenia. Chcesz trochę?

- Nie. - To zabrzmiało niepewnie. Powtórzyła: - Nie!

- Jak wolisz. - Wzruszył ramionami i wrzucił kolejny kawałek do ust. - Ciasto!

przedmiotami, i chciała od nich odejść. Nic nie zauważył, zbyt zajęty pożeraniem ciasta, które przyniosła - i zniszczyła, ciskając w niego. Miał piękne...

Skąd takie myśli? Zwariowała! To ten chytry, wewnętrzny głos. Ma przed sobą wroga!

Ale czy rzeczywiście? Albo czy ona, w gruncie rzeczy, nie jest wrogiem tego mężczyzny? Albo była kiedyś.

Od czasu Dieppe nie wyrządził mi żadnej szkody, przyznała w duchu. Przestraszył, owszem, ale nawet to, rozważała, mogło wynikać bardziej z mojego nieczystego sumienia niż jego poczynań. Poza tym, gdyby nie on, raczej nie obroniłabym się przed Orville'em...

Zmrużyła oczy, zastanawiając się teraz nad czymś innym.

Przecież Rafę powiedział, że może ją wydać.

Powinna powiedzieć o nim Carrowi. Niezwłocznie. A kiedy on, z kolei, będzie chciał ją wydać, uda zdumienie i litość.

Wszyscy uznają go za bredzącego szaleńca, wszak sam powiada, że zajmuje się poszukiwaniem bajecznego skarbu. To dobry plan, który trzeba wprowadzić w życie.

Wprowadziłaby już dawno, gdyby... Gdyby nie to, że Rafę nie wyrządził jej żadnej krzywdy, a ona jemu uczyniła wiele złego.

- Czy mam się spodziewać lada chwila zastępu lokajów z kijami? - Skończywszy ciasto, strzepnął okruszki z przetartych spodni. - Czy też postanowiłaś mimo wszystko zlitować się nade mną?

Słowa, które padły, idealnie się zgadzały z biegiem jej zdradzieckich myśli. Czuła się podła. Nie lubiła czuć się podła. Źle to znosiła.

- Przyniosłam ci jedzenie, prawda? - rzuciła oschle.

- Zawsze karmili więźniów trochę lepiej, zanim ich zabierali, żeby utopić albo poćwiartować.

Znowu ją przestraszył. Jak można całkiem spokojnie mówić o czymś takim?

118

- Nie powiedziałam nikomu o tobie.

- Nawet starej kocicy?

- Przepraszam?

- Twojej opiekunce?

Muira. Nie, nie rozważała nawet możliwości powiedzenia jej o Rafie. Stara kobieta nasłababy pewnie na niego Jamiego, żeby mu poderżnąć gardło. Nic nie może stanąć na przeszkodzie wielkim planom Muiry.

- Masz na myśli moją ciotkę. Nie. Nie wie nic o tobie.

Uśmiechnął się.

- Piękne dzięki.

Uciekła spojrzeniem, potem wróciła. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby znał bieg jej pokrętnych, paskudnych myśli, i zdjął

nogę z parapetu.

- Dobrze było.

Podniósł długie ręce nad głowę, kołysząc się w biodrach, i przeciągnął swobodnie. Poły koszuli zafalowały jak żagle. Poczucia gorąco oblewające szyję i odwróciła się, żeby rumieńcem nie sprowokować jakiejś głupiej uwagi.

- Jak idą poszukiwania skarbu McClairenów? - zapytała.

- Idą.

Rozejrzała się. Większość pudeł i kufrów została już otwarta.

Najwyraźniej zainteresował się także obrazami pod ścianą. Na przedzie stał portret ciemnowłosej damy. Wczoraj go tam nie widziała.

Była piękna, ubrana w srebrzystobłękitną, zwiewną wydekoltowaną suknię, odsłaniającą ramiona. Miała pogodną twarz, miły uśmiech i ładnie zarysowaną linię szczęki, znamionującą upór.

Dumne i władcze spojrzenie zdradzało silny charakter.

- Jak idzie polowanie na męża?

Jego słowa przywołały Favor nie tylko do tego, co się dzia

ło wokół, ale przypomniały też o zobowiązaniach. Jakże nienawidziła roli, którą miała odegrać w planie Muiry. Przez godzinę spędzoną tutaj nie pamiętała o tym. Może właśnie dlatego nie

doniosła na Rafe'a. Dawał jej chwilę wytchnienia, uwalniał od natrętnych myśli, nękających ją od wczorajszego wieczoru, gdy stanęła oko w oko z Carrem. Patrzył na nią w sposób osobliwy -

z chłodnym namysłem i zarazem łakomie.

- Jakoś idzie.

- Jacyś kandydaci?

- Być może.

Carr przyniósł jej poncz. Podziękowała mu, ale dalsze słowa uwięzły w gardle. Ten człowiek wymordował jej klan, a potem śmiał się, mówiąc, że głowa jej brata zdobi pikę w Londynie. Nigdy dotąd nie rozmawiali.

Wpatrywał się w nią uporczywie; leciutka zmarszczka przecięła jego świętokradczo szlachetne czoło. Musiała wyteńczyć całą wolę, żeby się nie cofnąć. Co nie wróżyło dobrze na przyszłość, gdyby łączyło ich małżeńskie łóżko.

Widziała Muirę kątem oka. Pod maską obojętnej uprzejmości triumfowała. Niemal wpadła w entuzjazm. Favor wkrótce wyszła z pokoju; Muira pośpieszyła za nią, chwając jej kokieteryę radosnym szeptem. Kiedy doszła do własnych komnat, zamknęła drzwi przed Muirą.

Być może przychodząc tutaj, ponownie „zamykała drzwi”.

Nawet jeśli Rafę stanowił jakieś niebezpieczeństwo i ryzyko, to przynajmniej narażała się na nie z własnego wyboru, niezależnie od McClairenow, Carra i Muiry. Tutaj był tylko on. I ona.

- Nie bierzesz pod uwagę Orville'a jako potencjalnego kandydata, co?

- Orville'a? - powtórzyła Favor.

- Myślałem, że może uznałaś, iż ma on najbardziej wypchane kieszenie, do których mogłabyś się dobrać, i mimo braku wdzięku dobrze będzie służyć twoim celom.

Nie zamierzała zdradzać mu nazwiska człowieka, za którego chciała się wydać. Rafę mógł być dla niej odskocznią, ale prawie nic o nim nie wiedziała. Nie narazi na ryzyko planów Muiry.

Poza tym on by się tylko śmiał. Albo, co gorsza, litowałby się nad 120

nią, czy nawet - do diabła z tym wewnętrznym głosem - poczułby do niej niechęć.

- Nie. Orville jest żonaty. Jeszcze nie zdecydowałam się na nikogo.

- O c h ? - Podeszedł bliżej. Był bardzo, bardzo wysoki. Musiała odchylić głowę do tyłu, żeby mu spojrzeć w oczy. - Wobec tego, jak sądzę, pali ci się, żeby wrócić na targowisko i kontynuować przegląd ewentualnych przyszłych.

Fuknęła wściekle, wychodząc z roli prawdziwej damy.

- Niespecjalnie. - To słowo wyrwało jej się, zanim zdążyła ugryźć się w język, zdradzając o wiele za dużo.

Gęsta brew uniosła się nad okiem koloru toffi.

- Dobrze.

- A to dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ - powiedział - uznałem, że jedzenie i ubranie, tego ostatniego, zresztą, *nie* widzę, to za mało w charakterze zadośćuczynienia. Zwłaszcza ze strony kogoś, kto spodziewał się gwałtu.

Serce Favor przyspieszyło do galopu. W ustach jej zaschło.

- Czego chcesz? - wychrypiała.

- Zobaczysz. - Objął ją zmysłowym spojrzeniem. - Najpierw jednak musisz zdjąć to ubranie.

JL ot zrosił nagie ramiona i szyję Favor. Włosy na skroniach poskręcały się w wilgotne pierścionki, przywierając jak małe czarne przecinki do twarzy i obojczyków. Oblizła wargi. Mia

ły słony smak. Nogi były słabe i ociężałe, podobnie ręce. Mięśnie, z których posiadania nie zdawała sobie sprawy, bolały ją z wysiłku.

121

Spojrzała w lustro i ledwie poznała tę zmordowaną dziewczynę. Jej makijaż dawno znikł, skóra błyszczała, ale Favor czuła odprężenie, pozbyła się napięcia.

- Och - szepnęła - to było wspaniałe!

- Co mówisz?

Odwróciła się od lustra, uśmiechając się niewinnie do Rafe'a.

Przestał grzebać w wielkiej skrzyni.

- Nic.

Nie może się dowiedzieć, że pomaganie mu w poszukiwaniach skarbu McClairenów było bardziej przyjemnością niż karą.

Zrzuciła z siebie piękną suknię i, starając się ukryć zachwyty, przywdziała inną - staroświecką wyborną toaletę, wyciągniętą z jakiegoś pudła. Spędziła za dużo czasu przed zbyt wieloma lustrami, usiłując wcielić się w Janet McClairen. Chwila przerwy w odgrywaniu tej roli wprawiała ją w oszołomienie.

Było cudownie. Przeszukiwała szafki i szafy, szuflady i komody, sprawdzała pod łózkami, przerzucała porpore i stopy bielizny. Nie znalazła skarbu ani ozdobnego pudełeczka, w którym, jak twierdził, miał się znajdować według legendy skarb - chociaż ona nigdy nie słyszała tej wersji legendy.

Odkryła małe tajemnice i znalazła cenne pamiątki: pamiętnik dziecka napisany przed stu laty; złamany bułat zawinięty starannie w wyblakłą mauretańską flagę; kryształowy flakonik, który nadal wydzielał słaby zapach róż. Te przedmioty urzekły ją swoimi nieopowiedzianymi historiami. Historią McClairenów.

Ona też była w nią wpisana.

W świadomości Favor niewiele zostało z tego, co przekazała jej matka. Ojca ledwie pamiętała, "wrócił z Londynu wkrótce po masakrze. Jego prośba o łaskę nie została wysłuchana; los synów był przypieczętowany. Wrócił, aby się dowiedzieć o śmierci żony i wymordowaniu swego ludu. Zmarł w

ciągu roku.

Muir pisała do niej o przodkach; była to długa lista nazwisk i wykaz zwycięskich bitew oraz zdobytych ziem. Ale te rzeczy tutaj - Favor dotknęła lekko dziecinny pierścionka z perełką -

122

opowiadały historie bardziej intymne. Po raz pierwszy jej przodkowie stali się realnymi ludźmi.

Jaka kochająca matka wsunęła tę skórzaną procę do szuflady?

Czy ktoś zginął, posługując się tym bułatem, czy też złamano go symbolicznie? Ten flakonik mógł należeć do jej ciotki, ten dziennik do dziadka.

Rafę nie miał nic przeciwko temu, że się guzdrze - nawet kiedy rozłożyła talię zniszczonych kart na podłodze i przyglądała im się, dopóki nie odkryła, że brakuje waleta kier. Milczał, przeszukując systematycznie meble i skrzynie pod ścianą.

Od czasu do czasu wydawała okrzyk zachwyty nad jakimś drobiazgiem i podnosiła wzrok, napotykać jego spojrzenie. Nie wiedziała, co o nim myśleć. Przez ostatnich parę godzin nie wydawał się nikim innym, tylko młodym człowiekiem pełnym entuzjazmu wobec zadania, które sobie postawił. Tak, jakby w tym pokoju oboje odzyskali w jakimś stopniu beztroskie dzieciństwo, którego żadne nigdy nie miało.

- No, to jest ostatnia skrzynia na tyle duża, żeby pomieścić pudełko wielkości sześćdziesięciu centymetrów - powiedzia

ła, postukując w wieko podróznego kufra. To jej odpowiadało.

Słońce miało zająć mniej więcej za godzinę. Jeśli chciała uniknąć pytań Muiry, musi znaleźć się z powrotem w swoim pokoju, w stroju wieczorowym, zanim stara dama zapuka do drzwi.

Rafę nie odpowiedział, więc podniosła ciężkie wieko. Wewnątrz leżał starannie złożony strój z satyny w kolorze miedzi i śliwki, ozdobiony klejnotami i metalowymi frędzlami, połyskującymi pod dawno zwiędłymi gałązkami lawendy niczym łuski egzotycznej ryby.

- Co to jest? - zapytał Rafę, zerkając jej przez ramię.

- Nie wiem - odparła, nie odwracając twarzy. Nie śmiała na niego spojrzeć. Pachniał kurzem, gorącym, potem; był to bardzo silny zapach, wyraźny, męski. Nadal miał rozpiętą koszulę.

- Na Boga, przynajmniej jeden z tych szkockich barbarzyńców był dandysem. - Gdy się roześmiał, oddech połaskotał jej ucho.

123

Co to jest? - Podniosła lśniący materiał.

- Sądzę, że to okrycie dżentelmena w perskim stylu. Na poprzednim francuskim dworze takie ubiory były bardzo modne.

- Fantastyczne! - zawołała, chwytając strój za rękawy i potrząsając nim. - Czy masz pojęcie, do czego mogły służyć te pętle ze wstążek? - Obejrzała się przez ramię.

Stał bardzo blisko za nią. Na jego odsłoniętej piersi widniało pasmo brudu jak piętno. Na skutek wysiłku ciemną skórę pokry

ła jedwabista wilgoć. Biała blizna na brzuchu znikła pod paskiem spodni wiszących nisko na biodrach.

- Do ozdoby. - Pochylił się i puknął palcem świecące cacko. - Do licha, to tylko szkło.

- Och, a ty jesteś ekspertem od drogich kamieni? - zapytała sucho.

Uśmiechnął się zuchwale, zerkając na nią chytrze z ukosa.

- Zaskoczyłoby cię, w jakich dziedzinach jestem świetny.

Raczej w to wątpiła.

Odwróciła wzrok, nie chcąc dać się uwięzić jego spojrzeniu.

To już się zdarzyło tego popołudnia o parę razy za dużo. Jakby się zanurzała w ciepłym jezioru miodu.

Zduśliła tę myśl. Im więcej czasu spędzała w jego towarzystwie, tym częściej pojawiały się podobne myśli. Nic z tego nie będzie. Byli... Cóż, jeśli nie całkiem zaprzysiężonymi wrogami, to raczej nie przyjaciółmi. Ostatecznie znalazła się tutaj pod przymusem, nie dlatego, że chciała. Nawet jeśli cieszyła się, że tu jest, on o tym nie wiedział.

Była całkiem - schyliła głowę i wymamrotała mea culpa za swoją słabość - zdezorientowana.

- Co robisz? - spytał.

- Myślę.

- O czym?

- Jak... jakie to byłoby znakomite na bal.

- Jaki bal?

124

- W piątek wieczorem, od dziś za tydzień - odparła, zadowolona, że może uciec od niewygodnych

myśli. Zajrzała do kufra. Było tam więcej ubrań. Bufiaste spodnie, różowe podwiązki, sprzączki lśniące kryształkami. — Będzie bal maskowy.

Przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Ach. Dobre warunki na polowanie - stwierdził. ~ Dopilnuj tylko, żeby przynęta nie została zjedzona, zanim pułapka zadziała.

- Przepraszam?

Uśmiechnął się uprzejmie.

- To wspaniała okazja na flirt. Jak, z takim wdziękiem, to ujęłaś? „Wszystko, co mam, to moja cnota”? Radzę ci po prostu zachować ją, tak żebyś z nadejściem nocy poślubnej mogła...

przekazać to dobro. Maskarada stwarza wyjątkową możliwość dla mężczyzn, i kobiet, żeby skosztować tego, czego nie zamierzają kupić.

Poczuła się tak, jakby dał jej w twarz. Miłe poczucie koleżeństwa prysło i znowu pogрузzyła się w ponurym światku Rumienca Ladacznicy. Nie potrafiła zebrać myśli, żeby odpowiedzieć.

Opuściła ręce, trzymając wciąż strój koloru miedzi.

- Otóż - powiedział - ten wyraz dezaprobaty nie przyniesie ci pożytku, panno Donnę. Jako najświetniejszy okaz na tym szczególnym targowisku małżeńskim powinnaś zostać zaakceptowana i nie możesz potępiać innych gości, że korzystają z tego, po co tu specjalnie przyjechali, wiedząc, że mogą sobie na wiele pozwolić.

- A mianowicie? - zapytała sztywno.

- Wyuzdanie bez żadnych hamulców.

- Mocno przesadzasz.

Wjego śmiechu nie było wesołości.

- Być może wolisz nie dostrzegać tego, co wprost rzuca się w oczy.

- Skąd tyle wiesz na ten temat? - rzuciła wyzywająco.

- Wszyscy znają Rumienca Ladacznicy, panno Donnę - odparł. Litość złagodziła ton jego głosu. - Ty nie wiedziałaś?

- Oczywiście. - Niedbale wrzuciła egzotyczny strój z powrotem do skrzyni. — Cokolwiek byś o mnie myślał, przeceniasz swoje możliwości. Co ty o mnie wiesz? W każdym razie na pewno mniej, niż ja

wiem o tobie.

- A czego się dowiedziałaś?

- Że jesteś złodziejem. Szantażystą. Chcesz ukraść klejnoty i uczyniłeś mnie swoją współpracowniczką. - Spojrzeniem wyzywała go, żeby zaprzeczył. Nie zrobił tego.

- Domyślam się, że pokój między nami skończony - powiedział bez zająknięcia.

- Tak. Przyniosłam ci jedzenie. Pomogłam ci przeszukać rzeczy. Dostyc zrobiłam dla ciebie. Zegnam pana, monsieur. - Odwróciła się, przepływając obok niego w stronę drzwi z wyniosłą obojętnością.

- Brawo! - Zaczął klaskać.

Drań! Łobuz! Przełknęła gniewną ripostę. Wolała zignorować jego bezczelność. Chwyciła klamkę i pociągnęła. Drzwi się nie otworzyły. Przekłęte! Zamknęła oczy, wymruczała modlitewne przeprosiny, szarpnęła klamkę oburącz. Nic.

- Do diabła!

- Panno Donnę?

Frustracja walczyła z upokorzeniem. Frustracja zwyciężyła.

Złapała mosiężną klamkę, szarpiąc nią ze złością.

- Panno Donnę?

- Czego? - Odwróciła się.

Z jego ramion spływał szmaragdowy aksamit, całe metry.

- Zapomniałaś sukni.

Zagryzła mocno dolną wargę, nie chcąc dać ujścia przekleństwu, jakie paliły ją w język. Przymaszerowała przez pokój, wyrwała mu suknię, podeszła z powrotem do drzwi, ujęła klamkę w obie dłonie i zapierając się piętami w podłogę...

- Może spróbowałabyś je popchnąć, zamiast ciągnąć.

Marząc o zachowaniu resztek godności, popchnęła. Drzwi otworzyły się cicho.

126

- Jutro przeszukamy pokój obok.

Nie odpowiedziała.

- Jak również, mimo że wołowina była dobra, nie miałbym nic przeciwko drobiowi. Spróbuj następnym razem nie zgnieść ciasta.

Nie zmusi jej do odpowiedzi.

- I pamiętaj, ponawiam prośbę o ubranie. Nie chciałbym, aby mój zapach cię jutro poraził, a zamierzam pracować dziś wieczór.

- Jutro nie przyjdę - warknęła.

- To - jego głos, całe popołudnie taki miły i łagodny, teraz przybrał groźny ton - byłby błąd.

- Panno Donnę. - Carr stanął obok krzesła, które dla niej wysunął, czekając, aż zajmie miejsce. To, że zaprosił ją na kolację i posadził na honorowym miejscu przy stole, zadziwiło wszystkich. W gwarze podpitych głosów dały się słyszeć zaciekawione szepty. Favor wsunęła się na krzesło, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenia tych, którzy uważali, że uzurpuje sobie miejsce markizy, dwóch baronowych i co najmniej pół tuzina innych dam.

- Panno Donnę.

Podniosła głowę i zobaczyła, że naprzeciwko przy stole zasiada Fia Merrick. Dziewczyna wydawała się lekko rozbawiona. Ale na tyle, na ile ją znała, lady Fia zawsze wyglądała na lekko rozbawioną. Jej czarne, wygięte jak ptasie skrzydła brwi unosiły się w zdumieniu, lodowato błękitne oczy lśniły skrywaną mądrością.

- Lady Fia - odparła uprzejmie. Czego mogła od niej chcieć ta tajemnicza i wyniosła dziewczyna? Mimo że co najmniej trzy lata młodsza od niej, w jakiś sposób Fia wydawała się najstarsza ze wszystkich kobiet w komnacie.

- Lord Tunbridge błaga, abym go przedstawiła. - Długie, szczupłe palce poruszyły się odrobinę, wykonując pełen wdzięku balet w powietrzu, wskazując na dżentelmena, niewyglądającego wcale na aż tak zainteresowanego. - Panno Favor Donne, pozwól, że przedstawię lorda Tunbridge'a. Lordzie Tunbridge, oto panna Donnę.

Skinął głową, badając ją uważnie spojrzeniem.

- Panno Donnę, bardzo mi przyjemnie.

Był wysoki i chudy jak szkielet. Pozbawiona ciała skóra twarzy przywierała ciasno do czaszki. Wydawał się zły i głodny. Bia

łe dłonie poruszały się niezmordowanie, przesuwając i układając równo sztućce.

Favor wyobraziła sobie, jak na jej prawym policzku pojawia się dołeczek, kiedy odtwarza jednostronny uśmiech Janet McClairen.

- Dziękuję, panie.

- Tunbridge jest wielkim przyjacielem Carra - oznajmiła łagodnym tonem Fia. - Czyż nie tak, lordzie Tunbridge?

Carr, który siedział obok Favor, zachowywał milczenie, wyraźnie kontent z roli widza.

- Ale nie tak wielkim przyjacielem, jakby pragnął - dodała.

W geście współczucia dotknęła dłoni lorda, pozostawiając swoją rękę nieco dłużej, niż wymagało współubolewanie. Tunbridge patrzył na nią pożądliwie, ona zaś zręcznie unikała jego wzroku. -

Wydaje się jednak, że mieli sprzeczkę — ciągnęła Fia. — Takie rzeczy zdarzają się czasami pomiędzy bliskimi ludźmi, panno Donne. Zwłaszcza pomiędzy takimi, którzy się znają tak długo jak lord Tunbridge i mój ojciec. Musimy zadbać, aby znikły wszelkie niesnaski pomiędzy nimi. To nasza kobieca powinność jako istot z natury nastawionych pokojowo. Czy zgodzisz się ze mną?

Słowa dziewczyny stwarzały Favor okazję odegrania swojej roli. A jednak poczuła w sobie opór. Tego popołudnia zasmakowała wolności. Co za ironia losu, że złodziej i szantażysta umożliwił jej zejście na chwilę ze ścieżki losu, którą, o czym nie powinna zapominać, sama wybrała.

Fia nadal czekała spokojnie na jej odpowiedź.

Favor nadal miała dług do spłacenia.

128

- Przykro mi ci zaprzeczyć, lady Fio, ale nigdy nie uważałam się za istotę o szczególnie pokojowym usposobieniu. Może zapominanie zła leży w twojej naturze. Ja jestem inna.

Obok usłyszała ciche, ale wyraźne westchnienie Carra. Nabrzmiące żyły na dłoniach wyglądały jak sznurki. *En garde**.

- Wierzysz zatem w biblijny rodzaj sprawiedliwości? - zapytała Fia.

Favor kołysała kieliszkiem z rubinowym napojem, przyglądając mu się. Powinna udzielić jakiejś znaczącej odpowiedzi, takiej, która zwróciłaby uwagę Carra. Czowała zapach perfum siedzącego obok mężczyzny, który z trudem znosiła. Ten człowiek śmiał się, mówiąc o jej bracie, Johnie - ona ciągle ten śmiech słyszy.

- Panno Donne?

Janet. Usiłują przekonać Carra, że Janet pragnie go odzyskać. Taki był plan -jej plan. Zgodziła się wcielić wJanet, a Janet chciała wrócić do Carra.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała, uśmiechając się jak Janet. - Przyznaję, zastanawiałam się, na ile ośmielę się być uczciwa. Wzdragam się przed ryzykiem utraty choć części względów -

zerknęła zalotnie na Carra i Tunbridge'a - jakie może udało mi się zyskać. Prawda jest taka, że jestem

istotą, dla której najważniejsza jest własna wygoda, tak fizyczna, jak i każda inna. Gdyby wyrządzono mi zło, szukałabym zadośćuczynienia; gdyby sprawiedliwość mogła mi je zapewnić, odwołałabym się do sprawiedliwości. Jeśli wynagrodzenie krzywdy przyniosłoby mi ulgę, zadowolilibym się tym. Gdybym uznała, że się mnie okrada, zażądałabym zwrotu tego, czego mnie pozbawiono. - Zatrzepotała skromnie rękami. - Przypuszczam, że uważacie takie nastawienie za płytkie i samolubne?

- Uważam, że to niezwykle uczciwe - oświadczył Tunbridge.

- Jakie to świeże doznanie poznać damę, która w tak zwięzły *en garde* (z franc.) - trzeba mieć się na baczności, uważać (przyp. red.).

9 - Ostatni bal

129

sposób przedstawia swoje zasady. Która raczej odkrywa swój charakter przed dżentelmenem, zamiast go zwodzić.

Favor zrobiło się go żal. W sposób oczywisty zwracał się do Fii, ta zaś całą uwagę skupiła na schłodzonej gruszce, którą służący postawił przed nią na stole.

- Moim zdaniem uczciwość stanowczo się przecenia - mruknęła Fia, delikatnie odcinając cienki plasterk. - Sądzę, że panna Donnę się zgodzi. Jej brat z pewnością byłby tego zdania. Wiem, że Carr jest.

O co jej chodziło? I co miał z tym wspólnego Thomas?

- Lady Fia? - Starła się mówić spokojnie.

- Upiera się, aby prowokować - wtrącił Carr, wyraźnie niezadowolony, zanim Fia zdążyła się odezwać. — To dziecinne zachowanie, ale ona jest dzieckiem. Mądrze zrobisz, pamiętając o tym, Tunbridge, następnym razem, kiedy wciągnie cię w swoją grę.

Jeśli Carr miał nadzieję zirytować Fię, naraził się na rozczarowanie. Pochyliła głowę z nieznacznym uśmiechem.

- Dziecko? Gra? - Tunbridge usiłował zapanować nad sobą, żeby nie powiedzieć czegoś więcej. Nogi krzesła zaszurały po podłodze, kiedy odsuwał je od stołu. Podniósł się i skłonił. - Proszę wybaczyć, panno Donnę. Obawiam się, że nie stanowią na dzisiejszy wieczór odpowiedniego towarzystwa.

Carr uśmiechnął się złośliwie. Favor kręciło się w głowie; usiłowała zachować się stosownie do sytuacji. Siedziała przy stole z szakalami. Tunbridge, wypatroszony i rozerwany na strzępy, mógł już tylko odwrócić się i odejść.

Janet jednak powinna być przyzwyczajona do tego typu zachowania. A chociaż Janet nie akceptowała

wszystkiego, co Carr zrobił czy powiedział, publicznie nigdy nie czyniła mu wyrzutów. Ignorowała to, czego nie mogła przyjąć. Tak mówiła Muira.

- Gdzie w szkockich górach można znaleźć gruszki, lordzie Carr? - zapytała, wbijając zęby w soczysty owoc. Smakował jak glina.

130

Noc ciągnęła się bez końca. Zegar wybił godzinę duchów, ale zabawa trwała w najlepsze, jakby rządziło nią nieodpowiedzialne, zepsute dziecko. Fia znikła. Jej niewytłumaczalne zainteresowanie Favor ulotniło się równie szybko, jak się pojawiło.

Krzywy uśmiech zastygł na twarzy Favor, jakby mięśnie objęło stężenie pośmiertne, *rigor mortis*. Kręgosłup bolał ją od wyciągania głowy w górę, żeby wydawać się wyższą, a zakropienie oczu belladoną, mającą rozszerzyć źrenice, powodowało przykre objawy: czuła pulsowanie w skroniach i straciła ostrość widzenia.

Carr również się oddalił. W innej sytuacji Favor także by odeszła, ale Carr, mimo że wstał od stołu, wciąż ją obserwował.

Uważnie, ukradkiem, nieprzerwanie. Tak więc Favor nie zwraca

ła uwagi na ból głowy i pleców, słuchając Muiry, która z uśmiechem, kiwając głową, udzielała jej szeptem instrukcji.

O drugiej Carr wreszcie podszedł do niej i poprosił do tańca.

Podał mu rękę. Tańczył świetnie, prowadził lekko i bez słowa, nie myląc skomplikowanych figur. Na koniec, kiedy odprowadził

ją do miejsca, gdzie Muira, z brodą zanurzoną w obfity, sztuczny biust, udawała śpiącą, odezwał się:

- Znalazłem twój szal.

Favor zaczęła grzebać w pamięci, szukając jakiejś wskazówki, wzmianki o szalu należącym do Janet. Nie mogła sobie nic takiego przypomnieć. Może chciał ją podejść lub sprawdzić?

- Nie zgubiłam szala, lordzie Carr. Obawiam się, że zgubiła go jakaś inna dama.

Twarz mu stężała. To nie była sztuczka. Spodziewał się innej odpowiedzi. Niech piekło pochłonie Muirę za to przeoczenie.

Teraz już nie mogła przyznać się do szala. Przynajmniej dopóki się nie dowie od Muiry, co to wszystko znaczy.

- Ach. Pomyliłem się. Dziękuję za taniec, panno Donnę -

powiedział, skłoniwszy się, zanim zniknął w tłumie.

131

- O co w tym chodzi? - Favor spojrzała na Muirę. Sama wyglądała na półprzytomną jak ktoś budzący się ze snu, ale jej głos brzmiał twardo.

Nie była w nastroju, żeby znosić palącą krytykę Muiry. Ona także potrafiła wysyczeć, z uśmiechem na twarzy:

- Następnym razem, kiedy podrzucisz Carrowi szal Janet, zechciej łaskawie poinformować mnie o tym.

Uprzejma maska szybko znikła z twarzy Muiry; na Favor patrzyła kobieta w średnim wieku, bezwzględna, gniewna i zmieszana.

- Nigdzie nie zostawiłam żadnego szala.

Światło księżyca spowijało śpiącą Favor, kładąc na jej twarzy niebieskobiałe cienie. Wtuliła twarz w poduszkę, atramentowe włosy spływały falą poza brzeg łóżka. Usta miała lekko rozwarte, między zmarszczonymi brwiami powstała maleńka fałdka.

Jakaś ciemna postać stała w nogach łóżka, "wysoki mężczyzna przyglądał jej się uważnie, przechyliwszy głowę. I we śnie wydaje się znużona, pomyślał Raine.

Obserwował Favor z galerii przez cały wieczór. Nawet z miejsca, gdzie stał, widział, że jej ramiona opuściły się ze zmęczenia na długo przed końcem balu, a biały puder nie maskował ciemnych kręgów pod oczami. Trzymała głowę tak, jakby odczuwała ból.

Nie powinna tu przyjeżdżać, pomyślał. Nie powinna...

Poruszyła się niespokojnie i cicho jęknęła. Podniósł rękę, żeby ją pogłaskać i chociaż w taki sposób pocieszyć. Zatrzymał

się raptownie.

Nie, uświadomił sobie. To on nie powinien tu przybyć.

132

X romienie słońca, wpadające przez witraże, przecinały ukosem chłodny mrok kaplicy, tworząc mozaikę ciepłych barw na szarej kamiennej podłodze. Po bokach przybrudzonego mocno rozetowego okna były płytkie nisze. Czuwała w nich para świętych, których szaty pokrywał kurz. Chociaż z kaplicy zamkowej dawno już usunięto ławy i ołtarz, zawsze utrzymywała się w niej podniosła atmosfera nabożnego skupienia. To się już skończyło.

Raine odkrył wreszcie, co jego ojciec zrobił z rzeczami należącymi do matki.

- Niech cię diabli wezmą, Carr.

Rozejrzał się, nawet nie przypuszczając, że poczuje tak wielki smutek pod wpływem wspomnień. Tyle ich było. Niebieska suknia, którą nosiła kiedyś na świętego Michała. Przypomniawsobie, jak ślicznie wyglądała, kiedy zbiegała po schodach, szeleszcząc halkami. Teraz suknia pożółkła i dawała schronienie rodzinie myszy.

Na dole stosu zwalonych mebli wypatrzył taboret, który stał

przy jej toalecie; mole pocięły wyhaftowane na obiciu, wyblakłe tulipany. Leżał na nim jej ulubiony wachlarz; z malowanego jedwabiu zostały strzępy, pręciki z kości słoniowej wyglądały jak kruche kości jakiegoś przedpotopowego stworzenia.

Wszystko rzucone było jak, niepotrzebne. Nikt się nie zatroszczył o rzeczy Janet McClairen. Nikt nie umieścił wśród nich gałązek słodkiej lawendy, żeby opóźnić nieuchronny proces rozkładu... Drzwi kaplicy otworzyły się, protestując głośnym skrzypieniem i Favor wsunęła się do środka.

- A więc to ty! Wydawało mi się, że coś usłyszałam - oznajmiła triumfalnie. - W tej części zamku echo dziwnie się rozchodzi, nie sądzisz? Przysięgam, że słyszałam, jak mówisz „niech cię diabli”, będąc w drugim końcu korytarza.

133

Jej głos, pełen ciekawości, był tak żywy jak te przedmioty były martwe. Tym bezceremonialnym wejściem przegoniła smutek z jego duszy tak samo niedbale, jak fala przyływu przesuwając piasek na plaży.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

Odchyliła głowę do tyłu, rozglądając się.

- Więc to tutaj McClairenowie żenili się, byli chrzczeni, stąd zabierano ich na cmentarz - mruknęła. - To rozetowe okno sprowadzono z Paryża.

- Skąd to możesz wiedzieć? - zapytał suchym tonem, ciekaw, jak sobie poradzi w sytuacji, kiedy zdradziła za dużo. Jasne, że nie mogła pozwolić sobie na to, żeby odkryto jej przynależność do rodziny McClairenów. Carr pozbyłby się jej w ciągu godziny.

Raine jej nie docenił. Chwila zadumy szybko minęła.

- Och, wszystko jest w dziennikach i pamiętnikach, które znalazłam - stwierdziła. - O Boże! Spójrz. Natrafiłam chyba na weneckie koronki. To zbrodnia, zostawić je tak, żeby zgniły.

Przyjemność, jaką sprawiało dziewczynie zajęcie, na które Raine ją skazał, była równie niewytłumaczalna, jak wielka. Pomagała mu już czwarty dzień w poszukiwaniach skarbu McClairenów i widział, jak wprost rozkwita z radości. Oczywiście, gdyby jej to wytknął, zaprzeczyłaby natychmiast. Wątpił jednak, żeby zaprzecza

ła sama przed sobą. Była utalentowaną kłamczucha, i jak wszyscy zręczni kłamcy, posiadała zdolność nieoszukiwania samej siebie.

- Przyszłaś wcześniej. — Umówili się na dwunastą w południe, a nie było jeszcze dziesiątej. Zjawiała się - gotowa do pracy, śliczna i bezbronna. Nieświadoma, jakie myśli gnieźdzą się w jego głowie.

- Szybciej zaczniemy, szybciej skończymy - zażartowała, ale błysk w oczach przeczył obojętności w głosie. - Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Do diabła z rycerskością. Uwiedzie dziewczynę i zrobi to.

Jednak nie. Bo mimo że był pewien swoich reakcji, nie miał pojęcia, jak zachowałyby się ona.

134

Uznał, że jest w jej oczach dosyć atrakcyjny. Miał wiele wspomnień, z których czerpał wiedzę na temat oznak kobiecego zainteresowania i Favor, chwalała jej za to, wykazywała jej. Nie wiedział

jednak, co klasztorne wychowanki robiły z takimi uczuciami.

Poza tym Raine nie chciał niszczyć tego, co łączyło ich teraz, cokolwiek to było. Z doświadczenia wiedział też, że takie kole

żeństwo między osobami odmiennej płci jest na pewno czymś wyjątkowym. Nigdy nie przebywał w towarzystwie młodej kobiety, nie biorąc pod uwagę możliwości jej szybkiego uwiedzenia, rozbierał ją spojrzeniem, a każde słowo, jakie wymieniali, nabierało dwuznacznego sensu.

Młode kobiety, które Raine pamiętał z przeszłości, interesowa

ły się nim tylko z jednego powodu, ten zaś, z czego zdawał sobie sprawę, wiązał się z jego zszarganą reputacją. Lgnęły do niego właśnie dlatego, że nie potrafił opanować swoich dzikich odruchów...

- Więc? - zapytała Favor niecierpliwie. Ton jej głosu wskazywał, że czeka na odpowiedź.

- Wybacz. O co pytałaś?

- Dlaczego mi się przyglądasz? - Zerknęła z pewnym zakłopotaniem na suknię. - Nie mogłam włożyć po raz drugi tamtej brudnej, a tu jest zimno.

- Nie przyglądam ci się. Zastanawiam się, jak wykorzystać twoje raczej skromne możliwości do moich celów.

Przyjęła to wyjaśnienie, zupełnie nieporuszona krytyką. Rozejrzała się i wypatrzyła książkę, którą położył na półce w wielkiej, chwiejącej się szafie przy drzwiach.

Jak kot zwabiony kawałkiem włóczki, z twarzą ożywioną zainteresowaniem, podbiegła do szafy. Otworzyła ją energicznie, przygryzając z emocji dolną wargę. Trochę nierówne przednie zęby dodawały swoistego uroku jej twarzy. Twarzy, która przedtem była taka wyzywająca i dumna, pomyślał, żałując prostych brwi, zastąpionych sztucznymi łukami.

Czytała zachłannie, a on patrzył na nią ze śmiesznością dla siebie samego przyjemnością. Specjalnie wyszukiwał taką lekturę, 135

mając nadzieję, że umożliwi ona Favor poznanie historii, której zmarli zbyt wcześnie członkowie klanu nie zdążyli przekazać.

O ile dobrze pamiętał, to jej ojciec, Colin, był drugim synem, który wcześniej opuścił Szkocję, żeby szukać sławy i bogactwa.

Zamiast tego założył rodzinę; żonę i troje dzieci odesłał do Szkocji, podczas gdy sam nadal kusił niepewny los.

"wrócił do kraju, rozczarowany, parę lat później, aby stwierdzić, że jego synów uwięziono za udział w spisku wuja Iana. Iana już stracono i Colin na krótko został wodzem.

Favor, jak przypominał sobie Raine, nigdy nawet nie mieszkała w Rumieńcu Ladacznicy. Jej matka, ograbiona przez Carra z majątku, czekała na powrót męża w starej, opuszczonej wieży na stałym lądzie. Wieży, do której zaciągnięto Raine'a wiele lat wcześniej.

To wspomnienie zepsuło jego dobry nastrój. Jakby to wyczuwając, Favor podniosła głowę nad książki. Zamknęła ją, marszcząc nos, kiedy chmurka kurzu uniosła się w powietrze.

- To rodzaj księgi rachunkowej z osobistymi adnotacjami.

Ale nie prowadził jej Duart McClairen.

- Któż to taki, ten Duart McClairen?

- Mały chłopiec, którego dziennik kiedyś znalazłam.

- Rozumiem. A dlaczego myślałaś, że księga może należeć do Duarta?

- Och, nie wiem. - Wzruszyła ramionami. Jakże świątobliwe siostrzyczki musiały ubolewać nad tym nawykiem. - Sądzę, że chciałam, żeby do niego należała. Miałam nadzieję, że odkryję, co się stało z Duartem, kiedy dorósł.

- Jak sobie przypominam, tamtego dnia nie nadawałaś się do pracy, ponieważ wsadziłaś nos w pamiętnik małego barbarzyńcy.

- Skąd wiesz, że Duart był małym barbarzyńcą?

Ponieważ cokolwiek interesuje ciebie, interesuje i mnie. Tego jednak nie powiedział na głos.

- Nie mam specjalnie nic do roboty, kiedy zapadnie noc.

Czasami czytam. Błagam, spróbuj przybrać zwyczajnie obojętny wyraz twarzy, Favor; takie kłójące się z dobrymi manierami za-136

skoczenie źle świadczy o biednych siostrzyczkach. Potrafię czytać... jeśli chce mi się zadać trud głośnego sylabizowania. Ale wybaczone, nie chcę ci przeszkadzać w lekturze.

Jeśli zauważyła ironię, nie okazała tego.

- Przeczytam to później. W swoim pokoju. - Przechyliła głowę na bok. - Kim ty właściwie jesteś, Rafę?

Od czasu tamtej nocy w powozie w Dieppe nigdy nie pytała go o nic osobistego. Tak, jakby bała się tego, czego mogłaby się dowiedzieć. Podniósł dłonie do góry.

- Sama powiedziałaś. Jestem szantażystą i złodziejem. Nie mam nic więcej do dodania.

- "wyjątkowo dobrze się wysławiasz, jak na pospolitego złodzieja.

- Spodziewałem się, że nie ma we mnie nic pospolitego -

powiedział wyniośle, zyskując jej uśmiech.

- Musisz być zatem... nieuznanym potomkiem jakiejś osobistości?

- Cóż to, panno Donnę, pytasz mnie, czy nie jestem przypadkiem bękartem?

- Przepraszam - wymamrotała, czerwieniąc się straszliwie.

Ta nieoczekiwana reakcja oczarowała go.

- Nie jestem bękartem. Ale ojciec nie przyznaje się już do mnie. - To była niemal prawda.

- Z powodu twoich złodziejskich skłonności?

Stał bez ruchu, zastanawiając się. Mógł jej powiedzieć prawdę.

Zaczął się tak szlachetnie, tak prosto. Miał anonimowo pomagać dziewczynie, której życie zamienił w tragedię. Wkrótce jednak gra okazała się bardziej skomplikowana i teraz nie był już wcale pewien, co chciał osiągnąć i jaka była stawka. Powinien powiedzieć jej, kim jest, bez względu na skutki. Wtedy jednak ona by odeszła.

- Jakoś tak - odparł zdawkowo.

Skinęła głową. W jego uśmiechu była dziwna mieszanina ulgi i nieufności. Naiwna kłamczucha; niewinna kokietka. Stanowiła intrygującą zagadkę.

137

- A co z twoją matką?

- Nie żyje. - To zabrzmiało ostrzej, niż zamierzał. Spostrzegł

zbołałą minę dziewczyny i uświadomił sobie natychmiast, o czym myśli.

- Nie, Favor, nie pękło jej serce z powodu syna kryminalisty. Umarła dużo wcześniej przed moim *entree* do przestępczego świata.

- Przykro mi. - W jej głosie brzmiało współczucie. - Moja matka też umarła, kiedy byłam mała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Dobrze pamiętał okoliczno

ści śmierci matki Favor.

- Jaka była twoja matka? - zapytała.

- Piękna. Kapryśna. Trochę próżna. Zbyt romantyczna.

Może trochę dziecinna. Starła się usilnie wierzyć w bajki. - Pamiętał, jaki był na nią zły, kiedy pytała jego i Asha, skąd się wzięły ich siniaki. Nigdy nie wahała się pytać, ale oni nigdy nie wahali się kłamać. Nigdy nie naciskała; nigdy się nie zwierzała.

- Nie lubiłeś jej za bardzo.

- Lubiłem? - Zastanowił się. - Nie wiem. Mój ojciec całkowicie ją absorbował. Ale kiedy zajmowała się nami... nikt nie potrafił zapewnić dzieciakom takiej zabawy. Była wykształcona, uczciwa i niepokorna. - Spojrzał na wachlarz w swoim ręku. Na jednym kawałku zachowała się część namalowanej greckiej świątyni. - Na przykład, mimo że kochała klasykę, nie udawała, że żywi dla niej głęboką cześć. Grecką świątynię w naszym ogrodzie przezwalała Parter-Nonem, od Partenonu, wykpiwając jej pretensjonalność.

- Kochałeś ją

- Tak. - Odłożył wachlarz. - Słuchaj, mamy pracę do wykonania i nie wykręcisz się od niej takimi

sprytnymi sztuczkami.

Uśmiechnęła się.

- Skoro tak bardzo pragniesz zaprząć mnie do roboty, o surowy panie, od czegoż powinnam zacząć?

138

- Przyniosłaś mi ubranie? - Zdawał sobie sprawę, że ostry ton głosu przygasi jej radosny nastrój. Nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób wyzwolić się od uroku, który na niego rzuciła.

Albo stłumię tę twoją cudowną żywotność, albo poniesiesz konsekwencje, mały sokoliku, powiedział sobie w duchu. Uratowała mu życie. Nie może się odpłacić uwodzeniem jej, bez względu na to, jak często bawi się tą myślą.

- Nie. - Odwróciła się, ale zdążył zauważyć urażoną minę.

Lepiej trochę urazić niż głęboko zranić. - Nie mam pojęcia, skąd wziąć ubranie dla ciebie. Jesteś zamachnęła ręką - wielki. Poza tym, nawet gdybym zdołała znaleźć jakiegoś monolitycznego dandysa, nie mogłabym wejść do jego pokoju, kiedy śpi i ukraść mu ubrania.

Monolityczny dandys?

- Zaradna z ciebie dziewczyna - odparł. - Jestem pewien, że coś wymyślisz. Do jutra. Męczy mnie noszenie tych ubrań, a nie chcę się stroić w resztki minionej chwały.

- Dlaczego nie? - zapytała. - Całkiem rozsądne wyjście. Tyle tu ubrań.

- To by cię zanadto rozbawiło - oświadczył wyniośle. - Nie zapominaj, że jesteś, tak przynajmniej twierdzisz, moją ofiarą.

Ofiarom nie wolno dać się rozbawiać swoim prześladowcom.

Tak jest. Gdyby była jakaś księga zasad obowiązujących ofiary i ich prześladowców, ta reguła z pewnością znalazłaby się na pierwszym miejscu.

Jej niezwykle oczy rozszerzały się podczas tej przemowy, a na koniec parsknęła śmiechem. Dobry Boże, tracił resztkę rozumu, jaka mu jeszcze została. Najpierw celowo zgasił humor dziewczyny, a niecałą minutę później, nie mogąc znieść widoku jej warg wygiętych w podkówkę, nie spoczął, aż przywrócił uśmiech.

- Możesz mi pomóc przy tym. - Wskazał na stos mebli. - Jest za wysoki. Nie mogę dosięgnąć tego, co leży na górze.

- Jak mogę ci pomóc?

- Chodź, to ci pokażę.

Podeszła ostrożnie, co było zabawne, zważywszy, jak blisko mu było we własnych oczach do świętości w związku ze wstrzemięźliwością, na jaką się przy niej zdobywał.

- No?
- Podniosę cię, a ty zdejmiesz mniejsze przedmioty
- Podniesiesz mnie? - powtórzyła, łypiąc na niego podejrzliwie.
- Tak. Dość tych spłoszonych spojrzeń, Favor. Chodź tutaj.

Podeszła niespiesznie, odchylając głowę do tyłu i patrząc mu w twarz, aby wy badać jego intencje. Dojrzał krawędź skrzywionego przedniego zęba, błysk bieli w ciemnej tajemnicy jej ust.

U podstawy szyi pulsowała żyłka. Pomyślał, że skóra w tym miejscu na pewno jest ciepła i aksamitna.

Byli sami.

Bez względu na to, co sobie wmawiał, nie był święty ani nigdy nie pretendował do świętości. Zadrżała, a on poczuł, jak w odpowiedzi napinają mu się wszystkie mięśnie, niczym u kota widzącego pisklę poruszające nagle skrzydłami.

Jeśli zadrzy jeszcze raz, rzuci się na nią jak kot zwabiony bezradnością pisklęcia. Drogi Boże. Miał za sobą więzienie. Co ona tutaj, do diabła, robiła? Opuścił głowę, gotów wykorzystać okazję. Każdą okazję. Niech jej serce bije szybciej, oczy ściemnieją, niech rozchyli wargi...

Tak się nie stało. Nic nie zrobili. Nic nie zrobiła. Odwróciła się do niego plecami, mówiąc:

- Jestem gotowa.

Ręce mu drżały, kiedy obejmował ją w talii. Suknia, którą włożyła do pracy, okazała się błędem. Nie oddzielała ją od niego.

Gorset nie usztywniał tułowia, brakowało zbroi w postaci ciężkich obręczy. Tylko zwykła niebieska materia przesycona zapachem ciała, które skrywała.

Czuł każdy oddech Favor, każdy ruch żeber, płaski brzuch pod czubkami palców. Tylko dotyk skóry pozostawał tajemnicą.

Zamknął oczy. Tawerna to jest to, czego mu potrzeba...

I dziewczki z tawerny. Kiedyś było coś takiego jak Czerwona Róża, piętnaście kilometrów na wschód od drogi północnej. Mocne napitki i chętne dziewczki, jedno i drugie dostępne za godziwą cenę.

- Tak? - mówiła, jakby brakowało jej tchu.

Podniósł ją, celowo kierując myśli na niespotkane jeszcze kobiety o zachęcających uśmiechach. Posadził ją sobie na ramieniu.

- Och! - Zachwiała się na górze. Rozłożyła ręce, chcąc utrzymać równowagę. Objął ramieniem jej nogi, podnosząc wolną rękę do góry.

- Chwyć moją rękę!

Wykonała szereg drobnych ruchów, poprawiając pozycję.

Złapała go za rękę, uderzyła stopami w pierś. Uwięził jedną delikatną kostkę, przyciskając ją do brzucha.

- Uspokój się! - wrzasnął.

Zakołysała się, zamiast uspokoić.

- Do diabła! Chcesz spaść? - Jedwab spłynął mu na nadgarstek, kiedy rozluźniła się podwiązka i pończocha zjechała po łydce w dół. - Przestań się wiercić! - Wsunął dłoń pod warstwę halek, znalazł kolano i podjechał jeszcze wyżej, chwytając pewnie jej udo.

Zamarła jak raniona w serce łania.

Jej uda były gładkie i jędrne, smukłe, o długich mięśniach.

Uda młodej kobiety, która więcej chodziła, niż jeździła konno.

Nimfa o aksamitnej skórze.

- Czy nieszczęsny Orville okazywał ci dalej zainteresowanie? - Nie miał pojęcia, skąd się wzięły te słowa. Wypowiedział

je, zanim nawet pojawiły się w jego głowie.

- Orville wyjechał - odparła słabym głosem.

- Dobrze. - Usłyszał nutkę zadowolenia we własnym głosie i się *przeraził*. Spróbował znowu *obojętnego* tonu, ale nie bardzo mu się udawało. Jej noga stanowiła gładką, zwiężającą się ku dołowi kolumnę, która aż się prosiła o pieszczotę. - To znaczy, dobrze dla niego. Żonaty był, prawda? Strata czasu, żeby cię w tej sytuacji uwodzić.

- Wyjechał, ponieważ nie mógł zamaskować pudrem siniaków, jakich mu narobiłeś.

- Och.

Poruszyła się i ciepły, kobiecy zapach wydobył się spod koronek i jedwabnej pończochy, zwiniętej wokół jej kostki. Woń jaśminu, rozgrzanego ciała i bardziej przyziemne, prowokujące zapachy. Wzmocnił uścisk. Zaciśnęła dłoń na jego rękę.

- Favor.

- Co?

Nie wiedział, „co”. Wiedział tylko, że ich obecna sytuacja była nie do zniesienia. Opuścił ramię, zrzucając Favor z góry i chwytając w ramiona; jedną ręką podtrzymywał kolana, drugą plecy.

Włosy dziewczyny, gęste i matowe niczym londyńska noc, wymknęły się z upięcia, opadając swobodnie. Złapał garść tych włosów, przyciskając kostki dłoni do miękkiej poduszki jej piersi.

- Zmyj to.

- Co?

- Włosy. Są jasne i lśnią jak roztopiona miedź. Zmyj tę czerń.

Popatrzyła na niego, trochę przestraszona, trochę zaniepokojona i, tak, odrobinę oczarowana.

- Nie mogę. Ona... Nie mogę.

Przez długą chwilę wpatrywał się w jej świeżą, śliczną buzię, pozbawioną pudru, w niebieskie, a nie sztucznie czarne, oczy.

Było tak cicho. Musiała słyszeć łomot jego serca. Wiedział o tym, ponieważ sam go słyszał.

Tylko że to nie było bicie serca. Podniósł głowę, nasłuchując.

To było coś innego. Zbliżało się.

- Co to jest? - zapytała Favor.

- Echo - odparł stłumionym głosem. — Ktoś idzie korytarzem.

Postawił ją delikatnie na podłodze i popchnął lekko w stronę niskiej szafki, która stała za miejscem, gdzie kiedyś był ołtarz.

- Przejdź tamtędy. To nie zakrystia. Korytarz prowadzący do północnego skrzydła. Nie mogą cię tu znaleźć. Zwłaszcza żaden z gości Carra. Wierz mi, Orville był tutaj jednym z pierwszych.

142

- Pośpiesz się, do licha! - powiedział szorstko, kiedy się wahała.

- Nie mogę sobie pozwolić, żeby cię znowu ratować. Mam szczęście, że Orville przez próżność nie wygadał się na mój temat.

- Ale jak...

- Nie zmieszczę się tam, Favor - stwierdził cierpko. - Są inne miejsca, gdzie się mogę schować. Nie majednak miejsca na dwie osoby. A teraz idź.

Odetchnął dopiero wtedy, gdy niskie drzwiczki zamknęły się za nią. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Blisko kaplicy.

Raine nie tracił czasu na rozglądanie się. Kłamał. Nie miał

gdzie się ukryć. Stał za stosem mebli i czekał. Parę minut później usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi, a potem krótką serię kroków; ktoś szedł powoli.

Kimkolwiek był ten człowiek, nie powinien ścigać Favor.

Raine wyskoczył, wznosząc pięści gotowe do ciosu...

Skurczona stara kobieta stała tuż za smugą światła wpadającego przez rozetowe okno.

- Raine! - Gunna osunęła się na podłogę.

i J u n n a ! - Raine ostrożnie podniósł staruszkę. Zatrzęsła się leciutko. Ważyła tyle, co nic. W grubym, brzydkim ubraniu wydawało się, że jest cięższa.

Nadal nosiła czarny koronkowy szal na głowie, odsłaniając jedynie część zeszpeconej twarzy. Spojrzała na niego zapadłym okiem. Nie wyglądała już tak odstręczająco jak kiedyś. Wydawała się za to żałośnie zniekształcona. Tak zapewne wyglądałby akwarelowy portret, który zostawiono na deszczu, pomyślał.

- To naprawdę ty, Raine Merrick, a nie duch? - szepnęła. Z kącika oka trysnęły łzy i znalazłszy głęboką bruzdę, spłynęły niżej.

143

Wycisnął całusa na jej policzku.

- Na pewno nie duch, kobieto. Ten sam bachor, który kiedyś obrzydzał ci życie, wrócił, żeby znów przysparzać kłopotów.

Kącik jej ust uniósł się w słabym uśmiechu, odsłaniając kilka krzywych zębów. Zamknęła oczy i pozwoliła, aby głowa opadła na jego pierś. Ociekała zadowoleniem jak sosnowe gałązki żywicą. Spojrzał z góry na drobną kobietę, wzruszony i zmieszany.

Gunna, którą pamiętał, miała mało czasu na okazywanie „głupiej miłości”.

Jakby czytając w jego myślach, raptownie uniosła powiekę; czuły uśmiech znikł już z twarzy. Usiłowała wyprostować się w jego ramionach, mrużąc:

- Postaw mnie! Słyszałam, że byłeś w więzieniu. Co to za więzienie, pytam się, że cię tak wykarmili jak byka na sprzedaż?

A jednak nie zmieniła się aż tak bardzo.

Raine postawił ją na nogach. Natychmiast starła wierzchem dłoni ślady łez. Te kształtne, delikatne dłonie stanowiły jedyną część jej ciała, o której można by powiedzieć, że jest piękna.

Oparła je teraz na biodrach, łypiąc na niego złym wzrokiem.

- No? Jak dawno wyszedłeś z francuskiego więzienia, co?

- Sześć miesięcy temu. Prawie siedem.

- A tutaj? Jak długo tutaj...? Jak długo jesteś? - Uderzyło go, że poczuła się urażona, naprawdę szczerze urażona, że nie powiadomił jej o swojej obecności. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogła się o niego martwić.

- Parę tygodni

Zacisnęła wargi.

- Przepraszam.

Szczera skrucha w jego głosie podziałała na nią uspokajająco.

- Nie musisz przeproszać, Raine. Jestem tylko taka...-

Urwała, zmieszana własnymi uczuciami. Podjęła znowu: - Cieszę się, że jesteś tutaj, zdrowy i dobrze wyglądasz. Twój brat napisał, że pojechał, by wpłacić za ciebie okup, ale ciebie nie było.

Ja... Baliśmy się, że Francuzi cię zabili.

144

- Ash pojechał do Francji, żeby mnie wykupić? — powtórzył

Raine. Raz jeszcze stara kobieta wprawiła go w zakłopotanie.

W krótkim czasie Raine odkrył, że aż dwoje ludzi martwiło się o niego, kiedy siedział w więzieniu. Taka serdeczna troska wytrąciła go z równowagi.

- Tak. - Gunna pokiwała głową. - Carr wykupił go prawie rok wcześniej. Ash natychmiast zabrał się do zbierania pieniędzy na twój okup. Udało mu się, ku żalowi Carra, a przy okazji zdobył dla siebie żonę.

- Żonę? — zapytał zaskoczony Raine. Jego starszy brat raczej nie wydawał się dobrym materiałem na męża.

- Tak. To podopieczna Carra, którą Ash wyrwał z jego rąk, i popsuł mu plany wobec dziewczyny. Szkoda, żeś nie widział brata, Raine. Całkiem otumaniony przez tę dziewczynę i ona przez niego. A ona w dodatku jest Russell, ni mniej, ni więcej. - Gunna pokręciła głową, chichocząc z wyraźnym zadowoleniem. - Russel-owie należeli do tych, którzy odpowiedzieli na wezwanie McClairenów, kiedy przybył książę Bonny.

- Jakobici? - zapytał Raine, rozbawiony. - Ojciec musiał być zachwycony.

Gunna się skrzywiła.

- Zdziwiłabym się, gdyby choć pamiętał, jak jej na imię. To, co go nie dotyczy, praktycznie nie istnieje, tak on sobie myśli. Skoro Ash się ożenił, cóż, twój ojciec nie jest taki głupi, by myśleć, że jeszcze kiedyś zobaczy starszego syna. - Parsknęła. - W każdym razie, w tym życiu.

Raine się zawahał.

- A Fia? - Była takim pięknym dzieckiem z tymi swoimi czarnymi włosami i różowymi wargami. Była także cieniem ojca.

Spodziewał się teraz usłyszeć, komu Carr ją „sprzedał”. Któremu księciu, hrabiemu czy zagranicznemu arystokracie. Bo taki z pewnością Carr miał plan.

- Ciągle tu jest. Jeszcze przez parę miesięcy. A potem jedzie do Londynu. On też. Tak przynajmniej mówi.

10-Ostatni bal

145

- Myślałem, że król Jerzy zabronił Carrowi wracać do Londynu.

- Tak. Ostatnia żona twojego ojca była chrzestną córką samej królowej i ojciec nie chciał, żeby król wiedział, iż stracił ją tak samo, jak dwie poprzednie. Nie można jednak powiesić szlachcica za morderstwo, nie mając dowodów. A kto będzie zeznawać przeciwko Carrowi? Więc król zesłał Carra tutaj. Teraz jednak Carr przysięga, że wiosną Fia pokaże się po raz pierwszy na salonach. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Rozmawiałeś z nią?

- Nie. Nie sądziłem, że mogłaby nie wyjść za mąż do tej pory.

Czy ją widział? Raine się zastanawiał, zaskoczony własnym wzruszeniem. Grzebał w pamięci, starając się dopasować dojrzałą twarz do dziecinnej, którą pamiętał.

Czy jedna z kobiet na sali balowej, którym się przyglądał

z wysoka, była jego siostrą? Czy będzie go pamiętać? Czy teraz jeszcze bardziej stanowiła cień Carra niż cztery lata temu? Ogarnął go smutek. Z pewnością tak.

- Cóż mógłbym jej powiedzieć? Nikt nie wie, że tu jestem, Gunno. I wolałbym, żeby tak zostało - dodał.

- Nie byłabym tego taka pewna, Raine. Carr ostatnio miewa jakieś przywidzenia, to znaczy nawiedzają go duchy. A teraz my

ślę, że to ciebie widział.

Raine gapił się na nią przez minutę, po czym wybuchł śmiechem.

- Myśli, że jestem duchem? Wspaniale! Pozwala mi gnić w więzieniu, a potem, widząc mnie, uznaje, że nie żyję i wracam, żeby go nawiedzać? - Wykrzywił usta w gorzkim grymasie. - Przecenia sam siebie. Gdybym umarł i musiał błędzić przez wieczność po tym padole, ostatnim punktem na ziemi, w którego pobliżu bym zawędrował, byłby ten, gdzie on by przebywał, jako żywy człowiek czy trup.

- Nie sądzę, by myślał, że to twój duch go prześladowa, Raine

- powiedziała Gunna spokojnie. - Przychodzi do niego duch kogoś innego.

146

- Kogo innego?

- Jego zmarłej żony.

- Och? Której? - zapytał w przyływie wisielczego humoru.

Gunna prychnęła gniewnie, jej twarz spoważniała.

- Wyrażaj się z szacunkiem o zmarłych, Rainie Merricku.

A zwłaszcza o tych biednych, przeklętych przez los żonach.

- Wybacz. Wystarczy mi wspomnieć o ojcu, bym zaczął poczynać sobie w jego stylu. A zatem o której żonie Carr sądzi, że nie może znieść rozstania z nim?

- O twojej matce. Dlatego tu jestem. - Poczłapała w stronę otwartego pudła, wypełnionego po brzegi różnymi rzeczami.

Przesunęła delikatnie ręką po niedbale rzuconych przedmiotach. - Wiem, że to tutaj Carr kazał przenieść wszystko, co należało do niej i kiedy stajenny powiedział, że wczorajszej nocy widział światło w kaplicy, pomyślałam...

- Pomyślałaś, że to Janet? A więc przyszłaś przebłagać jej ducha w imieniu Carra? Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś mu tak oddana. Zawsze sądziłem, że wyłącznie Fia cieszy się twoją lojalnością.

Staruszka odpowiedziała na te kpiny, odwracając się gwałtownie i chwytając go za ucho. Cofnął się, syknąwszy z bólu.

- I tak jest- rzekła. —Jeśli ktoś usiłuje przekonać Carra, że zmarła żona go nawiedza, to może nie działać w zgodzie z interesem panny Fii.

- Ciągle ją uwielbiasz — zauważył Raine.

- Tak musiało być. - Stara kobieta się zawahała. — Czy ty...

Czy wydawało ci się, że nie jesteś kochany?

Raine, zaskoczony, wytrzeszczył na nią oczy, a Gunna uznała, iż brak odpowiedzi dowodzi, że się obraził.

- Byliście silnymi, dużymi chłopcami, kiedy tu przyszedłem do pracy- zaczęła przeproszającym tonem. - Obaj zuchwali i w gorącej wodzie kąpani, ale całkiem już samodzielni. Możesz dziękować Bogu, że

ojciec o ciebie nie dbał. Dzięki temu stałeś się tym, kim jesteś, a nie tym, kogo on by z ciebie zrobił.

147

A jednak był taki czas, kiedy Raine zrobiłby wszystko, żeby zyskać aprobatę ojca.

- Ale Fia... - Gunna zmięła w dłoniach szorstką spódnicę. -

Taka piękna i taka smutna. Była małym dzieckiem, któremu ojciec podawał na łyżeczce kłamstwa i zdradę. Ktoś musiał stanąć między nimi.

- I to musiałaś być ty?

- A kto inny?

- Dlaczego?

Staruszka podniosła rękę do swojej kalekiej twarzy.

- Powiadają, że brzydcy nie potrafią się oprzeć pięknym -

stwierdziła po prostu. - Ale nie myśl sobie, że nie dbałam o ciebie i Asha. Kto, jak myślisz, odkrył, że McClairenowie chcą cię powiesić i dopilnował, żeby Carr się o tym dowiedział?

Raine spojrział na nią uważnie.

- Carr nie przybył po to, żeby mnie ratować.

Gunna splunęła na kamienną podłogę.

- Pewnie, że po to by się nie fatygował! Ale pojechałby, nie zastanawiając się, kiedy by uznał, że może wykorzystać to zdarzenie, by się pozbyć reszty owych żalonych głupców, McClairenow. Tak zrobił! Ciesz się, iż miał taką wymówkę i wybaczyć McClairenom, że nie dzielą twojej radości! - zakończyła. Wypowiedziała te słowa z zawziętością i rozpaczą.

Carrowi jednak nie udało się wybić wszystkich, pomyślał

Raine. Została Favor i jej brat.

- Carr ma wiele na sumieniu, jeśli chodzi o McClairenow.

Nic dziwnego, że widzi duchy.

- Tak- odparła Gunna. - Ostatnio jednak niektórzy z gości Carra też widzieli różne rzeczy. A Carr dziwnie się zachowuje.

Jest podniecony. I mogłabym przysiąc, że idąc korytarzem, słyszałam kobiecy głos.

- Zapewniam cię, że w kaplicy nie dotrzymywał rni towarzystwa duch kobiety czy mężczyzny. -
Musiał się pozbyć stąd Gunny na wypadek, gdyby Favor wpadło do głowy, żeby tu wrócić.

148

Mimo że nie wąpił w miłość Gunny, sama jasno określiła, wobec kogo czuje się lojalna. Jeżeli dotarłoby do niej, że Favor pochodzi z klanu McClairenów, mogłaby uznać, iż zagraża Fii. Ostatecznie, wszyscy McClairenowie muszą nienawidzić wszystkich Merricków.

- Co do gości Carra, to musieli mnie widzieć. - Uśmiechnął

się z wdziękiem. - Będę się starał mniej rzucać w oczy.

Wszelką próbę odwrócenia uwagi wyczuwała natychmiast jak pies myśliwski wyczuwa zająca. Podeszła bliżej, nie spuszczając z niego wzroku.

- Tak. Może i tak. - Popukała go w pierś długim palcem. -

Co ty tutaj robisz, Rainie Merricku? Jasne jest, że nie przybyłeś na rodzinne spotkanie.

- Nie? - Ujął jej oskarżycielski palec, zamknął go w swojej pięści i ucałował w koniuszek. - Może przybyłem po jeszcze jeden twój uścisk, Gunno.

- Po pierwsze, nigdy ich ode mnie nie dostawałeś, więc dlaczego teraz miałbyś się domagać? - burknęła, nie mogąc jednak ukryć zadowolenia. - Mów mi zaraz albo zostanę, dopóki się nie wygadasz.

Puścił jej palec, a ona mu pogroziła.

- Nie próbuj mnie oszukać, Rainie Merricku. Nie możesz się doczekać, żebym sobie poszła, i pójde sobie, jeśli powiesz, czego szukasz w rzeczach matki.

Nie zastanawiał się długo. Uzna go za głupiego, podobnie jak Favor. Poza tym Gunna mogła wiedzieć, gdzie Carr podział

resztę dobytku Janet.

- Szukam skarbu McClairenów.

- Czego? - Na jej zrytym bruzdami czole pojawiło się jeszcze więcej linii. - A cóż to takiego?

Gunna nie mogła słyszeć o klejnotach. Jak zauważyła Favor, to była tylko miejscowa legenda. A Gunna nie pochodziła z Mc

Clairenów. Przyjechała z północy w poszukiwaniu zajęcia, kilka lat po śmierci jego matki. Carr, widząc, jak Fia przylgnęła do niej, 149

z miejsca zatrudnił kobietę. Guwernantce o wyglądzie Gunny nie potrzeba było dużo płacić.

- Moja matka miała klejnoty, Gunno, które powierzył jej klan.

Gunna pokiwała znacząco głową.

- A zatem są teraz w posiadaniu Carra.

- Nie. On nie ma pojęcia o ich istnieniu. Ja się o nich dowiedziałem tylko dlatego, że zobaczyłem kiedyś, gdy je wyjęła.

Gunna nie wydawała się przekonana.

Raine podjął opowieść.

- Widziałem naszyjnik i broszę w kształcie lwa, wysadzaną nieoszlifowanymi kamieniami. Raczej nie wyglądały na dzieło artysty, nawet dziecko to widziało. Złoto było jednak takie grube, jak mój kciuk, a co dostrzegłem to kamienie, wielkie jak ślepią kota.

- Mów dalej! - Gunna parsknęła śmiechem, rozbawiona tajemniczą historią.

Uśmiechnął się.

- Trzymała je w orientalnej szkatułce. Czy nie natrafiłaś kiedyś na coś takiego tutaj lub w innym pomieszczeniu?

Gunna zerknęła na sufit. Zastanawiała się chwilę, pocierając kciukiem płaski nos.

- Nie, Raine. Przykro mi. Nie pamiętam, żebym widzia

ła coś takiego, co nie znaczy, że to nie istnieje. Tyle rzeczy tutaj zgromadzono.

Jej słowa skazywały go na żmudne przegrzebywanie stosów niepotrzebnych przedmiotów, śmieci i rozmaitych drobiazgów.

Prawdopodobnie zajmie to wiele dni.

Wszystkie w towarzystwie jego małej „ofiary”.

Bez względu na powód, świadomość tego go nie zniechęciła.

Dziewczyna miała do niego awersję.

Carr prowadził Favor w stronę galerii obrazów. Przedtem oznajmiła, że będzie nieszczęśliwa Jeśli nie zobaczy zbiorów, i to wyłącznie w jego towarzystwie.

Podał ramię damie, a jej palce tańczyły nad rękawem kubraka, ledwie go dotykając. Bardzo dziwne zachowanie, jeśli w istocie zamieszkiwał w tej kobiecie duch jego żony, oddanej mu bez reszty, która kochała go całym sercem, namiętnie i często swoje uczucie okazywała demonstracyjnie. Przynajmniej na początku małżeństwa.

Ciągle się zastanawiał, *co* z nią zrobić, jeśli rzeczywiście się oka

że, że to Janet. Na pewno nie mógł poślubić dziewczyny. A gdyby ożenił się z nią, a potem ona zmarła wskutek naprawdę nieszczęśliwego zbiegu okoliczności? Mógł jej zaproponować pozycję kochanki, ale Janet miała surowe zasady w takich sprawach. Nie mógł jej tknąć, zanim nie złożyli przysięgi małżeńskiej. A ta dama, jak zdążył zauważyć, również nieskora była dać mu przyzwolenie.

Nie mylił się. Uwiódł wiele kobiet. Ona jednak stale ustawia

ła się na jego drodze. Jak to wytłumaczyć? Chyba należy uwierzyć Pali, która twierdziła, że dziewczyną kieruje duch Janet.

Ogarnęły go wątpliwości po incydencie z szalem, ale nie na długo. Szukała bowiem jego towarzystwa z takim uporem, a nawet desperacją, że zaczął wierzyć Pali. Poza tym dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że jej ciało gości jeszcze kogoś innego.

Tak więc uspokoił się i oto byli tutaj, stojąc przed jednym z obrazów Tycjana. Włożył dużo pieniędzy w dzieła sztuki, klejnoty, manuskrypty.

- Lubię niebieski. Zwłaszcza taki niebieski, jak u pawia - powiedziała Favor, zerkając na niego z ukosa. Ciemne oczy, jak widział, miała dziwnie rozszerzone i niemal czarne. Równie osobliwe były jej włosy. Ponętne, ale dziwne.

- Piękny odcień - przyznał.

Po drodze do galerii zrobiła wiele tego typu przypadkowych uwag. Lubiła skorupiaki. Wzruszała ją muzyka skrzypiec. Oznajmiła, że czytała Jonathana Swifta i Henry'ego Fieldinga, oczekując wyraźnie, że się oburzy. Powiedział jej, że nie czytał nic ich autorstwa i że czytanie uważa za męczące. Zbita z tropu, zapadła w długie milczenie, z którego ocknęła się tylko po to, żeby uczynić jeszcze kilka niezbyt mądrych uwag.

151

Zdumiewające, żeby dziewczyna nie potrafiła prowadzić konwersacji i mówiła tak nedorzecznie. Słyszał przedtem, jak lekko i raczej dowcipnie rozmawiała z Tunbridge'em. Może wchodziło w grę oddziaływanie Janet i cały ten nonsens należało tłumaczyć nawiedzeniem dziewczyny.

Przyglądali się arcydziełu Tycjana przez parę minut, aż poczuł

się znudzony.

- Czy będziemy kontynuować?

Poprowadził ją obok rozpaczliwie ciemnego obrazu flamandzkiego mistrza do czegoś, co naprawdę lubił, krajobrazu namalowanego z niemal matematyczną precyzją przez Poussina.

Był to *Dionizjusz przy bramie miasta*. Temat grecki zachwycał go w równym stopniu, jak analityczna czystość kompozycji. Zawsze podziwiał architekturę grecką i do pewnego stopnia samych Greków. Nie tak, oczywiście, jak Rzymian.

- Śliczne - mruknęła Favor.

- Nie tylko śliczne, ale i precyzyjne - pouczył ją. - Popatrz na te budynki w tle. "wszystkie są przedstawione na swoim właściwym miejscu w Atenach.

- Naprawdę? Nie czytam po grecku. Ani po łacinie. Znam trochę francuski. Gorzej niemiecki.

Carr prawie jej nie słuchał. Byłby z niego wspaniały grecki arystokrata. Albo grecki filozof Albo może grecki polityk. Wygłaszałby mowy właśnie... tutaj.

- Widzisz, moja droga, tam jest Akropol, a tam dalej Partenon.

Odpowiedziała coś szeptem. Odwrócił się, patrząc czujnie.

Wydawała się jakby nieobecna, ale spojrzenie miało w sobie dużo ciepła. Na ustach można było wyczytać obietnicę uśmiechu.

- Co powiedziałaś? - zapytał, pochylając głowę, żeby dobrze usłyszeć. ~ Co powiedziałaś?

- Parter-Non - mruknęła, jakby przypominając sobie jakieś miłe głupstwo.

Zabrakło mu tchu; w piersi poczuł bolesne łomotanie. Dotąd nie wierzył. Nie do końca. Teraz tak.

Janet wróciła.

152

- Życzę dobrej nocy, panno Donnę.

- Lordzie Carr. - Uśmiechnęła się i weszła do pokoju, zamykając drzwi za sobą. Zaciśnęła powieki, czekając, aż odejdzie. Upłynęło pięć minut, zanim w końcu usłyszała oddalające się kroki.

Szlochając, opadła na drzwi; ramionami uderzyła z łoskotem w deskę. Przycisnęła dłonią usta, by stłumić płacz. Nie mogła się opanować. W głowie szalały niespokojne myśli. Dokonała tego.

Zyskała zainteresowanie lorda Carra. Nawet więcej. Stała się jego obsesją. Gdzieś tam w tej długiej, ponurej galerii doszedł do przekonania, że mieszka w niej duch Janet McClairen.

Dotknął jej. Pogłaskał policzek wierzchem dłoni. Boże! Nogi pod nią zadrżały, osunęła się na podłogę. Łajała siebie za tę dziecinadę.

Naturalnie, że jej dotknął! Jeśli wszystko będzie przebiegać zgodnie z planem, on posunie się dalej, zechce więcej. Do *tego* j dążyła, taki cel postawiła sobie od samego początku. Żeby Carr się z nią ożenił. Nic się nie zmieniło.

Łzy popłynęły jej z oczu. Kapały coraz obficie, nie sposób było ich powstrzymać. Spływały po policzkach i ustach, mocząc delikatną koronkę gorsetu. Zdradzieckie łzy, nieliczące się z planami, celami, intencjami.

Gdyby tylko, pomyślała bezradnie, Rafę nie dotknął jej pierwszy.

ał

Mo nas, jak na razie, prawda? - zagadnęła lady Fia ze słodkim uśmiechem, którym dodawała wdzięku swojej ślicznej twarzy, jakby kpiąc przy tym z własnej subtelności.

Favor, czekając z Fią na resztę towarzystwa, nie zwracała na *nią* większej uwagi. Rafę będzie się zastanawiał, co się z nią stało.

153

Dlaczego nie przyniosła ubrań, choć wymusił na niej obietnicę, że się postara. Może ją przeklnie i wpadnie w złość.

Może będzie mu jej brakować.

Zamrugwała, zdumiona własną głupotą. Musi odganiać takie myśli. Lepiej przypomnieć sobie, jak się uśmiecha, zanim się zjawi Carr, żeby poprowadzić gości na *dejeuner** na świeżym powietrzu.

Dzień wstał jasny i był niezwykle ciepły jak na drugą połowę października. W nocy wiatr zmienił kierunek i teraz wiał od po

łudnia, łagodnie, sunąc niespiesznie, niczym pokojówka na niedzielnej przechadzce.

Lady Fia, jak zawsze chimeryczna, zorganizowała piknik. Rozesłała zaproszenia wcześniej rano. Nawet teraz ci bardziej zapamiętali w zabawie mieszkańcy Rumieńca Ladacznicy spali, nie mając okazji przeczytać zaproszeń. Jednak większość oddanej Fii świty- która poinstruowała służbę, żeby wszelkie *communique* lady Fii przynosiła im bezzwłocznie - potwierdziła swój udział.

Favor należała przypadkowo do tych nielicznych gości, którzy nie spali, gdy przyniesiono zaproszenie, miała bowiem bezsenność. Przyjęła je z wahaniem, wiedząc, że skazuje się na towarzystwo Carra przez cały dzień, podczas gdy mogłaby szukać skarbów z Rafę'em.

Jednak unikanie Carra oznaczało jedynie opóźnianie tego, co musiała zrobić. Tak więc teraz oczekiwała przybycia lorda, jego zainteresowania, jego zalotów. Myśli Favor były równie mroczne i ponure, jak ten dzień był przyjemny i słoneczny.

- Panno Donnę! - wykrzyknęła lady Fia. - W istocie nie wyglądasz najlepiej. Może lepiej zostaniesz w Rumieńcu Ladacznicy?

- Nie.

Fia uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jeśli opuścisz naszą grupkę, gwarantuję, że nie stracisz przez to żadnej okazji.

* *dejeuner* (z franc.) - śniadanie (przyp. red.).

154

- Lady Fio? - powiedziała Favor, do której dotarła w tym momencie subtelna ironia w głosie Fii.

- Mój ojciec, Panno Donnę, nie jedzie.

Favor natychmiast odzyskała czujność, pozbywając się ospa

łości, jakby zrzuciła przemoczony płaszcz. To, że lady Fia zauwa

żyła zainteresowanie Favor jej ojcem, miało mniejsze znaczenie niż to, że go tutaj dzisiaj nie będzie.

- Lord Carr z nami nie pojedzie?

- Nie - odparła Fia, patrząc na nią uważnie. - Rzadko wstaje przed południem.

Pochyliła się bliżej, z fałszywie konspiracyjnym uśmiechem.

- Bardzo pożyteczna informacja dla ciebie. Oczywiście, mog

łabym udzielić ci wielu cennych rad, ale wątpię, żebyś je przyjęła.

Mam rację, nieprawdaż?

Zanim Favor odpowiedziała, rozległy się głosy. Zrobiło się tłoczno i gwarnie. Fia się odwróciła, żeby pozdrowić przybyłych.

Otoczyło je mnóstwo młodych, chętnych do rozrywki dam.

Favor nadal była oszołomiona wiadomością o niespodziewanej swobodzie.

Cały dzień wolny. Wolny od pokrzykiwań Muiry, obsesyjnej adoracji Carra, wolny nawet od niepokojącego magnetyzmu Rafę'a. Poczucie swobody stało się niemal namacalne. Uśmiechnęła się do Tunbridge'a, odpowiedziała na pozdrowienie innego gościa i wdała się w pogawędkę ze starszą kobietą obok siebie.

Udali się do stajni, gdzie dziesiątki koni, podnieconych tą jakby wiosenną pogodą, parskało, gotowych już rwać z kopyta.

Główny stajenny oceniał umiejętności jeźdźców, dopasowując do nich odpowiednie konie.

Favor dostrzegła ogromną postać Jamiego Craigga, który zmierzał ku niej, prowadząc łagodną z wyglądu klacz. Pomyślała od razu o nieograniczonych możliwościach Muiry i jej wszystko widzącym oku. Wpadła w ponury nastrój. Już prawie zapomniała, jak to Jamie przebrał się za woźnicę Thomasa. Na lądzie wydawał

się zupełnie nie na miejscu, morze było dla niego naturalnym 155

środowiskiem. Favor się zastanowiła, nie po raz pierwszy, czy inni, których życiem dyrygowała Muira, zmieniając je po swojemu, mieli jej za złe manipulację.

Jamie, z nieprzeniknioną twarzą, zatrzymał się przed nią. Być może, jeśli go poprosi, nie powie Muirze, że urządziła sobie ca

łodzienne wagary.

- Jamie...

- Proszę się nie martwić, panno Donnę - przerwał Jamie ostrzegawczo, wpatrując się w coś ponad jej ramieniem. - Zało

żyłem delikatniejsze wędzidło.

Odwróciła głowę. Lord Tunbridge stał tuż obok.

- Oczywiście. Dziękuję, Jamie. Możesz powiedzieć mojej ciotce...

- Ach, panienko! Starsza pani miała spać aż do powrotu panienki. "Wyślę służącą, żeby ją obudziła, jeśli taka wola, ale, proszę wybaczyć, że to mówię, pozwoliłbym damie odpoczywać i nie zawiadamiałbym jej o tym, co robisz. - Mrugnął do niej dyskretnie. Kochany Jamie! Nie miał nic przeciwko temu. Odpowiedziała na jego mrugnięcie wesołym uśmiechem, w pełni odzyskawszy dobry nastrój.

Uniosła spódnicę, czekając, aż Jamie ją podsadzi. Ktoś go jednak uprzedził - czyjeś kościste dłonie chwyciły Favor w pól.

- Panno Donnę. - Poczowała na uchu oddech Tunbridge'a na sekundę, zanim posadził ją lekko w siodle.

Spojrzała zaskoczona na uniesioną do góry bladą twarz mężczyzny.

- Dziękuję, lordzie Tunbridge.

Cienkie usta Tunbridge'a ułożyły się w pełen podziwu uśmiech.

- Czy wybaczysz mi moją śmiałość, jeśli powiem, że wyglądasz dzisiaj wyjątkowo uroczo, panno Donnę?

Może i nie jest taki okropny, uznała Favor i, przypomniawszy sobie jego bolesne zadurzenie w lady Fii oraz to, jak został wykpiony, uśmiechnęła się do niego.

156

- Dziękuję, panie.

Nie patrząc w stronę Jamiego, Tunbridge wyciągnął monetę z kiesy i rzucił nią w kierunku olbrzyma. Mamrocząc podziękowania i kiwając głową, Jamie się wycofał. Przekonująco wyraził pokorną wdzięczność, grając rolę spolegliwego sługi.

Tunbridge nie odrywał oczu od Favor.

- Jesteś równie *śliczna* jak *ona* - szeptał Tunbridge. - *Do* diabła, jeśli tak nie jest.

Rozdzierający krzyk chłopca odwrócił w końcu jego uwagę.

- A niech to. Proszę wybaczyć, panno Donnę - rzekł Tunbridge. - Jeden z chłopców stajennych nie może ujarzmić mojego ogiera. Wredna bestia. Ma paskudny zwyczaj gryzienia tych, którzy ściągają mu popręgi. Lepiej pójdę dopilnować, żeby nie zabił szczeniaka. Mielibyśmy zepsuty posiłek.

Chwilowa życzliwość Favor wobec Tunbridge'a się ulotniła.

- Jesteś pełen humanitarnych uczuć, milordzie.

Uśmiechnął się szyderczo i odszedł. Favor znowu mogła się cieszyć darowanym dniem. Wkrótce potem reszta gości dosiadła koni i lady Fia uniosła do góry dłoń w rękawiczce.

- Za mną! - zawołała. - Jeźdźcy, za mną!

- Panna Donnę jedzie z Fią i resztą jej wrzaskliwego towarzystwa - powiedział Carr, spoglądając z okna wieży, jak czterdziestka jeźdźców znika za rogiem zamku.

Jego córka władczy gestem podniosła do góry koronkową chusteczkę, zataczając nią koło w powietrzu. Wszyscy ruszyli, przechodząc prawie natychmiast do pełnego galopu, jakby zaczynali bieg z przeszkodami, a nie wybierali się na piknik.

- Boże. - Carr wypuścił powietrze ze świstem. - Nikt już nie jeździ w spacerowym tempie. - Zaciągnął firanki, odwracając się do Pali. - Czy panna Donnę przypomni sobie coś więcej ze swojego życia, kiedy była moją żoną?

Pala skuliła się ze strachu. Dobrze jej tak.

157

Znalezienie staruchy zabrało dwa dni. Jeden ze służących wyszedł ją w końcu. Wlokła się brzegiem klifu, zbierając jakieś zielsko. Jak śmie zniknąć, kiedy on chce wyjaśnić pewne rzeczy?

Szpicrutą trzeba było przywieść ją do porządku. Stłumił irytację.

- Przyjmuję, że mnie nie usłyszałaś. A więc, jeszcze raz, czy panna Donnę przypomni sobie konkretne zdarzenia z życia jako Janet McClairen?

Pala potarła czerwoną plamę na policzku.

- Nie wiem.

Carr podniósł szpicrutę, podrzucając ją w dłoni.

- Zgadnij. - Uśmiechnął się lekko. -Ale zgadnij właściwie.

Starucha drgnęła.

- Proszę, panie. Ja myślę... nie. Te rzeczy, które ona czuje, ona... czuje. Nie rozumie, dlaczego.

- Hm. -Jakiś sens w tym jest.

- Nie podoba ci się moje zgadywanie. Przykro. Mnie przykro! - zawyła Pala, chowając głowę w ramiona.

- Mnie nie jest. - Sprawy skomplikowałyby się jeszcze bardziej, gdyby Janet, panna Donne, do diabła, trudno się w tym nie pogubić! - pamiętała wydarzenia ze swojego ostatniego dnia na ziemi. Ale z kolei, czyj był to ostatni dzień na ziemi? Z pewnością nie panny Donne ani, jak się wydaje, Janet.

Fascynująca zagadka.

Janet. Mogliby być razem, tutaj, w Rumieńcu Ladacznicy, gdzie się to wszystko zaczęło. Mógłby wszystko naprawić. Gdyby tylko zdołał przekonać pannę Donne...

- To dziwne, dlaczego kobieta, w którą się wcieliła moja kochająca żona, nie darzy mnie takim samym uczuciem, a nawet, powiedziałbym, jest mi niechętna?

Pala rzuciła mu spojrzenie pełne strachu i ciekawości. Jej siwe włosy wisiały jak brudne sznurki z obu stron bladożółtych, zapadłych policzków.

- Lordzie Carr, co Pala może zrobić? Jak pomóc szlachetnemu lordowi Carrowi?

158

Gdy człapała w jego stronę, sznurki muszelek i dziwnych świecących kamyczków zabrzęczały wokół jej szyi, zaszeleściły ciężkie spódnice, a na czystej podłodze zostawiała za sobą ścieżkę zeschniętych liści.

- Jakie jest życzenie wielmożnego pana?

- Cóż... - mruknął Carr, przyglądając się swoim paznokciom. -Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, doszedłem do wniosku, że panna Donne mnie nie lubi. Nie dajesz temu wiary? Czytam to z twojej twarzy. Ja także nie mogę się oprzeć zdumieniu.

- Milordzie!

- Niemniej jednak to prawda. Panna Donnę przejawia niechęć wobec mojej osoby.

Dając świadectwo zaskoczeniu, głowa Pali podskoczyła do góry na wątlej szyi. Wpatrywała się w niego osłupiała, wytrzeszczonymi oczami.

- Ale jak... To znaczy, mówisz, że chce być z tobą. Ustawia się na twojej drodze! Może widzisz nieśmiałość młodej dziewczyny i myślisz, że ona cię nie lubi?

Uśmiechnął się drwiąco.

- Sądzę, że mam dostatecznie bogate doświadczenie, żeby móc odróżnić dziewczęcą nieśmiałość od antypatii.

- Ale...! Nie rozumiem. Dlaczego chce być z tobą, jeśli nie lubi?

Carr zasiadł na jedynym krześle w pokoju, ostrożnie, aby nie pognieść nowego kubraka.

- Ty, Pala, jesteś tylko prymitywną Cyganką. Jak mogłabyś zrozumieć? Jednakże, jakkolwiek wyjaśnianie zagadnień filozoficznych takim jak ty może się okazać niemożliwe, to ja nigdy nie cofałem się przed trudnymi wyzwaniem. Tak więc, słuchaj, Palo, a ja spróbuję ci wytłumaczyć.

Stara kobieta przyjęła ten wywód ze skwapliwością, kiwając głową.

- Duch Janet przetrwał ukryty w ciele panny Donnę. Można to tak zobrazować: portowy szczur znajduje sobie dogodne miejsce 159

na statku, chowa się tam, nikt nie ma do niego dostępu, jest niewidoczny i żyje sobie bezpiecznie. Jednak z tej pozycji Janet skłania jakoś pannę Donnę, żeby reagowała na moją osobę, znowu raczej jak ów szczur, za którego sprawą na statku mogą się pojawić pchły czy zarazki jakiejś choroby odzwierzęcej. Panna Donnę jest zarażona uczuciami Janet do mnie. Tak głębokimi i intensywnymi, że w młodej kobiecie budzą strach. Tak więc, panna Donnę mnie pragnie, dzięki mojej poprzedniej żonie, a jednak czuje do mnie niechęć. - Podniósł dłoń, ucinając prawdopodobne protesty ze strony Pali. - Trudno w to uwierzyć, prawda?

Pala, wyraźnie nieobznajomiona z etykietą, gapiła się na niego w milczeniu, zamiast wymamrotać, że ma rację. Westchnął żałośnie. Ludzie tak bardzo go rozczarowywali.

- O ile znam moją Janet - kontynuował - to wydaje pannie Donnę swoje... emocjonalne dyrektywy w sposób nad wyraz gwałtowny. - Pochylił się ku Cygance. - Taka namiętność, jaką Janet żywiła do mnie, zdaje się przerastać delikatną wrażliwość dobrze wychowanej, młodej damy. Jakże panna Donnę może nie być przerażona, skoro kierują nią, jak zapewne uważa, cielesne impulsy? Tak więc, odpowiada na to uparcie, sprzeciwiając się poleceniom Janet i czując niechęć do człowieka, który budzi w niej tak dziwne uczucia. *N'est-ce pas?*

Twarz Pali pod warstwą brudu pozostała nieodgadniona.

Perły przed wieprze, pomyślał Carr. Ale cóż, ona była tylko czymś trochę więcej niż zwierzęciem. Jednak, podobnie jak inne zwierzęta, bywała pożyteczna. Stracił dość czasu.

- Nie rozumiesz, co? Na szczęście nie musisz rozumieć.

Musisz zrobić tylko jedną rzecz.

- Co takiego, lordzie Carr? - wymamrotała Pala głosem zduszonym z przejęcia.

Prawdopodobnie nadal stara się przetrwać tę informację o niechęci panny Donne do niego. W rzeczy samej, to dość niezwykle.

- Musisz mi przygotować napój miłosny.

Muira, przesunawszy stół ku plamie jasnego światła, wpadającego w południe przez drzwi stajni, rozsiadła się swobodnie.

Wyciągnęła rękę nakazującym gestem, a Jamie podał jej lustro.

Przechyliła głowę, przypatrując się swojemu odbiciu.

- Niech go szlag! - Ból głowy, który czuła po uderzeniu Carra jakoś znosiła. Dużo gorszy był ślad, jaki na twarzy zostawił

jego bicz. Oznaczał opóźnienie w ich planach i to w momencie, gdy wszystko zaczęło się tak dobrze układać.

- Do diabła z nim! Do piekła z jego czarną duszą!

- Myślałem, że to twój cel, Muira - powiedział Jamie. -Wysłać jego duszę do piekła.

Muira zachichotała; ten chichot sprawiał przykre wrażenie, dominowała w nim wściekłość.

- Tak, Jamie Craigg. Tak jest. I to już wkrótce, już wkrótce.

Olbrzym zatknął kciuki za pas, patrząc z góry na drobną kobietę.

- Czyżby? -Zmrużył oczy. -A my wszyscy tutaj myśleliśmy, że w tym planie chodzi bardziej o przywrócenie klanowi tego, co mu ukradzono niż zaspokojenie twojego osobistego pragnienia zemsty.

Muira rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Jeśli mogę osiągnąć jedno i drugie, dlaczego nagle miałbyś mieć coś przeciwko temu?

- Bo nie powiedziałaś dziewczynie, jaki masz plan.

Spojrzenie Muiry zobojętniało. Spod warstwy brudnych spódnic wyszarpnęła jedną i oddarła

kawałek materiału, żeby wytrzeć nim twarz.

- Ona wie.

- Powiedziałaś jej?

- Nie musiałam. Wie z pewnością, ale jeśli lepiej jej się śpi w nocy, kiedy sobie wmawia, że Carr będzie żył długo po tym, jak ona za niego wyjdzie, a potem zostawi, to w porządku. Jeśli to umożliwi Favor zrobienie tego, co trzeba zrobić, jestem za.

11-Ostatni bal 161

Jamie patrzył, jak zanurza szmatę w wiadrze z wodą i myje twarz, trąc z całej siły.

- Po tym, co się stało owej nocy, rządzi tobą półszaleństwo, Muira Dougal. Przecież wiesz, zdajesz sobie sprawę?

Wyszczerzyła zęby, słusznie odczytując zmęczenie w jego głosie jako kapitulację.

- Ale nawet w tym, jak mówisz, półszaleństwie i tak jestem sprytniejsza niż większość zdrowych, hę?

Parsknęła, lecz koniec końców skinęła głową w odpowiedzi.

Wesołość znikła z jej twarzy.

- Pamiętaj, Jamie Craigg, to ja byłem tą, która opiekowała się tobą i innymi, którzy przeżyli rajd szatańskiego księcia. To ja wpadłam na pomysł, w jaki sposób ściągnąć z powrotem tych McClairenów, których wygnano za ich „zbrodnie”. To ja sprowadziłam tych McClairenów do wioski na północnym wybrzeżu, tej wioski, gdzie przechowujesz swoją kontrabandę. Ja to robi

łam. Ja. Odzyskamy ziemię. W Rumieńcu Ladacznicy znowu zamieszka McClairen. A lord Carr umrze. Przysięgam. - Dławiła się z wściekłości.

Jamie ze zmarszczonym czołem patrzył na starą kobietę, która trzęsła się ze złości. Nie odezwał się jednak. Przez wzgląd na te wszystkie lata, kiedy kierowała klanem i trzymała go razem tylko dzięki sile swojej woli, nic nie powiedział. Nie mógł też wyjawić całej prawdy Favor McClairen, nawet jeśli Muira i jej knowania miały ją zniszczyć.

- Przekleństwo! - krzyknęła Muira, ponownie wpatrując się w lustro. - Ten ślad nie zejdzie do zmięchu i żadna farba go nie ukryje. Favor będzie musiała udawać, że boli ją głowa. Na szczęście jutro jest bal maskowy i wierz mi, włożę maskę!

162

Oberżysta! Jeszcze jeden kufel piwa! - zawołał obcy.

- Dla mnie też - zaszczebiotała Franny.

Przystojny, z wyglądu niebezpieczny mężczyzna wydawał się jej nie słyszeć; wpatrywał się uporczywie w resztki piany na dnie kufła. Już miała powtórzyć prośbę, kiedy podniósł głowę. Popatrzył na nią ze zdumieniem, jakby zapomniał, że trzyma dziewczynę na kolanach. Przy jej wadze niewielu mężczyzn zapomina

ło, że Franny siedzi im na kolanach.

To tylko potwierdzało siłę mężczyzny. Franny wierciła się zadowolona. Mężczyzna podniósł dwa palce.

- Dla niej też.

- Tak jest, panie. Za minutkę. Muszę odszpuntować kolejną beczkę, a nie mam żadnej pomocy, nikogo, kto by się zajął

wszystkim tutaj, bo moja pomoc zajmie się teraz zawartością twoich kieszeni, panie, jeśli nie będziesz uważał — mówił oberżysta, zabijając Franny wzrokiem.

- Nigdy nie ukradłam dżentelmenowi ani pensa i ty dobrze o tym wiesz! - pisnęła Fran, ale jej protest nie zrobił żadnego wrażenia na oberżyście, który sam ustawiał kolejną beczkę. Nie to, żeby Fran przejmowała się specjalnie tym, co odpowiadało, a co nie odpowiadało oberżyście. Nieokrzesany, tak wyglądał

na oko, obcy miał w sobie coś, co kazało się Fran domyślać jego hojności, a nie należała do tych, które się mylą w takich sprawach. Przyszedł przed godziną i postanowił się upić, o ile się na tym znała... A znała się. Miał zły nastrój, był rozdrażniony, szukał pociechy. Postanowiła oferować siebie w tym charakterze.

Poza tym, że wydawał się hojny, był też przystojny. Brutalny, ale przystojny. Nie taki już bardzo młody, ale i ona trochę już przeżyła.

163

- Ty, panie! - Głos odezwał się z drugiego końca zalanej słońcem salki. - Jesteś z tych stron czy tylko przejazdem?

Głowa obcego obróciła się na dźwięk pijackiego męskiego głosu, a usta Fran zadrżały z irytacji. Do diabła z Daviem Duf-fem. Podniósł się chwiejnie, złapał kufel wolną ręką i przywłókł

się do nich.

- A zatem?

Obcy przyglądał mu się spokojnie.

- Dlaczego pytasz, przyjacielu?

- Ponieważ - odparł Davie, spuszczać wzrok - przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem. Dobrego druha mojej zmarnowanej młodości. - Widać spodobało mu się brzmienie tych słów, bo powtórzył je parę razy. - Zmarnowanej młodości.

Zmarnowanej. Młodości.

- Czy tak? - Obcy poprawił Fran na swoich kolanach. - Wybaczysz mi, że nie stoję.

- Nigdy! - pisnęła Fran, zachwycona własnym dowcipem.

Davie łypnął na nią z uznaniem.

- A kimże byłby ów zaginiony towarzysz? - dociekał obcy, niezbyt zainteresowany wdziękami, którymi Fran starała się go oczarować.

- Człowiek o imieniu Raine Merrick. Ale to nie ty, prawda? — zapytał Davie.

- Jesteś pewien? — rzucił obcy. Coś w jego głosie zmusiło Fran, żeby odwróciła głowę i spojrzała na niego badawczo.

Wystarczyła sekunda, by dziewczyna uznała, że obcy nabija się z Daviego. Nie był Raine'em Merrickiem. Znała Raine'a Merricka. Niezbyt dobrze, ale coś mogłaby o nim powiedzieć, po tym jak raz czy dwa poprzewracała się na sianie z tym wysokim, mocno zbudowanym chłopakiem.

Nieznajomy mężczyzna był wyższy niż Raine i, choć szeroki w ramionach, to jednak szczuplejszy. Włosy miał ciemniejsze, a twarz bardziej kanciastą. Przypomniała sobie teraz zachowanie Raine'a, gdy narastał w nim gniew. Rozzłoszczony, aż wibrował, 164

wywołując sobą niemal burzę z piorunami. Kąśliwe słowa, zaciśnięta pięść, gorzki śmiech - tak go zapamiętała.

Nie to, żeby ten człowiek sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie wywijał pięściami. Wydawało się jednak, że panuje nad diabłem, który w nim siedzi, podczas gdy Raine'em Merrickiem prawdopodobnie rządził diabeł.

Co, biorąc pod uwagę, iż był synem lorda Carra, wydawało się całkiem możliwe.

- Masz szczęście, że nie jesteś Raine'em Merrickiem. Słysza

łem, że umarł we francuskim lochu - mówił Davie.

- Widać cierpisz po jego stracie - zauważył obcy, wyraźnie sobie pokpiwając.

- Ja? Nie! Nie był moim przyjacielem. Powiedziałem tylko, że mi go przypominasz. Ten chłopak zawsze starał się zrobić na złość swojemu ojcu, ale ten wcale nim się nie przejmował. Raz jeden, zwrócił na niego uwagę, to było wtedy, kiedy o mało nie powiesili Raine'a za gwałt na zakonnicy.

Obcy zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

- Davie, po co wyciągasz tę ponurą historię?! - zawołał ober

żysta.

- Bo to jedyny rodzaj opowieści, jakie zostały po Rainie Merricku! - Davie zachichotał.

- To musiał być diabeł wcielony - mruknął obcy.

- Cóż, tak właśnie uważali McClairenowie, to oni o mało nie powiesili go na suchej gałęzi - mówił Davie. - Dziewczyna, którą on podobno zgwałcił, należała do tego klanu.

Obcy ponownie zajął się piwem.

- Ale czy nie mieliby się z pyszna, gdyby rzeczywiście powiesili chłopaka? - Davie znów zarechotał.

- Czemu tak mówisz? - zapytał nieznajomy obojętnie.

- Ponieważ później się okazało, że Merrick jej nie zgwałcił.

- Co?

Davie pokiwał głową.

165

- Merry McClairen, dziewczyna, z którą go przyłapano, wyznała parę lat później, że ona i Raine byli kochankami. Powiedziała, że nie może dłużej żyć z tym kłamstwem.

- Co jej zrobili?

- Zrobili? - Davie się zmieszał. - Nic. Po pierwsze, dlatego, że nie bardzo, tak czy inaczej, można było coś zrobić, po drugie, co można zrobić matce przełożonej?

Obcy otworzył szeroko oczy koloru sherry.

- Żartujesz.

- Ani trochę. - Franny potwierdziła opowieść Daviego. —

Matka Perpetua Augusta świętego zakonu, ach! Takiego czy innego świętego zakonu. Kieruje opactwem o pół dnia jazdy konnej stąd na południe. My tutaj jesteśmy dyskretni. Nikt nie wspomina opactwa ani osobistego duszpasterza matki Augusty.

Obcy uśmiechnął się, a potem parsknął śmiechem.

- No tak. Cokolwiek by mówić, ten wasz Raine Merrick miał diabelskie szczęście.

- Jako że był dziedzicem diabła, wszystko się zgadza, no nie? - podsumowała Fran, którą wciągnęła ta historia.

- Zgadza się. Carr. Szatański książę - powiedział wysoki mężczyzna. - Słyszałem o nim.

- Ty i wszyscy inni - stwierdził dumnie Davie. - A ja go zna

łem. I Raine'a.

Fran pokiwała głową melancholijnie.

- Tak. To smutne. Wiesz, Raine nie był zły. Tylko... jakby zatruty.

- Opowiem ci o nim za cenę brandy, panie... - zaproponował Davie.

Dziewczyna, porzucając czułe wspominki o dawnych kochankach, uznała, że pora zająć się obecnymi.

- Zjeżdżaj, Davie Duff! - zawołała. - Nie jesteś tu do niczego potrzebny. Nam jest całkiem przyjemnie bez ciebie. A zresztą, komu by się chciało wysłuchiwać smętnego gadania o jakimś biednym nieżyjącym chłopaku?

166

- Rzeczywiście komu? - mruknął mężczyzna, uśmiechając się do pustego kufła. - Lepiej odejdz, Davie.

Chłopak, nadąsany, zabrał swój kufel ze stołu, przytulając go do piersi.

- Teraz, kiedy na ciebie patrzę, wcale nie jesteś do niego podobny - oznajmił urażonym tonem, po czym wrócił do poprzedniego towarzystwa.

Oberżysta podszedł w końcu do ich stolika i postawił na lepkiem blacie dwa przelewające się kufle. Obcy podał jeden dziewczynie. Wsunęła udo między jego nogi, sadowiąc mu się głębiej na kolanach.

- Ach - szepnęła z błyszczącymi oczami. - Tutaj jesteś. Byłam ciekawa, kiedy dasz się poznać, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

Z ustami tuż przy jej rozchylonych wargach, szepnął:

- Wkrótce będziesz miała okazję lepiej mnie poznać, Franny.

Zerknęła na drzwi prowadzące do jedyne prywatnego pokoju, którym mogła pochwalić się oberża.

- Do diabła, też chciałabym cię lepiej poznać... ale muszę się wziąć do pracy.

Połaskotał ją w podbródek.

- Nie ma aż takiego tłoku, żeby cię bardzo brakowało przez jakiś czas.

- Jakiś czas? - zapytała, owładnięta pokusą.

- Jeśli mam się właściwie przedstawić, muszę mieć dość czasu. Gardzę pośpiechem.

Ona także, ale zawsze szczyliła się swoim praktycznym podejściem do życia i jeśli ten młody byczek chciał z nią spędzić więcej niż ćwierć godziny, musiał ją do tego przekonać.

- Wiem, co może mnie spotkać potem, ale faktem jest, że przyjemnością nie spłacę gospodarza.

Na jego twarzy nie pojawił się żaden grymas, lecz nagle jakby posmutniał. A jednak szepnął:

- Może i nie, aleja to zrobię.

167

Pośpiesznie zeskoczyła z kolan mężczyzny i ująwszy go za wielką dłoń, pociągnęła za sobą.

- No to chodź, kochany - powiedziała. - Zaprowadzę cię.

Flotylla białych obłoków o wydętych niczym żagle brzuszyskach przepływała po niebie w niekończącej się procesji. Zapowiadało się jeszcze wiele, wiele słonecznych godzin, zanim październik oprzytomnieje i potraktuje poważniej swoją rolę zwiastuna zimy.

Uczestnicy pikniku z Rumieńca Ladacznicy, bardziej zainteresowani tym, co się działo na ziemi, zachowywali się jak na majówce. Odpoczywali na wełnianych kocach, mężczyźni z głowami na kolanach kobiet; w gwarze frywolnych rozmów dawano sobie sekretne znaki, umawiając się dyskretnie na schadzki.

Raine Merrick stał pod jarzębiną, trzymając konia za uzdę.

To, co widział, nie robiło na nim wrażenia, jako że wychował się wśród ludzi namiętnie oddających się podobnym przyjemnościom. Czekał, wypatrując jej w tłumie.

Jeśli wpadła na pomysł, by wymknąć się na przytulanki z jakimś zalotnikiem, lepiej, żeby się dobrze zastanowiła. Nie miał

zamiaru zwolnić Favor ze wspólnych poszukiwań. Kostki jego dłoni napięły skórę czarnej rękawicy, kiedy zwinął rękę w pięść.

W jakiś sposób ta dziewczyna wyrobiła w sobie fałszywe przekonanie, że są współnikami i może pozwolić sobie na kaprysy, decydować, kiedy i gdzie się z nim spotka. Wkrótce się dowie, jak bardzo się pomyliła.

Przywiązał lejce do gałęzi; gniew w nim narastał, czuł urazę i nabierał przekonania, że... Favor go zdradziła. A jeśli nawet pojawiła się myśl, że w zasadzie chciał ją trzymać blisko siebie po to, by

znaleźć jakiś sposób spłacenia długu wobec niej, to nie pozwolił, aby taka myśl zwiększała jego niepokój.

Uważał, że ta dziewczyna jest mu dużo winna. Nawiedzała jego myśli i sny, krzyżowała jego plany, podawała w wątpliwość intencje i jeszcze zniszczyła w nim pragnienie, żeby przespać się z inną kobietą - do diabła z nią! Nie miał zamiaru dopuścić, by się zabawiała, kiedy on nie szukał takich rozrywek.

Znajdzie ją, na Boga, nawet jeśli miałby wypytać o nią każdego z tych obwieszonych klejnotami manekinów. Mało go obchodziło, iż ktoś mógłby zauważyć, że nie należał do ich grona.

Jeszcze mniej go obchodziły konsekwencje takiego odkrycia.

Poszedł w kierunku małej grupki odpoczywających gości.

Paru dżentelmenów popatrzyło na niego bez ciekawości. Kilka kobiet spojrzało nań z dużo większym zainteresowaniem.

- Gdzie dziewczyna? - zapytał głośno, z niepokojem, kiedy się znalazł bliżej. Jakiś dandys, z brodą wspartą na dłoni o parę centymetrów nad biustem ciemnowłosej damy, uniósł brwi pytająco.

- Mamy wielki wybór dziewcząt, panie - powiedział. - Jakiego to smakowitego kęsa poszukujesz?

- Panny Donnę.

Dandys prychnął.

- To marnie, mój drogi. Obawiam się, że ten kęsek jest... już na czyimś talerzu, kiedy my tu rozmawiamy.

- Doprawdy? - Dzięki Bogu, lata więzienia zachowały go w dobrej formie. Nadal się uśmiechał. W pewien sposób.

- Och! Jakiś ty niegrzeczny! - mruknęła z plebejskim akcentem piękność w niebieskich jedwabkach, zdradzając pochodzenie, które z jedwabem nie miało nic wspólnego. - Nie martw się, panie. Z twoim wyglądem nie będziesz długo czekał, zanim znajdziesz sobie inną.

Raine nie zwrócił na nią uwagi.

- Czyim talerzu?

- Tunbridge'a - odparł tamten smętnie. - Szczęśliwiec z niego.

- A gdzie jest szczęśliwa para? - zapytał Raine niezbyt grzecznym tonem.

Piękność z ulicznym akcentem wskazała kierunek.

- Tam poszli, najwyżej kwadrans temu.

169

Dandys spojrział na Raine'a, uśmiechając się złośliwie.

- Jeżeli pobiegiesz, może jeszcze zdążysz na podniesienie kurtyny, jeśli wiesz, co mam na myśli. Może uda ci się zająć dobre miejsce...

Raine złapał w garść kamizelkę, koszulę i skórę. Dandys wrzasnął i zamachał rękami, wisząc poziomo nad ziemią na wysokości metra.

Towarzystwo ucichło. Dandys nie przestawał krzyczeć. Raine pochylił się nad nim.

- Nie odpowiadają mi twoje maniery, panie. Może przyjaciele - spojrział groźnie na pozostałych, zniechęcając do mieszania się w zajście - doceniają twój płaski dowcip. Ja nie. Radzę ci o tym pamiętać.

Raine puścił dandysa. Tamten odskoczył, trzymając się za pierś.

- Za kogo, do wszystkich diabłów, się uważasz? - wychrypiął. Głos mu drżał ze strachu i wściekłości.

Raine, który oddalał się już w kierunku wskazanym przez dziewczynę, się nie zatrzymał.

- Za nikogo - mruknął. - Za nikogo w ogóle.

L unbridge zamierzał ją uwieść. Był to zamiar, w pojęciu Favor, bez szans na powodzenie, natura bowiem nie wyposażyła lorda w żadne atrybuty, które czyniły mężczyznę godnym pożądania.

Przynajmniej w jej oczach.

Ciepłe, brązowe jak toffi oczy, które marszczyły się w kącikach, to były oczy, które ją urzekały. A także lśniące ciemne włosy, które zwijały się w pierścienie na mocnej, szerokiej szyi. I szczup

ła, twardo zarysowana szczęka. I kąśliwy dowcip. Nonszalancja 170

i zuchwałość. Charakter, jakim musi się odznaczać mężczyzna poszukujący baśniowego skarbu. To wszystko było pociągające.

Tunbridge wydał gardłowy dźwięk, zwracając uwagę Favor.

Ustawił się przy porosłej mchem skale, oparł o nią rękę na wysokości głowy, jedną nogę wysunął do przodu. Spoglądał łakomym wzrokiem jak aktor na *scenie*, grający dla widzów z pierwszego rzędu.

- Jesteś niebywale piękną dziewczyną, panno Donnę. - Jedna rudawa brew podjechała do góry, podczas gdy druga opadła w dół.

Co ona tu robi w jego towarzystwie? Tak bardzo się cieszyła wolnością, że pozwalała się unosić prądowi, a ten prąd poniósł

przypadkiem również lorda Tunbridge'a.

Kiedy akrobacje brwiami nie zrobiły wrażenia, spróbował

czegoś innego.

- Zawsze lubiłem ciemnowłose dziewczęta. - Zwilżył wargi językiem. - Odznaczają się ognistym temperamentem, namiętą naturą i skłonnością do przygód...

Dość tych bzdur, pomyślała Favor.

- Nie mam ciemnych włosów. Są jasne - powiedziała spokojnie. - Farbuję je.

Opuścił rękę, prostując się. Twarz mu się wydłużyła ze zdumienia.

- Och?

- Przykro mi cię rozczarować, ale nie chciałabym, abyś my

ślał, że cię... zwiodłam. Natomiast lady Fia - dodała kpiąco - ma czarne włosy z natury. Jestem

pewna, że zwróciłeś na to uwagę.

Takie piękne dziecko.

- Nie chcę rozmawiać o tej istocie z piekła rodem. - Nozdrza Tunbridge'a zadrgały; zmrużył oczy.

Zmiana w jego zachowaniu zaskoczyła Favor. Sądziła, że Tunbridge jest jedynie żalonym, odrzuconym wielbicielem lady Fii.

Teraz ujrzała niebezpiecznego człowieka, którego wyraz twarzy zdradzał wyraźnie, że jest świadomy jej kpin.

171

Podnosiła się z ziemi, walcząc z warstwami spódnic. Poczowała zaciskające się kościste dłonie na ramieniu.

- Pozwól. - Pomógł jej wstać; uścisk miał zaskakująco silny jak na człowieka tak mizernej postury.

Wymamrotała podziękowanie. Tym razem to on spojrzał na nią kpiąco. Nie puścił jej.

- Panna Fia ma potężnego rodzica - wywodził Tunbridge. -

Dlatego może sobie pozwalać na rozmaite zachowania, na które nie stać inne osoby, ponieważ owe osoby nie mają gwarancji, że ich docinki ujdą bezkarnie.

Zachowała się nieroztropnie i teraz musiała wybrnąć z sytuacji.

- Masz rację - powiedziała przeproszająco. - To było bezmyślne z mojej strony.

- Bezmyślne. - Obracał to słowo na języku; nie spodobało mu się. Wzmocnił uścisk. - Głupie.

- Głupie też - przytaknęła szybko. Myśli kłębiły jej się w głowie, szukała sposobu, żeby wymknąć się niebezpieczeństwu. — Nie zastanawiałam się, co mówię. Miałam zły nastrój.

W zeszłym tygodniu ja także zostałam odrzucona przez kogoś...

kim się interesuję. Spotkał mnie wielki afront, co raczej nie poprawia humoru.

Tego się nie spodziewał. Rozluźnił uchwyt.

- Ty?

Patrzyła poza nim, jakby duma nie pozwalała jej spojrzeć mu w oczy.

- Tak. Ja.

- Ale kto to jest? - zapytał, nie kryjąc zdumienia i ciekawo

ści. — Nie wyróżniałaś żadnego ze swoich adoratorów. Prawdę mówiąc, powstała nawet książka zakładów przeznaczona do tego, żeby wpisać tam imię mężczyzny, który pierwszy... - Przerwał.

Widocznie nawet Tunbridge zachował resztki przyzwoitości, ponieważ najwyraźniej pożałował, iż wyjawiał istnienie czegoś, co jak dopowiedziała sobie Favor, było zapisem zakładów, który pierwszy pójdzie z nią do łóżka. Pomyślała, iż może to wykorzystać z pożytkiem dla siebie.

- Który pierwszy co? - naciskała niewinnym głosem, zadowolona, że ma nad nim przewagę. - Który, powiedzmy, pierwszy przełamie moją linię obrony? - Poruszyła się. Puścił jej ramię.

- Tak - przyznał.

- Nie sądzę, żebyś ty albo ktoś z twojego grona mógł zauważyć mojego... - Favor celowo zawiesiła głos. - On do was nie należy.

Tunbridge gapił się na nią krótką chwilę, po czym wybuchł śmiechem.

- Nie powiesz, że to fernal albo chłopak stajenny? Nie lokaj!

Dobry Boże, nie jesteś drugą lady Orville, prawda?

- Nie!

Rozbawienie Tunbridge'a prysło. W jego oczach pojawił się błysk.

- Mógłbym zebrać sporą sumkę, gdybym wiedział, kto tak przyciągnął twoją uwagę, panno Donne.

Oczywiście. Rumieniec Ladacznicy był nie tylko pałacem rozkoszy, ale przede wszystkim piekłem hazardu. A lord Tunbridge należał do najbardziej zaciętych graczy.

Ty rozpustniku! - powiedziała sobie w duchu, wcale nie-zmartwiona, że rozmowa tak się potoczyła. Zręcznie uniknęła nieprzyjemnej, chyba też grożącej niebezpieczeństwem sytuacji, a także zyskała okazję, żeby pobudzić zainteresowanie Carra.

Teraz wystarczyło jedynie wymienić Carra jako obiekt swoich uczuć. Tunbridge, pełen zapału, chcąc się przypodobać ojcu lady Fii, natychmiast pobiegłby do niego z tą nowiną. Który mężczyzna pozostanie obojętny, usłyszawszy plotkę, że zafascynował

swoją osobą pewną damę?

- Moglibyśmy, dajmy na to, podzielić się zyskiem - zaproponował chytrze Tunbridge.

Sapnęła. Właściwie nie czuła się zaskoczona ani zszokowana.

Nie pokusiła się o ripostę, bo myślami była gdzie indziej. Nie mogła zdradzić imienia Carra zbyt łatwo. Nie, jeśli chciała, żeby 173

jej uwierzono. Favor, która miała talent do opowiadania historyjek jak zawodowy bajarz, wiedziała, że wszystko powinno następować we właściwym momencie.

Tunbridge podszedł bliżej, a ona odwróciła się do niego plecami. Dotknął lekko jej ramienia, przelotnie, konspiracyjnie, bez namiętności. Zmusiła się, żeby stać w miejscu. Przesunął się bliżej, poczuła jego oddech na szyi.

- Tylko imię...- szeptał, prawie dotykając wargami ucha.

To był właściwy moment. Wystarczyło szepnąć „Ronald”, żeby przyciągnąć Carra tak pewnie, jak magnes przyciąga żelazo. Zeszłej nocy źle grała. Mówiła to, co należało, zniosła jego dotyk, łowiła każde słowo. Ale bez entuzjazmu. Wyczuł dystans i był

podejrzliwy.

Mogła z łatwością naprawić ten błąd.

Tunbridge nacisnął jej ramię. Przynaglił i zachęcał.

- Kim on jest? — zaszemrał znów wprost do ucha.

Przywołała w pamięci jego twarz, chcąc wypowiedzieć imię, ale zamiast fizjonomii Carra za zamkniętymi powiekami ujrziała oblicze kogoś innego - Rafe'a.

Nie, pomyślała z rozpaczą. Nie Rafe. Carr. Powiedz to.

Rozchyliła usta. Wciągnęła powietrze.

- To...

Dłoń Tunbridge'a spadła gwałtownie z jej ramienia, on zaś krzyknął gniewnie. Odwróciła się błyskawicznie. Przepełnione szczęściem serce zabiło żywiej.

Przed Tunbridge'em, uśmiechając się, stał Rafe, który, co uświadomiła sobie w sekundę, raczej nie miał przyjaznych zamiarów.

- Proszę wybaczyć - wycedził, wpatrując się w lorda. - Nie chciałem, żeby ramię damy zwilgotniało pod wpływem twojego... zapachu.

Odsunęła się z zachwyty, jaki odczuła na jego widok. Celowo prowokował Tunbridge'a. Ta prawda i parę innych podziały na nią jak strumień zimnej wody. Przedtem była na dobrej dro-174

dze do osiągnięcia celu. Jego ingerencja mogła tylko spowodować perturbacje, a wielkolud wydawał

się nie rozumieć, że większość kłopotów spadnie na niego.

- Bezczelny chamie! - syknął Tunbridge.

- Przynajmniej się nie ślinię - odparł swobodnym tonem Rafę, ale jego postawa daleka była od nonszalancji. Stał gotów do ataku, lekko pochylony, z rękami zwisającymi luźno po bokach.

- Kim ty, do diaska, jesteś? - wykrztusił Tunbridge.

- Jeszcze jeden wyznawca w świątyni panny Donnę.

Tunbridge wyglądał na równie zmieszanego, jak rozwścieczonego. Favor przez chwilę patrzyła na Rafe'a oczami lorda.

Dla gości Carra wygląd był sprawą pierwszorzędnej wagi. Rafę, w znoszonym, choć dobrze skrojonym ubraniu, nie prezentował

się zbyt elegancko.

- Do diabła z tobą! Jak śmiesz przeszkadzać mnie i damie? -

Tunbridge podniósł głos. - Nie widziałeś, że prowadzimy prywatną rozmowę?

- Naprawdę? - zapytał Rafę tonem niewiniątka. - Jestem *de trop*, zbędny. Czyż tak?

- Zdecydowanie.

Musiała coś zrobić i to szybko. Rafę nie może dłużej prowokować Tunbridge'a. O lordzie chodziły słuchy, że zakłuł pięciu ludzi na śmierć.

- Och! - jęknęła.

Żaden z mężczyzn nie wydawał się słyszeć jej zduszonego okrzyku rozpacz.

Podwoiła wysiłki.

- Och! Ojej! To ty!

Na ten pisk obaj się odwrócili. Rafę zmarszczył brwi, wyraźnie niezadowolony, że wtrąca się w męskie sprawy. Zignorowała go, skupiając całą uwagę na Tunbridge'u i uchwyciła moment, kiedy dostrzegła w jego oczach zrozumienie.

- On? - wysapał Tunbridge.

Skinęła głową. Nawet nie musiała się wysilać, żeby wydobyć z siebie drżące westchnienie.

- On.

- Szczęściarzu! - stwierdził Tunbridge z niekłamany podziwem i uznaniem.

- O czym wy, do czorta, mówicie? - zapytał Rafę.

- Proszę. - Favor podniosła głowę, przejaw dumy w obliczu bliskiego upadku. - Jako że jesteś dżentelmenem, lordzie Tunbridge, proszę, abyś uszanował moje zwierzenia.

Tunbridge, który już ledwie mógł ustać w miejscu z podniecenia, oklapł nagle. Poczuł się tak, jakby podczas gry w karty partner wyciągnął niespodziewanie asa.

- Cóż...

- Panie!

- Tak. Dobrze. Zwierzenia zostaną uszanowane. Do diabła.

Niech to piekło...

Nie ufała mu. Wierzyła jednak, iż w tym momencie on sam jest przekonany, że dochowa tajemnicy. Tyle przynajmniej zosta

ło mu honoru. Tyle potrzebowała. Trochę czasu, żeby Rafę mógł

zniknąć. Nierozważny, zapalczywy...

- Twój język, panie, nie jest stosowny dla uszu tej damy -

powiedział Rafę.

Favor, która słyszała z ust Rafe'a dużo dosadniejsze wyrażenia, spojrzała na niego, próbując odgadnąć, czy aby nie żartuje.

Nie żartował. Wpatrywał się gniewnie w Tunbridge'a. Ten aż się trząsł, żeby czmychnąć do swoich towarzyszy i odkryć tożsamość wysokiego, źle ubranego mężczyzny, którego obecność w zamku jakoś przeoczył. Budził mniej więcej takie zaufanie, jak kot przy otwartej klatce z kanarkami.

- Bardzo przepraszam - wymamrotał Tunbridge pospiesznie. - To niegodne z mojej strony. Mam plugawy język. Świnia.

Proszę mi wybaczyć, panno Donnę i panie... panie? Przepraszam, nie usłyszałem twojego imienia, panie...

176

- Nie usłyszałeś i nie usłyszysz! - oznajmiła Favor z naciskiem. - Od żadnego z nas, lordzie Tunbridge! Proszę, panie. Zostaw nas!

Raine, na szczęście, uznał w końcu, że może warto pójść za przykładem Favor. Ustawił się pomiędzy nią a lordem Tunbridge'em, przybierając jeszcze groźniejszą pozę.

- Słyszałeś chyba prośbę damy, Tunbridge. Odejdź.

Tunbridge powiódł wzrokiem od jednego do drugiego.

- Do pioruna! - wybuchł. - Nie wiem, dlaczego nie zdradzisz jego imienia. Jako że jest gościem Carra, nie będzie trudno się dowiedzieć, a oszczędziłabyś mi trochę czasu.

Favor przyłożyła czubki palców do piersi i zamknęła oczy.

- Nie uczynię swego czulego serca przedmiotem brudnych domysłów - szepnęła dramatycznie.

- Co? - Rafę odwrócił gwałtownie głowę.

- W porządku - mruknął Tunbridge. Ruszył bez słowa w kierunku, skąd przedtem przyszli.

Czekali w milczeniu, aż znikł, zwróceniem do siebie twarzami.

- O co w tym, do diabła, chodziło? - odezwał się Rafę, szczerze zdumiony.

Favor parsknęła śmiechem.

Oparła ręce na kolanach, śmiejąc się po swojemu, na całe gardło, a jemu nie pozostało nic innego, jak tylko zachichotać, a potem też wybuchnąć śmiechem. A to była ostatnia rzecz, którą spodziewał się zrobić.

Kiedy zobaczył rękę tego dupka na jej ramieniu, zareagował instynktownie, odruchowo. Oczekiwał, iż będzie wściekła, że przerwał jej tete-a-tete. Kiedy się jednak odwróciła, zobaczył radość na jej twarzy, a przez jedną niezwykłą chwilę - Boże dopomóż - ciepły uśmiech. Uśmiech przeznaczony... dla niego...

A potem, kiedy próbował odgadnąć, jakimi kłamstwami częstowała Tunbridge'a, tak żeby mógł właściwie odegrać swoją rolę, uchwycił jej wzrok i nagle poczuł się, jakby wrócił do domu.

12-Ostatni bal

177

Świadomość, że odkrył coś ważnego, zmieniła go wewnątrz. Kiedy był z Favor, przeszłość nie istniała. Nie czuł gniewu, goryczy czy nienawiści. Myślał o Carze i matce, nie dławiąc się poczuciem krzywdy i bólu. Patrzył przed siebie, ku przyszłości, nie oglądając się na to, co było.

A teraz zmusiła go do śmiechu.

Co jeszcze była w stanie z nim zrobić?

Poza tym, żeby ją pokochał.

- O Boże! - Westchnęła i pociągając nosem, wytarła łzy wierzchem dłoni. Uśmiechnęła się do niego.
- Cóż, lepiej zniknij, zanim znów pojawi się Tunbridge ze świadkami, aby asystowali przy mojej defloracji.

- Co?

Favor dzielnie się oparła kolejnemu atakowi śmiechu.

- Och, tak. To właśnie miał na myśli, szepcząc mi do ucha.

Usiłował wydobyć ode mnie imię mężczyzny, bliskiego mojemu sercu.

Pokiwała głową, uszczęśliwiona, nieświadoma zamieszania, jakie wywołała w umyśle mężczyzny.

- Mają książkę zakładów, wyobraź sobie. Biedny Tunbridge, kiedy odkrył, że nie jest mu przeznaczone bycie moim kochankiem, uznał, że może jeszcze skorzystać na tej sytuacji, poznając imię tego rzeczywistego. Jako dama, oczywiście, uchyliłam się od podania nazwiska i odmówiłam udzielenia jakichkolwiek informacji, poza tym że nie należy on do kręgu przyjaciół Tunbridge'a.

Wtedy ty się zjawiłeś. Nie mogłeś przybyć w lepszym momencie.

- Żartujesz.

- Nie! - Uśmiechnęła się szeroko, stukając go delikatnie palcem w pierś, urocza, figlarna, niezwykle pociągająca. - Nie wymyśliłabym takiej niesamowitej historii.

- Obawiam się, że bardziej wierzę w twoje zdolności niż ty sama — stwierdził sucho.

178

- No, może mogłabym wymyślić równie dobrą historyjkę, ale na pewno nie lepszą - przyznała skromnie. - Co cię sprowadziło?

Nie zamierzał jej mówić, że przyszedł, ponieważ uświadomił

sobie okrutną prawdę, że nie chce innej kobiety poza nią. Rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu natchnienia.

- Ubranie. Miałaś mi przynieść ubranie. Dziś po południu.

O pierwszej. A jest - wyciągnął zegarek z kieszeni - trzecia.

Cofnęła się, a on przeklął odległość, jaka ich teraz dzieliła, mimo że było to nie więcej niż trzydzieści centymetrów.

- Chcesz powiedzieć, że wpadłeś tutaj jak burza, bo nie przyniosłam ci ubrania o tej godzinie, którą wyznaczyłeś? Ze wszystkich zuchwałych, zarozumiałych, próżnych męskich...

Och!

Nie słuchał tego, co mówiła, tak uważnie, jak powinien, chociaż coś w jej głosie go zastanowiło. Był po prostu zbyt zajęty chłonięciem jej widoku, włosów rozrzuconych kapryśnym porywem wiatru, świeżych policzków i warg, oczu jak leśne fiołki.

- To nie było takie zuchwałe.

- Ach! - Podniosła ręce do góry w geście desperacji.

Pewna myśl zakłóciła mu przyjemność przyglądania jej się.

- Dlaczego ten... Tunbridge myślał, że masz kochanka?

- Ponieważ tak mu powiedziałam.

- Kłamałaś.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

Do diabła. Mógłby równie dobrze podać jej swoje serce na talerzu, a co dobrego ten bezużyteczny organ przyniosłby im obojgu, na zawsze pozostanie tajemnicą. Nie robi czegoś takiego, bo to jeszcze by pogorszyło jej sytuację.

A moją jeszcze bardziej, ostrzegł głos wewnętrzny. Przyniosłoby nieodwracalną, niewybaczalną szkodę.

- Czyżby? - rzuciła wyniośle.

Zdenerwował się, rzecz jasna.

179

- Ależ oczywiście, że nie mówiłaś prawdy - powiedział, starając się utrzymać obojętny ton głosu. - Gdyby ci się udało kogoś złowić, to raczej nie flirtowałabyś tutaj z Tunbridge'em. Trzyma

łabyś *się* blisko swojej zdobyczy, wywołując wicherę trzepotaniem tych swoich rzęs.

Pogardliwy uśmiech znikł z twarzy Favor.

- Cóż, jeśli sądzisz, iż choć przez chwilę uwierzyłam, że wpadłeś tutaj tylko po to, by odebrać ode mnie ukradzioną garderobę, to bardzo się mylisz.

- A po cóż innego miałbym się tutaj zjawiać? - zapytał zimno. - Chciałem cię przekonać, że powinnaś

zapomnieć o nieliczeniu się ze mną, kiedy jest ci z tym wygodnie. Z pewnością nie dlatego, że moje żądania stają na drodze twoim przyjemnościom.

Zacisnęła usta, powodując, że znikł cały kuszący łuk jej dolnej wargi.

- Osiągnąwszy cel - ciągnął - zostawię cię teraz twoim...

rozrywkom. Jutro przyniesiesz ubranie.

Tak jest. Jego głos brzmiał zimno i groźnie. Teraz powinien odejść. Tylko że dolna warga Favor zadrżała lekko, a spojrzenie przygasło, zamglone niewylanymi łzami. Były to łzy złości, ale jednak łzy. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział

płaczącą kobietę. To go kompletnie rozłożyło.

- Dlaczego zawsze się kłócimy? - Słowa, które wymknęły jej się z ust, przepełniał smutek.

Poddał się. Wyciągnął rękę i zamknął dziewczynę w objęciach.

- Mały sokoliku, naprawdę nie wiesz? - zapytał. - Cóż, więcej to się nie zdarzy.

Pocałował ją.

Usta Rafe'a poruszały się na jej wargach. Miał silne ramiona, a ciało stanowiło kotwicę, do której mogła przylgnąć; ani przez chwilę nie miała ochoty wyzwolić się z jego objęć. Poddawała się pocałunkom, obejmując go za szyję.

Zamknęła oczy, chłonąc wszystkimi zmysłami słodkie doznania. Przyciągając jego twarz do swojej, czuła szorstką od zarostu skórę, drapiącą jej dłoń.

Jej więzień. Jej szantażysta. Jej złodziej.

Umięśnione ręce, udo Rafe'a przyciśnięte do jej biodra, twarda szeroka klatka piersiowa, rozbudzały uśpioną namiętność, palące pragnienie, żeby przywrzeć jeszcze mocniej, ocierać się o niego jak kot. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczy

ła. W nozdrzach czuła woń zgniecionej trawy i suchej *sosny*, taniego mydła i tajemniczy męski zapach -jego zapach.

I pocałunki. Pocałunki, jakich nie znała i o których nawet jej się nie śniło: aksamitne muśnięcia, delikatne jak dotyk ptasiego pióra; zmysłowe, drżące, wilgotne pocałunki i w końcu pocałunki głębokie, kiedy uniósł jej brodę i zmusił, aby otworzyła usta.

Nie potrzebowała długiej zachęty. Gładził językiem śliską wy-

ściółkę policzków, bawjąc się jej językiem: wilgotnym, ciepłym i nieprawdopodobnie szelmowskim.

Zaskakujące swoją intensywnością doznania zmysłowe przerosły doświadczenie. Nie znajdowała słów, żeby opisać uczucia, które ją przepelniały, określić, żeby je nazwać.

Schyliła głowę, wtulając się policzkami w zagłębienie jego ramienia. Podniosła powieki i ujrzała napiętą, skupioną twarz Rafe'a. A potem znowu ją całował. Fale gorąca przepływały przez jej ciało, obezwładniały jak mocne wino. Nie wiedziała, czy pocałunki mogły wywołać pulsowanie wysoko między udami i ból w stwardniałych sutkach.

Chciała się w niego wtopić, czuć, jak ich ciała się przenikają.

Przesunęła dłonie po jego torsie, w górę pleców, obejmując wypukłe mięśnie ramion i przytuliła się do niego najmocniej, jak tylko mogła. Wsunęła biodra w trójkąt pomiędzy jego rozstawionymi nogami. Rafę jęknął. Odsunął się od niej. Zaprotestowała bez słów, ale gwałtownie; otworzyła oczy, patrząc na niego z gniewnym niedowierzaniem.

Dlaczego przestał? Dlaczego, na Boga, można chcieć przerwać coś tak cudownego?

- Och, nie - powiedział rozbawiony, zły i czuły zarazem. -

Całować się, tak - dodał i zasypał ją leciutkimi pocałunkami w skronie, policzki, powieki. Podą

usta, żeby je przejąć, ale nadaremnie. Fuknęła ze złością. - Dobry Boże - szepnął. - Nic poza tym. - Roześmiał się. - Wygląda na to, że rozwinąłem w sobie gust do samoumartwiania. Wiedziałem, że pocałunki nie wystarczą. .. Nie! Dość, przestań! - rozkazał, kiedy podniosła brodę, szukając jego ust. - Nie jestem święty, a ty, pani, stanowisz dużo większą pokusę niż te, którym moje śmiertelne ciało usiłowało się kiedykolwiek oprzeć.

Nie rozumiała znaczenia tych słów ani też dlaczego, mimo że pożerał ją wzrokiem, odsuwał się od niej. Wiedziała tylko, że chwilę przedtem czuła się dojmująco spełniona, a teraz, z każdą chwilą przyjemność ulatniała się niczym ślady na piasku zmywane falą przyływu.

Dawno nie czuła się szczęśliwa. Zapomniała, jak to smakuje. Otoczyła dłońmi jego twarz, przesunęła palcami po mocnej szczęce i wygładzała wargi mężczyzny, wodząc po nich ustami.

- Pocałuj mnie - szepnęła. Spojrzał na nią. Jego ciepłe, brązowe oczy ukryły się w cieniu rzęs. Nic nie mogła w nich odczytać. Miała wrażenie, że cały świat wstrzymał oddech. Musnęła czubkami palców zasłonę rzęs. - Pocałuj mnie.

Pochylił powoli głowę...

- Nie do wiary! Tunbridge miał rację! - Kobięcy głos przywołał Favor do rzeczywistości.

182

Rafę wyprostował się natychmiast, zasłaniając ją sobą, by uchronić przed ciekawskimi spojrzeniami.

- Zechciejcie nam wybaczyć. - Jego głos był jak dotyk lodu na skórze. - Nie wiedziałem, że uczestniczymy w spektaklu, inaczej postarałbym się zapewnić jeszcze ciekawszą scenerię.

Favor przekłęta w duchu intruzów, bardziej wściekła, że im przerwano, niż zmieszana. Podniosła dumnie brodę i wysunęła się z za szerokich pleców Rafe'a.

- Lady Fia. - Skinęła głową szczupłej dziewczynie i dwóm chichoczącym złośliwie mężczyznom, którzy jej towarzyszyli.-

Czy mnie szukałaś?

Fia jednak wydawała się nie słyszeć Favor. Lunatyczne spojrzenie, pozbawione wyrazu i uporczywe, utkwiała w Rafe.

- Fia? - powtórzył Rafę, marszcząc czoło.

Jeden z mężczyzn - przystojny blondyn, którego imienia Favor nie pamiętała, w przeciwieństwie do jego nieświeżego oddechu - wysunął się naprzód. Skrzywił wargi szyderczo.

- Lady Fia Merrick. Córka lorda Carra. Znasz lorda Carra, nieprawdaż, dobry człowieku? Bo albo jest on twoim gospodarzem - odwrócił się do Fii, bez wątpienia po to, żeby przekonać się o wrażeniu, jakie wywrze na niej jego dowcip - albo pracodawcą.

Drugi z galantów, młody człowiek o zielonkawej cerze, który poprzedniej nocy zwierzył się Favor ze swojego gorącego pragnienia „aby zostać ochrzczonym w grzechu”, przejął pałeczkę od kompana o jasnych włosach.

Rzucił Favor szybkie, niepewne spojrzenie, po czym odwrócił oczy, zwracając się do niej:

- Panno Donnę, nie mów, proszę, że to upodobanie do wiejskich przyjemności powstrzymało cię przed spróbowaniem bardziej kosmopolitycznych rozrywek. Nie wierzyłem Tunbridge'owi, kiedy tak twierdził, ale - zasłonił usta dłonią -

trudno nie wierzyć własnym oczom.

- Musiałaś zadać sobie trochę trudu, żeby mnie znaleźć, lady Fia. - Favor usiłowała odwrócić uwagę od Rafe'a. Musiał oszaleć, 183

żeby wpakować się w sam środek pikniku dla gości Carra. Jeśli szybko czegoś nie wymyśli, będzie z nimi źle. - W dodatku spieszyła się. Lord Tunbridge odszedł niecałe dziesięć minut temu.

Czy był jakiś powód, dla którego chciałaś mnie zobaczyć? Czy też chciałaś nas zobaczyć? - To zabrzmiało niezbyt przyjemnie, jednak Fia ledwie spojrzała w jej stronę.

Mężczyźni albo zbyt tępi, żeby zrozumieć insynuację, albo po prostu obojętni, obserwowali Rafe'a, który zaniemówił - dziwne zachowanie u mężczyzny, któremu jeszcze przed chwilą nie brakowało słów. Favor przyjrzała mu się. Chociaż na pierwszy rzut oka można by ulec wrażeniu, że on także znalazł się w mocy syreniego czaru lady Fii, to jednak w jego wzroku nie było pożądania.

Spojrzenie miał pytające i smutne.

- Czy ten ktoś tutaj jest jednym z twoich sług, lady Fio? - zapytał młodzieniec. Favor wstrzymała oddech, mając nadzieję, że Rafe'ę nie wpadnie w złość.

Fia odpowiedziała, nie spuszczając wzroku z Rafe'a.

- Nie.

- Znasz go zatem? - odezwał się blondyn.

- Nie wiem - odparła Fia zamyślona. - Jest w nim coś znajomego. - Podeszła bliżej. - A więc - powiedziała rozkazująco -

czy ty znasz mnie, panie?

Rafe'ę się zawahał. Smutek w spojrzeniu jeszcze się pogłębił.

Pokręcił głową.

- Nie. Nie znam cię, pani.

Przez twarz Fii przemknął cień, sprawiając, że piękno stało się nagle tragiczne. Cień znikł i łukowata brew uniosła się do góry.

- Tak myślałam. Ani ja ciebie nie znam. - Odwróciła się, ale przystanęła jeszcze, patrząc na niego. - Przypomniałam sobie.

Ach. Mam. Wiem, gdzie widziałam tego człowieka. Czy znasz mego ojca?

Grymas niezadowolenia pojawił się na twarzy Rafe'a.

- Och, tak. Jego znam.

Fia, wyraźnie usatysfakcjonowana, skinęła głową.

184

- No właśnie. To jeden ze specjalnych gości mego ojca i dlatego go nie widzieliśmy. Dlatego, oraz z tego powodu, że był

zajęty, jak się wydaje - przeniosła wzrok na Favor - w innym towarzystwie. Powiedz mi, panno Donnę, czy mój ojciec wie, że romansujesz z jego... gościem? Nie spodoba mu się to.

Serce Favor zabiło niespokojnie. Modliła się w duszy, żeby Fia nie ujawniła przy Rafie jej zainteresowania Carrem. Jeszcze nie. Potrzebowała czasu. Czasu, żeby...

- On nie lubi się dzielić - ciągnęła Fia. - Nigdy nie sprawiało mu to przyjemności.

Cudowny uśmiech opromienił jej gładką buzię; skinęła na swoich przybocznych. Podbiegli jak szczeniaki do miseczki z mlekiem, a ona ujęła ich pod ramiona.

- Chodźcie, panowie. Wbrew przekonaniu panny Donnę, że skradaliśmy się przez las w nadziei zaskoczenia jej i jej towarzysza w intymnej sytuacji, nadal pragnę odnaleźć to poroże jelenia, które podobno widziała pani Petrie. Och, tak, słyszałam twoje pytanie, panno Donnę. Nie, nie szukałam cię.

Nie oglądała się, pozwalając się prowadzić dwóm roześmianym młodzieńcom. W parę minut rozplynęli się w kamienistym, porośniętym rzadkimi drzewami krajobrazie.

Favor, czując wielką ulgę, że Rafę uniknął niebezpieczeństwa, osunęła się na trawę.

- Dlaczego ostrzegła cię przed Carrem? - zapytał Rafę, stając nad nią. - Co miała na myśli?

Powinna mu powiedzieć prawdę: przyjechała, by zostać narzeczoną lorda Carra. Odwróciła głowę, zbierając siły, żeby mu to powiedzieć. Dlaczego nie miała mu wyjawić całej prawdy?

Jak dotąd poznał połowę: przyjął do wiadomości, że postanowiła zawrzeć korzystny związek małżeński, aby nappełnić kufry swojego klanu pieniędzmi bogatego męża. Dlaczego nie z Carrem?

Wyobraziła sobie *twarz* Carra. Inne dziewczęta poślubiały mężczyzn dużo starszych od niego. Miała zawiązany język nie z powodu jego wieku. Tylko dlatego, że świadomie dążyła do małżeństwa z tak złym człowiekiem.

Rafę by tego nie zrozumiał. Rafę nie stał obok Carra, patrząc na niego, gdy ten decydował o ludzkim życiu, mniej się nad tym zastanawiając, niż gdyby chodziło o utopienie kota. Rafę nie widział zadowolenia Carra, kiedy tamten odjeżdżał ze swoją diabelską świtą, zostawiając Favor samą, w zakrwawionej koszuli wśród zabitych i konających.

Rafę nie wiedział, że robi wszystko, aby zostać żoną potwora.

- Favor?

Jak słodko brzmiało jej imię w ustach tego mężczyzny. Nie mógł jednak poznać jej nazwiska. Ona też nie знаła jego. I to nie miało znaczenia.

A jednak miało. Dali się ponieść namiętności i uczuciom. Ich związek był zamkiem budowanym na ruchomych piaskach bez szans na przetrwanie; pochłona go ponure prawdy, twarda rzeczywistość, nazwiska i przeszłość, obowiązki i zemsta.

Ale nie mogła się zdobyć na zerwanie już teraz. Jeszcze nie.

Mogła uchwycić się swojego szczęścia, tyle, ile go miała, rozciągnąć je na jeszcze parę godzin czy dni, czy...

- Myślę, że mówiła o tobie, Rafę.

Przysiadł obok niej na piętach. Minę miał nietęgą.

- Jak to?

- Kiedy powiedziała, że Carr nie lubi się dzielić. Najprawdopodobniej wzięła cię za jednego z hazardzistów i pewnie chodzi

o jej o to, że nie będzie chciał się dzielić tobą ze mną. Mogłabym odwrócić twoją uwagę od stołu gry.

- Rozumiem. - Przyjął kłamstwo, zbyt o nią zatroskany, żeby się nad nim zastanowić. - Dobrze się czujesz? Czy ci ludzie cię obrazili? Mogę...

- Nie! - Wyciągnęła rękę, chwytając go za ramię. Mięsień naprężył się pod jej dłonią. Ponownie wpadła w pułapkę zmysłowych doznań. Cofnęła rękę. - Nie. Nic nie możesz zrobić.

Musisz się ukrywać albo wyda się, co robisz.

- Nikt tego nie odkryje.

- To już się prawie stało! Teraz jesteś bezpieczny tylko z powodu przekonania Fii Merrick, że nikt nie może się włamać do zamku Carra.

Ten cudowny, trochę krzywy uśmiech ponownie rozjaśnił

męską, dojrzałą twarz, nadając jej chłopięcy wyraz.

- Dzięki, że się tym przejmujesz.

Była zirytowana.

- To nie jest tak, że chcę się przejmować.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jestem tego pewien.

Przyklęknął obok, podnosząc rękę, żeby dotknąć jej policzka.

Odsunęła się do tyłu. Mogła mu się oprzeć, jeśli jej nie dotykał.

Dlaczego jednak miałaby chcieć mu się opie...

Nie! - pomyślała. To grozi katastrofą. Podobnie ostrzegawcza myśl nie przyszła chyba Rafę'owi do głowy. Uśmiech nadal igrał

w kącikach jego ust, teraz leniwy i raczej drapieżny. Wilk, który zamierzał zwieść biedną owcę.

Przełknęła ślinę, chciała bardziej się odsunąć, ale niezręczny ruch sprawił, że wylądowała na plecach. Zanim zdążyła się podnieść, już był na niej, zasłaniając niebo wielkim ciałem.

Sięgnął ręką w dół, uśmiechając *się*, kiedy drgnęła, ale powędrował dłonią wyżej; omijając rozedrgane usta i pierś. Wplątał

palce we włosy.

Tętno Favor biło w szaleńczym tempie. Pamięć pocałunków była tak świeża, że wciąż czuła jego usta.

- Dlaczego ukrywasz prawdziwy kolor? -Już się nie uśmiechał. -Ach, prawda. Ewentualni kandydaci do ręki lubią ciemnowłose dziewczyny.

Przestał się bawić włosami i podniósł się na nogi jednym zwinnym ruchem. Podał jej rękę. Oparła się na łokciach, najwyraźniej zaskoczona jego zachowaniem. Podniecenie ustąpiło miejsca rozczarowaniu. A więc żadnego uwodzenia?

- Pozwól, że pomogę ci się podnieść - powiedział spokojnie, tak jakby nigdy jej nie obejmował, nie pieścił, nie przytulał i nie smakował jej ust.

- Nie, dziękuję- odparła, świadoma, że w jej głosie brzmi zawód.

Uśmiechnął się, znał bowiem powód niezadowolenia.

- Spokojnie, mały sokoliku. Może nie jestem jednym z bogatych *roues* Carra, ale przynajmniej nie mam tak słabego charakteru, abym wystawiał swoje miłosne umiejętności na widok przypadkowych gapiów. Nie sądzę również, aby tobie to odpowiadało.

- Oczywiście, że nie! - parsknęła, strząsając niewidoczne źdźbła trawy. Unikała jego rozbawionego spojrzenia. Przekłęte męskie zarozumiałstwo! - Nie wiem, jak to się stało, że mój umysł uległ chwilowemu zaćmieniu, ale możesz być pewien, że po raz drugi do takiej sytuacji nie dojdzie - powiedziała poważnie.

Podniosła się z trudem, ignorując jego pomoc. W jej spojrzeniu błysnęła zimna stal. Przyjęła skinieniem ukłon - odpowiedź

na jej cierpkie oświadczenie.

Nie dostrzegając uśmiechu, jaki ta pokorna poza pozwoliła ukryć.

Favor zmierzała w stronę swoich komnat, zdejmując po drodze rękawiczki do jazdy konnej. Pożegnała się z Rafe'em przed godziną, a już za nim tęskniła. Nie dopuści, rzecz jasna, żeby się tego kiedykolwiek domyślił. Co za szaleństwo, że pozwoliła mu się całować.

Pozwoliła?

188

Na twarzy dziewczyny pojawił się szelmowski uśmiezek; wiedziała doskonale, że pociąga Rafe'a bardziej, niż miał ochotę przyznać. A jeśli ona sama kierowała się podobną dumą - czy strachem - cóż, to nie miało znaczenia.

Znalazła się przed swoją komnatą, kiedy drzwi otwarły się nagle. Muira chwyciła ją za nadgarstek i wciągnęła do środka, zatrzasnąwszy drzwi. Favor, przestraszona, odskoczyła od niej. Dopiero wtedy zauważyła, że Muira nie miała makijażu, który zamieniał ją w Palę albo panią Douglas. Zamiast tego żywa, czerwona szrama przecinała pomarszczony policzek.

- Co się stało? - wykrztusiła Favor.

- Co się nie stało? - warknęła Muira w odpowiedzi. - Kiedy ty pod jakimś drzewem zlizywałeś lukier z paluszków, Pala spotkała się z Carrem.

- Czy on to zrobił?

- Co zrobił? - zapytała Muira z irytacją, a potem, zobaczywszy przerażone spojrzenie Favor, dotknęła swojego policzka.

Parsknęła pogardliwie. - To drobiazg. Musimy się zastanowić nad dużo poważniejszymi sprawami.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie, boś durna. Powiem ci, co zrobiłaś.

Ponieważ okazałaś się zbyt delikatna, zbyt wrażliwa, by znosić umizgi Carra, uznał, że potrzebuje napoju miłosnego, żeby zyskać twoje względy.

- Co?!

- Tak. Napój miłosny. Który mu dostarczę. A później, kiedy poda ci napój, moje dziewczę, przyjmiesz go, wypijesz i w ciągu godziny zaczniesz się zachowywać jak dziewczka z Cheapside.

- Nie zrobię tego - szepnęła Favor, przejęta wstrętem.

- Nie martw się - odparła szyderczo Muira. - Będziesz miała co najmniej jeden dzień, żeby

przećwiczyć wydymanie usteczek.

Carr ci go zapewnił, naznaczając mnie w ten sposób. - Podniosła rękę do policzka. - Żaden barwnik tego nie ukryje, a ty nie mo

żesz się pokazać bez opiekunki. Dam znać, komu trzeba, że boli 189

cię głowa. Jutro będziesz gotowa, żeby zaśpiewać pieśń miłosną dla Carra.

Każda komórka jej ciała sprzeciwiała się temu.

- Nie - oświadczyła stanowczo. - Nie zrobię czegoś takiego.

- Na Boga, zrobisz! - Ręka Muiry wysunęła się z szybkością atakującego węża, uderzając Favor mocno w twarz.

Dziewczyna złapała ramię Muiry powyżej łokcia, nie pozwalając uderzyć się po raz drugi. Ta, zaskoczona, gapiała się na jej ręce. Otworzyła usta ze zdumienia.

Instykt podyktował Favor, jak się zachować, gniew sprawił, że zacisnęła dłońe.

- Słuchaj, stara kobieto - powiedziała niskim, twardym głosem. - Dawno temu zapewniłaś mnie, że wystarczy, jeśli po prostu okażę Carrowi zainteresowanie. Grałam swoją rolę aż dotąd, ponieważ nie musiałam udawać, że jestem pod jego urokiem.

Nigdy nie będę w stanie odegrać podobnej farsy i nie zmuszą mnie do tego twoje razy ani groźby. Z trudem znoszę jego oddech na swoim policzku! Jeśli zmusisz mnie do czegoś, ty i tylko ty będziesz odpowiedzialna za porażkę swojego planu. Rozumiesz? - Potrząsnęła Muirą, przepelniona wściekłością, bólem i żalem. - A teraz - mówiła dalej, cedząc słowa - nie wypiję żadnego paskudnego napoju i nie będę udawać, że ten łajdak budzi we mnie pożądanie. Rozumiemy się?

Muira, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, kiwnęła głową.

- Ale co wobec tego zrobimy? On wierzy, że Pala przygotowuje mu napój. Ona nie ośmieli się bez tego pokazać. A napój musi działać, bo inaczej on nigdy więcej jej nie zaufa.

Favor puściła ramię Muiry i odsunęła się, równie przejęta niechęcią wobec siebie za przemoc w stosunku do starej kobiety, jak do samej Muiry. Zastanawiała się, czy Muira zdawała sobie sprawę, że ostatnio coraz częściej mówi o Pali, jakby ta naprawdę istniała.

- Przygotuj napój - powiedziała. - Dostarcz go Carrowi. Będzie musiał go połączyć z piciem czy jedzeniem, które mi poda.

—
Znajdę wymówkę, żeby nie jeść i nie pić nic, czym mnie poczęstuje. A jednocześnie dam mu do zrozumienia, że może być sam z Janet tylko wtedy, kiedy mnie poślubi.

- Myślisz, że to się uda? - rzekła z powątpiewaniem Muira, która trochę do siebie doszła po niedawnym wstrząsie. Łypała na dziewczynę z ukrytą goryczą. To ona była tą osobą, która trzyma

ła klan razem w ciągu ostatniej ponurej dekady, a nie ta zarozumiała suka. To jej plan miał przywrócić McClairenom siłę i prestiż, nie plan *tego*... dziecka. To ona, Muira Dougal, była sercem klanu. A teraz ta ledwo odstawiona od piersi dziewczka ośmiela się jej przeciwstawiać.

- Tak - odparła Favor, nieświadoma mrocznych myśli Muiry.

Muira, nie spuszczać ani na moment wzroku ze zdecydowanej, zaciętej twarzy Favor, skinęła głową na zgodę. I snuła własne plany.

- ...a jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to przed Bożym Narodzeniem będziesz w Londynie - paplała *Gunm*, która zwykle nie była skłonna do mielenia ozorem. Fia wpatrywała się w odbicie Gunny w lustrze nad toaletką. Kaleka starowina przeczesywała włosy dziewczyny, przekształcając masę loków w falisty, lśniący czarny welon. - Myślę, że polubisz Londyn. A ty co myślisz?

- Jak mogłabym go nie polubić. To nie Rumieniec Ladacznicy.

- Tak- zgodziła się *Gunna*. - Z całą pewnością. I masz rację, opuszczając to paskudne miejsce. To tylko mauzoleum, które go

ście twojego ojca traktują jak burdel.

- Co za poetyckie porównanie - skwitowała Fia z lekką ironią. - Masz taki dar słowa, *Gunno*.

Kobieta zachichotała.

- Cóż, nie kocham tego wielkiego, ponurego zamczyska, ale

- utkwiała wzrok w dziewczynie - myślałam, że ty jesteś trochę do niego przywiązana.

- Interesuje mnie - wyjaśniła Fia. - Żałuję, że nie znałam zamku wtedy, kiedy nazywał się Rumieńcem Dziewicy. Po prostu jestem ciekawa.

Gunna tylko mruknęła coś w odpowiedzi. Minęło parę chwil.

Zachodzące słońce wypełniło sypialnię bursztynowym światłem.

Na zewnątrz nagie gałęzie dębów stukały lekko w okna, niczym nietracący nadziei kochanek.

- Wiesz, że on tu jest, prawda? - odezwała się Fia.

Ręką Gunny drgnęła.

- Kto taki?

- Raine - odparła Fia, odwracając się na krześle, żeby spojrzeć Gunnie w twarz. Niewiele z niej wyczytała. Jak zwykle. -

Wiedziałaś, że tu jest, prawda?

- Tak.

Fia pokiwała głową, odwracając się ponownie do lustra. Tak myślała. A to, że Gunna, której zawsze ufała, miała przed nią tajemnice, zabolalo ją tylko trochę. Przyzwyczała się do rozczarowań.

- Kiedy się dowiedziałaś?

- Wczoraj. Jest tutaj od paru tygodni. Nikt o nim nie wie.

- Sprytnie. Nawet ojciec nie wie?

- Nie. Nie powiedziałam ci, bo on zabronił, a ja nie chcia

łam cię urazić jego rzekomą obojętnością, chociaż sędzę, że to nie tyle obojętność, ile nieufność. - Uchwyciła spojrzenie Fii. - On cię nie zna, Fio - rzekła beznamiętnie. - A pamięta tyle, że byłaś cieniem ojca.

- Przyznaję mu rację pod oboma względami - stwierdziła spokojnie Fia. - Nie ma powodu, żeby się mną interesować ani też żeby mi ufać.

- Nie graj nieczulej na mój skromny użytek, Fio Merrick.

Szkoda twoich umiejętności aktorskich. Znam cię za dobrze.

- Czy tak? - szepnęła nagle Fia. Mówiła głosem zagubionej, smutnej dziewczynki, niezdolnej ukryć nadziei, że w głębi duszy naprawdę jest przyzwoita, godna szacunku i... dobra, wiedząc, 192

jakie to mało prawdopodobne. Skłoniła głowę, zawstydzona takimi emocjami.

Ręka Gunny zawisała na krótko nad głową Fii, zawahała się i cofnęła. Odchrząknęła.

- Jak się dowiedziałaś o Rainie?

Zadowolona, że Gunna nie podjęła innego tematu, Fia odparła:

- Był na pikniku dziś po południu. Towarzyszył panie Donnę.

- Pannie Donne?

- Siostrze Thomasa Donne'a.

- Tak. Pamiętam, jak mówiłaś, że dziwi cię zainteresowanie ojca tą dziewczyną. Uważałaś, że to niezwykle, bo jeszcze tydzień temu nie zwracał na nią większej uwagi.

- Tak. Najwyraźniej nie tylko mój ojciec, ale również mój brat jest zainteresowany panną Donne. Donnowie mają pewien rodzaj fatalnego magnetyzmu, który oddziałuje na nas, Merricków. - Pozałowała tych słów, gdy tylko padły. Nawet Gunna nie wiedziała dokładnie, jak bardzo Thomas Donne ją zranił. Nie zamierzała też ujawniać, że rana nadal krwawiła.

Wciąż słyszała głos Thomasa, który wznosił się ponad wyciem morskiego wiatru w ogrodzie, dokąd przyprował

Rhiannon Russell, aby porozmawiać z nią na osobności. Jego głos niósł się także nad ogrodowym murem, za którym klęczała, nasłuchując.

„To nie jest tylko raczej zła rodzina. Są zepsuci do głębi”.

„Carr zabił swoją pierwszą żonę”.

„Merrick przebił dłoń człowieka tylko dlatego, że tamten oszukiwał w kartach”.

„Jego brat zgwałcił zakonnice”.

„Są równie źli, jak ich ojciec”.

I na koniec śmiertelny cios:

„Fia jest tylko dziewczką Carra, hołubioną po to, żeby uzyskać jak najkorzystniejszy kontrakt małżeński”.

13-Ostatni bal

193

Zadrżała na to wspomnienie. Zamknęła oczy, nieszczęśliwa, że nadal miało taką moc, jeszcze bardziej zła z tego powodu, że ona, która spędziła całe życie, wznosząc mury dookoła siebie, okazała się w tym punkcie tak wrażliwa. Kiedyś kochała Thomasa Donne'a. Teraz jednak z całą siłą zdradzonej miłości nienawidziła go namiętnie.

Gdyby tylko mogła w sobie wzbudzić jakąś wrogość wobec jego siostry, może poznałaby słodki smak zemsty. Nie mogła jednak.

Spojrzała na Gunę. Kobieta stała nieruchomo, a połowa twarzy widoczna spod mantyli wyrażała napięcie.

- O co chodzi, Gunno?

- Co Raine robił na tym pikniku?

Fia uniosła ramiona.

- Nie wiem. Udawał, że mnie nie zna, a ja odpłaciłam mu tym samym. Dlaczego *on* tu jest, *Gunno*?
Co się dzieje?

- Szuka jakiegoś skarbu, który, jak powiada, był w posiadaniu matki. Przyjechał, żeby go znaleźć i zabrać po kryjomu.

Fia uśmiechnęła się, trochę rozbawiona, odrobinę smutna.

Jakże to pasowało do jej wspomnień o tym krzepkim, mocnym bracie. Zapalczywy. Śmiały. Z góry skazany.

- Mówisz, że zastałaś Raine'a razem z tą dziewczyną? - zapytała Gunna.

- Jak parę gołębi - odparła obojętnie Fia - złączonych dzióbkami. Był bardzo opiekuńczy wobec niej. O mało nie urwał mi głowy, kiedy na nich wpadliśmy. A ona... cóż, koniecznie chciała odwrócić od niego uwagę moją i moich towarzyszy.

- Podejrzewałam, że ktoś z nim był - mruknęła Gunna.

- Co?

- Znalazłam go w starej kaplicy. Albo raczej on znalazł mnie.

Skoczył na mnie z rękami gotowymi do ciosu i złą twarzą. Teraz to nabiera sensu. Ona była tam razem z nim, a on ją chronił.

Potem, kiedy rozmawialiśmy, błędził oczami po pokoju, zatrzymując się na jakichś śmieciach. W tym spojrzeniu była czułość.

Myślał o niej. - Przesunęła szczupłą dłonią po twarzy. - Och, Raine!

- Dlaczego to mówisz? - zapytała zaniepokojona Fia. -

A więc Raine znalazł sobie pannę do towarzystwa. Co z tego?

Chyba cię to nie dziwi? Nie przy reputacji Raine'a. Nawet ja słyszałam o nim różne opowieści. Opowieści, które były już stare, kiedy on miał szesnaście lat.

- Ach! - Gunna pokręciła głową, aż zachybotła jej mantyla. - Nie znałaś go, jeśli tak myślisz. Zawsze był w gorącej wodzie kąpany, gotów łapać diabła za ogon, ale tylko dlatego, że nikt go nie powstrzymywał. Nikt nigdy nie dbał o niego na tyle, żeby go zatrzymać. On nic nie wie o miłości -

ciągnęła - ani o dawaniu, ani o braniu. Ale zawsze wiedziałam, że jak raz się nauczy kochać, zrobi to tak, jak wszystko inne. Całym sobą, nie oglądając się na nic, nie dbając o konsekwencje czy ryzyko dla swego serca.

- Sądysz, że on kocha pannę Donnę? - Fia wydawała się zaskoczona.

- Nie wiem - odparła Gunna martwym głosem. - Wiem, że zasługuje na miłość. Dość długo na nią czekał.

Fia roześmiała się, zdumiona litością i zmieszaniem, jakie wzbudziły w niej rewelacje Gunny

- A panna Donnę? Czy domyślasz się czegoś, jeśli chodzi o stan jej uczuć?

- Nie mów do mnie tym tonem, Fio. Zachowaj go dla swoich światowych przyjaciół- napomniała ją Gunna i Fia spuściła wzrok. - Nic nie wiem o tej dziewczynie. Może to nic dobrego, ale Raine... Twój ojciec tak wiele mu już odebrał. Nie może mu odebrać także i jej.

Lord Carr odkorkował zwykłą butelkę, którą, według słów lokaja, dostarczył przed paroma godzinami jakiś obdarty kotlarz.

Pomachał nią pod nosem, poruszając nozdrzami.

195

Zapach wcale nie był przykry: z migdałową nutką i odrobiną pomarańczy. No ale, upomniał Carr samego siebie, wszak to napój miłosny. Czym miał pachnieć? Siarką?

Zapalił świece na biurku, zanim włożył klucz do zamka jednej z szuflad. Zapadł zmierzch i musiał się śpieszyć, żeby wszystko przygotować.

Otworzył szufladę i wyciągnął niewielką tacę. Kilka małych fiolek zastukało jedna o drugą, kiedy postawił ją na biurku. Podniósł z tacy pustą fiolkę i włożył do niej lejek, a potem, nucąc pod nosem, napełnił ją napojem. Przed północą panna Donnę - i Janet - będą gotowe pójść za nim wszędzie.

To nie tak, że nie byłby w stanie zniewolić dziewczyny wy

łącznie siłą własnego uroku. Kiedy jednak miał pod ręką tak skuteczny środek, po co miałby trudzić się niepotrzebnie?

Napełniwszy fiolkę, zamknął ją starannie i wsunął do kieszeni, a potem odstawił tacę na poprzednie miejsce. Zamknął szufladę. Musi pamiętać, żeby zabrać tacę ze sobą, kiedy będzie opuszczać Rumieniec Ladacznicy. Jej zawartość w Londynie *może* się okazać użyteczna.

Zerknął na swoje odbicie w lustrze i się skrzywił. Fatalnie.

Nie można nawet myśleć o uwodzeniu, mając na głowie zwykłą, białą perukę. Dopilnuje, aby coraz bardziej - na szczęście - milczący Rankle przygotował na ten wieczór lawendowy puder do jego

nowej, wyposażonej w jedwabne podszycie, peruki.

Ale najpierw... Podeszedł do ściany i pociągnął za jedwabny sznur dzwonka. Lokaj zjawił się po paru minutach.

- Idź do szklarni i każ ogrodnikowi ściąć trochę najbardziej egzotycznych kwiatów. Dostarcz je natychmiast panie Favor Donne wraz z pozdrowieniami ode mnie i powiedz, że czekam niecierpliwie, aby ją zobaczyć dziś wieczór.

- Ale... to znaczy... panie - wyjąkał wysoki, mocno zbudowany i przesadnie wystrojony młody człowiek. - Chciałem powiedzieć, panie, że...

196

Niestety, ci z jego fachu, którzy najlepiej się prezentowali, nieodmiennie należeli do skończonych tępaków.

- Co? - warknął Carr ze złością. Miał jeszcze wiele do zrobienia przed dzisiejszym *soiree**.

- Panna Donnę nie *zejdzie* dzisiaj na kolację na dół, panie. Jej stara ciotka wyraża ubolewanie. Mówi, że młodą panią boli głowa i że ona, starsza dama, będzie przy niej siedzieć.

- Przekleństwo! - ryknął Carr. - Wynoś się! - Lokaj zaczął się wycofywać. - Nie. Czekaj. Idź po te cholerne kwiaty i dostarcz jej tak czy inaczej. Z wyrazami współczucia z powodu waporów.

Lokaj pochylił głowę i usunął się z pokoju. Carr zatrzaskał

drzwi i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Boli ją głowa? Przygotował się starannie, żeby zrealizować drugą część planu, a ją boli głowa? Nie do wiary.

Jasne, że sprawiła to Janet, tylko po to, żeby go rozdrażnić.

Albo też dziewczyna zrobiła to Janet, chcąc pokrzyżować jej plany. Ciężko jest zrozumieć prymitywny umysł kobiety, ale mieć do czynienia z dwiema naraz! Mniej doświadczony mężczyzna przepadłby z kretesem w obliczu tak trudnej zagadki.

„L-hwilowe zaćmienie”, które, jak przyrzekła sobie dzień wcześniej Favor, miało się nie powtórzyć, najwyraźniej się powtórzyło.

Nie tylko umysł uległ przyćmieniu, opuścił ją również zdrowy rozsądek. Raine nie był nawet pewien, jak do tego doszło, że zaczęli się całować. I nie dbał o to.

Potem myśli ulotniły się i czuł tylko przyjemność, kiedy miękkie wargi Favor dotknęły nasady jego szyi. Jęknął, gdy *soiree* (z franc.) - przyjęcie, zabawa (przyp. red.).

197

przesunęła ustami, muskając go delikatnie, po gardle aż do podbródka. Resztką wstrzemięźliwości, jaka mu jeszcze została, wyczerpała się szybko.

Kiedy się zjawiała w pokoju, który przeszukiwał, z wargami słodkimi i nadąsanymi, z męskim ubraniem przerzuconym przez ramię, obiecał sobie, że będzie się do niej odnosić jak do wychowanej w klasztorze damy, jaką była, a nie dziewczyny, którą, przebywając w tej szkockiej Gomorze, powinna być. Bardzo szybko się przekonał, że to dużo trudniejsze zadanie, niż sobie wyobrażał.

Favor westchnęła, wsuwając mu rękę pod koszulę - drżała z podniecenia. Zamknęła oczy, położyła głowę na jego ramieniu, zapraszając do pocałunków. Delikatnych, słodkich pocałunków, prawdziwego nektaru, podczas gdy w nim szybko narastało pragnienie skosztowania mocniejszego napoju. Ale będzie grzeczny.

Zapanuje nad sobą. Utrzyma na wodzy żądzę, która grozi wybuchem. Nie tylko dlatego, że nie jest już nieopanowanym, nieodpowiedzialnym chłopcem, nie tylko dlatego, że jej klasztorne wychowanie narzucało każdemu zalotnikowi powściągliwość w oswojaniu tego sokolika, ale dlatego, że tak, jak Favor nigdy nie była obiektem zalotów, tak i on nie miał doświadczenia w uwodzeniu.

To był trudny, skomplikowany taniec, niepozbawiony swoistych, pikantnych przyjemności. Jego wcześniejsze doświadczenia z kobietami kończyły się zawsze w łóżku. Pieszczoty, poca

łunki, to wszystko odbywało się zbyt szybko i zwykle gorączkowo jako obowiązkowy wstęp do miłosnego aktu.

To teraz było... cudowne.

Rozkoszne. Jak ambrozja. Miodowe pocałunki, słodki dotyk otwartych ust, mokry, palący i głęboki. Aksamitne pieszczoty.

Delikatne, miękkie pociągnięcia językiem. Dotyk lekki jak piórko. Nigdy nie doświadczył równie cudownej udręki.

Umościła się z ufnością w jego objęciach, pozbawiona umiejętności, ale mądra w taki sposób, w jaki

nie była żadna kobieta, z którymi miał intymne kontakty - zupełnie pozbawiona wyrachowania, odczuwająca przyjemność, jaka wynika z dawania. Była skarbem.

198

- Skarb - mruknął przy jej czole.

Otworzyła czy.

- Tak. - Westchnęła. - Masz rację. Powinniśmy znowu się do tego zabrać.

- Ja... Nie chodziło mi... - Przerwał. Co miał zrobić, przyznać, że myślał o niej? Postąpiłby niemądrze. Nie w sytuacji, kiedy wszystko jest tak potwornie skomplikowane, i w dodatku z każdym dniem coraz bardziej.

Zdawała się nie zauważać jego niemal wyznania. Odsunęła niechętnie ramiona, pogłaskawszy go po szyi. Uśmiechnęła się z żalem. Z żalem wypuścił ją z objęć.

- Muszę iść. Dzisiaj Carr urządza bal maskowy. - Policzki jej poróżwiały. Domyślił się, że przypomina sobie, co mówił na temat balów maskowych i ich uczestników.

- Nie musisz iść.

Utkwiła wzrok w przeciwległej ścianie. Przywołała na twarz fałszywy uśmiech. Nie podobało mu się to.

- Powinnaś wyjechać z Rumieńca Ladacznicy - powiedział, nie mogąc zapobiec, żeby jego żal nie brzmiał jak gniew. - Spakuj ciotkę i wracaj do domu brata. Jeśli musisz znaleźć bogatego męża, jedź do Londynu, kiedy twój brat wróci. Zapewniam cię, to nie jedyne miejsce, gdzie powitają cię z otwartymi ramionami.

Są lepsze tereny łowieckie, Favor. Nie musisz polować tutaj.

Odwróciła ku niemu głowę. Wydawała się zmęczona, w jakiś niewytłumaczalny sposób wyczerpana, takjakby nagle opadła z sił.

- Tu się mylisz. Muszę... wyjść za mąż wkrótce.

- Dlaczego? Czy twoja rodzina nie może dać sobie rady jeszcze przez parę miesięcy? - zapytał gniewnie. - Czy są tak biedni, że poświęcą cię, żeby zapewnić sobie łatwiejsze życie od zaraz, jak najszybciej?

W niebieskich oczach Favor błysnął gniew. Lepsza błyskawica od pustki.

- Ty nic nie wiesz!

199

- No to mi powiedz!

- Ach! - Odsunęła się, zmieszana jego słowami. Ale on nie zamierzał zrezygnować. Nie mógłby.

- Powiedz.

Objęła się ramionami i spojrzała na niego ze złością.

- Mężczyźni! Myślicie, że macie monopol na honor. Ze tylko mężczyźni potrzebują oczyszczenia, spłacając dług. Ale to nieprawda.

- Dlaczego musiałybyś się oczyszczać? - zapytał, wstrzymując oddech, obawiając się, że mu powie i przerażony myślał, że mogłaby tego nie zrobić. Chciał zdobyć jej zaufanie. Nie zasługiwał na nie. Nie powiedział jej nawet, kim jest. - Dlaczego?

- Zrobiłam coś. Lata temu. - Zawahała się. Umilkła.

Wpatrywał się w jej twarz i widział młodziutką kobietę targaną sprzecznymi uczuciami, pragnącą rozpaczliwie podzielić się najbardziej intymnymi szczegółami ze swojego życia z mężczyzną, o którym prawie nic nie wiedziała. Rozpaczliwie, ponieważ nie było nikogo innego, z kim mogłaby o tym porozmawiać. Jak bardzo musi być samotna, skoro do tego doszło. Jak boleśnie samotna.

- Przeze mnie... ludzie stracili życie - powiedziała w końcu.

- Czy wiedziałaś, że tak się stanie?

- Nie!

- A zatem, skoro nie uczyniłaś tego z rozmysłem, nie można cię winić.

- Niewiedza nie może służyć za wymówkę. - Wypowiedzia

ła te słowa w taki sposób, że zrozumiał, iż musiała je słyszeć wiele, wiele razy.

Zaczął iść w jej stronę, ale podniosła rękę, gestem każąc mu się zatrzymać.

- Wyjaśnij.

- Byłam... byłam dzieckiem - wymamrotała, odwracając wzrok. - Moi... ludzie chcieli dopilnować, żeby przestępcy wymierzono sprawiedliwość.

- Przestępcy?

200

- Gwałcicielowi.

Dziwne, że się wzdrygnął, słysząc to słowo w jej ustach, podczas gdy przed laty nie tylko nie drżał,

ale też *znosił cios* za ciosem, nie dając dręczycielom satysfakcji.

Źle rozumiała jego reakcję i pokiwała głową.

- Przeprowadzili go tam, gdzie mieszkaliśmy, żeby mój ojciec go osądził. Ojca nie było, a moja matka, powszechnie szanowana dama, kazała mi ich powstrzymać.

- Dlaczego?

- Ponieważ się bała, że jeśli powieszą tego gwałciciela, moi bracia zostaną z zemsty zabici.

- Rozumiem.

- Zrobiłam, o co prosiła. Powstrzymałam ich - zacisnęła ręce wokół ciała - dostatecznie długo, żeby jego rodzina zdążyła przybyć z uzbrojonymi ludźmi. Zabili większość członków mojego rodu. Wyrznęli ich. Ścięli jak żyto kosą. Później się dowiedzia

łam, że mój brat już wtedy nie żył.

Patrzyła nieprzytomnie, z twarzą naznaczoną rozpaczą, która odżyła pod wpływem wspomnień. Musiał ją wyciągnąć z tego straszliwego świata przeszłości, który sam znał tak dobrze.

- Boże, Favor! Co innego mogłaś zrobić?

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad pytaniem postawionym wiele lat przedtem, które dotąd pozostało bez odpowiedzi.

- Powinnam była pozwolić im zabić tego chłopaka. Gdybym im nie przeszkodziła, powiesiliby go i odeszli, zanim zjawiliby się żołnierze. A nawet gdyby nie zdążyli odejść, sprawiedliwości stałoby się zadość. Gwałciciel by zginął.

- Zrobiłaś to, o co prosiła matka - tłumaczył spokojnie. - To nie był twój błąd.

Czuł wyraźnie, że ją zawiódł, że czekała niecierpliwie na odpowiedź, którą dopiero kiedyś miała usłyszeć.

- Wiem - odrzekła, jakby uważała, że specjalnie nie chce jej zrozumieć. - Ale „błąd” nie ma tu nic do rzeczy. Ani wina. Chodzi o to, jak mam żyć, co muszę zrobić?

- A poślubienie bogatego trutnia to jedyny sposób, żebyś mogła pogodzić się ze sobą? - Popatrzył na nią z ironią.

- Tak.

- Dlaczego nie wdziejiesz włosienicy? - zapytał, pełen goryczy. - Jestem pewien, że znajdę gdzieś tu bicz, żeby ci pomóc osiągnąć swój cel. To przecież Rumieniec Ladaczniczy.

- Przestań - powiedziała bez gniewu, urazy, tylko z rezygnacją. - To twoje myślenie dowodzi braku rozsądku, nie moje. Nie ja pierwsza wybieram męża ze względu na korzyści dla swojej rodziny. Wiele kobiet tak już robiło, i wiele o tym myśli. Doprawdy, jestem w lepszej sytuacji niż większość, bo robię to z własnej woli. - Bezradna, zwróciła się do niego o pomoc. - Wolałbyś, żebym nie posłuchała nakazu sumienia tylko po to, żeby zadowolić samolubne serce?

Radość była jak ostrze, które zabijało, uświadamiając, co mog

łoby być, a nie będzie. Nie mógł wymówić słowa. Mógł tylko stać, napawając się tym, czego nie dopowiedziała.

- Rafę. - Uśmiechnęła się nieśmiało, żałośnie. Wyciągnął

rękę. Udawała, że jej nie widzi, odwróciła się i odeszła. Zamknął

oczy.

- Raine - szepnął tak cicho, że nie mogła go usłyszeć. Zrozumiał teraz, dlaczego poeci mówią o tym, że serce pęka, ponieważ coś rozlało się w jego piersi, coś gorącego i sprawiającego ból.

Podniósł powieki. Zobaczył jej szczupłe plecy. Opuściła ramiona, jakby przygniatał je jakiś ciężar, stąpała ciężko.

Przystanęła, rozglądając się po pokoju, próbując znaleźć jakiś powód, dla którego mogłaby zostać, wiedząc, że powinna odejść.

- Mówiłeś. - Odchrząknęła, spróbowała jeszcze raz. - Mówiłeś, że szukasz orientального pudełka. - Usiłowała bezskutecznie przybrać ton poprzedniej wesołości.

Szukając go, znalazł miejsce wolne od knoń i machinacji zewnętrznego świata, tu właśnie, w tych pustych pokojach. Goniąc za baśniowym skarbem, znaleźli jeszcze większy skarb, któ-

202

rego nie szukali i którego, jak zdawali sobie sprawę, nie mogli zatrzymać.

- Tak - powiedział obojętnie. - Orientalnego pudełka.

- Ciemnego? Szerokiego na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów? - W jej oczach pojawiła się iskierka zainteresowania.

- Tak — wymamrotał. - Skrzyneczki po herbacie.

Powieki miała fioletowe ze zmęczenia. Cera, pozbawiona białego pudru, który zwykle używała, wydawała się niezwykle delikatna, jakby świadczyła o wątłym zdrowiu.

- Dużo różnych tam stoi. - Wskazała na szafę.

Ten pokój był mniej zagracony niż inne. Znalazły się w nim dwie poplamione wodą komody, pleśniejący, zrolowany dywan, obity skórą kufer podróżny i stojąca pod ścianą ogromna szafa na książki - z brakującymi z jednej strony drzwiami, z ciemnymi, pustymi półkami. Na tym monstrualnym meblu leżały u góry rozmaite pudełka, których przedtem nie zauwa

żyli. Dopiero teraz, z drugiego końca pokoju, można je było dostrzec.

Jedno z nich zdobił zawity egzotyczny ornament. Było czarne.

- Tak- odparł Raine z bijącym sercem. Wewnątrz pudełka mógł znajdować się klucz do marzenia, o którym nakazywał

sobie zapominać, kiedy budził się każdego dnia. Teraz jednak, z pudełkiem w zasięgu ręki, to marzenie wróciło ze świata snu, zamieniając się w oszałamiającą możliwość.

Mając skarb McClairenów, stanie się bogaty. Będzie gratką dla każdej kobiety, która chciałaby wyjść za mąż dla pieniędzy.

Natychmiast zdławił tę żalospną myśl. Ona należała do klanu McClairenów. Obarczała go odpowiedzialnością za masakrę jej bliskich. Nie dalej, jak przed dziesięcioma minutami wyrażała żal w związku z tym, że przeżył.

Chwycił jedną z mahoniowych komód i zaczął z wysiłkiem ciągnąć ciężki mebel w stronę szafy. Nie mógł poprosić Favor o rękę, ale mając skarb McClairenów, mógłby nie dopuścić, 203

żeby poślubiła jakiegoś idiotę, na przykład kogoś takiego jak Tunbridge. Mógłby dać jej klejnoty.

Pociągnął komodę po raz ostatni, ustawiając ją obok szafy i wskoczył na nią. Przyjrzał się ciemnemu pudełku. Właśnie takiego szukał. Pamiętał falujący, inkrustowany grzbiet smoka tańczącego na wieku. Wziął pudełko w dłonie i zeskoczył na ziemię.

Ozdobny zatrzask z brązu odskoczył z zawiasu. Jednego zestawu maleńkich szufladek brakowało. Jednak górna część, ta, w której ukryto klejnoty, była nienaruszona.

- Naprawdę myślisz, że tam jest skarb? - zapytała Favor.

Raine nie potrafił rozszyfrować ani tonu jej głosu, ani dziwnego, nieszczęśliwego wyrazu twarzy.

- Nie wiem. Sprawdźmy to. - Chwycił ciężki świecznik i uderzył nim mocno w wieko skrzyneczki. Delikatne, rzeźbione drewno rozpadło się na kawałki.

Razem zajrzeli do rozbitego pudełka. Stali przez pełną minutę. Raine powoli schylił się i wyjął ze środka zakrytą tackę. Otworzył pojemniczek. Nie było w nim nic poza wyblakłą aksamitną wyściółką. Favor uklękła obok kawałków drewna, podnosiła i odkładała drzazgi, zaglądając do nielicznych szufladek, które przetrwały zniszczenie. Raine przesunął resztę kawałków stopą, odwracając je na drugą stronę. Nie było miejsca, gdzie mógłby kryć się pierścionek, a co dopiero komplet ciężkiej, złotej biżuterii i szlachetnych kamieni.

- Tak... mi przykro - szepnęła Favor.

Ogarnęło go rozczarowanie. Nie miał tu już nic do roboty.

Nie zostało nic, żadnych marzeń, szlachetnych intencji.

Patrzył przed siebie w oszołomieniu. Powinien wyjechać.

Szansę na odnalezienie skarbu McClairenów w jednym z dziesiątków zagraconych pokoi równały się zeru - zakładając, że jakieś wciąż istniały. To jednak nie był prawdziwy powód, który skłaniał Raine'a do ucieczki. Jak mógł zostać, kiedy ona usiłowała złapać jakiegoś drania na męża?

204

- Chyba musimy dalej szukać - odezwała się cichym, ochrypłym głosem Favor.

Spojrzał na nią i zrozumiał. Jeśli chodzi o Favor, to znalazła miejsce, gdzie mogli być razem i choć na chwilę o wszystkim zapomnieć. Znalazła również wymówkę, której potrzebowała, żeby z nim zostać: poszukiwanie skarbu.

Nie uśmiechała się, ale wyraz szczęścia zabarwiony poczuciem winy rozjaśniał jej twarz jak słońce.

Nie miał szans.

- Tak - zgodził się miękko.

A. unbridge wpadł do biblioteki Carra.

- Carr! Wielkie nowiny! Nareszcie!

Carr, który właśnie przerzucał stos weksli, dokumentów, testamentów, listów i, od czasu do czasu, pisemnych wyznań, podniósł głowę.

- Zechciej zamknąć drzwi, Tunbridge - powiedział i zaczął układać papiery.

Szukał szczególnie kompromitującego listu miłosnego, ale to mogło poczekać. Ważniejsze było, żeby nie wydawał się zbyt przejęty papierami na biurku. Nie wolno było pozwolić Tunbridge'owi domyślić się, że widzi źródło przyszłej potęgi i prestiżu Carra.

- A zatem - rzekł Carr, odcinając kawałek sznurka i wiążąc papiery w dwa osobne pakiety - co to za wspaniała nowina?

- Król nie żyje! Jerzy umarł! - wykrzyknął Tunbridge. Poło

żył dłonie płasko na biurku i oparł się na nich. - Słyszysz, Carr?

Jerzy II umarł, pamiętna data, dwudziesty piąty października.

Jego wnuk jest teraz królem.

205

- Wnuk? - powtórzył Carr. Po tylu latach wreszcie...

- Tak. - Tunbridge pokiwał energicznie głową. - A jako że wszyscy królowie z dynastii hanowerskiej nienawidzą swoich następców, Jerzy nienawidził swego wnuka, a wnuk odpłacał mu tym samym uczuciem. Ten nowy król jest młody, Carr, podatny na wpływy i otwarty.

- Odwoła edykt swojego dziadka, który mnie dotyczy? - zapytał Carr, uważając, żeby nie zdradzić niepokoju.

- Nawet się o nim nie dowie.

Carr pochylił się, przysuwając twarz do uśmiechniętej szyderczo twarzy Tunbridge'a.

- Uważaj, panie. Nie chciałbym się rozczarować w tym względzie.

- Jestem tego pewien! - zawołał Tunbridge. - Jerzy spędził

tyle ostatnich lat życia za granicą, że prawie nie znał tego chłopca.

Młody król nie będzie miał dużo czasu na roztrząsanie osobistych animozji dziadka, mogę cię o tym zapewnić.

- Gdzie usłyszałeś tę nowinę?

- Od lorda Edgara, niecałą godzinę temu. Wyjeżdżałem z zamku, kiedy on się zjawił. Przyjechał wprost z pałacu St. Jamesa.

- Gdzie jest teraz?

- W swoich komnatach i pewnie śpi, jak myślę. Jest wyczerpany. Jechał konno całą drogę.

Carr wyprostował się powoli.

- Rozumiem.

Tunbridge wciągnął głęboko powietrze i odepchnął się od biurka.

- Dobrze ci służyłem przez tyle lat, Carr.

- He? Och. Tak - przyznał Carr obojętnie.

Nie ma Jerzego. Co za ironia. Zamierzał tej zimy wrócić do Londynu, niezależnie od tego, że stary król go skazał na banicję.

Zgromadził w końcu dość „wpływow” - koniuszkami palców pogładził stosik papierów po prawej stronie - żeby przeciwstawić 206

się edyktowi nakazującemu mu przymusowy pobyt w Szkocji.

Teraz, skoro w końcu *ten* wyrok *cofnięto*, *mógł... na Boga! Mógł*

się ponownie ożenić!

- Wasza łaskawość?

Głos Tunbridge'a wdarł się w tok jego myśli. Był skłonny okazać wspaniałomyślność zwiastunowi nadzwyczaj pomyślnych wieści.

- Tak?

- Zechcesz zawiadomić służbę.

- Dobry pomysł, Tunbridge. Każę im natychmiast przystąpić do pakowania. Nie sędzę, abym mógł się spodziewać, że wyjadę przed końcem tygodnia?

- Panie? - Tunbridge zamrugał oczami.

- Cóż, nie myślisz chyba, że zostawię tutaj swoje skarby? Zamek może spłonąć, jak dla mnie, ale nie zanim wywiozę z niego cenne rzeczy. - Carr przysunął do siebie stos korespondencji. -

Srebra i klejnoty zabiorę od razu ze sobą. Obrazy i rzeźby powinny wyruszyć na wozach w tym samym czasie, sztuka stanowi świetną inwestycję i to jest najlepsza rada w kwestii finansowej, jakiej mogę ci udzielić.

- Ach, tak, panie. Dziękuję.

- Daj spokój, Tunbridge. Dlaczego wydajesz się taki zmieszany?

- Mówiłem o tym, żeby uprzedzić służbę co do balu maskowego dziś wieczorem.

- Co z balem maskowym? - Będzie musiał zadbać również o tapiserie. Paskudne ponuractwa, ale powiedziano mu, że są warte ładny grosz.

- Król umarł. Zamek musi pogrzeżyć się w żałobie.

Żałoba, kiedy on ma jedynie ochotę świętować? Bzdura. Poza tym, wobec śmierci Jerzego sytuacja między nim a Janet zmieniła się nagle i drastycznie. Ta myśl wywołała uśmiech na jego twarzy.

Pokonywał przeszkody jedna po drugiej. Najpierw musi przywołać Janet do siebie, a w tym celu musi się zobaczyć z Favor 207

Donne. Samą. To nie było niewykonalne, ale nie wtedy, gdyby przyłączyła się do masowego exodusu gości, śpieszących do Londynu na pogrzeb króla.

- Powiadasz, że Edgar wycofał się do swoich komnat. Czy przyjechał z nim ktoś jeszcze?

- Nie.

- Czy rozmawiał z kimś poza tobą?

- Nie - odparł Tunbridge z namysłem. - Highgatowie przybyli z dużą grupą, kiedy rozmawialiśmy, ale biedny Edgar był tak wykończony, że ledwie skinął głową, zanim udał się do łóżka.

- Zatem Highgatowie nie wiedzą nic o śmierci króla.

- Zgadza się.

Carr skierował spojrzenie na szufladę, gdzie trzymał swoje eliksiry.

- Tunbridge, jutro rano wyjedziesz do Londynu. Do tego czasu trzymaj się swojej komnaty. W ten sposób nikt nie będzie cię mógł oskarżyć o utrzymywanie w tajemnicy śmierci suwerena ani mnie o to, że o niej usłyszałem i zlekceważyłem tę wiadomość.

- Dużo ryzykujesz - zauważył Tunbridge. - Są tacy, którzy okrzykną rebelią wyprawienie balu podczas żałoby państwowej.

A jeśli Edgar komuś powie?

- Edgar - rzekł Carr bez zająknięcia - nie obudzi się tak szybko. Podróż, która, jak już zauważyłeś, wyczerpała go, może mieć dużo poważniejsze konsekwencje. - Postukał się w zamy

śleniu w brodę.

- A co z jego służbą?

- Odeślę ich. Skoro Edgar zapadł na jakąś niewiadomą chorobę, nie mogę ryzykować zdrowia gości, narażając ich na ewentualne zarażenie.

- Mogli już dotąd rozmawiać o tym z innymi służącymi.

Carr westchnął. Drażniło go marudzenie Tunbridge'a. Jakie to niemęskie. Zastanawiał się nad zwróceniem Tunbridge'owi prawa własności jego rodowej siedziby. Przekonał się teraz, że ten człowiek nie zasługuje na podobny dar.

208

- Proszę bardzo - powiedział Carr. - Pogłoski o śmierci Jerzego pojawiły się już kilka razy w ciągu paru ostatnich lat. Kto będzie mi wypominać, że nie słucham, jak służba plotkuje?

- Zabezpieczyłeś się, jak zwykle, na każdą okoliczność. -

Tunbridge pokręcił głową z podziwem.

- Tak - odparł Carr. - Owszem.

- I wkrótce znowu będziesz panować w Londynie, potężny, szanowany, budzący strach, pożądany...

- Tak, tak, tak. Skończ z tym, Tunbridge, zanim twój język rozmiękczy skórę moich nowych butów.

Chudy, blady mężczyzna zbladł jeszcze bardziej. Wokół ust pojawiły się białe plamy.

- Zatem?

- Osiągnąłeś cel, nie musząc nikomu grozić, nikogo szanta

żować ani do niczego zmuszać.

- Tak - przyznał Carr, ale i zdziwił się nieco brakiem satysfakcji z tego powodu. - Więc?

- Nie potrzebujesz mnie już.

- Nigdy cię nie potrzebowałem, Tunbridge. Byłeś dla mnie wygodny. - Carr się uśmiechnął. - Nadal jesteś.

Upał panował straszliwy, a hałas rozdzierał uszy. Widok trzystu osób starających się wyglądać najbarwniej, najwspanialej i najbezwstydniej ranił oczy i pozbawiał tchu płuca. Carr zapowiedział, że to ostatni bal maskowy w Rumieńcu Ladacznicy, a ponieważ chodziły słuchy, że gospodarz zamierza opuścić zamek i udać się do Londynu, goście postanowili uczynić wszystko, aby ten bal pozostał na długo w pamięci.

Odziani w dziwaczne kostiumy, obciążeni piramidalnymi nakryciami głowy i ekstrawaganckimi perukami, kroczyli dumnie, zachowując sztywną etykietę, której przeczyła nad wyraz swobodna atmosfera rozpasania. Jak groteskowe jeże w wysadzanych klejnotami zbrojach, krążyli dostojnie po komnatach, rozbierając się nawzajem oczami. Spódnice ciągnęły się po podłodze pod 14-Ostatni bal 209

ciężarem pereł, kryształów i złota. Peleryny szeleściły, kiedy drogocenne kamienie ocierały się o siebie przy każdym ruchu.

Nikt niczym nie ryzykował. Bo któż mógł powiedzieć, kto się krył za czarnym, jedwabnym dominem Prospera albo pierzastą maską Królowej Łabędzi? Jeśli nawet odpowiedź na to pytanie brzmiała: „wielu”, to jednak nieliczni chcieliby się do tego przyznać. Anonimowość stanowiła *raison d'etre** balu maskowego. Tego wieczoru nikt nie miał wiedzieć, z kim flirtuje, tańczy, kogo uwodzi.

Z wyjątkiem Carra. Teraz jednak mało go obchodziło, kto się z kim na ślepo obmacywał. Interesowała go tylko jedna kobieta.

Mała Szkotka.

Wypatrzył dziewczynę parę minut wcześniej. Nadal zdumiewała go jej śmiałość, jakkolwiek pannę Donnę należało zaliczyć do niewielkiej grupy kobiet, które się pokazały, nie obnażając przynajmniej jednej piersi.

Znalazła inny sposób, żeby wzbudzić sensację.

Miała na sobie szal - to musiał być skutek wpływu rogatej duszy Janet - tradycyjny arisaïd szkockich góralek, którego noszenia zakazał parlament w 1747 roku. Długi, prostokątny kawał surowego jedwabiu osłaniał jej czarne włosy, opadając na workowatą niemodną suknię. Noszono takie jakieś dwadzieścia lat wcześniej, ale ładnie się prezentowała na dziewczynie. Favor rozmawiała ze swoją korpulentną ciotką, która wyglądała jak pudding owinięty w brązowiofioletowe szmaty, z wężem przyczepionym do czepka i półprzezroczystym welonem na twarzy. Boże, ta kobieta przebrała się za Kleopatę!

Carr przywołał lokaja niosącego tacę z ponczem. Nadszedł

czas, żeby uporać się z problemem, stwarzanym przez zmarłą

- jednakże wciąż zdumiewająco upartą - żonę. Wydobył fiołkę z eliksirem od Pali i wlał zawartość

do szklanki, potem zaś, uwa

żając, żeby nie uрониć kropli, przebił się przez tłum.

raison d'etre (z franc.) - podstawa, racja bytu (przyp. red.).

210

- Pani Douglas - powitał starszą damę, kiedy znalazł się przy nich. Skłonił głowę w stronę Favor. - Panno Donnę.

Widziała, jak się zbliżał. Maską, która zakrywała górną część twarzy, nie ukryła tego, że jej pełna, dolna warga napięła się z niechęci. Przysiągł sobie, że przed nastaniem dnia wessie się w tę prowokującą wargę, a dziewczyna będzie sapać z przyjemności.

- Lordzie Carr! - Ciotka zachichotała w pulchną, ukrytą w rękawicze dłoń. - Co za ekstrawagancka *soiree!* Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- Ani też nie mamy nadziei zobaczyć ponownie - odezwa

ła się Favor słodkim głosem, a potem, w odpowiedzi na westchnienie swojej opiekunki, dodała: - Jakże byśmy mogły? Jak cokolwiek mogłoby się równać z... czymś takim? - Machnęła ręką w stronę satyra uganiającego się za Lukrecją Borgią. - Nie śmiałabym wyobrazać sobie, że mogłabym uczestniczyć w innym balu, podobnym do tego.

Carr się uśmiechnął.

- Mogłabyś uczestniczyć w podobnych balach i nawet jeszcze ciekawszych, panno Donnę, jeśli zechcesz nadal zaszczycać mnie swoją obecnością.

- Ale to raczej niemożliwe, prawda? - wtrąciła ciotka ponurym głosem. - Choć moja bratanica życzyłaby sobie, żeby było inaczej.

- A dlaczego, pani Douglas, mniema pani, że to niemożliwe?

- Wkrótce wyjeżdżasz do Londynu, tak przynajmniej mówią, więc my, siłą rzeczy, wrócimy do domu Thomasa. Bez niego nie mogłybyśmy się wyprawić do Londynu, a Bóg jeden raczy wiedzieć, jak długo kochanego chłopca nie będzie. Mogą upłynąć miesiące czy lata, zanim wróci.

- Rozumiem. - Spojrzał w zacienione rzęsami oczy Favor. -

Niewykluczone, iż znajdę jakiś sposób, żeby się cieszyć towarzystwem panny Donnę.

Usłyszał, jak ciotka gwałtownie wciąga powietrze; na taką reakcję miał nadzieję ze strony Favor. Musiała zrozumieć, że miał

na myśli małżeństwo. A nawet jeśli w tej chwili budził w dziewczynie przerażenie, to czyż Janet nie

powinna jej narzucić swojej własnej, entuzjastycznej odpowiedzi na ukrytą obietnicę?

Zamiast tego Favor zamarła. Marszcząc czoło, Carr zastanawiał się nad przyczyną. Na szczęście nie trwało to długo. Ona po prostu nie śmiała uwierzyć, że dobrze odczytała jego intencje. Była poruszona zaszczytem, jaki na nią spływał. Skoro tak, to mógł jej wybaczyć brak entuzjazmu.

- Panno Donnę, nie sędzę, abym wspomniał, jak cudownie dzisiaj wyglądasz. Zobaczyłem cię z drugiego końca sali i natychmiast zwróciłem na to uwagę. Ale to nakrycie - wskazał szal - wydaje się raczej za ciepłe. *Tak* więc przyniosłem ci poncz dla ochłody.

Wyciągnął do niej szklankę z ponczem.

- Dziękuję - odparła Favor. Chciała wziąć szklankę, lecz nagle zmieniła zdanie i cofnęła dłoń. Uśmiechnęła się nieśmiało.

Zrobiła krok do tyłu, zostawiając go z wciąż wyciągniętą ręką. -

Chwila, panie, zanim skorzystam z twojej uprzejmości. Powiedz mi - położyła rękę na biodrze, przybierając zalotną pozę - czy potrafisz zgadnąć, kim jestem?

Do diabła z dziewczyną. Chciał tylko, żeby wzięła wreszcie poncz i go wypić.

- Nie - odparł tak miłym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

— Nie potrafię. Proszę. - Podsunął jej szklankę. Zignorowała ją.

- Och, zgadnij! - poprosiła, niespodziewanie rozbawiona.

Ciotka, nie spuszczając wzroku z bratanicy, pokiwała wolno głową.

- Ona jest ciągle dzieckiem - powiedziała - i chce się bawić jak dziecko. Zechciej jej wybaczyć, lordzie Carr.

- Nie wiem! - wykrzyknął z rozdrażnieniem. Była w istocie swawolna i dziewczęca. Obie te cechy zawsze uważał za męczące. - Królowa Bodicea?

- Nie... - Pokiwała żartobliwie palcem.

- Dostyc - warknął. - Kim zatem jesteś?

- Janet McClairen. Twoją zmarłą żoną.

212

Szklanka wypadła mu z ręki, rozbijając się na podłodze; dźwięk, który musiała przy tym wydać, utonął w hałasie panującym na sali.

- Co powiedziałaś? - Ruszył w jej stronę, miażdżąc szkło butami. - Skąd przyszło ci do głowy, żeby przebrać się za moją żonę?

Skuliła się, patrząc na niego ze strachem.

- Znalazłam to w pudle na dnie kufra w mojej sypialni - wykrztusiła.

Niemożliwe! Wszystkie rzeczy Janet kazał przenieść do najodleglejszych części zamku. Nic z tego, co do niej należało, nie zostało w zamieszkanym skrzydłach. Chyba że sama Janet...

- Dlaczego przebrałaś się za moją pierwszą żonę?

- Znalazłam szal. Ktoś opowiedział mi historię pierwszego balu, który się odbył w Rumieńcu Ladacznicy - jej wargi drżały

- i o tym, jak twoja żona zaginęła, a goście ruszyli na poszukiwanie.

Wiem, że najpierw znaleźli szal, a potem ją samą, lecz zanim dosięgli ciała, porwało je morze. Słyszałam także, że bardzo byłeś jej oddany i pomyślałam... - Zawahała się. - Po prostu wydawało mi się właściwe, żeby ona też uczestniczyła w tym ostatnim balu.

Ciotka nie spuszczała z nich wzroku.

- Ona nie miała nic złego na myśli - odezwała się. - To moja wina, jeśli cię uraziła. Powinnam była zapytać, za kogo się przebiera.

- Nie - odparł Carr. - Wiem, że nie miała złych zamiarów.

Zdumiałem się, myślałem bowiem o małżeństwie i o tym, jak bardzo jestem samotny. - Ujął dłoń Favor w swoją. Leżała bezwładnie. - Potem usłyszałem nagle imię mojej żony na ustach panny Donne...! To wydawało się czymś więcej niż przypadkiem, w rzeczy samej, odebrałem to jako znak.

- Ach! - Ciotka, zachwycona, złożyła ręce na wydatnym biuście.

Favor zwilżyła wargi.

- Nie pojmuję, o czym mówisz, panie - szepnęła.

- Naprawdę? Ja pojmuję - oznajmiła Fia. Carr się obejrzał

i zobaczył córkę, stojącą tuż za nim. Ubrana była w srebrną i białą 213

satynę, włącznie z maseczką na oczach. Długie, miękkie pióra wplecione we włosy poruszały się w podmuchach powietrza.

Pióra przykrywały również jej ramiona i długie, ciasne rękawy sukni. Przebrała się za Królową Łabędzi.

- Mam za sobą lata doświadczenia w interpretowaniu wszystkiego, co mówi Carr. Czy mam przetłumaczyć, panno Donne? -

zapytała Fia.

- Ach, Fia, moja droga - powiedział zimno Carr. - Wybaczcie mojej córce, drogie panie. Można by pomyśleć, że z takimi manierami dopiero co wyszła z pokoju dziecinnego. Obawiam się, że zanadto jej pobłażałem. Stale przyjmuje nieuzasadnione założenie, że wszędzie jest mile widziana.

Nie dotknęło to Fii do żywego, jak spodziewał się Carr, lecz rozbawiło. Powinien był wiedzieć, że ironia na nią nie podziała.

- Nie niepokój się, Carr. Zniknę, nim - zerknęła na Favor -

skończysz na kolanach. - Ulotniła się tak szybko, że nie zdążył

odpowiedzieć.

- Co takiego miała na myśli? - zaszcebiotała ciotka.

- Jestem pewna, że nie zgadnę - odezwała się Favor słabym głosem.

- Wkrótce już nie będziesz musiała nic zgadywać, wyjawię wszystko. - Popatrzył na nią z czułością, przeklinając się za to, że upuścił napój miłosny. Ach, to nic. Noc była młoda. Po prostu ponownie napełni fiolkę i wróci. Albo spróbuje... - Pani Douglas. -

Uśmiechnął się z szacunkiem do starej kobiety. - Mimo że jestem człowiekiem w kwiecie wieku i posiadam zarówno doświadczenie, jak i obycie, czuję się niezręcznie, prosząc cię, abyś zechciała się oddalić. Pragnąłbym zostać sam na sam z twoją bratanicą.

- Wybacz, panie. - Ciotka zamrugnęła krótkowzrocznymi oczami. - Och. Nie mogę na to pozwolić. Thomas nigdy by mi nie wybaczył, gdybym dopuściła do takiej sytuacji. Moja bratanica jest dobrze wychowaną młodą panią, a nie jakąś latawicą!

A więc mała, tłusta suczka śmiała unieść wargi i wyszczerzyć na niego swoje stare zęby?

214

- Oczywiście. Jakie to bezmyślne z mojej strony.

- W rzeczy samej niestosowne, panie. A z tak uroczą damą można tylko raz pozwolić sobie na gafę.

Carr odwrócił się ze złością w stronę, skąd dochodził męski głos, zamierzając wzrokiem zmusić intruza do odejścia. Jego spojrzenie utkwiało w szerokiej, opalanej szyi... Cóż, do diabła, nie miał

pojęcia, kim był ten osobnik wzrostu Goliata. Może dzinnem.

Przybysz miał na sobie długi, uszyty z satyny w geometryczne wzory kubrak w orientalnym stylu. Na jednym szerokim ramieniu wisiała śliwkowa peleryna. Wielki turban wznosił się nad twarzą usmarowaną na czarno jak u Maura.

Dzinn albo Turek, pomyślał Carr, zauważając wschodni miecz u boku nieznanego. Nie rozpoznawał tego gościa.

- Musiałeś, panie, przybyć dzisiaj po południu z Highgatem.

Wysoki mężczyzna skłonił głowę.

- Nie znam twojego imienia.

- Możesz nazywać mnie Mahometem.

- Czy tak? - Carr rozciągnął usta w życzliwym uśmiechu pana domu. - Jak miło z twojej strony.

Doprawdy, co za idiota wpadł na pomysł tego balu maskowego? Wszędzie się spotykał z impertynencją. Miał tego dość. Jutro się dowie imienia tego hultaja, jeśli nadal będzie go to interesować. Ale teraz musiał napęłnić fioletkę.

Turek przesunął się obok Carra, aby stanąć przy Favor. Podniosła na niego szeroko otwarte, pełne niespokojnego oczekiwania oczy.

- Gdybym mógł się cieszyć towarzystwem tej ślicznej Szkotki, przyrzekam, że nie posunę się do niczego bardziej niestosownego niż taniec. - Mimo że zwracał się do pani Douglas, nie spuszczał oczu z bladej twarzy Favor. - Panienko?

- No cóż - zaczęła ciotka, cmokając bojaźliwie. - Nie znam cię, panie, i...

215

- Ach! - Wysoki Turek odwrócił głowę, ukazując w szerokim uśmiechu bardzo białe uzębienie. - Przyjechałem z Highgatem, jednym z bliskich przyjaciół lorda Carra! To z pewnością dostateczna gwarancja?

Podszedł sprytnie starą sukę i ona zdawała sobie z tego sprawę, pomyślał Carr. Zmrużył oczy w uznaniu dla nieoczekiwanego rywala. Pani Douglas nie ośmieli się mu teraz odmówić, nie obrażając gospodarza.

- Panno Donnę? - Turek wyciągnął rękę.

Powoli, w milczeniu, Favor kiwnęła głową i wsunęła dłoń w jego ogromną, silną łapę. Jego palce zacisnęły się na niej.

Odwzajemniła uścisk.

- Allah mi sprzyja! - Wysoki Turek zaśmiał się triumfalnie i ujął ją pod ramię, wciągając w tłum.
Pani Douglas wymamrota

ła przeprosiny i natychmiast ruszyła w pościg, zostawiając Carra samego.

Tak. Jutro imię tego mężczyzny nadal będzie go interesować.

Był tego pewien.

I esteś szalony! - Favor sapnęła, kiedy Rafę zamasyście obrócił

ją wkoło, aż poczuła zawrót głowy. - Czy ty wiesz, kto to był?

- Kto? Typ w liliowej peruce? - Chwycił Favor za rękę i położył na swoim przedramieniu. Zakrył jej dłoń własną, leciutko głaszcząc czubkami palców nadgarstek, wywołując miły dreszcz w jej ramieniu, kiedy zaczęli wykonywać taneczne figury.

- Chciałbym cię o coś zapytać. - W jego brązowych oczach błysnęło zrozumienie.

- Hm? - mruknęła Favor, której uwaga rozproszyła się pod wpływem pieszczoty.

216

- Czy to jest człowiek, o którym mówiłaś?

- Hm...? Tak. Tak! To, mój chłopcze, lord Carr.

Cofnął się w kpiącym przestרחu.

- Nie mów! Szatański Księżę we własnej osobie? A gdzie ogon? Rogi?

- Kto by zobaczył rogi pod tymi wstrętnymi fioletowymi włosami? - mruknęła Favor, pobudzając Rafe'a do śmiechu.

Spojrzała na niego surowo. - Tak. Zobaczymy, jak się będziesz bawić, kiedy Carr każe cię stąd wywlec i wychłostać, aż na plecach zostaną strzępki skóry.

Uśmiechnął się.

- Zmartwiłabyś się?

Poczuła, że się czerwieni i odwróciła oczy.

- Nie.

- Właśnie, że tak.

Usłyszała czułość w jego głosie i nie mogła zaprzeczyć.

- Tak.

Przycisnął jej rękę, a ona pochyliła się ku niemu, powodowana potrzebą, żeby być bliżej, dużo bliżej, niż pozwalało na to aż za bardzo publiczne miejsce. To pragnienie wzmagala świadomość, że ma niewiele czasu.

Carr zamierzał się jej oświadczyć. Możliwe, że dzisiejszej nocy, a jeśli nie, to wkrótce. Już niemal to zrobił. Dokądkolwiek się udał, niedługo wróci, oczekując, że będzie mu nadskakiwać.

Podobnie jak Muira.

Nie może tu być, kiedy on wróci. Zerknęła na Rafe'a. Pogodna mina złagodziła jego ostre rysy. Jej oświadczenie spodoba

ło mu się, ponieważ, jak nagle zrozumiała, zależało mu na niej.

Czuła to w głębi duszy, czuła tę prawdę równie pewnie, jak wiedziała...

- Kocham *cię*.

Zatrzymał się na środku sali, w połowie figury. Wziął ją za ramiona, odwracając twarzą do siebie. Patrzył na nią ze ściągniętymi w skupieniu brwiami, badając jej twarz.

Inne pary wokół, wytrącone z tanecznego układu, kręciły się z wahaniem, po czym się rozdzieliły, przepływając po obu stronach, zostawiając ich na wyspie pośrodku rzeki lśniącej satyny.

- Co?

- Kocham cię, Rafe. Wiedziałeś o tym, prawda? - powiedzia

ła zwyczajnie.

- Nie - odparł słabym głosem. - Nie wiedziałem.

Spojrzał w górę, jakby się spodziewał, że z nieba spłynie na niego natchnienie. Pociągnęła go lekko za ramię; skupili już na sobie za wiele uwagi. Rafe wrócił do tańca jak lunatyk, nie mogąc utrzymać rytmu, stawiając kroki mechanicznie, bez wdzięku.

Favor dostrzegła wściekłą minę Muiry; jej morderczy wzrok mógłby zabić każdego na bliższą odległość. Favor nie zamierzała pozwolić jej podejść do siebie przez cały wieczór.

Spojrzała na Rafe'a. Nadal wydawał się oszołomiony. Powinna chyba czuć się jak uliczna dziewczka, zachowując się tak śmiało.

Nie czuła się tak. Została jej jedna noc. Ta noc.

Dla niej i dla Rafe'a nie będzie szczęśliwego zakończenia. On był złodziejem i zbiegłym więźniem, bez rodziny, przyszłości, ani nawet, jak podejrzewała wbrew jego zaprzeczeniom, nazwiska.

Nie to, żeby miał jej czego zazdrościć.

Ona miała rodzinę... klan, wobec którego zaciągnęła dług i który mogła spłacić tylko w jeden sposób. Miała nazwisko...

dzięki któremu przeszłość trzymała ją na uwięzi równie skutecznie, jak kajdany Rafe'a przykuwały go do ściany w więzieniu.

Miała też przyszłość... jako lady Carr.

Była to winna klanowi. Ale Carrowi nie była nic winna.

Włącznie z przywilejem pozbawienia jej dziewictwa. Ten dar chciała złożyć na ołtarzu miłości, nie poświęcenia. Dla Rafe'a.

- Chodźmy stąd - szepnęła.

- Co? - Kochany, zuchwały, zmieszany Rafe.

- Chcę być z tobą sama. Ale jeśli moja ciotka przejdzie przez salę balową, a właśnie teraz tu zmierza, gwarantuję, że będzie mnie trzymała przy sobie przez resztę wieczoru. - Rzucił okiem 218

we wskazanym przez nią kierunku. Muira wdarła się w tłum go

ści otaczających pierścieniem parkiet. Szła zdecydowanym krokiem, z marsową miną. - Nie tylko nie da nam tańczyć razem, ale też nie zdołamy zamienić na osobności ani jednego zdania.

Ta groźba poskutkowała. Nic już nie mówiąc, Rafe ujął Favor pod ramię, prowadząc w drugi koniec sali.

Muira przebiła sobie drogę łokciami w tłumie wystrojonych, puszących się gapiów, którzy odgradzali ją od parkietu. Pociła się obficie pod warstwami poduszek, które robiły z niej matronę -

panią Douglas. Pod pachami utworzyły się ciemne kręgi, czuła też, jak maź złożona z potu i pudru spływa z boku twarzy.

Do diabła z tą piekielną dziewczyną! Teraz musiała pójść poprawić makijaż, zanim uwidoczni się czerwona plama na policzku. Gdzie się podziała ta mała suka? Przed chwilą jeszcze sapała z podniecenia, gapiąc się na tego drągała, jakby zobaczyła samego Roberta Bruce'a. A on wlepił w *nią* gały jak wygłodniały wilk w owcę...

Przebiegła wzrokiem parkiet. Wystarczyło parę minut, żeby się zorientować, że ich nie ma. Muira, wściekła, zaczęła krążyć wokół sali, ale zrobiło się tak tłoczno, że wkrótce nic już nie widziała.

Nie miała wyboru, musiała się poddać. Nikt nie znał Rumieńca Ladacznicy lepiej od niej, ale zamek był ogromny, i dobrze wiedziała, iż nie brakowało miejsc, w których można by się ukryć. Carr miał się niedługo pojawić. Nie mogła ryzykować, zostawiając Favor samą z Carrem. Nie ufała dziewczynie, bała się, że zaprzepaści wszystko.

Nie. Musi poczekać i gryźć się w język. Jeśli Carr zapyta o Favor, wymyśli jakąś możliwą do przyjęcia wymówkę. Zbyt wiele lat spędziła, podczas których głodowała i marzła, spiskowała, snuła plany, zebrała i kradła, aby tu się dostać, w tym właśnie momencie. Wszystko dla dobra klanu. Dla

McClairénów.

Ajutro sprawi, żeby Favor McClairén zrozumiała, co to znaczy.

219

- Nawet mnie nie znasz - powiedział Raine. Objął lekko jej ramiona, opierając się plecami o przykrytą kilimem ścianę. Znajdowali się w jednym z pomieszczeń przylegających do dawnych komnat Lizabet McClairén, pierwszej pani tego zamku.

Favor dotknęła jego twarzy.

- Znam cię.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Była młoda i poznała go w środowisku drapieżników. Jasne, iż wyobrażała sobie, że go kocha.

- Jestem, umieram z nadziei, o której wiem, że jest beznadziejna, zaszczycony twoimi słowami.

Łagodne otrzeźwienie, jakie spodziewał się osiągnąć, nie nastąpiło. Uśmiechnęła się czule.

- No, ja myślę. Nie oddaję serca tak łatwo. - Opuszką palca przesunęła po jego dolnej wardze. - Cha, masz piękne usta.

- Przestań! - Z głosu przebijała panika, którą rzeczywiście go ogarniała. - Mylisz się. Jak możesz dać złodziejowi, szantażyście, człowiekowi, któremu nie ufasz, i masz, przyznaję, absolutną rację, swoją miłość?

- Gdybym miała wybór, posłuchałabym może twojej mądrej rady - mruknęła - ale moje serce, jakże niewdziecznie, nie pytało mnie o zdanie. Pokochało, nie pytając najpierw o radę.

- Mówisz tak pięknie, pragnąłbym cię słuchać bez końca.

Dałbym wszystko, żeby móc uwierzyć w te słodkie słowa.

Nie odważył się poruszyć. Przesunęła dłoń po jego podbródku, obrysowując szczękę. Przykryła ręką puls bijący u nasady szyi.

- Tak myślisz? To dzięki tobie stałam się poetką. Dziękuję również Stwórcy, który obdarzył mnie takim zręcznym językiem.

Muszę jednak odwzajemnić komplement, bo, po prawdzie, twój własny język, panie, zna słodkie sztuczki, których pragnę się nauczyć. - Drugą ręką rozpiniała stary perski kubrak i rozwiązywała tasiemki przy jego koszuli. - Jak mam cię skłonić, żebyś się po-220

dzielił swoimi sekretami? Wyrecytowałabym ci więcej poezji, ale, panie - szepnęła - tęsknota odbiera mi oddech.

Jęknął. Zamknął oczy. Wsunęła dłoń pod koszulę, gładząc jego nagą pierś.

Tego było za wiele.

Z gardłowym pomrukiem objął ją w pól, uniósł lekko, wię

ząc pomiędzy ścianą a swoim ciałem. W namiętnym pocałunku wsunął język między jej wargi, szukając i znajdując słodkie, ciepłe wnętrze, a także - błogosławiony dar! - jej własny, gorliwy język.

Niczego mu nie odmawiała, ani słowem, ani gestem. Zsunął

suknię z jej ramienia, obnażając jedną pierś. Delikatnie objął dłonią jędrną białą wypukłość. Westchnęła obezwładniona przyjemnością, przyciskając nabrzmiąły sutek do jego palców.

Wyglodniały, zdesperowany i oszołomiony jej podnieceniem, schylił głowę, przesuując językiem po jedwabistej brunatnej aureoli. Ręce Favor ożyły na jego ramionach, wpijając się mocno w mięśnie. Drżała, gdy wędrował językiem po jej ciele. Ssał chciwie, wsunął rękę pod jej pośladek. Sztywny, gruby materiał sukni zwinął się w jego pięści. Poczul na ramionach delikatne muśnięcie koronek. Pod dłoń wsunęło się gładkie udo.

- Tak- szepnęła zachwycona, przymykając oczy.- Proszę.

Tak.

- Tak - powtórzył;" wargi prześlizgnęły się na zewnętrzny łuk piersi. Pławił się w jej ciepłe.

- Och! Proszę. Nie przestawaj - poprosiła, kiedy zwolnił

tempo, a on, pokorny sługa i władca zarazem, chętnie na to przystał.

Podwinął Favor suknię powyżej bioder, wciągając gwałtownie powietrze, kiedy poczul ciepło *mons Veneris*. Od jej nagości oddzielał go tylko cienki materiał spodni. Wtulił się w nią instynktownie.

Rozchyliła usta, ukazując podniecająco nierówne przednie zęby. Poruszył biodrami i rozsunęła uda.

221

- Kochaj się ze mną - powiedziała.

Kochaj. Dobry Boże. Tak, chciał się z nią kochać, dać jej trochę fizycznej przyjemności, którą ten akt mógł wywołać, a czyniąc to, znaleźć dla siebie to głębsze... coś, w istnienie czego miał

nagle powód uwierzyć.

Chciał skupić myśli, ale nie mógł, nie wtedy, kiedy czuł ciepło i wilgoć jej ciała, widział namiętność w oczach. Oderwał od niej usta. Pisnęła, protestując. Ujął delikatnie jej brodę. Oparł czoło o ścianę

tuż obok niej. Uniosła jego wolną rękę i pocałowała.

- Pragnę cię. - Śpiew syreny. Nie wiedziała, o co prosi.

Kiedyś, dekadę wcześniej, uratowała mu życie. Nigdy więcej nie stanie się przyczyną jej udręki czy poczucia winy. Nie mógł wziąć tej dziewczyny, ryzykując jej przyszłość. Mimo że nie przywiązywał większej wagi do dziewictwa, większość mężczyzn myślała inaczej. A Favor, jeśli mówiła prawdę, nie miała przyszłemu mężowi nic więcej do zaoferowania, poza pewnością ojcostwa jej dziecka. Sama mu kiedyś powiedziała, że to jej jedyne bogactwo.

Co za ironia losu! Gdyby tylko znalazł te przeklęte klejnoty.

Gdyby ona nie nazywała się McClairen. Gdyby tylko kazała mu przestać...

Nie zrobiła tego. Gryzła delikatnie poduszcзки u nasadyjego palców, potem zaczęła ssać kostki kciuka

- Masz prześliczne ręce. Chcę się dowiedzieć, jakiej sztuki mogą dokonać na moim ciele.

Dobre intencje się ulotniły. Dłoń, która dotykała brody, już pozwalała sobie na pieszczotę.

- Nie chcesz tego. To nie doprowadzi do żadnego dobrego związku, Favor - wychrypiał. - Nie mam nic. Nic, co mógłbym ci ofiarować.

- Masz nazwisko - wyszeptała trwożnie i z wahaniem.

Boże, tak. Nazwisko.

- Zapewniam cię, że moje nazwisko nie byłoby dla ciebie rekomendacją.

222

Odpowiedziała natychmiast.

- Nie dbam o to.

- A ja tak! Do diabła, myślisz, że nie chcę mieć cię pod sobą, przy sobie? - powiedział z wysiłkiem. - Chcę pić twój oddech, chcę, żebyś krzyczała z rozkoszy. Chcę cię mieć. Teraz. Tutaj.

- Tak! - Przesunęła smukłym udem po jego nodze, otaczając biodra. Przyłgnęła do niego. Zawładnęła nim, pozbawiając resztek silnej woli.

- *Nie możesz*. Nie możemy. - Oddychał ciężko. Nie był

w stanie walczyć z pragnieniem.

Odsunęła się nieco od niego i rozdarła mu koszulę. Nie tłumila w sobie pożądania. Zaczęła od szyi,

przesuwała palcami po piersi, rozczesując miękkie włosy, aż zeszła poniżej gęstego V

w dolnej części jego ciała. Wstrzymał oddech.

Zacisnęła dłoń na jego męskości. Szarpnął się pod tym dotykiem. Jęknął chrapliwie, podniecony pieszczotą, tłumiąc pragnienie jej odwzajemnienia.

- Jesteś dziewicą - powiedział zdławionym głosem. Stanie bez ruchu, walka o odzyskanie kontroli nad sobą, były aktem masochizmu.

Dłoń zamknięta w jedwabistą pięść przesunęła się w dół. Poczul, jak oblewa go pot. Drżał. Odchyliła się do tyłu. Nie zwalniając uścisku, szepnęła:

- Nie, nie jestem.

Już nie był w stanie się opierać.

To nie powinno sprawiać różnicy. Nadal nie mógł jej nic dać, żadnej przyszłości, nazwiska. Skoro nie miał nic, żeby ofiarować tej dziewczynie, nie mógł przynajmniej wyrządzić jej krzywdy, odbierając dziewictwo.

- Proszę. - Poruszała biodrami w rytmie, który zabijał wszelką myśl. Przyciągnęła do siebie jego głowę, rozchylając usta w oczekiwaniu. Ogarnęła go mocno ramieniem - zdecydowana i silna.

223

Przestał się silić na rycerskość. Jednym ruchem usunął materiał z nabrzmiałej męskości. Wsunął rękę między jej uda, badając palcem śliską szczelinę.

Zaszlochała cicho - z rozkoszy? bólu? Czuł na szyi oddech.

Odnalazł małą wypukłość pomiędzy fałdami w dole jej brzucha.

Gładził ją energicznie. Favor zaczęła gwałtownie wciągać powietrze.

- Mały sokoliku - szepnął nagle. - Pozwól mi dać sobie rozkosz. Pozwól, że ci to pokażę.

Poruszała rytmicznie biodrami, odrzuciła głowę do tyłu, napięła ramiona.

Zlizał słoną wilgoć z nasady jej szyi. Czuł, że jest na granicy wybuchu. Powstrzymywała go tylko chęć zobaczenia, jak prze

żywa szczyt rozkoszy. Chciał być świadomy każdej sekundy jej przeżyć i zachwycać się tym, że to on był sprawcą.

- Proszę! - zaszlochała.

- Tak. -Wsunął zręcznie dłoń pomiędzy jej uda. Oplotła mu biodra nogami. Wygięła się w łuk nad jego ramieniem, ze spódnicami zwiniętymi wysoko przy pasie, z nagimi piersiami w miękkim cieniu.

- Rafę!

Rafę, nie Raine. Nie chciał myśleć. Nie będzie myśleć. Będzie tylko odczuwać.

A potem przerywany oddech Favor przeszedł w krzyk, który załamał się, zamieniając w najsłodszy dźwięk, jaki słyszał w życiu.

Pchnął biodra ku jej rozpalonemu wnętrzu. Płytki oddech spełnienia zamienił się w krótki szloch. Była spięta. Objęła konwulsyjnie ramionami jego szyję.

- Moja -jęknął, poruszając się w przód.

Poruszała się również, nie w jego rytmie, ale tak, jakby chciała uniknąć głębszego kontaktu. Zawahał się.

- Tak - szepnęła.

Podłożył ręce pod jej uda, rozsuwając je szerzej i jednym długim pchnięciem dotarł do bariery. Jej dziewictwa. Zacisnął zęby, niemal wybuchając z pożądania. Zadrzał. Zmełł w ustach przekleństwo.

- Jesteś dziewicą! Czy tak?

Płakała.

- Jesteś?

- Tak!

Odsunął się od niej, nieświadom własnej niedelikatności, póki nie usłyszał, jak jęknęła z bólu. Spojrzał na nią. W lśniących oczach była rozpacz. Po policzkach spływały łzy. Przytulił ją do siebie.

Chciała tylko obdarować go swoim dziewictwem. Nie mógł się za to na nią gniewać. Mógł jednak wściekać się na wszystko inne.

Podniósł głowę, klnąc niebiosą i los wszelkimi przekleństwami i bluźnierstwami, jakie znał. Wyłby z wściekłości, gdyby się nie bał, że przestraszy dziewczynę jeszcze bardziej. Więc stał

tylko, syjąc w duchu gniewnymi słowami, głaszcząc jej głowę z największą czułością.

26

M uira wyskoczyła z powozu i szarpnęła Favor za ramię, wyciągając ją na zewnątrz. Dziewczyna potknęła się i upadła na kolana w błocie, brudząc szkarłatną spódnicę starej, góralskiej sukni.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, mrużąc oczy w jasnym, porannym słońcu, oszołomiona żalem i brakiem snu. Poprzedniej nocy, wracając do pokoju, zastała w holu Muirę. Starucha bez słowa chwyciła ją za ramię i pociągnęła korytarzem, nie zwracając uwagi na prośby Favor o wyjaśnienie, a także ciekawskie spojrzenia, które odprowadzały je na dziedziniec stajenny, gdzie Jamie czekał na koźle powozu Thomasa.

15 - Ostatni bal 2 2 5

Favor próbowała się opierać, ale Muira uderzyła ją w twarz wierzchem dłoni, oszłamiając brutalną siłą ciosu. Wepchnęła dziewczynę do powozu i weszła za nią, zatraskując drzwi. Uderzyła dłonią o sufit, dając Jamiemu sygnał do odjazdu.

Jechali prawie całą noc. Muira usadowiła się w kącie, mierząc Favor złym spojrzeniem. Ta, pełna goiyczy, nie czuła nawet zdziwienia, że tak szybko przeszła od namiętnych objęć i czułych słów Rafe'a do tego zimnego, cichego powozu, który powiózł ją w nieznane.

- Gdzie jesteśmy?-powtórzyła Favor.

- Nie wiesz? - Muira złapała Favor za włosy, szarpiąc jej głowę do góry. - Rozejrzyj się!

- Muira, uważaj. To tylko dziewczyna... - odezwał się Jamie z dachu powozu.

Starucha obróciła się gwałtownie, potrącając ramię Favor.

- Dziewczyna, co? - syknęła. - Cóż, ta dziewczyna naraziła na niebezpieczeństwo wszystko, na co pracowaliśmy, nie szczędząc sił, bo zachciało jej się parzyć z jakimś angielskim psem!

Na szorstkiej twarzy Jamiego pojawił się wyraz bolesnego zaskoczenia.

- Nie taka z niej nowi ej uszka, jak sobie wyobrażałeś, nieprawdaż, Jamie?

Jamie odwrócił głowę, utkwivszy spojrzenie w linii horyzon-

^.

- To nie było tak - szepnęła Favor.

- Nie było jak? - rzuciła się na nią Muira. - A zatem nie był

taki dobry, dziewczyno? Nie rozłożył ci nóg i nie zmusił do krzyku?

Favor zagryzła wargi. Nie rozpłacze się. Nie przy tej kobiecie.

Bez względu na to, jak bardzo chciało jej się płakać - a Bóg jeden wie, że chciała się poddać i rozpłakać.

Przystając na plan Muiry, nie wiedziała, czego się pozbawia.

Teraz wiedziała. Wiedziała, co i kogo traci. I ta świadomość była nie do zniesienia.

226

- No? - powiedziała Muira. - Krzyczałaś, co? - "wskazała na coś za plecami Favor. - Oni krzyczeli.

Rzuciła to stwierdzenie tonem tak rzeczowym, tak zwyczajnym, że Favor nie od razu ją zrozumiała.

Mając poczucie, że to, co nieuniknione, musi się stać, rozejrzała się dookoła. W siekającej mżawce szkielek wieży wznosił się na tle ołowianego nieba. Dach znikł, zachodnia ściana się zawaliła, odsłaniając pokoje na drugim piętrze. Wewnątrz, poczernia

łe, gnijące belki opierały się o nagie ściany. Był to pokój, w którym matka Favor urodziła martwe dziecko, a potem, umierając, obarczyła córkę zadaniem, które zadecydowało o jej losie. Cichy szum deszczu nie zagłuszał słabego głosu matki.

„Zabiją moich synów! - Chwyła Favor za rękę. Jej uścisk był słaby, a skóra gorąca i sucha. - Musisz ich powstrzymać, Favor. Nie ma nikogo innego".

„Jak?"

„Nie wiem! - Głos matki brzmiał teraz dobitniej z podniecenia. - Ale musisz. Jeśli zabiją syna Carra, król nie zlituje się nad moimi synami. Zostaną wypatroszeni i powieszni przed końcem miesiąca. Nic nie pomogą błagania twojego ojca. Idź, Favor.

Powstrzymaj ich!"

Zrobiła to.

- Wiesz teraz, gdzie jesteś? - Z głosu Muiry znikła wściekłość, stał się niemal łagodny. Uwolniła ramię Favor, spacerując po błotnistym terenie z wyrazem zadziwienia na twarzy. - Tutaj umarł Cam McClairn - rzekła, wskazując miejsce ręką. - Ten tam wielki kamień, na nim rozbił sobie głowę, kiedy upadł od ciosu żołnierza.

Odwróciła się, powiewając spódnicami, z lekkością i zwinnością dziewczyny tańczącej na parkiecie.

- A tutaj mój Bobbie został zabity. Był najmłodszy, zawsze się potykał o własne nogi.

227

Uśmiechnęła się do Favor z dziwną poufałością, jakby były dwiema kobietami plotkującymi o słabostkach członków rodziny.

- Dostał ołowianą kulę w mózg. - Odęła wargi i skinęła głową. - Przynajmniej szybko poszło, nie tak jak z jego ojcem, który miał otwarty brzuch i umierał trzy dni.

Żołądek podszedł Favor do gardła; swobodny ton, z jakim Muira recytowała straszliwe zdarzenia,

których obie były świadkami, wspomnienie krzyków, zakłutych koni, krwawych plam widocznych w świetle pochodni, lśniącej bieli śniegu daleko, na zboczu góry, przyprawiał ją o mdłości.

Muira wróciła i otoczyła Favor ramieniem w pasie. Ciągnąc lekko, poprowadziła w stronę łukowatej bramy wieży.

- Widziałaś, kto padł, a kto nie? Kto odpłacił tym samym, co dostał? Zostałabym, żeby walczyć, ale jak tylko zobaczyliśmy czerwone kurtki, mężczyźni wepchnęli nas do rowu.

Przekrzywiła głowę.

- Nie widziałam za wiele. Ale ty... ty byłaś przez cały czas w samym środku, przyciśnięta do tego chłopaka, Merricka, jak pijawka. Zawsze chciałam wiedzieć, czy moi mężczyźni dobrze się sprawili. Jak było?

- Nie potrafię powiedzieć- szepnęła Favor; przed oczami przesuwały jej się obrazy krwawej jatki.

Muira pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Tak. Było ciemno, szybko się skończyło, a ty nie znałaś żadnego z tych mężczyzn, prawda?

Zatrzymała się tuż przed bramą. Favor zadrżała. Muira zdawała się tego nie dostrzegać; marszczyła czoło, usiłując coś sobie przypomnieć.

- Jamie? Czy to Russella tutaj ścięli? Boże, starzeję się, nie pamiętam, czy to był Russell, czy Gavin Fraser. Chyba Russell, czy tak?

- Tak! - odkrzyknął Jamie. - Russell.

Kobieta rozpromieniła się, wzdychając z ulgą.

228

- A więc nie zapomniałam - powiedziała, znowu pociągając Favor za sobą. - Jamie też tu był, wiedziałaś o tym? Jest taki duży, więc kazali mu pilnować zwierząt. Ale kiedy przyjechały czerwone kurtki, konie wpadły w panikę, zerwały się i stratowały Jamiego Craigga. Przyszedł do siebie parę dni później. W moim domu.

Kolana ugiwały się pod Favor. Buty zasysały błoto przy każdym kroku. Mgła zmoczyła odsłoniętą głowę, skraplała się na przemarzniętym ciele i skapywała z policzków.

- Mam to wszystko tutaj - wyznała Muira, dotykając ręką skroni. - Każdą chwilę. Każdy krzyk. To przepaliło sobie drogę do mojego mózgu jak kwas, więc wszystko, co widzę, widzę przez obrazy tamtej nocy. Jak cień na moich myślach... - Głos jej zamarł.

Favor, która drżała, zaczęła się teraz trząść. Słyszała szczekanie swoich zębów. Zatrzymały się obie przy bramie.

- To właśnie tutaj stałaś. - Lekko popchnęła Favor, a sama się cofnęła. -Ja stałam... tak. Dokładnie tu. Wyobraź to sobie, Favor.

Przez parę minut dziewięć lat temu byłam koło ciebie... i niego.

A potem, kiedy go zabrali, zostawiając cię tutaj bosą i zziębniętą, w nocnej koszuli mokrej od krwi, mogłam zabrać swoich rannych i odejść, nie oglądając się na ciebie.

Jej uśmiech stał się teraz krzywy, brzydki.

- Zrobiłabym to, gdybym wiedziała, że zdradzisz nas po raz drugi.

Zbierało jej się na wymioty. W głowie czuła zamęt, nogi jej się plątały. Nie chciała tam być. Nigdy nie chciała tam wracać. Tutaj był tylko strach, potworny strach, brudne, śliskie od krwi ciało chłopca, wrzaski mężczyzn, smród prochu i... i delikatny, litościwy dotyk ust gwałciciela na czubku jej głowy-jedynе źródło pociechy tamtej nocy, otrzymane od wroga, które jednak chętnie przyjęła, nigdy nie mając sobie tego wybaczyć.

Objęła się ramionami w pasie, ściskając mocno, bojąc się, że inaczej rozpęknie się na milion kawałków, wpadając w czarną, pochłaniającą wszystko przepaść.

- Widzisz to teraz znowu, prawda, Favor? - zapytała łagodnie Muira. - Tak, tak myślałam. Nie sądziłam, żeby ktokolwiek, kto to pamięta, mógł nas zawieść.

Skinęła głową, otępiała.

- Siedemnastu mężczyzn i chłopców z klanu McClairenów umarło tamtej nocy. Tych, którzy nie zginęli, poskładałam do kupy.

Dwaj umarli później. Tyle wynikało z ratowania gwałciciela, Favor.

- Muira! - zawołał nagle Jamie. W tym okrzyku był jakiś smutek czy żal.

Oczy kobiety straciły łagodny wyraz.

- Cicho bądź, Jamie! Uratowała życie gwałcicielowi i dziewiętnastu zginęło z tego powodu.

Starucha zwróciła się z powrotem do Favor, z twarzą wyrażającą gniew i zdecydowanie.

- Dziewięciu mężczyzn, którzy przeżyli, pracowało równie ciężko jak ja nad przywróceniem klanowi dawnej świetności. Są szmuglerami i złodziejami, wyrobnikami i służącymi, walczą o to, żeby zarobić nie tylko na rodziny tych, którzy zginęli, ale także dla ciebie. Żebyś została lady Carr i zwróciła nam zamek i ziemię. Stąd brały się pieniądze na klasztor, ubrania i klejnoty, Favor. Oto, kogo zdradziłaś.

- Nie! - krzyknęła dziewczyna słabym głosem. Jak mogła zapomnieć? Jak mogła choć przez chwilę ryzykować to, na co tak ciężko pracowali?

- Jesteś gotowa zostać żoną Carra?

Favor skinęła głową w milczeniu.

Raine przemierzał puste pokoje i ciemne korytarze jak zwierzę wpuszczone na cmentarz. Favor nie przyszła do niego ani wczoraj, ani dzisiaj. Zeszłego wieczoru czekał wysoko nad salą balową, aż się pojawi. Takich uczuć, jakie teraz go przepęlnia

ły, nigdy przedtem nie doznawał. Serce mu łomotało, brakowało mu powietrza.

230

Uświadomił sobie, że się boi. Tego, że ona żałuje. Wszystkiego. Słów, namiętności... miłości. Potem jednak weszła na salę u boku Carra, zwisając z jego ramienia jak inwalidka. Iwarz mia

ła kredowobiałą, krok niepewny.

Inny strach zaćmił poprzedni. Czy była chora? Ta myśl dręczyła go, dopóki w końcu, późno w nocy, nie poszedł do jej pokoju. Nie zastał jej, a przebiegająca służąca poinformowała go, że dziewczyna śpi w pokoju opiekunki.

Wypatrywał jej cały dzień. W południe zobaczył, jak ciotka wyprowadzają z oranżerii. Poruszała się znów niepewnym krokiem.

Teraz było późne popołudnie. Jeśli z nią nie pomówi i nie dowie się, czy rzeczywiście jest chora, a jeśli tak, to na *co* i czy poważnie, to zwariuje. Już wariował. Zawsze źle znosił czekanie.

Nie zastanawiając się dłużej, poszedł do pokoju, w którym spał i złapał kubrak leżący na stole, gdzie go rzucił. Włożył go i ruszył pustym korytarzem do drzwi wieży. Stamtąd wszedł spiralnymi schodami na główny poziom i otworzył drzwi prowadzące *do północnego skrzydła*.

Niewielu ludzi znajdowało się w wielkim salonie. Kilku podstarzałych *roues* uprawiało hazard przy stoliku przykrytym zieloną materią, podczas gdy lpkaj pilnował karafki stojącej na podłodze obok nich. Kobieta w otoczeniu falangi dżentelmenów stała przy wielkim oknie, wyglądając na taras poniżej.

To była jego siostra, Fia. Żałował, że nie znał jej lepiej w dzieciństwie. Ale Carr zawsze trzymał małą księżniczkę z dala od braci, a kiedy się z nią spotykali, rzadko się odzywała, tylko przyglądała im się uważnie, tak jak teraz. Czy też może był to wyraz smutku?

Lekki grymas poruszył jej usta; zerknęła przez okno, a potem ruszyła ku niemu. Mężczyźni u jej boku poszli za nią, lecz ona nakazała im zostać. Raine patrzył, jak się zbliża.

231

- Ach, panie...? - Czekwała. Nie poruszył się. - Pan Tajemniczy. - Uśmiechnęła się. — Ale już nie tajemniczy pan panny Donnę, hę?

- Nie rozumiem - odparł. - Czy wiesz, milady, gdzie jest panna Donnę?

- Och, tak. Wiem, w istocie — powiedziała, otwierając jednym ruchem wachlarz z perłową rączką, wiszący przy nadgarstku. - Najpierw jednak, nie jesteś ciekaw, dlaczego mówię, że już nie jesteś panną Donnę... cóż, czymkolwiek, jak mi się wydaje?

- Niespecjalnie. Nie lubię gier słownych.

- Och, tak. Przypominam sobie. - Dostrzegła przestrach w spojrzeniu Raine'a i dołeczki na jej policzkach się pogłębiły.

- Z naszego poprzedniego spotkania. Otóż, panie, ja lubię gry.

Wyostrożają umysł.

- Panno Fio, jestem pewien, że nikt nie zdoła cię przewyższyć w grze. A teraz proszę...

- Nie jesteś już dla panny Donnę nikim, ponieważ - przerwała mu Fia, pochylając się i podnosząc wachlarz, żeby ukryć to, co zamierzała powiedzieć - teraz ona jest kimś dla kogoś innego. Kogoś, kto byłby bardzo niezadowolony, odkrywając, że miała już kogoś przed nim. - Jej uśmiech był miękki jak masło i niewinny.

Popatrzył na nią, przejęty grozą.

- Kto to jest? - zapytał.

- Cóż, mój ojciec. - Jej głos stał się nagle beznamiętny. -

Lord Carr.

Nie. Nie mogłaby. Nie mógłby. Nie.

To słowo dzwięczało w jego głowie, sercu. Sprzeciwiał się temu całym sobą. Nie. Nie. Nie.

- Fascynująca osoba, panna Donnę - ciągnęła Fia - w tej

że chwili pozostaje w towarzystwie kwaterki dzinu albo świętuje swoje rychłe zaręczyny... albo stara się pocieszyć.

- Gdzie ona jest?

- Jest na dole, na tarasie... - Odszedł, więc nie było sensu udzielania dalszych wskazówek. Leciutki uśmiezek znikł z twarzy Fii. - ...bracie.

- Dzisiaj możesz spakować kufer z moimi ubraniami, Gunno. Wyjadę jutro do Londynu.

Gunna, która pomagała Fii zdjąć suknię, stanęła, opuściwszy ręce.

- Nie wiedziałam, że plany twojego ojca tak szybko dojrzały

- powiedziała zdumiona. - Ale jak on może wyjeżdżać tak nagle?

Tyle jest do zrobienia.

- Carr nic nie wie o moim wyjeździe- odparła Fia obojętnie. - Zamieszkać z lady i lordem "wente'ami. Byli na tyle uprzejmi, że zaprosili mnie do swego domu. I mogę tam przebywać, jak długo zechcę.

Rozwiązała wstążki przy talii. Obręcze spódnicy spadły na podłogę. Wystąpiła z nich z wdziękiem.

- Oczywiście - mówiła dalej - dobrze udokumentowane zadłużenie lorda Wentę'a wobec Tunbridge'a, obawiam się, w większym stopniu wpłynęło na to uprzejme zaproszenie niż mój własny, nieodparty czar i wdzięk. Jakkolwiek by było, zamierzam skorzystać z ich oferty. Przynajmniej dopóki nie zapewnię sobie jakiegoś własnego lokum. Wtedy po ciebie przyślę, Gunno.

Z jej twarzy ustąpił chłód, a wyraz pewnej czułości złagodził

zimne lśnienie oczu.

- Obiecuję, to nie będzie trwało długo.

- Nie rozumiem - rzekła Gunna, rozwiązując drżącymi palcami gorset Fii. - Twój własny dom? Jesteś dziewczyną, nie kobietą, Fio.

- Och, Gunno - odparła Fia. - Nigdy nie byłam „dziewczyną" i dobrze o tym wiesz.

- Ale to niemożliwe! Nie możesz mieć własnego domu.

Carr będzie nalegał, żebyś z nim mieszkała. Nigdy nie pozwoli na nic innego. Ja... - Zawahała się, marszcząc ze zmartwienia 233

odsłoniętą część twarzy. - Nie wiem nawet, czy pozwoli mi pojechać do Londynu.

Z twarzy Fii znikła łagodność, zastąpił ją chłodny spokój.

- Dam sobie radę z Carrem, Gunno. Dam sobie radę ze wszystkim: domem, pieniędzmi, twoim przyjazdem.

Gunna nie miała wyboru, jak tylko jej uwierzyć. Fia nigdy nie złożyła pustej obietnicy w swoim życiu.

- Ale dlaczego? Dlaczego teraz? Dlaczego nie poczekaasz?

Znów cień pojawił się na gładkiej, sztucznej, zachwycającej twarzy Fii, nadając jej wyraz nieskończonego smutku.

- Ponieważ jestem śmiertelnie zmęczona tragediami i nie chcę zostać, żeby stać się świadkiem tej, która się teraz rozgrywa.

Xavor owinęła gruby wełniany koc wokół nóg. Nadąsana i nie bez satysfakcji obserwowała chmury burzowe zbierające się nad wieżyczkami zamku. Nie sądziła, aby była w stanie przetrwać jasny, słoneczny dzień.

Wezwała służącego i wskazała pusty kieliszek na żeliwnym stoliku obok. Lokaj uzupełnił zawartość, dolewając z butelki, która również stała na stoliku, skłonił się i odszedł. Favor pociągnęła długi łyk, zanim odstawiła niepewnie kieliszek.

Na dziedzińcu, który przygotowano na wieczorną ucztę, jeśli pogoda okazałaby się sprzyjająca, było zaledwie parę osób. Mia

ła wrażenie, że zamek szybko się wyludniał. Gdziekolwiek spojrzeć, ludzie opuszczali to nieszczęsne miejsce. Bóg z nimi.

Ci, którzy zostali, siedzieli w małych grupkach przy stolikach, grzejąc dłonie przy porcelanowych filiżankach z kawą czy herbatą, podczas gdy Favor walczyła z chłodem za pomocą mocniejszego napoju. Siedziała sama, przy nieco odsuniętym

stole, z wyrazem twarzy, który zniechęcał tych, którzy ewentualnie mogliby się dosiąść.

Tego chciała. Upijanie się, uznała Favor, to zajęcie, któremu należy się oddawać w pojedynkę. Podniosła kieliszek jeszcze raz, wychyliła jednym haustem i skrzywiła się, przełykając.

- To pomaga?

Favor zamknęła oczy, czując, że ogarnia ją rozpacz. Oczywiście, że przyszedł. Jak mógłby się trzymać z daleka? Jak choć przez chwilę mogła myśleć, że zdrowy rozsądek ma jakikolwiek wpływ na niego i że jest w stanie uświadomić sobie ryzyko, które podejmuje?

- Odejdź - mruknęła, nie patrząc na niego.

- Pytałem, czy to pomaga. - Jego głos był niski i wibrowała w nim wściekłość, taka, jak przed dwoma dniami, kiedy odkrył

jej dziewictwo. Wtedy jednak tulił ją, jakby była najcenniejszym skarbem. Kochał się z nią. Tego nie zapomni. Z zimnego, ciemnego miejsca w głębi serca, gdzie te myśl ukryła, usiłowała się wyzwolić tęsknota.

Zaciskała powieki, nie chcąc się rozplakać. Wbiła paznokcie w dłonie. Skupi się na tym bólu - ale jak, skoro ten drugi tak nagle zagłuszył wszystko inne? Musi go po prostu odesłać. Nie wylała łez przy Muirze, nie wyleje ich i teraz.

Czekał. Zbierała siły. Była zręczną kłamczucha. Najlepszą, jaka kiedykolwiek opuściła klasztor Sacre Coeur. Otworzyła oczy. Górował nad stołem, z zaciśniętymi pięściami opartymi na stole po jej

obu bokach. Stopy rozstawił szeroko, jakby gotował

się do walki.

- Pomaga w czym? - zapytała, przelotnie rejestrując każdy rys ukochanej twarzy - bursztynowe oczy, pokrytą zarostem szczękę, włosy - zapisując gorączkowo każde wrażenie, tak żeby zachować ten obraz na zawsze.

Nie martwiła się, że zapomni dotyku Rafę'a. Siła jego palców, ciepło ust, pocałunek, wyszeptane słowa, stały się teraz jej częścią. Nie zapomni ich tak samo, jak nie zapomni, jak się oddycha.

235

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

- Czy to prawda? - zapytał w końcu.

Zaczęła się trząść. Nie drżała, odkąd Muira przywiozła ją z wieży, mimo że bardzo zmarzła, tak zmarzła, że wątpiła, iż kiedykolwiek zdoła się ogrzać.

- Czy co jest prawdą? - zapytała słabym głosem, otumaniona dżinem. Ach, prawda. Dżin. Obiecana pustka. Złapała kieliszek i podniosła go do ust. Chwycił ją za nadgarstek, wciskając go w stół. Płyn rozlał się po płóciennym obrusie.

Próbowała się uwolnić. Wokół nich umilkły odgłosy cichych rozmów. Zaczęli przyciągać uwagę.

- Przestań! - szepnęła ochryple. - Lokaj zaraz się na ciebie rzuci, jeśli będziesz dalej tak się zachowywać.

Uśmiechnął się ponuro.

- Niech tak będzie.

- Nie, błagam. Odkryją cię. Odejdź. Proszę.

- Nie odejdę, dopóki mi nie powiesz, czy to prawda - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Zamierzasz poślubić Carra?

- Jakie to ma znaczenie, kogo poślubię? - odparła cicho, z udręką. - Wiedziałeś, że poluję na majątek. Jakie trofeum może być większe od Carra? Kto jest bogatszy?

- Mały głuptasie - powiedział z płonącymi oczami. - Nie wiesz, co robisz. Nie możesz wiedzieć.

- A dlaczego nagle tak ci się nie podoba, że wychodzę za mąż? - W jej głosie było dużo goryczy. - Pamiętasz? Nie masz nic do zaoferowania w zamian. Nawet nazwiska. Czy też powinnam przystać na twoje żądania, dać ci carte blanche i zostać twoją kochanką?

Pochylił się do przodu. Widziała, jak jego ramiona drżą od ledwie hamowanych emocji.

- Jeśli nie mam jeszcze zarezerwowanego miejsca w piekle, teraz z pewnością je zdobędę - powiedział niskim, pełnym napięcia głosem. - Ale na Boga, jeśli tego chcesz... jeśli to cię od niego odsunie... moja ręka należy do ciebie, madame.

236

Ręka, nie serce.

- Moja droga jest ustalona - powiedziała z rozpaczą. - Mam innych panów, którym muszę służyć.

Jego ogorzała twarz pobladła. Wyprostował się, wznosząc się nad nią jak wieża.

- Carr cię zniszczy.

Pokręciła głową.

- Poradzę sobie z Carrem. Widzisz, wychowano mnie, żebym dała sobie z nim radę.

- Głuptasie - zaczął, próbując się opanować. - Nie wiesz, w co się wdajesz. Jeśli nie będziesz miała mnie, weź jakiegoś innego drania. Przysięgam na Boga, chętnie oddałbym cię innemu, gdybym dzięki temu mógł cię przed tamtym uchronić.

- Nie będę miała innego.

- Próżność czy samobójstwo? - Patrzył oskarżycielsko; palce, zaciśnięte na krawędzi stołu, zbieleły.

- Nic z tego. Moja rodzina.

- Och, Favor - rzeki, przechodząc nagle na błagalny ton. - Nie słuchaj ich. Oddasz im przysługę, zwalnając ich od oczekiwań związanych z twoją osobą. Pozwól im zmierzyć się z własnym losem, nie obciążaj się ponad miarę. Nie możesz ciągle żyć ich życiem.

Popatrzyła na poplamione płótno, mokre od dzinu, w którym bezskutecznie szukała zapomnienia całe popołudnie.

- Mam dług, który muszę spłacić.

- Do diabła z twoim przeklętym długiem! - warknął.

Za późno. Już jest skazana. Podjęła ostatni wysiłek, żeby go przekonać.

- Jak mogłabym żyć, gdybym żądała od siebie mniej, niż ty żadasz od siebie?

Rąbnął pięścią w stół. Twarz mu poczerwieniała.

- Nie obchodzi mnie twoje poczucie moralności. To jest Carr. Człowiek, o którym wiadomo, że zabił

już trzy żony. Czyżbyś pragnęła zostać czwartą?

- Umrę...

237

- Masz diabelną rację.

- ...długo po ślubie. Przeżyję go. Jestem od niego dużo młodsza...

Rzucił się przez stół, łapiąc Favor za rękę i prawie ją na niego wciągając. Nie opierała się, nawet kiedy ich twarze znalazły się obok siebie.

- Jesteś małą dziewczynką - wysapał z trudem. - Głupią małą dziewczynką, wychowaną na romantycznych opowieściach o poświęcaniu się dla szczytnych i szlachetnych celów. Ale ty nie poświęcisz tylko swojej młodości, urody, odwagi, a... Do pioruna! Favor, ty poświęcisz życie! Umrzesz, kiedy Carrowi tak będzie wygodnie, i jedyną szczytną rzeczą w tym wszystkim będzie szczyt skały, z której cię zrzuci, tak jak m... swoją pierwszą żonę.

To, co mówił, przerażało Favor, burzyło jej system wartości.

Nie mogła do tego dopuścić. Zamknęła oczy, zmuszając się do powrotu do tamtej wieży, żeby zobaczyć okaleczone ciała członków swojego klanu i usłyszeć krzyki umierających.

Wychowano ją, przygotowując do jednego celu. I ona wykona zadanie, ale, święta Dziewico dopomóż, nie mogła dłużej znieść gorzkiego oskarżenia w oczach Rafe'a ani pogardy w jego głosie.

Był jej kochankiem. Zasługiwał na prawdę.

- Nazywam się Favor McClairen - powiedziała głucho. -

Książę Carr obrabował moją rodzinę z tej wyspy, tego zamku.

Ukradł nie tylko nasze bogactwo, ale i nasze dziedzictwo.

Patrzył na nią, wcale niezaskoczony ani zdumiony.

- Dlaczego właśnie ty masz je odzyskać?

- Ponieważ jestem odpowiedzialna za masakrę sprzed dziesięciu laty tych, którzy mogliby o nie walczyć.

- Nie. - Pokręcił głową.

- Syn Carra zgwałcił młodą mniszkę i został przyprowadzony do... ale ty wiesz, prawda? - zapytała. - Jeśli Ash Merrick opowiedział ci o czymś tak niepoważnym, jak skarb, z pewnością wyrecytował także ten fascynujący fragment rodzinnej historii.

Widzę, że mam rację. - Uśmiech zmienił się w grymas. - Cóż, Rafę, to ja byłam tą dziewczyną, która uratowała życie Raine'owi Merrickowi. Odwlokłam egzekucję na tyle długo, że Carr zdążył

napaść na mój klan z setką czerwonych kurtek.

Jego twarz była zacięta, nieprzenikniona.

- Nie możesz odplacić *martwym* swoim życiem.

- Płacę żywym - powiedziała zmęczonym głosem. - Wyjdę za Carra i zostawię go. Wrócę do Francji. Nie ośmieli się tam za mną pojechać. Będę czekać, aż umrze, a potem...

- A potem co? - Wyczuła w jego głosie szyderstwo.

- Potem Wyspa McClairenów wróci w posiadanie McClairenów. W Szkocji zona dziedziczy majątek męża.

Pokręcił głową, patrząc ponuro.

- Nie możesz być tak naiwna - szepnął. - Ktokolwiek cię do tego skłonił, nie może być taki naiwny. Będziesz czekać, aż Carr umrze?

- Tak właśnie zrobię. Tak się stanie.

Znów pokręcił głową z niedowierzaniem. Krew pulsowała mu w skroniach.

- Nie - powiedział twardo. - Nie dopuszczę do tego.

- Już za późno. - Wbiła wzrok w stół, jej głos przeszedł

w chrapliwy szept. - Carr oświadczył się dziś rano. Przyjęłam oświadczyny.

Znieruchomiał. Zamknęła oczy. Pogarda Rafę'a owiała ją jak coś fizycznego. Nie mogła mieć do niego pretensji. Dlatego siedziała tutaj z butelką dzinu. Dlatego wypłała prezent Carra - karafkę madery, zaprawioną niewątpliwie miksturą Muiry - podczas posiłku. Dlatego *zostanie* tutaj, pijąc, kiedy on odejdzie. Otworzyła oczy. Nadal stał przy niej.

- Zapytam cię o coś i, niech cię Bóg ma w swojej opiece, lepiej, żebyś odpowiedziała. Czy złożyliście oświadczenia? Byli tam świadkowie? Mów!

Wtedy zrozumiała. Myślał, że Carr nabrał ją na stary szkocki obyczaj składania oświadczeń i że byli już poślubieni.

239

- Czy tak?! - wrzasnął, potrząsając ciężkim żeliwnym stolikiem jak kawałkiem blachy.

- Co za różnica?

- Zapytam jeszcze raz albo cię uduszę, madame. Uważaj, bo nigdy nie miałem takiej ochoty zrobić komuś coś złego, jak w tej chwili.

- Zapewniam cię, że czuję tyle bólu, ile mógłbyś mi życzyć -

powiedziała cicho.

Skoczył do przodu i zatrzymał się raptownie, jakby przytrzymały go niewidzialne łańcuchy.

- Czy on złożył oświadczenie?

- Nie - odparła znużona. - Nie. Zrobiłabym to tak samo jak Carr, ale Muira, pani Douglas, nalegała, żeby znaleźć księdza. Powiedziała, że McClairenowie nie uznają małżeństwa za ważne, jeśli nie będzie usankcjonowane przez Kościół.

Podniosła na niego pełne smutku oczy.

- Czy to nie śmieszne? Nie widzisz, jakie to zabawne? Chcą, aby to małżeństwo zostało pobłogosławione, podczas gdy od samego początku jest przeklęte.

Rafę jęknął z rozpacz i gniewu.

- Nie możesz tego zmienić, Rafę - szepnęła. - Do Rumieńca Ladacznicy zmierza ksiądz właśnie w tej chwili, kiedy rozmawiamy.

Jego wściekłość wybuchła w ryku bólu. Złapał stół i cisnął

nim przez taras. Nie patrząc już na nią, wybiegł z dziedzińca, na którym hulał wiatr.

Gunna czekała na Raine'a, kiedy ten doszedł do pokoju, w którym spał.

- Mówią, że król nie żyje! - powitała go.

Nie odpowiedział. Minał ją i zaczął grzebać w stosie ubrań.

- Wszyscy wyjeżdżają z Rumieńca Ladacznicy. Wszyscy! -

ciągnęła Gunna. - Fia już wyjechała. W domu zamęt, służba bie-

ga, pakuje kufry, stajenni pracują na okrągło, żeby zaprzęgnąć właściwe konie do właściwych pojazdów.

Znalazł płaszcz i zarzucił sobie na ramię. Zatrzymał się na środku pokoju i rozejrzał za małą skórzaną sakiewką, zawierającą całe bogactwo, jakie posiadał, dziesięć złotych gwinei.

- A Carr myszkuje po zamku jak stary borsuk, warczy i triumfuje. Podczas gdy goście odjeżdżają, on

trzyma służących w wieży, żeby wypatrywali jakiegoś powozu!

- Tak. - Raine zrzucił śmiecie ze stołu. Nie było tam sakiewki. - Posłał po księdza.

- Dlaczego? - zapytała Gunna z zakłopotaniem widocznym na zniszczonej twarzy.

- Zęby udzielił ślubu jemu i pannie Donnę.

Usłyszał ostry gwizd, kiedy gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Tak. Nowa macocha dla mnie i dla Fii. Czy nie mamy szczęścia? - Wypatrzył sakiewkę na parapecie. Złapał ją, podrzucając do góry z drapieżnym uśmiechem.

- Och, Raine. Tak mi przykro - rzekła cicho Gunna.

- Niepotrzebnie. Marnujesz swoją litość. Ona nie poślubi Carra. Przysięgam.

- Ależ chłopcze, jak możesz ich powstrzymać?

Wsunął sakiewkę za pas i obrócił się, ujmując ją za ramiona.

- Wyjeżdżam na trochę, najwyżej na parę dni. Jeśli kiedyś miałaś dla mnie, Gunno, jakieś uczucia, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Tylko mnie nie zawieź.

Przyglądając się jego twarzy, zobaczyła coś, co spowodowało, że wstrzymała oddech w starych, chorych płucach.

- Oczywiście, Raine. Ale dokąd jedziesz?

Twarz mu spoważniała.

- Jest pewien stary dług, o który muszę się upomnieć.

16-Ostami bal 2 4 1

budź się!

Favor przewróciła się na bok, odpychając ręce, które ją ciągnęły. Zamrugała w ciemności jak sowa. Wciąż trwała noc. W ustach czuła watę i gorycz, w oczach sól od łez. W głowie jeszcze szumiał dzin.

Alkohol jej nie pomógł.

Pamiętała każdą niekończącą się chwilę po tym, jak Rafę odszedł. Nie może myśleć o Rafie. Wyjechał.

- Odejdź - wymamrotała.

- Nie! - Muira złapała ją mocno za ramię i zmusiła, żeby usiadła. Dźwięk pocieranego krzemienia poprzedził błysk płomienia. Zapaliła świecę. - Ksiądz tu jest. Weźmiesz ślub za godzinę.

Favor oprzytomniała, wrywając się z uścisku starej kobiety.

Przycupnęła na drugim końcu łóżka, omotana metrami pogniecionej i poplamionej satyny. Patrzyła na dziwaczne zwoje materii ogłupiałym wzrokiem, aż w końcu rozpoznała suknię z poprzedniego wieczoru. Kiedy wróciła, zwała się na łóżko, a żadna słu

żąca jej nie przebrała.

- Nie - mruknęła, przysuwając kolana do piersi. - Carr zaniemógł. Od wczoraj leży w łóżku. Jest tak chory, że nie zszedł

nawet na dół, żeby odprowadzić gości.

- Musiało mu się poprawić - stwierdziła Muira. Chwyciła Favor za kostkę, ściągając ją z łóżka. - Dał znać parę minut temu.

Znalazł księdza, ale on nie zostanie długo, boi się antypapistów w Rumieńcu Ladacznicy. Musisz wstać!

- Zatem jestem przeklęta - powiedziała Favor, a kiedy Muira jej nie puszczała, wyciągnęła rękę, odrywając palce tamtej od swojej kostki. - Zejdę. Powiedziałam, że za niego wyjdę i zrobię to, a teraz puszczaj.

242

- Głupia dziewczyno! Nie możesz się pokazać w takim stanie! Spójrz na siebie. Kazałam ci przygotować kąpiel. — Wskazała wannę stojącą na środku pokoju. - Wejdiesz tam i się umyjesz!

Favor uniosła ze złością górną wargę.

- Jeśli myślisz, że mnie odstawiś jak dziewczyną ofiarę, nie sprawię ci tej przyjemności, masz moje słowo. Prędzej pójdę ubrana na czarno.

Usta zniecierpliwionej starej kobiety wykrzywił grymas złości.

- Ach! Dobrze zatem. Carr i tak nie poślubia ciebie, on się żeni z Janet.

Stała, czekając, aż Favor zsunęła się z łóżka i stanęła na nogach. W głowie jej się kręciło. Zamknęła oczy, chcąc złagodzić ból w skroniach. Kiedy podniosła powieki, ujrzała własne odbicie w ciemnym lustrze na odległej ścianie.

Była blada jak duch, z zapadłymi, podkrążonymi oczami.

Włosy opadały jej grubymi, czarnymi, poziepianymi pasmami na ramiona, nadając twarzy wyraz dzikości. Patrzyła na siebie z zadowoleniem. Dobra narzeczona dla mordercy. Rozkazującym gestem kazała się Muirze prowadzić.

Mrucząc coś pod nosem, kobieta poprowadziła ją przez puste, mroczne hole i długie korytarze, w których nie cichło echo.

Rumieniec Ladaczniczy wydawał się opuszczony; mieszkańcy odpływali stałym strumieniem w ciągu ostatnich paru dni.

- Są tam, czekają- szepnęła Muira. - Przejrzę świadectwo ślubu. Schyl głowę, kiedy ksiądz ci każe i będzie po wszystkim. -

Otworzyła drzwi, wpuściła Favor i weszła za nią.

Pomieszczenie, małe i ciemne, nie wydawało się mieć konkretnego przeznaczenia. Płomienie nielicznych świec nie zdołały przegnać cieni z kątów. Przynajmniej nie kaplica, pomyślała Favor. Ksiądz, kiedy weszły, wstał z krzesła z twardym oparciem, niespokojnie patrząc w ich stronę. Obok księdza stał niski mężczyzna o nieodgadnionej twarzy. Prawdopodobnie świadek.

Favor się rozejrzała. Nikogo innego tam nie było. Z całą pewnością nie było Carra. Poczwała ulgę. Może istotnie był tak chory, 243

że nie mógł opuścić komnaty. Może przecenił swoje siły. Może nie przyjdzie. Serce Favor zabiło nadzieją.

- Gdzie jest Jego Lordowska Mość? - zapytała Muira słodkim głosikiem pani Douglas, tak bardzo różnym od jej własnego, że Favor przez chwilę nie wiedziała, kto się odezwał.

- Jego Lordowska Mość jest zbyt chory, żeby opuścić łóżko. - Niski człowieczek obok księdza wysunął się naprzód.

- Ach! - Muira wydała mimowolnie cichy, szybko stłumiony okrzyk.

- Ale - ciągnął *człowieczek* - Jego Lordowska Mość gorąco pragnie, w istocie, gorąco pragnie poślubić pannę Donne, a ponieważ kapłan - skierował kpiące spojrzenie na milczącego księdza - obawia się na długo pozostawiać swoje sanktuarium, lord Carr nalega, abyśmy nie zwlekali.

- Nie rozumiem - odezwała się ostrym tonem Muira, zapominając, wobec tak niespodziewanego obrotu sprawy, o swojej masce.

- Jeśli to wam odpowiada, chciałby aby ceremonia odbyła się per procura - ciągnął niski mężczyzna. - Ja go zastąpię. Nazywam się Rankle. Jestem pokojowcem Jego Lordowskiej Mości.

- Pokojowcem? To niesłychane - stwierdziła Muira. - Można by powiedzieć, że śmieszne. Wątpię, żeby takie małżeństwo była legalne czy - spojrzała na księdza - nawet ważne.

- Mogę zapewnić o jego ważności, madame - odparł spokojnie ksiądz - a co do zewnętrznego świata, to wiesz, że zwykłe oświadczenie przy świadkach wystarcza w Szkocji, aby małżeństwo zostało prawnie zawarte.

- Chcę zobaczyć świadectwo - oświadczyła Muira, wyciągając rękę.

Rankle podał jej bez słowa. Nachyliła papier w stronę płomienia świecy, podczas gdy Favor wstrzymywała oddech, modląc się, żeby znalazła jakąś nieprawidłowość, żeby dała jej kilka dni, podczas których - jeśli Bóg okaże litość - twarz Rafe'a zacznie blednąć w jej pamięci.

244

Muira podniosła głowę, uśmiechając się radośnie. Favor straciła wszelką nadzieję.

- Jest prawomocne i jasne jak dzień. Tak jest! - powiedziała Muira. Ujęła Favor za łokieć i pchnęła do przodu. - Mów swoje, księżo, i pilnie zważaj na odpowiedź oblubienicy.

Nie wiedziała, co utrzymuje ją w pozycji pionowej - uścisk Muiry czy własna wola. Triumf Muiry zabił w Favor resztki nadziei. Pokój rozplątywał się przed jej oczami, osoby, które w nim były, wyglądały karykaturalnie, stały się kukłami mamroczącymi niezrozumiałe kwestie w sztuce, niebudzącej jej zainteresowania. Patrzyła na płomienie świec, słyszała głos księdza przez szum w skroniach. Była jakby całkiem bezwolna, rozkojarzona. Odpowiadała słabym głosem, kiedy jej kazano, kiwając głową na znak zgody, podczas gdy w głębi duszy powtarzała jego imię jak zaklęcie przeciwko złym mocom: Rafe. Rafe. Rafe.

Kiedy ceremonia się skończyła, Rankle życzył jej wszystkiego dobrego i wsunął sakiewkę w wyciągniętą dłoń księdza. Muira, z oczami płonącymi triumfem, złożyła świadectwo i wetknęła je za gorset.

- Muszę jechać i pokazać to tym spośród klanu, którzy ocaleli.

- Nie odchodź - szepnęła Favor, zdając sobie sprawę, że doszła do kresu sił, skoro prosi Muirę o pomoc. Powinna wiedzieć, że żadnej nie otrzyma.

Muira chwyciła jej podbródek pomiędzy kciuk i palec wskazujący i potrząsnęła nim z upiorną wesołością.

- Nie bądź dziecinna. Wioska, w której mieszkają ostatni McClairenowie, znajduje się bliżej niż o pięć godzin jazdy. Nie ma powodu, żebyś poddawała się jakimś waporom, dziewczyno. - Pochyliła się blisko, szepcząc Favor do ucha. - Carr jest zbyt chory, żeby wypełnić powinność męża. - Uśmiechnęła się lekko. - Jeśli będziesz miała dużo szczęścia, umrze, i nigdy do tego nie dojdzie.

245

Favor patrzyła za starą kobietą, która wychodziła z pokoju, szeroko otwartymi oczami. Ksiądz ruszył za nią ze zmartwioną miną.

- Lady Carr. - Rankle skłonił się i również wyszedł.

Została sama.

Stała tak, dopóki jej wzrok nie skupił się na czarnym, błyszczącym od tłuszczu paśmie włosów na gorsie. Podniosła je z obrzydzeniem, jakby to było coś martwego.

Ufarbowała włosy, żeby oczarować Carra. Osiągnęła cel. Teraz chciała się tylko pozbyć tego paskudztwa. Rafę go nie znosił.

Musi to zmyć. Musi to zrobić.

Wróciła do swojego pokoju i rozebrała się, zrzucając ubranie na podłogę; ściągnęła także gorset, koszulę i halki. Naga, przelała trochę wody z wanny, którą kazała przynieść Muira, do mniejszej miski. Zanurzyła głowę.

Zaczęła powoli, używając kostki szorstkiego mydła, którym Muira posługiwała się, zmywając makijaż. Zdrętwiałymi palcami wcierała mydło głęboko we włosy. Woda pociemniała, a ona z rosnącym zapałem usiłowała pozbyć się farby. Tarła mocniej i szybciej, zanurzając palce w masę mokrych włosów, wytwarzając gęstą, szarą pianę.

Pragnienie przeszło w obsesję. Wylała brudną wodę na pod

łogę i stojąc w rozszerzającej się kałuży, napełniła miskę ponownie czystą wodą. Kilka razy umyła i wypłukała włosy, aż w końcu piana zrobiła się biała, a w wodzie nie było śladu farby. Dopiero wtedy, wyczerpana i drżąca, upadła na kolana, obejmując się ramionami w pasie i kołysząc w przód i w tył. Mimo że usunęła farbę z włosów, nadal nie czuła się czysta.

Ogarnęło ją ciepło. Powoli otworzyła oczy. Miękki blask wypełniał pokój. W końcu nastał świt.

- Favor, ukochana, obudź się.

Odwróciła głowę, pewna, że śni. Nie spała.

Nad nią stał Rafę. Delikatne światło słońca wydobywało z mroku ukochane rysy jego twarzy. Na jego twarzy nie było gniewu, cała wściekłość znikła. Wiedział, że przegrał. Ze przegrali.

- Twoje włosy - mruknął z czułością. Schylił się i dotknął

jedwabistego pukla. - Są takie, jak pamiętam. Jaśniejsze.

- Zjawiasz się za późno - szepnęła.

- Tak - odparł ze smutkiem. - Lata za późno, jak się wydaje.

Poczucie rzeczywistości zwyciężyło znużenie. Usiłowała się podnieść, nie zważając na swoją nagość pod pościelą.

- Musisz odejść! Jeśli cię znajdą...

- Spokojnie, słodki sokoliku. - Chwycił dziewczynę za ramiona, siadając obok na łóżku, i popchnął na poduszki. - Nie ma powodu, żeby się denerwować. Twoja opiekunka smok wyjecha

ła, służba jest zajęta gdzie indziej, a chory Carr siedzi w swojej norze.

Poczuła ulgę, a zaraz potem wdzięczność. Nie spodziewała się, że go jeszcze zobaczy, a jednak był przy niej, pełen takiego smutku i żalu. Odwróciła głowę i pocałowała grzbiet męskiej dłoni na swoim ramieniu.

Bez cienia wahania otoczył Favor ramionami. Znow mogła się delektować słodkim smakiem jego ust. Zdziwiła się trochę.

Wziął sobie ten pocałunek, nie zabiegając o niego, a nie był mężczyzną, który bierze nieproszony. Następny, jeszcze bardziej namiętny sprawił, że nie mogła już myśleć o niczym innym. To ukochany ją obejmował, całował, pieścił. Rafę.

Szlochając, otoczyła ramionami szyję mężczyzny, pogłębiając pocałunek. Przesunął ręce wyżej, odchylając jej głowę, delikatnie skłaniając do otwarcia ust. Wsunął język głęboko, znajdując ten drugi i bawiąc się nim. Kręciło jej się w głowie, cia

ło płonęło jak słońce za oknem, tak samo obojętne na wymogi moralności.

- Jesteś moja - szepnął.

- Wysłałam za mąż, Rafę.

- Wiem. - Odsunął się i spojrzał jej w oczy. - To nie ma znaczenia. Jesteś moja, Favor. Zawsze

będziesz, bez względu na to, jakie nazwisko przybierzesz ani dokąd uciekniesz. Kocham cię.

Tak, pomyślała bezradnie. Tak. Przejęła ją prawda tych słów.

Nie mogła im zaprzeczyć, tak samo, jak nie mogła sprzeciwiać się własnemu sercu. Nie mogła ich jednak przyjąć.

To mógł być Rafę, jej miłość, ale ona nosiła już inne nazwisko i wkrótce miała wyjechać do Francji...

Ale nie teraz. Jeszcze nie. Darowano jej parę godzin zwłoki, parę godzin, żeby wynieść wspomnienia na całe życie. Objęła go mocniej.

To była wystarczająca odpowiedź. Ułożył ją na plecach, osuwając się za nią. Palce prześlizgnęły się lekko wzdłuż obojczyka, odnajdując puls u nasady szyi. Zmierzył tętno wargami, powędrował ustami niżej, odchylając koc. Wygięła się w łuk, domagała się więcej, żądała tego, co dał jej parę nocy wcześniej, tego, czego, jak sądziła, nigdy już nie dozna. Wciągnął ostro powietrze, patrząc na uwolnione od gorsetu piersi.

- Pozwól mi zdjąć koszulę, Favor. Pozwól mi poczuć dotyk twojej nagiej skóry na moim ciele. Proszę.

Skinęła głową. Nie mogła wydobyć głosu. Kiedy ściągał koszulę przez głowę wdzięcznym, kocim ruchem, mięśnie pokrywające żebra przesuwwały się gładko pod aksamitną skórą. Piersi i brzuch były twarde, napięte. Ciemne włosy na torsie gęstnia

ły w ciemną linię. Powędrowała spojrzeniem niżej. Wstrzymała oddech. Miał ciasne, za małe spodnie; wytarty materiał okrywał

ściśle wypukłość ciała w dole brzucha, jawnie zdradzającą podniecenie.

Zamknęła oczy, przypominając sobie jego dotyk w swoim wnętrzu.

- Favor?

Uniosła powieki, przetykając głośno ślinę. Przyglądał jej się w napięciu.

248

- Czy... czy mogę... - Głos mu zamarł. Przeczesał włosy palcami, wzbudzając jeszcze bardziej lśniąco loki. — Favor, nie zranię cię. Przysięgam.

Wyciągnęła do niego ręce. Przyklęknął, podniósł ją z pościeli, przyciskając do siebie.

- Dobry Boże, tak przyjemnie cię dotykać.

Przekreśliła się w objęciach Rafę'a, ocierając się o niego. Zmysłowe, cielesne doznanie sprawiło, że

niemal czuła, jak nabrzmiewają jej piersi. Otarła się znowu, prężąc rozkosznie, o miękkie kędzioły na torsie. Wsunęła palce w jego włosy, przysunęła głowę bliżej, chłonąc jego zapach.

- Jesteś piękny, zbyt piękny, a ja cię za bardzo pragnę - szepnęła i przypomniała sobie jego obawę, że mógłby ją zranić.

Nie zrobił tego. Otoczył ją cudowną czułością, dał głęboką przyjemność, nauczył namiętności. Wzięła wszystko, co miał dla niej, nie dając nic w zamian. Z wyjątkiem miłości, a tej mu nie żałowała. Teraz chciała sprawić mu przyjemność, okazać miłość w najbardziej intymny sposób.

Ścisnęła go za ramiona, wyczuwając napięte mięśnie pod gładką skórą. Popchnęła go. Był ciężki. Nigdy nie zdołałaby go przesunąć przy użyciu siły, a jednak poruszył się od razu, patrząc spokojnie i pytająco, zgadzając się na wszystko, czego by od niego chciała. Albo nie chciała.

Popchnęła znowu, mocniej, a on posłuchał niewypowiedzianego rozkazu, przekręcając się na plecy, podtrzymując ją, żeby na niego nie spadła. Ale ona tam właśnie chciała się znaleźć. Położyła się na nim całym ciałem; jej włosy opadły lśniąco u jego boków.

Przesunęła głowę i pocałowała płaski brzuch. Pod skórą zarysowały się wyraźne kontury mięśni. Zacisnął mocniej ręce na jej ramionach. Otworzyła usta, muskając gorącą skórę koniuszkiem języka.

- Favor! - Słowo wypowiedziane zdławionym głosem zabrzmiało jak ostrzeżenie.

249

Tęsknota przeważała nad rozsądkiem. Wsunęła palce pod pasek spodni, ściągając materiał z wąskich bioder. Sam dotyk nie przygotował jej na widok jego członka, nabrzmiałego, sztywnego. Podniosła oczy przestraszona, napotykając wzrok Rafe'a, uśmiechającego się ciepło. Natychmiast zapomniała o lęku.

- Przysięgam, że cię nie zranię - powiedział chrapliwie, próbując ją podnieść.

Nie przystała na to. Zeszła jeszcze niżej. Delikatnie ujęła w dłonie członek, musnęła wargami.

Rafę uniósł nieznacznie biodra, wydał gardłowy dźwięk. Takiej zachęty potrzebowała. Otworzyła usta, obejmując nimi członek.

Ujął dłońmi jej twarz.

- Nie, Favor. Nie... - Cokolwiek chciał powiedzieć, rozplynęło się w drżącym jęku.

Czuła błogie zadowolenie. Ten ogromny, silny mężczyzna drżał z rozkoszy, którą mu dała. Zdolność panowania nad jego zmysłami oszałamiała.

Usiłował powstrzymać żądzę, którą wyzwalały jej usta. Nie chciała, żeby nad sobą panował, chciała namiętności...

Chwycił ją za ramiona i pociągnął nad siebie. Bicepsy mu drżały, pod opaloną skórą ukazywały się sznury żył.

- Moja kolej. - Uniósł głowę, obejmując ustami sutek, ssąc intensywnie aksamitną brodawkę.

Sapnęła, instynktownie poruszając biodrami.

Ułożył ją wyżej na swoim ciele. Odchyliła się do tyłu, opierając ręce na męskich dłoniach, łaskocząc uda falującą kurtyną włosów.

Przycisnął wargi do miękkiego wnętrza uda, posuwając się coraz wyżej... Otworzyła szeroko oczy. Zakrył wzgórek ustami, ssąc delikatnie. Wsunął język głęboko pomiędzy fałdki. Pochłonęła ją rozkosz, skupiając wszystkie doznania w jednym punkcie.

Kołysała się leciutko, aż dotyk języka stał się zbyt dojmujący. Za-250

drżała, cofając się. Przemieścił się ostrożnie, ułożył ją na materacu i nakrył swoim ciałem.

Wszedł w nią, przebijając cienką barierę dziewictwa bez wahania. Ból był krótki i ostry. Zatrzymał się głęboko wewnątrz jej ciała.

Otworzyła oczy. Patrzył na nią; dyszał ciężko. Wyciągnął rękę, ujmując jej dłonie po kolei i kładąc sobie na ramionach.

- Trzymaj się mnie, Favor. Proszę. Przytul się do mnie. Chciej mnie. Na miłość boską, trzymaj mnie mocno tym razem. -A potem się poruszył.

Narzucił szybki, brutalny rytm, wchodząc w nią głęboko.

Rozciągał, wypełniał ją, ale ona wciąż czuła niezaspokojoną potrzebę. Niepokorne dłonie zsunęły się z jego ramion, przesuwając się po umięśnionych plecach aż do napiętych pośladków.

Wbiła palce w twarde okrągłe mięśnie, owinęła jego biodra udami, chłonąc chciwie każdy ruch.

Tylko ten jeden raz. Tylko jeden raz na całe życie.

Rozkosz uniosła ją jak fala drzazgę, wznosząc się i opadając, dzika, szalona, wspaniała. Nagle Rafę napiął się cały. Wzniósł się jak Hefajstos, twardy i brązowy pod powłoką potu, władczy i potężny. Oparł się na rękach i wydając krzyk z głębi gardła, wsunął

się w nią głęboko. Znieruchomiał, drząc.

Po chwili opadł na nią, wsuwając pod nią ramiona, tuląc ją czule.

Chciała wstać.

- Zostań - powiedział cicho. - Zostań ze mną. Chcę nie tylko zaspokojenia, ale tego słodkiego

odpoczynku potem też. Zostań.

- Nie mogę. On wysła służącego. Odkryją nas.

Usiłowała się uwolnić jeszcze raz, ale ten wysiłek stał się za

łosną parodią. Jego smutek zniewolił Favor. Pozwoliła Rafe'owi ułożyć się obok siebie i objąć ramionami. Położyła mu głowę na piersi, słuchając cichego bicia serca. Wtedy, niespodziewanie, zasnęła.

- Raine! Podnieś się! Carr już jest na nogach! -W drzwiach sypialni stanęła Gunna. Padało na nią światło z holu, wyglądała jak czarna figurka.

Uniósł się, pochylając do przodu i pociągnął Favor. Zasłonił

ją instynktownie.

- Rafe? - Słyszał jej głos, cichy i zaspany, ale z wyraźną nutką niepokoju.

- W porządku, Favor. - Wymówił te słowa bezgłośnie, ruchem warg, wiedząc, że to kłamstwo. Nie było w porządku. Jak mogłoby być? Ona go znenawidzi, a on będzie musiał z tą nienawiścią żyć do końca.

- Ale kto to jest? Co ona mówi?

- Raine - powtórzyła *Gunna*. ~ Nie *ma* chwili do stracenia.

On jest na nogach i jej szuka. To tylko kwestia czasu, kiedy tu przyjdzie.

- Dlaczego ona mówi do ciebie Raine? - szepnęła Favor. -

Dlaczego... Wielki Boże.

Zamknął oczy. Miał nadzieję... Na co? Na jeszcze jedną godzinę, zanim nastąpi katastrofa?

- Ponieważ tak się nazywam. Raine. Raine Merrick.

L/dskoczyła od niego, ciągnąc ze sobą pościel. Odwrócił się. Patrzyła na niego wielkimi, nierozumiejącymi oczami. Miedziao-nozłote włosy opadały na ramiona.

- Nie. - Pokręciła głową. - To nie może być.

- Tak. Jestem... Tak bardzo mi przykro.

- Przykro? Dobry Boże, to stąd wiedziałeś o skarbie i zamku, i Carrze, i co on... Dlaczego? - Ostatnie słowo było rozpaczliwym szeptem. - Dlaczego?

252

- Nie chciałem, żeby Carr wiedział, że tu jestem. Potem znalazłem ciebie i odkryłem później, kim jesteś. Jestem ci winien życie, Favor. Myślałem, że jeśli poznasz moje imię, to nie pozwolisz mi sobie pomóc...

- Pomóc? - powtórzyła, ujmując prześcieradło, jakby mogła się za nim ukryć. — A czyniąc ze mnie cudzołżnicę, pomogłeś mi? Przyprawiając rogi swojemu ojcu?

Odsunęła się na skraj łóżka.

- Raine! - Gunna zamknęła drzwi i pokuśtykała w ich stronę.

- Powiedziałaś, że dasz mu coś, żeby był chory! - powiedział

z rozpaczą Raine, nie spuszczać wzroku z drżącej Favor. — Ze nie będzie mógł wstać z łóżka. Pewnie źle cię poinformowano.

Prawdopodobnie jeszcze jest chory.

- Nie! Widziałam go. Widocznie nie wypił dziś rano zatrutej wody. Jeśli cię tu znajdzie razem z nią, zabije cię!

Favor zaszlochala.

- Co z was za piekielna rodzina? Czy uznałeś pójście ze mną do łóżka po ślubie z twoim ojcem za szansę odplacenia mu za lata spędzone w więzieniu?

- Nie, przysięgam, że to nie tak. - Wyciągnął rękę. Spojrzenie Favor sprawiło, iż uświadomił sobie, że wciąż jest nagi. Zerwał się z wściekłością, złapał spodnie i wciągnął je szybko. Gunna chwyciła go za ramię.

- Raine!

Odrzucił ją gniewnie i podszedł do Favor. Odsunęła się.

- Nie. Nie. O Boże, jak mogłeś?

Nie miał wyboru, jak tylko powiedzieć jej, tutaj, przy Gunnie kręcącej się po pokoju.

- Nie jesteś cudzołożnicą, Favor.

- Co?*

- To mnie poślubiłaś zeszłej nocy, Favor. Nie Carra.

- Nie - szepnęła. - Niemożliwe.

253

- To prawda. Gunna dawała Carrowi trujące zioła, podczas gdy ja pojechałem do opactwa na południe stąd. Tamtejsza przeorysza miała u mnie dług wdzięczności. Przysłała tutaj swojego księdza.

- Ale pokojowiec... - Trzęsa się, jej twarz zrobiła się biała jak mleko. Tęsknił za tym, żeby wziąć ją w ramiona. Podszedł do niej o krok i zobaczył, jak rozgląda się w panice, szukając drogi ucieczki. Musiał mówić, próbować wyjaśnić.

- Rankle wystąpił w moim imieniu, wiedział, że „reprezentując” Carra, zastępuje w gruncie rzeczy mnie.

- Dlaczego?

- Widziałaś, jak Carr traktuje swoją służbę. Rankle był szczęśliwy, że może mu odpłacić pięknym za nadobne.

- Ale świadectwo! Muira powiedziała, że wszystko jest w porządku!

- Muira uwierzyła w to, co chciała zobaczyć. Na świadectwie figuruje R. Merrick jako twój mąż. Nie ma tam żadnego tytułu.

- R. Merrick. Raine Merrick. - Zakołysała się lekko.

- Nie mogłem mu pozwolić ożenić się z tobą, Favor. On by cię zabił. Ten plan, ten twój żaloszny plan, nigdy by się nie powiódł.

- To ty nie dałeś go wprowadzić w życie. Nie pozwoliłeś mi spełnić mojego zobowiązania - powiedziała. Ciągle była przera

żona. - Zniszczyłeś wszystko. Dlaczego... O Boże. - Podniosła gwałtownie głowę, patrząc na niego oskarżycielskim, pełnym urazy wzrokiem. - Nawet kochałeś się ze mną rano, żeby się zabezpieczyć

przed unieważnieniem tego małżeństwa. Czyż *nie* tak?

Nie mógł zaprzeczyć. Rzeczywiście przyszedł do niej z tym właśnie zamiarem. Ale zapomniał o zamiarach wobec namiętno

ści, która nim owładnęła na jej widok. Wtedy myślał już tylko o tym, żeby się z nią kochać, żeby w swoim życiu pełnym bólu, żalu, smutku, wykroić krótką chwilę na miłość. Ale nie myliła się, nie takie miał plany, kiedy przyszedł. Wyczytała winę z jego twarzy i się wzdrygnęła.

254

- W końcu nie tak było - szepnął chrapliwie. - Nie...

- Odejdź! - jęknęła z rozpaczą. - Odejdź stąd! Zostaw mnie!

Odejdź!

- Favor, proszę, błagam cię...

- Odejdź! Czy nie dość zrobiłeś? Ukradłeś moje serce, honor, dumę i... odejdź! - Skuliła się z płaczem na podłodze. Jej szczupłe, białe, bezbronne plecy trzęsły się od szlochu.

- Posłuchaj jej - powiedziała Gunna, szarpiąc go za ramię. -

Nic dobrego tutaj nie zdołałaś, Raine. A już z pewnością nie martwy!

- Nie? - zapytał Raine nieprzytomnie, wpatrując się w drobną postać u swoich stóp. Bał się jej dotknąć, nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

- Pomyśl! - rzuciła ostro Gunna. - Carr cię zabije i zajmie twoje miejsce, Raine. Nikt jeszcze nie wie o tym ślubie. Rankle'a można uciszyć, a imię Carra zaczyna się, tak czy inaczej, na literę R.

Miała rację. Nie mógł umrzeć. Musiał odejść.

- Favor...

Skuliła się jeszcze bardziej, nie patrząc na niego. Wyszedł

z pokoju z przekleństwem na ustach.

Słyszała, jak odchodził razem ze starą, garbatą kobietą z welonem na twarzy. Przez długą chwilę leżała tam, gdzie upadła, w pomiętej pościeli, która nadal pachniała ich ciałami.

Raine Merrick. Gwałciciel. Syn wroga. Jej mąż. Wkrótce przyjdzie Carr... Będzie się chciał dowiedzieć... Muira wyjechała... Ona teraz została sama, dużo bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ nawet zeszłej nocy miała Raf... Raine'a. Podskoczyła do góry; ta myśl sprawiła jej fizyczny ból.

Musiała stąd odejść. Wyjechać. Ale dokąd? Całe życie przerzucano ją z miejsca na miejsce. Małe miasteczko, w którym się urodziła, brzeg morza, klasztor we Francji. Nie miała domu.

255

Miała jeden cel, który teraz stał się nieosiągalny. Wiedziała tylko, że nie może tu zostać.

Wstała i ubrała się drżącymi rękami. Narzuciła płaszcz, potem otworzyła drzwi, zerkając ostrożnie na korytarz. Nikogo nie było. Przemknęła korytarzem, obok głównej klatki schodowej, aż do schodów dla służby i zeszła, stukając obcasami. Na dole przemierzyła pośpiesznie kuchnię i spiżarnię, odprowadzana ukłonami i dygnięciami przestraszonej służby.

Wypadła przez tylne drzwi i pobiegła przez mały, odkryty dziedziniec do stajni. Zakradła się do środka. Zaskoczony stajenny, który siodłał właśnie parę siwych koni, przerwał swoje zajęcie, kłaniając się uniżenie.

- Gdzie jest Jamie Craigg? - zapytała.

- On...

- Tutaj, panno Donnę. - Olbrzym wynurzył się z boksu, wycierając wielkie łapy w skórzany fartuch.

- Gdzie jest Muira?

Jamie rzucił ostrzegawcze spojrzenie w stronę stajennego. Jakże to miało znaczenie? To był koniec.

- Pani Douglas wyjechała dziś wcześniej rano - powiedział. -

Powiedziała, że udaje się z wizytą do krewnych na północy i wróci na kolację. Proszę wybaczyć, panienko, ale nie wyglądasz najlepiej. Czy dobrze się czujesz? - Jego pobrużdżona twarz wyrażała zaniepokojenie.

- Tak - szepnęła. - Tylko mam jedno życzenie... To znaczy, muszę wyjechać. - Modliła się, żeby nie zapytał, dokąd, ponieważ nie miała zielonego pojęcia. Wiedziała tylko, że musi wyjechać, a Jamie był jej jedyną nadzieją.

- Teraz, panienko?

- Och, tak, proszę, Jamie.

Znowu spojrzął z niepokojem na stajennego, który przyglądał

im się z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Proszę.

- Oczywiście, panienko. Natychmiast, panienko. Zaprzęgnę tylko do powozu i pojedziemy. -

Odwrócił się, patrząc morderczym wzrokiem na podsłuchującego stajennego. - Powiesz mi, dokąd, kiedy ruszymy.

Ostatecznie, nie było dokąd jechać, jak tylko do domu jej brata, trzydzieści kilometrów w głąb łądu.

- Co się stało? Wróciłam do zamku i zastałam Carra wściekłego, a po was ani śladu. - Favor usłyszała głos Muiry, dobiegający z małego holu poniżej. Usłyszała też huczący w oddali głos Jamiego.

Podniosła się z krzesła. Nie będzie się ukrywać przed Muirą.

Ta kobieta już się nie liczyła. Nic się nie liczyło.

- Co Carr powiedział?— zapytał Jamie.

- Nie rozmawiałam z Carrem, ty niedołego! Nie mogłam się przecież pokazać bez jego kochającej małżonki, prawda? Ani mu oznajmić, że uciekła jak królik przed psem myśliwskim. Przyjechałam prosto tutaj, żeby ją zabrać, i to właśnie zrobię.

- Dziewczyna jest chora, Muiri - mruknął Jamie. - Cerę ma białą jak świeży śnieg, a oczy ponure i głębokie jak dopiero co wykopana mogiła.

- Nic mnie to nie obchodzi. Gdzie jest ta głupia suka? Nauczę ją...

- Jestem tutaj, Muiri.

Stara kobieta odwróciła się i spojrzała w górę, na stojącą na podeście schodów Favor.

- Wkładaj płaszcz! -warknęła. - Mąż na ciebie czeka.

- Nie. Nie czeka.

- Głupia dziewczyno, on cię jeszcze nie miał. Nadal można to małżeństwo unieważnić. Schodź na dół!

Favor zaśmiała się przez ściśnięte gardło. Muira pognęła po schodach, złapała ją z całej siły za ramię i szarpnęła, usiłując ściągnąć w dół.

17-Ostatni bal 2 5 7

- Nie. - Favor potrząsnęła gwałtownie głową. - Nie! Posłuchaj mnie, Muiri! Posłuchaj! - Krzyk odniósł zamierzony skutek. Starucha uwolniła jej ramię. - Nie poślubiłam Carra. Wyszłam za mąż za jego syna, Raine'a!

Muira odwróciła się do Jamiego. Na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- I ty mówiłeś, że ja jestem chora - mruknęła ponuro Muira. - Cóż, szalona czy nie, dzisiaj jeszcze

będzie leżała pod Carrem.

- Nie będę. Leżałam już z jego synem. Moim mężem.

Muira straciła nieco pewności siebie.

- Ona oszalała.

Favor skierowała wzrok poza nią, na Jamiego.

- To był Raine Merrick, ten, którego wyciągnęliśmy z francuskiego więzienia. Przyjechał do Rumieńca Ladacznicy bez wiedzy Carra, w poszukiwaniu skarbu McClairenów. Zamiast niego znalazł mnie. Nie powiedział mi jednak, kim jest, przysięgam.

- Och, dziewczyno - szepnął Jamie.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziała Muira martwym głosem, ale w jej mętnych oczach pojawił się przelotny błysk.

- Ona chce się z tego wywinąć. Nie uda jej się.

- Szalona stara kobieto! To Raine tańczył ze mną na balu maskowym. To z Raine'em byłam tamtej nocy. To Raine jest wymieniony na świadectwie ślubu.

Gardło Muiry drgało konwulsyjnie.

- Nie.

- Spójrz na nie! - krzyknęła Favor, a stara kobieta wyciągnęła zza gorsetu trzęsącymi się palcami złożony papier. - Tu jest napisane „R. Merrick”, „R” od „Raine”, nie „Ronald”. Gdybym poślubiła Carra, na dokumencie byłoby „Merrick, księżę Carr”. Widzisz? Jaką datę podano jako datę urodzenia mojego męża?

W odpowiedzi rozległ się wściekły ryk Muiry. Favor cofnęła się przestraszona. Kobieta zmięła świadectwo w garści i podarła

je na drobne kawałki. Potem rzuciła papier w dół schodów i się odwróciła.

- Nie! Nie dopuszczę do tego. Te wszystkie lata, plany, po

święcenia. .. Nie! Wyspa McClairenów znowu będzie należeć do McClairenów!

Jamie, zmartwiony i przejęty, ruszył przezornie w górę po schodach.

- To koniec, Muir - powiedział.

- Nie, nieprawda - wysapała, patrząc dziko. - To nie koniec. Musi być jakiś sposób... - Odwróciła

się do Favor. - Ty zła dziewczyno. Ściągnęłaś przekleństwo na swój klan!

Favor odebrała te słowa jak ciosy.

- Za co sprzedałaś swój honor i poczucie obowiązku?

- Nie wiedziałam. Boże dopomóż, to prawda, że kocham...

kochałam go, ale przysięgam, że nie wiedziałam, kim jest. Nie wiedziałam, że to Raine'a Merricka poślubiam. Przysięgam, że myślałam, że wychodzę za Carra! Dowiedziałam o oszustwie dopiero dziś rano, kiedy on...

- Kiedy cię pokrył - dokończyła Muira tak wstrętnym tonem, że Favor zamknęła oczy. - Kto jeszcze wie o twojej podłej zdradzie?

Favor skuliła się, słysząc nienawiść w głosie Muiry.

- Nikt. Tylko ksiądz, pokój owiec i Raine.

- Raine - powtórzyła Muira szyderczo. - Nie mogłaś poczekać, żeby z nim pójść do łóżka? Parę miesięcy i zrobiłabym z ciebie wdowę.

Roześmiała się na widok zaskoczony miny Favor.

- Och, niewiniątko! Nie wiedziałaś, kochanie, że to część planu? Poważnie wierzyłaś, iż zaufam Bogu, żeby zabrał życie Carra przed twoim? Bogu nie można ufać. Zamierałam zabić Carra przed upływem tygodnia.

Morderstwo? Powinna była się domyślić. Powinna zdawać sobie sprawę. Ale nie zdawała. Jeszcze jedna wina, która ją obciążała, ale przynajmniej dzięki ślubowi z Raine'ern oszczędzono jej udziału w mordzie.

- Nigdy bym się nie zgodziła, żebyś zabiła Carra - szepnę

ła. - Bez względu na to, jaki jest zły.

- Oczywiście, że nie. - Muira parsknęła pogardliwie. - Jesteś słaba. Masz w sobie za dużo krwi swojej matki o twarzy jak serwatka, a za mało krwi McClairenow. Sprzedałaś nas, żeby się wiercić pod gwałcicielem, żeby mieć w brzuchu nowego demona, Merricka. Niech cię piekło pochłonie!

- Przestań, Muiro! - odezwał się Jamie zimnym, ostrzegawczym tonem. - Merrick nigdy nie zgwałcił zakonnicy i dobrze o tym wiesz. Merry wyznała swoją winę i udzieliła mu rozgrzeszenia.

- Jak mogliście! - wykrzyknęła Favor. - Przez wszystkie te lata kazaliście mi myśleć, że poświęciłam życie naszych ludzi dla gwałciciela.

- Co z tego? - warknęła Muira. - To pomiot szatana i dopilnuję, żeby wrócił do swojego domu w

piekle. Jest jeszcze czas.

Z pokojowcem i księdzem można się rozprawić później. A kiedy znajdę...

- Nie! - Favor natychmiast zrozumiała, w jakim kierunku zmierzają myśli oszalałej Muiry. - Nie, ty...

Muira odwróciła się, całą wściekłość wkładając w cios, który trafił Favor w skroń, zrzucając ją ze schodów. Świat znikł, zanim znalazła się na samym dole.

gdzie jest Muira? - zapytała Favor słabym głosem. Głowa jej pulsowała, w plecach czuła ostry, promieniujący aż do łopatek ból. Z trudem wracała do świadomości, w każdej chwili mogła ją pochłonąć nicość.

260

- Posunęła się za daleko - usłyszała mamrotanie Jamiego. -

Żaden kawałek ziemi nie jest wart ceny twojej duszy.

Ogarnęła ją ciemność. Kiedy znowu otworzyła oczy, zdała sobie powoli sprawę, że ktoś ją trzyma, przyciskając do czoła chłodna, wilgotną szmatkę.

- Raine - szepnęła.

- Przykro mi, Favor McClairen - rzekł Jamie. - Przykro mi z powodu tego, co ci zrobiliśmy. Chłopak nie był gwałcicielem.

Uratowałaś nas od grzechu zamordowania niewinnego człowieka. I tylko tyle zrobiłaś. Carr znalazłby inny sposób, żeby nas się pozbyć ze swojej ziemi. Byłaś mu tylko wygodna.

- Proszę - powiedziała, usiłując się odwrócić. Musiała powstrzymać Muirę. Raine. Dobry Boże, dlaczego z nim nie zosta

ła? Nie posłuchała? Znowu pociemniało jej w oczach, zwalczyła słabość, skupiając się na cichej litanii Jamiego.

- Dla Muiry też byłaś wygodna. Dla nas. Nie mogę temu zaprzeczyć. Nie powinniśmy w ten sposób cię wykorzystać. Tylko że mieliśmy dług wobec Muiry. Proszę, spróbuj zrozumieć.

Rozproszyliśmy się po masakrze. Ona nas znalazła. Dała nam cel, coś poza życiem z dnia na dzień bez dumy, przyszłości czy przeszłości. Ale zagubiła się gdzieś po drodze. Wiedziałem o tym i nie powstrzymałem jej i to jest coś, z czym będę musiał żyć do końca swoich dni.

Ciemność ustąpiła na tyle, że mogła usiąść prosto w ramionach Jamiego. Nie myślała o jego winie. Miała dość własnego poczucia winy. Chciała tylko Raine'a.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Chyba wróciła do zamku. Zacięła konie, jak wściekła. - Potrząsnął ze smutkiem kudłatą głową. - Lepiej odpocznij, panienko Favor. Już po wszystkim.

- Nie. Nie jest. - Odsunęła się od niego, krzywiąc się z bólu, kiedy stanęła na nogach. Przed oczami rozciągnęło się morze ciemności. Walczyła, żeby się w nim nie utopić i wygrała. - Muszę wrócić do

Raine'a, Jamie. Musisz mnie zabrać do Rumieńca Ladacznicy.

261

- Hm, panienko Favor. Co dobrego z tego wyniknie? - burknął Jamie.

Wyciągnęła rękę, chwytając się poręczy schodów. Nie mogła go stracić przez szaleńczą obsesję Muiry. Ani z żadnego innego powodu.

- Nie słyszałeś co mówiła, Jamie? Ty, który tak dobrze ją znasz, nie zrozumiałeś, co ona zamierza?

Chwycił dziewczynę za łokieć, pomagając zachować równowagę. Straciła jego rękę.

- O co chodzi, panienko Favor?

- Ona chce zabić całą trójkę: pokojowca, księdza i Raine'a, i w ten sposób utorować drogę do mojego małżeństwa z Carrem.

Jamie otworzył szeroko oczy, milczeniem przyznając jej rację.

- Ale ty się nigdy na to nie zgodzisz. Ona musi zdawać sobie z tego sprawę.

- To nie ma znaczenia. Jest szalona! - powiedziała Favor, ciągnąc Jamiego za rękę. - A teraz zawieź mnie do Rumieńca Ladacznicy, Jamie Craigg. Jedź, jakby go nił cię sam diabeł.

Rumieniec Ladacznicy zasnuty wieczorną mgłą wyglądał tajemniczo i złowrogo. Nieliczne lampy rozjaśniały wąskie okienka fasady. Oba skrzydła, zupełnie pozbawione oświetlenia, wydawały się składać ku ponuremu dziedzińcowi niczym skrzydła jakiegoś potężnego *nocnego* ptaka. Jamie *zatrzymał* spienione konie przed ogromną bramą. Favor wyskoczyła z powozu, zanim nieszczęsne rumaki na dobre stanęły.

- Panno Favor! - zawołał Jamie. - Będę czekać na ciebie!

Nie odpowiedziała. Otworzyła jedno skrzydło masywnych drzwi, przebiegając obok speszzonego lokaja, w górę głównymi schodami, w stronę opuszczonych komnat we wschodnim skrzydle.

Na górze odwróciła się i pobięła korytarzem do małego pasażu prowadzącego ku pomieszczeniom wychodzącym na mo-262

rze. Legowisko Raine'a znajdowało się w pobliżu północnej wie

ży. Jeśli był w zamku, tam go najprawdopodobniej znajdzie. Jeśli jeszcze tu był. Myśl, że mógł już wyjechać, była w tej sytuacji pocieszająca.

Jednakże Muira z pewnością poluje - szalona, opanowana jedną myślą kobieta, *dążąca do* usunięcia przeszkody, jaką napotkała na swojej drodze - a przy takiej znajomości Rumieńca Ladacznicy, jaką mogła pochwalić się Muira, wkrótce odnajdzie kryjówkę Raine'a.

Favor zwolniła kroku, przyzwyczajając oczy do mroku. Po

środku holu zobaczyła pasmo światła pod drzwiami. To była kaplica, gdzie porzucono większość rzeczy Janet McClairen.

Otworzyła drzwi, weszła do środka i się rozejrzała. Na podłodze stał ozdobny srebrny kandelabr. Światła stożkowatych świec odbijały się w jego wypolerowanej powierzchni. Poza tym pokój wydawał się pusty. Ściągnęła brwi, weszła dalej i wtedy usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Odwróciła się. Za nią stał Ronald Merrick, ksiązę Carr. Miał

na sobie strój ksiązęcy; lśnił od stóp do głów. U boku nosił miecz w wysadzanej klejnotami pochwie, na głowie śnieżnobiałą perukę umocowaną za pomocą diamentowej zapinki. Długie mankiety i guziki kubraka błyszcząły od kryształków i metalowych nici.

Błyszcząły nawet zapinki przy butach.

- Zrobiłaś coś z włosami - powiedział spokojnie. - Na Boga, raczej mi się to podoba. Ładne.

Nie wiedziała, co zrobić, jak się zachować. Jego oczy miały dziwny wyraz, ale wydawał się opanowany.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, Janet. Zawsze lubiłaś te swoje ładne przedmioty, chociaż - potoczył wokół smutnym wzrokiem - nie są już takie ładne.

- Nie jestem Janet, panie.

- Oczywiście, że nie. Jesteś Favor Donne, czy też powinienem raczej powiedzieć: McClairen? Sądziłaś, że nie wiem?

263

Oczywiście, że wiedziałem. Jakkolwiek, przyznaję, odkryłem to dopiero niedawno. Rankle mi powiedział, zanim umarł. Kość z kurczaka, jak sądzę.

Dobry Boże, zabił małego pokojowca.

- Nie martw się, moja droga, chociaż pewnie będę musiał

odbyć krótką pogawędkę z twoim bratem, kiedy wróci... Jeśli wróci. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną. Nie obchodzi mnie, że jesteś McClairen. Nie ma znaczenia, kim jesteś, ponieważ. .. - zbliżył się do niej - wiem również, że nosisz w sobie ducha mojej drogiej Janet.

Wolno wypuściła powietrze z płuc, stojąc bez ruchu, kiedy podniósł pasmo jej włosów i nawinął je sobie nonszalancko na palec.

- Naprawdę śliczne. Oświadczam, że ta barwa mnie zachwyca.

Uśmiechnęła się blade.

- Naprawdę szkoda, że musisz umrzeć.

Odskoczyła do tyłu, nieprzygotowana na wyrok śmierci, a on uśmiechnął się, cmokając cicho, jakby uspokajał spłoszoną klacz.

- Spokojnie, Janet. Jesteś gdzieś tam i słuchasz, prawda, Janet? Ponieważ wszystko, co mam do powiedzenia, będzie, obawiam się, stratą czasu, jeśli chodzi o pannę Donnę.

Zamierzał ją zabić, tak czy inaczej. To nie miało sensu.

- Dlaczego? - odezwała się cichym, chrapliwym szeptem.

- Ponieważ nie mogę pozwolić, żebyś uganiała się za mną w Londynie. Jesteś szkockim nikim, zarówno w tym ciele, jak i w poprzednim. Nie jesteś - pomachał ręką, zastanawiając się nad właściwymi słowami - wystarczająco bogata ani dostatecznie ustosunkowana, ani na tyle niezwykła, żeby zostać moją żoną.

A ty, Janet, zawsze chciałaś być najważniejsza. Możliwe — ciągnął

- iż panna Donnę również cierpi na zbyt wysokie poczucie własnej wartości, ponieważ z pewnością dałem jej, tobie? - niejedną okazję, aby została moją kochanką, ale ona, ty? - z nudnym uporem domagała się ślubu.

- Nie jestem Janet- zaprotestowała niepewnie, wahając się, czy może ujawnić spisek Muiry, bojąc się, że mogłaby w ten sposób obudzić w nim morderczą wściekłość.

- Oczywiście, że nie. - Poklepał ją po policzku jak dziecko.

Jego wzrok łagodniał, w miarę jak przyglądał się twarzy Favor. -

Czy wiesz, Janet, że przez chwilę rozważałem, czyby nie zastosować się do twoich życzeń? Niemal postanowiłem ożenić się z tobą, z rzecz jasna tym zastrzeżeniem, że pozbędę się ciebie, kiedy uznam za stosowne.

Nie przestawał mówić.

- Ale potem stary gospodarz Jerzy umarł i zakaz krępujący moje małżeńskie aspiracje przestał obowiązywać. W Londynie jest mnóstwo dziedziczek, moja droga. Mnóstwo bogatych, dobrze ustosunkowanych dziedziczek. Ty, obawiam się, nigdy nie miałaś szans.

- A zatem dlaczego mi się oświadczyłeś? - zapytała. - Dlaczego posłałeś po księdza?

- Nie posłałem. Po prostu powiedziałem twojej ciotce, że to zrobiłem. - Cmoknął cicho. — Myślałem, że jeśli się oświadczę, to stara wiedźma w końcu zostawi nas na trochę samych. Więc się oświadczyłem. W gruncie rzeczy, wydaje mi się, że kochana Fia mnie podsłuchiwała. Wtedy

powiedziałem twojej ciotce, że posła

łem po księdza. Kazałem nawet paru służącym wyglądać karety.

To by się mogło udać - dywagował. - Nalegałbym na spędzenie tylko z tobą godziny czy dłużej. Ale zachorowałem. Nie potrafię opisać swojego żalu — powiedział poufałym tonem. — Na szczęście jednak wszystko ułożyło się, jak trzeba, ponieważ jesteśmy tutaj.

Rozejrzała się rozpaczliwie po pokoju, szukając jakiejś broni, nie znajdując niczego.

- Ja wrócę - szepnęła desperacko. - Ile razy mnie zabijesz, tyle razy wrócę.

- Ha, ha! - zachichotał, łaskocząc ją pod brodą. - Wiedzia

łem, że cię wyciągnę. Przeszłaś do grózb, Janet? Spodziewałbym 265

się raczej, że uświadomiłaś sobie niewłaściwość takiego zachowania na tamtych klifach. - Wskazał dłonią w kierunku okien.

Stwierdziła teraz, że mimo żartobliwego tonu był, w istocie, wściekły.

Żrenice zamieniły się w maleńkie czarne punkciki w płonących niebieskich oczach. Kącik ust drżał mu nerwowo.

- Zrób to, Janet. Wracaj tyle razy, ile chcesz, ja cię po prostu zabiję ponownie.

Popełniła poważny błąd. Cofnęła się, aż wpadła na ścianę zastawioną pudłami i skrzyniami. Przemykała się wzdłuż nich, trzymając ręce z tyłu, usiłując wymacać jakąś broń. Carr szedł w jej stronę.

- Wiesz co, Janet? Czytałem o duchach, wampirach i im podobnych. To fascynujące. Wy, duchy, wydajecie się szczególnie przywiązane do domowego ogniska. Chyba że znajdziecie ludzkie ciało, w którym zamieszkujecie. Ile to ci zajęło czasu? Dziesięć lat?

Dzieliło ich zaledwie parę metrów, a ona znalazła się w kącie, z pustymi rękami.

- Coś chcę ci powiedzieć, Janet. - Mówił teraz przez zaciśnięte zęby. Cichy, łagodny ton w zestawieniu z wykrzywioną wściekłością twarzą przerażał ją dużo bardziej niż słowa. - Nie sądzę, abyś ty, czy twój klan, mogła stąd odejść. Przekonajmy się o tym, dobrze?

Chwycił ją za gardło. Szarpnęła się gorączkowo, ale ciężkie spódnice utrudniały ruchy. Wbiła paznokcie w nadgarstki Carra, drapiąc rozpaczliwie, ale jego palce zacisnęły się mocniej.

- Zabijesz żonę własnego syna? - wydusiła z siebie.

Roześmiał się, rozbawiony tą, jak zapewne sądził, taktyką odwracania uwagi, rozluźniając uścisk na

tylę, że mogła złapać łyk powietrza.

- Przysięgam, że to prawda! - wysapała, usiłując oderwać jego palce od gardła. - Jestem żoną twojego syna, Raine'a.

266

- Raine'a? - Zachichotał. Ale nie zacisnął mocniej rąk na jej szyi. Rozluźnił lekko chwyt. Nie wydawał się zwracać uwagi, jak głęboko raniła paznokciami jego ramiona i dłonie. Bawił się nią jak kot myszką, ciekaw, co jeszcze powie.

- Tak. On tu jest. I zabije cię, jeśli mi coś zrobisz - powiedziała, zdając sobie nagle sprawę, że to prawda. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Raine ją pomści z całą przerażającą siłą, jaka w nim tkwiła. Ponieważ ją kochał.

Zaskoczona i wstrząśnięta odkryciem jego tożsamości, przerażona i nierozumiejąca, przypisała mu fantastyczne i straszne motywy. Teraz rozumiała, że wszystko, co zrobił, miało służyć temu, żeby ją chronić. Włącznie ze ślubem. Gdyby tylko słuchała własnego serca.

Carr zmęczył się grą. Ale trzymał dalej za gardło, wyciskając z niej powoli życie. Zaczęła ją ogarniać usiana świetlistymi punkcikami ciemność. Straciła czucie w rękach i nogach. Paliły ją płuca.

- A więc Raine mnie zabije, jeśli cię skrzywdzę? — Carr zachichotał, wpatrując się w twarz Favor.

- Tak, zrobię to.

Musiała wyobrazić sobie, że słyszy głos Raine'a. Jednak Carr znieruchomiał. Mogła unieść głowę, nie ścisnął już gardła. Upad

ła na ziemię, dysząc ciężko.

Raine wysunął się z cienia przy drzwiach. W ręce trzymał pistolet wycelowany w Carr'a. Koszulę miał rozpiętą, włosy rozczochrane, buty ubłocone. W porównaniu z elegancką sylwetką Carr'a wydawał się toporny, grubiański i niewiarygodnie piękny.

Gabriel przybywający, aby stawić czoło Lucyferowi.

- Cóż, niech mnie licho, jeśli to nie jest mój wielki młodszy syn - mruknął Carr, mrużąc oczy. - Powiedz mi, czy reszta też jest prawdą? Ożeniłeś się z nią? — Machnął ręką w stronę Favor.

Odsunęła się do tyłu. Nie zwrócił na nią uwagi.

- Tak - odparł Raine. Spojrzenie miał uważne, szczękę napiętą od ledwie hamowanej furii.

267

- To raczej kazirodtwo, czy też może nie wiedziałeś, że przebywa w niej dusza twojej matki?

Raine zaśmiał się szyderczo.

- Zgłupiałeś na starość. Oszukaliśmy cię, kazaliśmy wierzyć, że moja matka wróciła, żebyś miał zajęcie, podczas gdy ja myszkowałem po zamku, szukając skarbu McClairenów.

My? Dobry Boże, musiał słyszeć, co mówiła i domyślić się planu Muiry. Teraz odciągał od niej uwagę Carra. Carr wytrzeszczył oczy. Zdumienie ustępowało wściekłości. Wargi mu drżały, prawa ręka wydawała się bezwładna.

- Nie - rzekł Carr. - Nie wierzę w to. - Odwrócił głowę, mierząc Favor morderczym spojrzeniem. - Ty jesteś Janet. Wiedziałaś o Parter... - Głos mu zamarł, wzrok powędrował z powrotem do Raine'a. - Powiedziałaś jej, co ma mówić.

Raine uśmiechnął się, unosząc kącik ust do góry. Uśmiech Janet. Ten sam uśmiech, który Muira kazała jej ćwiczyć tyle godzin.

Dlaczego tego nie zauważyła?

Carr najbardziej na świecie nienawidził, gdy ktoś próbował

robić z niego głupca i Raine o tym wiedział. Celowo go prowokował.

- Mam ochotę cię zabić - powiedział Carr.

- Spróbuj, proszę - odparł Raine, odrzucając pistolet. Prze

ślizgnął się przez cały pokój, wpadając na skrzynię, kilka metrów od miejsca, gdzie kuliła się Favor.

Carr wyciągnął szablę i rzucił się z rykiem na syna. Raine złapał wieko skrzyni, machając nim przed sobą; szabla Carra uderzyła w nie, wbijając się głęboko w drewno. Raine odsunął

się, ciskając na bok wieko wraz z szablą. Przez chwilę odsłonił

tors.

Favor dostrzegła błysk krótkiego, śmiertelnoośnego ostrza, które spod mankietu kubraka Carra trafiło do jego dłoni.

- On ma nóż] - Ostrzeżenie przyszło za późno. Raine zatrząsł się, kiedy Carr wbił mu nóż między żebra. Jęknął, cofając 268

się, ale Carr, zaprawiony we wszelkiego rodzaju walkach, poszedł

za nim. Zostawił nóż wbity w ciało Raine'a i zaczął okładać go pięściami po twarzy.

Favor przeczołgała się pod ścianą do miejsca, gdzie leżał pistolet. Podniosła go, podczas gdy Raine wyszarpnął z boku nóż.

Śliski od krwi, upadł na ziemię. Favor odciągnęła kurek, wycelowała drżącymi rękami i pociągnęła za cyngiel.

Nic się nie stało.

Z płaczem rzuciła przeklęte narzędzie na podłogę. Eksplozja rozdarła powietrze, odbijając się echem w pomieszczeniu, zaskakując Carra. Odwrócił głowę w stronę źródła hałasu. To wystarczyło Raine'owi, żeby uzyskać przewagę.

Jego pięść trafiła Carra w szczękę z okropnym trzaskiem.

Druga pięść wbiła się głęboko w jego brzuch, przewracając go na kolana. Raine złożył ręce, podniósł je do góry i uderzył Carra w kark. Carr przewrócił się na płask.

- Wstawaj! - rozkazał Raine, stojąc nad leżącym ojcem. Krew przemoczyła mu prawy bok koszuli i sączyła się z rozcięcia na policzku. - Powiedziałem, wstawaj! - Schylił się, chwytając kubrak Carra jedną ręką. Korale i kryształki rozprysły się na wszystkie strony. Podciągnął go do góry, bijąc drugą ręką po twarzy. Bił

go metodycznie, odchylając wargi we wściekłym grymasie, sapiąc chrapliwie w takt głuchych uderzeń.

Dobry Boże, pomyślała Favor. Carr zabił matkę. Teraz syn zabija ojca. Krew Merricków. Nie! Znała Raine'a. Bez względu na to, jak zły był Carr, Raine nigdy nie dopuściłby się zbrodni ojcobójstwa.

- Raine! - krzyknęła. Podniosła się z trudem i posuwała w ich stronę. - Nie!

Spojrzał na nią dziko, a ona zarzuciła mu ręce na szyję, przyciskając się do niego.

- Nie, Raine! Na twoją miłość do mnie, proszę, błagam, przestań!

269

Uderzenie serca. Jeszcze jedno. Poczwała, jak Carr przewraca się u jej nóg, a potem Raine objął ją mocno drżącymi ramionami.

- On nic dla nas nie znaczy. Nic - szeptała gorączkowo. -

Pozwól mu odejść, Raine.

- Zabił moją matkę! Zabił i zranił, i... Dobry Boże, Favor, to zaraza, którą trzeba wyplenić!

- Ale nie twoimi rękami. Ani moimi. Spójrz na niego, Raine.

Nigdzie nie wyjedzie. Na dworze czeka Jamie. Oddamy go Jamiemu i niech McClairenowie zadecydują o jego losie.

- Nie! - Raine pokręcił gwałtownie głową. - Nie znasz go.

Wywinie się z tego!

- Nie. - Favor patrzyła na niego błagalnie. Przesunęła rękę po ciele Raine'a i dłoń stała się lepka od krwi. Był ranny. Krwawił

obficie. Carr nie był wart, żeby o nim rozmawiać, podczas gdy Raine wykrawiał się na śmierć. - Zostaw to. Tak jak ty mnie prosiłeś, tak ja cię teraz błagam. Kocham cię. Bądź mój.

- Nie mam nic, co mógłbym ci dać - powiedział ochryple. -

Nic, poza zapewnieniem, że ten... potwór nigdy nie będzie już zdolny, żeby cię skrzywdzić. Pozwól to sobie dać, Favor - prosił. - Pozwól przynajmniej to dla siebie zrobić.

Podniosła rękę, ujmując jego twarz czułymi dłońmi.

- Już dałeś mi więcej, niż mogłam sobie wyobrazić w najcudowniejszych snach - odparła głosem pełnym miłości. - Wszystko, czego pragnę, jesteś w stanie mi dać. Twoje serce.

- Jest już twoje.

- Więc mi go nie odbieraj. Pozwól mu żyć.

Tym razem się nie zawahał; kapitulację przypieczętował pocałunek - czuły, gorący, delikatny. Podniósł ją, obejmując ramionami.

- Nie - zaprotestowała. - Twój bok.

- To nic takiego - mruknął.

Carr poruszył się na podłodze. Favor odwróciła się w objęciach Raine'a, podczas gdy Carr podniósł się z trudem na czwo-rakach. Jego piękna twarz była zmieniona nie do poznania, ubranie podarte i poplamione krwią.

- Nie masz więcej odwagi niż wtedy, kiedy byłeś dzieckiem -

mruknął bełkotliwym, zachrypłym głosem. - Nic po mnie nie odziedziczyłeś, ani odwagi, rozumu czy urody. Nic cennego.

Nic! Nie znalazłeś skarbu, co?

- Nie. Znalazłem coś nieporównanie cenniejszego.

Na te słowa podbite oczy Carra rozświetlił chciwy błysk.

- Co? - zapytał, kaszłąc. — Co takiego znalazłeś?

- Nigdy się nie dowiesz - odparł Raine, odwracając się do Favor. Postawił ją ostrożnie na ziemi. Wzrok Carra podążył za wzrokiem Raine'a. - Zabiję cię, jeśli się do niej odezwiesz - zagroził Raine. -Jeśli choćby...

Postać z dzieciennego nocnego koszmaru wyskoczyła z portalu za nawą, wymachując dwiema pochodniami. Jej usta stanowiły czarną dziurę w sieni jak u trupa twarzy; toczyła wokół oszalałymi oczami.

- Zdradziecka suko! - wrzasnęła piskliwie Muira. - Zniszczyłaś wszystko, cały mój trud i plany, ale nie zbierzesz owoców swojej zdrady! Skoro McClairenowie nie mogą mieć Rumieńca Dziewicy, nikt nie będzie go miał!

Cisnęła pochodnię na stos szczątków i śmieci - wszystko, co pozostało po Janet McClairen.

± łomienie z oszalałymi prędkością przeskoczyły ze spróchniałego drewna na papierowe pudła. Ubrania, książki, zasłony, pościel, skóry pochłaniał żarłoczny, niszczycielski ogień. Tańczył, pulsował i płynął w jednej chwili, zagarniając wszystko na swojej drodze.

271

Nagły ruch zwrócił uwagę Favor. Carr podniósł się i, kuśtykając, wyszedł na zewnątrz, do holu.

- Nie! - krzyknęła Muira, widząc, jak zwierzyna się wymyka.

Raine chwycił Favor za ramię, ciągnąc do drzwi, ale stopy zaplątały jej się w obszernych spódnicach. Przewróciłyby się, gdyby Raine nie złapał jej w ramiona, biegnąc w stronę holu. Jednak chwila zwłoki drogo ich kosztowała.

Muira była szybsza.

Przemknęła przez pokój, wymachując drugą pochodnią i ciągnąc za sobą ogon iskier. Zatrzymała się w drzwiach przy starej szafie uginającej się pod ciężarem skrzyń i pudeł. Wymierzyła w nie jak szpadą.

Raine wyciągnął rękę, żeby ją schwytać, ale zamiast tego złapał płonący koniec pochodni. Cofnął dłoń, sycząc z bólu. Favor rzuciła się ku szalonej kobiecie, lecz Raine chwycił ją w pasie i odciągnął, podczas gdy Muira machnęła pochodnią, mijając twarz Favor o parę centymetrów. Postawił dziewczynę za sobą, badając tunel ciemności za oszalałą Muirą. Favor czuła już na sobie gorąco buchające z piekła, które się rozpętało za jej plecami.

- Daj jej odejść! - zażądał ochryple Raine.

- Nie! Nie! - pisnęła Muira, przeskakując z boku na bok. -

Następnym razem będziesz się nią cieszył w piekle, Rainie Merricku! ~ Uśmiechnęła się szelmowsko; umknęła spojrzeniem w bok. Przytknęła pochodnię do butwiejącej zawartości szafy, stawiając ją w ogniu.

- Nie! - krzyknął Raine. Zanim zdążył jej przeszkodzić, pociągnęła za drzwi chwiejącej się szafy. Skoczyła do holu w momencie, gdy szafa runęła, zagradzając wyjście płonąca zawartością.

Widzieli, jak biegnie w ciemnym korytarzu, podpalając wszystko, co się dało. Nagle się potknęła. Pochodnia spadła na jej spódnicę. Zapiszczała, ale nie z bólu, tylko wariackiej radości.

Pobiegła dalej, niczym płonąca kukła i znikła im z widoku w parę sekund.

272

- Boże, zlituj się - szepnęła Favor.

- Szybko! - krzyknął Raine.

Favor obejrzała się za siebie. Wyjście przy ołtarzu było niedostępne. Ściana żywego ognia płonęła za nimi, parząc kark i ramiona. Mieli tylko jedną szansę. Skoczyła do zwaliska płonących skrzyń, chwytając wszystko, co się jeszcze nie zapaliło, i odrzucając od drzwi. Raine dwoił się i troił, ciskając skrzyniami i kufkami, nie zważając na poparzone dłonie.

Pracowali gorączkowo, w milczeniu, ramię przy ramieniu.

Dym, kotłująca się czarna masa, wznosił się do sufitu, wijąc się, szukając wyjścia. Za parę minut musiał ich ogarnąć. Jej płuca płonęły już od trujących wyziewów, z oczu lały się łzy.

Na zewnątrz, w holu, szalał pożar. Ogień sunął po drewnianych deskach podłogi, lizał łapczywie ściany. Wybuchł pomarańczowym blaskiem przy zbutwiałej framudze drzwi i popędził

w stronę głównej części zamku.

Raine chwycił krawędź przewróconej szafy i jednym potężnym szarpnięciem odsunął ją od drzwi. Favor wybiegła przez mały otwór, który powstał, cofnęła się jednak, łapiąc Raine'a *za*

nadgarstek.

- Biegnij! - krzyknął, próbując się wyrwać. - To za wąskie dla mnie. Idź! Pójdę zaraz za tobą!

Puściła go, ale nie odeszła. Pchnęła całym ciałem ogromny mebel.

- Odejdź! - krzyknął.

- Nie - zacisnęła zęby - bez - zamknęła oczy, modląc się -

ciebie! - Pchnęła ramieniem wielką szafę.

- Do diabła, Favor McClairen! - usłyszała ryk Raine'a, a potem szafa przesunęła się o parę błogosławionych centymetrów.

Przecisnął się przez otwór takiej wielkości, że ledwie się w nim zmieścił, po czym odwrócił się, chwycił Favor za rękę i przyciągnął do siebie.

Pobiegli płonącym korytarzem. Trzaskające i syczące płomienie towarzyszyły im jakwariacki śmiech. Przez drzwi wieży wpadli 18 - Ostatni bal 2 7 3

w kompletną ciemność. Zbiegli, niemal się przewracając, wąską, spiralną klatką schodową na główny poziom. Muira bardzo dobrze się sprawiła. Rumieniec Ladacznicy zamienił się w piekło.

Zamek płonął, podpalony przez szaloną kobietę. Carr szedł

powoli, walcząc z bólem przy każdym kroku, wzdłuż korytarza, zmierzając do biblioteki.

Spuchnięte oczy utrudniały widzenie. Czerwona mgła zaciemniała mu obraz. Miał złamany nos, w głowie słyszał głucho łomotanie. Ból przeszywał mu bok przy każdym oddechu. Nie zwracał uwagi na ból, podobnie jak nie zwracał uwagi na głębsze cierpienie spowodowane oszustwem syna - oszustwem dokonany z pomocą tej małej szkockiej dziwki.

Nie miał teraz na to czasu. Powietrze na klatce schodowej za jego plecami drżało już od żaru, który zapowiadał nadciągające morze ognia.

Kilkoro gości, którzy zostali w zamku, nieprzytomnych po hulance, zamroczonych i ogłupiałych jak lemingi nad urwiskiem, wyszło z komnat. Przestraszeni i niepewni, stali bez ruchu, mamrotali jakieś głupoty i błagali o pomoc. Carr nie zwracał na nich uwagi. Kilku lokai wrzeszczało, żeby dać wodę. Głupcy! Woda nie mogła już uratować Rumieńca Ladacznicy.

Dotarł do drzwi biblioteki, opuchniętymi rękami wygrzebał

klucz z kieszeni i wsunął go w zamek. Nad jego głową rozległ

się piekielny hałas i część sufitu, parę metrów za nim, zawali

ła się. Ogień wznósł się niczym Atlas uwolniony z łańcuchów, po czym rzucił się naprzód, karmiąc się wspaniałymi tapiseriami i dziełami sztuki w połączonych ramach.

Carr zazgrzytał zębami w bezsilnej złości i pchnął drzwi biblioteki. Miał mało czasu. Mniej niż mało. Przeszedł ciężkim krokiem przez pokój, aż do rzeźbionej półki nad kominkiem i, zaciskając zęby z bólu, wsunął paznokcie pod płytkę, podwa

żając ją. Wsunął dłoń do skrytki i po chwili namacał paczuszkę.

Wyciągnął ją i wsunął pod koszulę.

274

Spojrzał na drzwi do korytarza. Zdradziecko delikatne smużki dymu wsuwały się pod nimi do pokoju. Odwrócił się i pokuśtykał szybko do sypialni obok, chcąc zabrać przynajmniej złoto, które trzymał w kufierku pod portretem Janet. Myśl o Janet wywołała szydery uśmiech na jego ustach, boleśnie wykrzywiając popękane wargi. Sięgnął po klamkę i otworzył drzwi.

Widok, jaki napotkały jego oczy, spowodował, że odskoczył

do tyłu, dysząc ciężko i chwytając się za pierś.

Janet stała pod swoim portretem.

Jej sylwetkę wydobywał z mroku ogień, który na życzenie Carra zawsze płonął na kominku w jego prywatnych apartamentach; stała bokiem do niego, z rękoma złożonymi u pasa. Podniosła brodę tak,

jakby przyglądała się obrazowi; jej miękkie wargi zdobił lekki uśmiech.

- Nie! - szepnął.

- Odejdź stąd, Ronaldzie. - Głos zdawał się wydobywać z jego własnej głowy, cichy i bezlitosny. Nie odwróciła się do niego twarzą. Jej postać zadrżała nieznacznie. - Odejdź natychmiast.

Przybyła, żeby go uratować.

Ronald Merrick, księżę Carr, posłuchał rady ducha.

- Są zamknięte od zewnątrz! - krzyknęła Favor, wczepiając się w ramię Raine'a, podczas gdy ten uderzał własnym ciałem w małe drzwi u dołu schodów w wieży. Panowała tam zupełna ciemność, tylko wąska smuga światła pod drzwiami sprawiała, że można było coś zobaczyć. - Musimy wrócić...

- Nie! Tam zginiemy!

Walczył z drzwiami od kilku minut, choć wydawało się, że upłynęły godziny. Kamienna wieża opierała się jak dotąd żywo

łowi ognia, ale już wkrótce ogień mógł znaleźć jakąś drogę do środka, tak że oboje spłonęliby żywcem.

- Favor - powiedział - potrzebuję czegoś, czym dałoby się podważyć zawiasy. Rozejrzyj się, a ja będę walił w drzwi.

275

Kiwnąwszy głową, wdrapała się z powrotem po schodach, macając dłońmi w poszukiwaniu jakiegoś pręta, przesuwając stopą po stopniach, żeby sprawdzić, czy coś na nich nie leży. W połowie drogi na drugie piętro o mało nie nadziała się na ostry bolec wystający ze ściany. Przesuwała dłońmi po ścianie, aż chwyciła zakrzywiony kawałek metalu. Była to stara, żelazna tralka, którą jakiś czcigodny McClairen umieścił przy stromych schodach i zostawił, żeby zardzewiała. Podwójne błogosławieństwo na jego głowę.

Favor zacisnęła palce na zimnym metalu i przekreśliła. Pręt drgnął; usłyszała, jak spadają kawałki ściany. Odchyliła się do tyłu, oparła stopę o mur i szarpnęła z całej siły. Kawałek metalu oderwał się z trzaskiem.

Zadyszana i triumfująca zeszła na dół do Raine'a. Poklepując go wzdłuż ramienia, znalazła dłoń i wsunęła w nią metalowy pręt długości metra.

- A teraz, proszę, wydostań nas stąd.

- Tak, jaśnie pani. - Po tonie poznała, że się uśmiecha. Usłyszała, jak przesuwa rękami, szukając zawiasu, a potem zgrzyt metalu o metal, kiedy wsunął koniec pręta pod zawias i sapniecie, kiedy go pchnął.

Metal pęki.

Przez chwilę milczeli.

- Umrzemy tutaj, prawda? - odezwała się cicho.

W odpowiedzi grzmotnął ramieniem o drzwi. Echo uderzenia rozniosło się po całym pomieszczeniu.

- Proszę, Raine - powiedziała. - Jeśli mamy zginąć, to nie chcę umierać, nie czując twoich ramion na sobie.

Odgłos kolejnego uderzenia.

- Kocham cię, Raine. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- Boże! - W jego krzyku brzmiała wściekłość i błaganie.

- Proszę...

Silne ramiona zamknęły ją w mocnym uścisku. Usta słone od krwi i potu dotknęły warg w pocałunku tak czułym, że łzy napłynęły do oczu.

276

- Kocham cię, Favor McClairn Merrick. Zrobiłbym wszystko, *co* tylko w mojej mocy, żeby uczynić cię szczęśliwą. Przysięgam.

- Dokąd byśmy wyjechali? - Była zdumiewająco spokojna.

Jak mogła czuć się tak dobrze w podobnym piekle? Dobrodziejstwo miłości, jak sobie wyobraziła.

- Do Ameryki? - Sądząc po głosie, on także starał się pogodzić z losem, ale radził sobie dużo gorzej od niej. - Może do...

Indii. Tak. Myślę, że do Indii.

- Ciepło tutaj, prawda? - zapytała ze smutkiem. - Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo lubię ciepło, dopóki tu nie wróciłam.

- Przysięgam, nigdy nie czułabyś już zimna - powiedział

chrapliwym głosem.

- Powinnam leżeć pod białym baldachimem, ubrana w jedwabne sari i karmić cię owocami granatu.

- Nie, słodka moja- odparł cicho.- To ja karmiłbym cię granatami i scałowywał sok z twoich ust.

- A zatem byłabym pierwszą kobietą na ziemi, która utylaby na owocach granatu - stwierdziła,

uśmiechając się.

Nie odpowiedział, poczuła tylko dreszcz, który przebiegł

przez jego ciało i usłyszała świst powietrza, kiedy westchnął

z rozpaczą. Postanowiła zabrać go stąd, z tego mrocznego miejsca w piękną przyszłość, która nigdy nie stanie się ich udziałem.

Dotknęła ust Raine'a, chcąc go uspokoić.

- A ile mielibyśmy dzieci?

- Tuziny. Wszystkie z błyszczącymi włosami i dumnymi ciemnymi brwiami i... Och Boże, nie mogę tego znieść. *Nie* zniosę tego! - Rąbnął pięścią w drzwi.

Otworzyły się bezszelestnie.

Patrzyła zaskoczona, gdy Raine wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Znaleźli się w holu frontowym, prowadzącym do głównej klatki schodowej. Część sufitu zapadła się pośrodku. Z dziury na górze buchały płomienie, spuszczając na jedną ze ścian kurtynę szalejącego ognia.

277

Lokaj z pustym workiem przebiegł przed nimi, wpadając do jadalni. W drzwiach ukazała się pomywaczka, która z piskiem usiłowała stłumić ogień wspinający się po spódnicy, nie wypuszczając jednak z rąk srebrnej tacy. Wskoczyła z powrotem do pokoju, skąd przyszła, i znikła im z oczu.

Zatrzymali się. Musieli tylko przejść przez rozpalony stos gipsu i drewna, który zastawiał korytarz na skutek osunięcia się sufitu. Byli tak blisko; za rogiem znajdowały się drzwi wyjściowe.

Stos wznosił się jednak wysoko, a trawiące go płomienie jeszcze wyżej.

Raine zakręcił nią raptownie. Chwycił materiał jej satynowej sukni i zerwał z niej ciężkie spódnice. Podniósł ją, zarzucając sobie na ramię i ze stłumionym przekleństwem na ustach przebiegł przez rozpalony stos. Postawił ją z drugiej strony, klepiąc swoje tłące się buty, zanim ruszyli dalej. Chwyciła go za rękę. Jeszcze parę metrów. Minęli róg korytarza, prowadzącego do wyjścia.

Tam, ku ich zdumieniu, na wprost drzwi stał naturalnej wielkości portret Janet McClairen. Czyjaś ręka musiała go tam postawić, zagradzając wyjście. Ale czyja? Portret płonął, płótno w rogach zwijało się, żółte płomyki posuwały się od ram w stronę namalowanej twarzy, spopielając śliczny, jednostronny uśmiech, zadarty nos i wspaniałe, mądre oczy. Kiedy jak zaczarowani przyglądali się temu widowisku, twarz Janet znikła, odsłaniając stojak i przymocowaną do niego dużą skórzaną sakwę. Potem stojak również się zapalił i sakwa upadła na podłogę.

- Raine...?

Ukląkł, szybko podniósł torbę, rozwiązał rzemyk i zajrzał do środka. Dumny celtycki lew wielkości męskiej dłoni spojrział na niego gniewnie rubinowymi, polerowanymi oczami.

- Skarb McClairenów - wyszeptał Raine.

- Czy myślisz, że... że ktoś umieścił go tutaj, żebyśmy go znaleźli? - zapytała. Płomienie za ich plecami podchodziły coraz bliżej.

Ktoś to zrobił. Raine zapatrzył się na pustą ramę obrazu; zmarszczył czoło i rysy mu stwardniały, potem, tak jak ogień strawił śliczną twarz Janet, tak zmarszczki ustąpiły z jego twarzy, robiąc miejsce dla czułości, ciepła, spokojnej pewności. Zawiązał

sakwę i wsunął za koszulę.

- Raine? — ponownie zapytała Favor.

- Tak - odparł. - Tak myślę. Moja matka, Favor. Dała nam to w prezencie ślubnym i z tym przekonaniem pójdę do grobu.

Wyciągnął rękę. Wsunęła w jego dłoń swoją.

Razem wyszli z płonącego zamku, w dół granitowymi schodami, zostawiając z tyłu przerażonych gości i służbę.

I nie obejrzelili się za siebie.